

Iaac Bashevis SINGER
URZĄD MOJEGO OJCA
przełożyła Elżbieta Zychowicz
Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZASA.

Tytuł oryginału: In My Father's CourtProjekt okładki: Michał BrzozowskiRedakcja: Anna futta-WalenkoRedakcja techniczna: Zbigniew KatafiaszKorekta: Elżbieta Jaroszuk

59484

1966 by Isaac Bashevis Singer, renewed 1994 by Alma Singer.

Published by arrangement with Farrar, Straus and Giroux, LLC,

New York.

for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa2004

for the Polish translation by Elżbieta Zychowicz

ISBN 83-7319-524-6

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA Warszawa 2004

^

Tę książkę poświęcam świętej pamięci Cecila Hemleya, który pomagał mi z całego serca jako przyjaciel, wydawca, redaktor i tłumacz.

Jego żona, Elaine Gottlieb, przetłumaczyła

część niniejszej książki, a wszystko przy wsparciu Cecila, którego miłość do literatury była równie wyjątkowa jak jego gust.

Od autora

Urząd mojego ojca czy Bejt din, jak brzmi tytuł tej książki w oryginale, w jidysz, jest w pewnym sensie literackim eksperymentem, próbą połączenia dwóch stylów - pamiętnikarskiego oraz beletrystycznego.

Starłem się opisać rozmaite wydarzenia i sytuacje w inny sposób niż w mojej dotychczasowej twórczości.

Zawarte tu opowieści ukazywały się najpierw jako seria esejów pod moim dziennikarskim pseudonimem Izaak Warszawski w "Jewish Daily Forward".

Ten pomysł dawniej już zrodził się w moim umyśle - od bardzo wczesnej młodości nosiłem się z zamiarem opisania moich wspomnień z bejt dinu.

Dopiero po opublikowaniu ich w prasie zdecydowałem się wydać je w formie książkowej pod własnym nazwiskiem, przedstawiłem w nich bowiem obraz życia i środowiska, które już nieistnieją i są jedyne w swoim rodzaju.

Ta książka opowiada historię pewnej rodziny oraz historię sądu rabinackiego.

Są one tak ściśle ze sobą związane, że trudno powiedzieć, gdzie jedna się kończy, a druga zaczyna.

Sąd rabinacki, bejt din, jest bardzo starożydną instytucją.

Datuje się od czasów, kiedy Jetro doradził Mojżeszowi: "A wyszukaj sobie z całego ludu ludzi, którzy boją się Boga i nieprzekupnych mężów,."

którzy się brzydzą niesprawiedliwym zyskiem, i ustanowich przełożonymi. aby mogli sędzić lud w każdym czasie".

Istnieje bezpośredni związek między dzisiejszym bejt dinem komentatorami Talmudu, gaonami, amoraistami, tanaitami, członkami Wielkiej Synagogi i Sanhedrynem.

Bejt din był pewnego rodzaju połączeniem sądu, synagogi, domu nauki, a nawet, można powiedzieć, gabinetu psychoanalityka, gdzie mogą przyjść ludzie chorzy na duszy, żeby otworzyć serce.

Fakt, że bejt din funkcjonował nieprzerwanie przez wiele pokoleń, dowodzi, iż takie połączenie było nie tylko możliwe, lecz konieczne.

Jestem głęboko przekonany, że w przyszłości sąd może opierać się na bejt dinie, przy założeniu, że świat będzie moralnie się rozwijał, a nie cofał.

Aczkolwiek bejt din szybko zanika, wierzę, że będzie przywrócony i stanie się instytucją powszechną.

Funkcjonuje, opierając się na przesłance, że sprawiedliwość nie może istnieć bez pobożności i że wyrok jest najlepszy wówczas, gdy strony przyjmują go w dobrej woli i z ufnością w boską moc.

Przeciwieństwem bejt dinu są wszystkie instytucje, które stosują siłę, niezależnie od tego, czy są prawicowe, czy lewicowe.

Bejt din mógł egzystować wyłącznie wśród ludzi głęboko wierzących i pokornych, a swój szczyt osiągnął u Żydów, gdy zostali całkowicie pozbawieni świeckiej władzy i wpływów.

Bronią w rękę sędziego była chusteczka, której dotykały strony na znak, że przyjmują wyrok. Nie próbowałam idealizować bejt dinu ani też przypisywać mu okoliczności atmosfery, których nie doświadczyłem na własnej skórze.

Bejt din nie tylko się zmieniał w kolejnych pokoleniach,

Księga Wyjścia 18,21 (wszystkie cytaty według: Biblia Tysiąclecia, wyd. trzecie poprawione, wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1990 - przyp. tłum.

).

lecz każdy rabin, uczestniczący w nim, ubarwiał go swoim charakterem i osobowością. Jedynie to, co jest indywidualne, może być sprawiedliwe i prawdziwe.

Myślę czasami, że bejt din jest mikroskopijnym przykładem niebiańskiej rady sprawiedliwości, sądu Bożego, który Żydzi uważają za absolutne miłosierdzie.

Rozdziały tej książki zostały przetłumaczone przez Channah Kleinerman-Goldstein, Elaine Gottlieb oraz mojego bratanka Josepha Singera.

Jestem wdzięczny za pomoc redakcyjną Robertowi Giroux i Henry'emu Robbinsowi.

Dziękuję również redaktorom naczelnym następujących czasopism, w których ukazały się wcześniej fragmenty niniejszej książki: "American Judaism", "Commentary", "The Critic", "Harper's Magazine", "Jewish Heritage" oraz "The Saturday Evening Post".

I.B.S.

Ofiara

Zdarzają się na tym świecie przedziwni osobnicy, których myśli są nawet dziwniejsze niż oni sami.

W naszej kamienicy w Warszawie, przy ulicy Krochmalnej 10, po drugiej stronie korytarza mieszkało starsze małżeństwo.

Prości ludzie.

On był rzemieślnikiem, a może handlarzem ulicznym, wszystkie ich dzieci założyły już swoje rodziny.

Nasi sąsiedzi twierdzili, że mimo podeszłego wieku tych dwoje nadal się kocha.

Co tydzień, w sobotowe popołudnie, po zjedzeniu czuleniu, szli pod rękę na spacer.

W sklepie spożywczym, u rzeźnika - gdziekolwiek robiła zakupy - starszka mówiła wyłącznie o nim: "Mąż lubi fasolę.

mąż lubi kawałek dobrej wołowiny.

mąż lubi cielęcinę".

Są takie kobiety, które ani na chwilę nie przestają mówić o swoich mężach.

On z kolei przy każdej okazji podkreślał również:

"Moja żona".

Moja matka, potomkini wielu pokoleń rabinów, kręciła nosem.

Dla niej takie zachowanie było objawem prostactwa.

Ale przecież nie można lekceważyć miłości - zwłaszcza między dwojgiem starszych ludzi.

Nagle rozeszła się plotka, która zaszokowała wszystkich - starsze małżeństwo zamierza się rozwieść!

Na ulicy Krochmalnej zawrzało.

Co to znaczy?

Jak to może być?

Młode kobiety załamywały ręce: "Mamo, chybasię rozchoruję!

Słabomi!

". Starsze kobiety biadoliły: "Tokoniec świata".

Te bardziej popędliwe przeklinały wszystkich mężczyzn: "I co, czy mężczyźni nie są gorsi od bydła?"

". Wkrótce ulicę obiegła lotem błyskawicy jeszcze bardziej burzająca nowina - rozwodzą się po to, żeby ten stary grzesznik mógł poślubić młodą dziewczynę.

Nietrudno sobie wyobrazić przekleństwa, jakie posypały się na jego głowę: żeby mu kizkiskręciło, żeby szlag trafił jego podłe serce, żeby połamał ręce i nogi, żeby dopadła gomorowa zaraza i dosięgła kara boska!

Kobiety nie szczędziły mu wyzwisk i przepowiadały, że stary kozioł niedożyje dnia ślubu i zamiast stanąć pod ślubnym baldachimem, trafi do trumny.

Tymczasem prawda wyszła na jaw w naszym domu.

Staruszkasama przysłała domowej matki i rozmawiał z nią w taki sposób, że na błąd zwykietwarz matki wypłynął rumieniec zakłopotania.

Mimo że próbowała mnie przepędzić, żebym tego nie słyszał, ja podsłuchiwałem, ponieważ zżerałamnie ciekawość.

Kobietaprzysięgała matce, że kochamę za nade wszystko w świecie.

- Droga rebecin - mówiła z przekonaniem - z radością oddałabym życie za jego jeden paznokieć.

Jestem już - biada mi!

- starą kobietą, rozbitą skorupą, on zaś wciąż jest mężczyzną.

Potrzebuje żony.

Dlaczego miałabym być muzawadą?

Dopóki dzieci były jeszcze w domu, musieliśmy mieć się na baczności.

Obawiałam się ludzkich języków.

Teraz jednak to, co mówią, obchodź mnie tyle, co miauczenie kota.

Ja nie potrzebuję już męża, lecz on - oby dopisywało mu zdrowie - jest jak młody mężczyzna.

Może jeszcze spłodzić dzieci.

A teraz spotkał dziewczynę, którą chce.

Jest potrzydziestce, nadeszła pora, by dla niej

12

również zagrała weselna muzyka.

Poza tym jest sierotą, pracuje u ludzi jak służąca.

Będzie dla niego dobra.

Przyniej zażna radości życia.

Co do mnie, to jestem zabezpieczona.

Dostanę od niego dość pieniędzy, by starczyło mi na utrzymanie, trochę zarobię na handlu ulicznym.

Czego mi potrzeba w moim wieku?

Pragnę tylko, żeby on był szczęśliwy.

Poza tym obiecał mi, że po stu dwudziestu latach, kiedy nadejdzie czas, spocznę obok niego na cmentarzu.

Na drugim świecie będę znowu jego żoną.

Będę jego podnóżkiem w raju.

Wszystko zostało ustalone.

Kobieta przyszła po prostu poto, żeby prosić mojego ojca o rozwód, a następnie o udzielenie ślubu.

Matka starała się jej to wyperswadować. Podobnie jak inne kobiety, uważała tę sprawę za zniewagę dla całego wieściorodu. Gdyby wszyscy staruchowie zaczęli się rozwodzić z żonami i żenić z młodymi dziewczynami, pięknie wyglądałby świat. Matka uważała, że to sprawka szatana i że taka miłość jest nieczysta. Zacytowała nawet jedną z ksiąg etyce. Ale ta prostakobieta również potrafiła cytować Pismo Święte. Przypomniała mojej matce, jak Rachel i Lea dały Jakubowi swoje służące, Bilhę i Zilpę, jako nałożnice.

Chociaż byłem wówczas jeszcze małym chłopcem, ta historia nie była mi obojętna. Chciałem, żeby się udało. Popierwsze, odczuwałem wielką frajdę, mogąc być obecnym przy rozwodzie. Po drugie, podczas zaślubin zawsze dostawałem kawałek biszkoptu i łyk wódki lub wina. I po trzecie, kiedy ojciec zarabiał trochę pieniędzy, dostawałem parę groszy na słodycze. Zresztą byłem w końcu mężczyzną.

Gdy matka zrozumiała, że nic nie wskóra, odesłała ją do ojca, który przystąpił niezwłocznie do mawiania kwestii prawnych. Ostrzegł kobietę, że porozwodzie jej były małżeństwo dla niej kimś kompletnie obcym. Nie wolno jej będzie przebywać z nim pod jednym dachem ani nawet

z nim rozmawiać.

Czy zdaje sobie z tego sprawę, czy też wyobraża sobie, że będą nadal mieszkali razem?

Kobieta odpowiedziała, że zna zasady, ale ma nawzglądzie jej dobro, nie swoje.

Jest gotowa ponieść dla niego każdą ofiarę, nawet oddać życie.

Ojciec przyrzekł dać jej odpowiedź i kazał przyjść nazajutrz.

Po wyjściu staruszki matka weszła do gabinetu ojca i zaczęła przekonywać go, że nie chce, by zarabiał pieniędzy w taki sposób.

Ten staruch, mówiła, to prostak, lubieżny koziół, który ugania się za kobietami.

Jeżeli ojciec udzielił tego rozwodu, a następnie ślubu, cała społeczność obróci się przeciwko niemu.

Ojciec wyszedł z domu i udał się do chasydzkiego domu nauki, żeby omówić tę sprawę z rozsądnymi ludźmi.

Tam również rozgorzał spór, ostatecznie jednak zwyciężył pogląd, że skoro obie strony są zgodne, nikt nie ma prawa się wtrącać.

Jeden z uczonych zacytował nawet werset: "Rano siej swoje ziarno i do wieczora nie pozwól spocząć swej ręce.

" . Według Gemaryoznaczono, że nawet mężczyzna w podeszłym wieku nadal ma obowiązek "być płodnym i rozmnażać się".

Nazajutrz rano, gdy stara kobieta wróciła, tym razem z mężem, ojciec wziął ją w krzyżowy ogień pytań.

Wyprawiono mnie z pokoju.

Ojciec przemawiał szorstkim tonem, raz wolniej, raz szybciej, to łagodnie, to znowu gniewnie. Stałem za drzwiami, niewiele jednak słyszałem.

Bąłem się, że jeszcze chwila, a ojciec wybuchnie: "Nędznicy, pamiętajcie, że On nie wydał jeszcze światła pastwuchaosu!

" - i wypędzi ich z domu, jak zwykł postępować z tymi, którzy nie liczyli się z prawem.

Ale minęła godzina,

Księga Koheleta 11,6 (przyp.

tłum.

).14

a ci dwoje nadal u niego byli.

Stary mężczyzna mówił wolno głos mu się załamywał.

Kobieta błagała coraz cichszym głosem.

Czułem, że zaczyna przekonywać ojca.

Wyjawiałam szeptem intymne tajemnice, o jakich mężczyźni rzadko słyszeli z ust kobiety i jakie nieczęsto są omawiane w ciężkich tomach responsów.

Gdy mąż i żona wyszli z gabinetu, wyglądali na uszczęśliwionych.

Starzec ocierał chusteczką pot z czoła.

Oczy kobiety błyszczały jak w wieczór po Tom Kipur, kiedy to człowiek wierzy, że modlitwy szczęśliwy rok zostały wysłuchane.

W ciągu tygodni, dzielących ów dzień od dnia zaślubin, mieszkańcy ulicy Krochmalnej przyglądali się wszystkiemu, rozdziawiając usta z zdumienia.

Społeczność podzieliła się na dwa obozy.

O całym wydarzeniu plotkowano wszędzie - w sklepie spożywczym u rzeźnika, przy wanienkach z rybami w hali Janasza i przy straganach z owocami.

W synagogach nieoświetlonych i w chasydzkich domach nauki, gdzie zbierali się uczniowie, żeby opowiadać o cudach, czynionych przez ich cadykę, i dyskredytować zdolności wszystkich rywali.

Ale najbardziej podekscytowane były kobiety.

Sama starażona straciła chyba całkiem poczucie wstydu.

Wychwalała pod niebiosa przyszłą żonę, przynosiła prezenty dla "młodej pary", zajmowała się przygotowaniami do ślubu, jak gdyby była matką dziewczyny.

Inne kobiety albo nią pogardzały, albo się nad nią litowały.

"Niech Bóg ma nas w swojej opiece- to tylko dowód, do jakiego stopnia stara kobieta może stracić rozum!

". Wszystkie twierdziły zgodnie, że stara chawariowała, a jej mąż, stary grzesznik, chciał się jej pozbyć.

Wszystkie z niej szydziły, wszystkie były oburzone i jednocześnie zaintrygowane.

Wszystkie zadawały to samo pytanie: "Jak coś podobnego jest w ogóle możliwe?"

". I przychodziła im do głowy jedyna odpowiedź: "No, cóż.

".

Gdyby w pobliżu mieszkali jacyś młodzi chuligani, mogliby naprzykrzać się starszemu małżeństwu albo przyszejpannie młodej, ale nasi sąsiedzi byli spokojnymi ludźmi. Zresztą sam mąż był dobrodusznym mężczyzną o siwej brodzie i wyblakłych oczach, jakie mają bardzo starzy ludzie.

Nadal chodził regularnie do synagogi.

Drżącą dłońią przywiązywał filakterie skórzanymi rzemykami do lewego przedramienia.

Młodzieńcy nabijali się z niego, on jednak nigdy nie okazywał gniewu.

Dotykał oczu rytualnymi frędzlami modlitewnego szala, całował filakterie, przywiązywane do czoła, a następnie te na przedramieniu.

Żyd pozostaje Żydem, nawet kiedy spotyka go coś niezwykłego.

Prawdą było, że tonie on namówił do tego swoją żonę.

Przeciwnie, wyznał mojemu ojcu, że od początku do końca był to jej pomysł.

Po prostu wymogła to na nim.

Dziewczyna była ubogą sierotą.

Stara kobieta chodziła szczęśliwa, pełna nadziei, uśmiechnięta.

Oczy jej błyszczały osobliwą radością.

W tym samym czasie, gdy odbywały się przygotowania do rozwodu i mającego nastąpić po nim ślubu, starzy małżonkowie wykupili kwatery na cmentarzu.

Zaprosił przyjaciół na to miejsce wiecznego spoczynku, raczyli ich tamciastem oraz wódką.

Wszystko było przemieszane: życie, śmierć, pożądanie, bezgraniczna lojalność i miłość.

Staruszka oznajmiła, że gdy jego nowa małżonka urodzi dziecko, wtedy ona, była żona, zajmie się maleństwem, ponieważ młoda kobieta będzie musiała pomagać w zarabianiu na utrzymanie.

Kobiety, słysząc jej słowa, fukały gniewnie:

"Niech Bóg ma nas w swojej opiece!

Niech nas niebiosachronią!

Niech śnią im się najgorsze koszmary!

". Niektóre otwarcie twierdziły, że wszystko to jest dziełem szatana.

Ale chodziło jeszcze o coś innego.

Choć były całym sercem przeciwne temu małżeństwu, nie mogły się doczekać dnia

16

zaślubin.

Ulicę ogarnęła gorączka.

Życie gotowało dramat bardziej emocjonujący od tych, o których czyta się w gazetach czy które ogląda się w teatrze.

Rozwód został przeprowadzony u nas w domu.

Dwoje starych ludzi, którzy darzyli się wielką miłością, przestało być małżeństwem.

Skryba wypisał dokument gęsiami i wytarł atramentem jarmułkę.

Co chwila mruczał coś pod nosem.

Jego zielone oczy błyszczały.

Kto wie?

Możemy ślać o swojej "lepszej połowie".

Świadkowie złożyli podpisy.

Starzec siedział oszołomiony, siwe krzaczaste brwi przysłaniały mu oczy, broda opadła szerokim wachlarzem na pierś.

Było jasne, że główny bohater wydarzenia jest równie skonsternowany, jak cała reszta.

Przecież ten pomysł nie zrodził się w jego głowie.

Odczasu do czasu zażywał dla uspokojenia tabaki i spoglądał na żonę, siedzącą na ławce.

Zazwyczaj rozwodzący się ludzie ubierają się skromnie, a nawet wkładają znoszone ubrania, ale stara kobieta przystroiła się w odświętny czepek i turecki szal.

Odpowiadała na wzrok męża promiennym spojrzeniem.

Jej oczy błyszczały jak gwiazdy.

Mazel tow!

Widzisz, robię to wszystko dla ciebie, dla ciebie!

Poświęcam się dla ciebie, poświęcam siebie.

Przyjmij tę ofiarę z wdzięcznością, mój panie i władco.

Gdybym tylko mogła, dla ciebie obnażyłabym szyję przed kosą białej pani.

".

Moja matka z rozdrażnieniem chodziła w tę iz powrotem po kuchni.

Peruka jej się przekrzywiła, oczy rzucały gniewny błysk.

Wszedłem tam i poprosiłem o coś do jedzenia, ona fewkał krzyknęła ze złością:

^ozi?

sitał, no już!

Nie podkradaj jedzenia

z gli^łfitó

:%-^ 17.

Chociaż byłem tylko małym chłopcem, i w dodatku jej własnym synem, w tej chwili traktowała mnie jak przedstawiciela niegodziwej męskiej płci.

Stałem, patrząc, jak stara kobieta wyciąga pomarszczoną dłoń, a starzec wkłada w nie akt rozwodu.

Następnie ojciec udzielił zwykłych pouczeń, a mianowicie, że kobiecie wolno wyjść ponownie za mąż przed upływem trzech miesięcy.

Staruszka wybuchnęła śmiechem, ukazując bezzębną dziąsła.

Co za pomysł!

Ona miałaby ponownie wyjść za mąż?

Nie pamiętam, ile czasu upłynęło, ale wiem, że ślubu udzielił również mój ojciec w swoim gabinecie.

Obok starca pod baldachimem stanęła młoda tęga kobieta.

Czterej mężczyźni trzymali drążki chupy.

Ojciec dał nowożeńcom po łyku wina.

Zebrani zawołali: Mazel tow!

, napili się wódki i zjedli po kawałku biszkoptu.

Następnie podano posiłek sąsiadom pokoju.

Wszystkie potrawy przygotowała była żona.

Ludzie mówili, że kazała też poszyć bieliznę, halki i spódnice dla panny młodej, ponieważ dziewczyna nie miała przyzwoitych ubrań.

Na przyjęcie zeszło tylu gości, że wszystkie nasze pokoje były pełne ludzi, stali nawet na korytarzu.

Jeszcze przez jakiś czas ulica Krochmalna huczała od plotek.

Ludzie chodzili zastarcem i jego nową żoną i gapili się na nich jak na sztukmistrzów, występujących na scenie, lub Chińczyków z warkoczami, sprzedających papierowe kwiaty, którzy czasami pojawiali się na naszej ulicy.

Wkrótce jednak znaleziono inne tematy do rozmowy.

W końcu jest dziwnego w tym, że stara kobieta postradała zmysły?

Albo w tym, że starzec ożenił się z kucharką?

Ludzie

18

zaczęli gadać, że pierwsza żona żałuje już swojego postępków.

Nowa żona nieurodziła dziecka.

Starzec się rozchorował.

Bardzo żałuję, drogi czytelniku, że nie mam do przekazania żadnych ekscytujących informacji na temat zakończenia tej historii, ale podobnie jak wszyscy inni straciłem w końcu zainteresowanie całą sprawą.

Pamiętam jedynie, że starzec zmarł wkrótce po zaślubinach i obie kobiety płakały na jego pogrzebie.

Potem pierwsza żona wydała ostatnie pieniądze jakiejś izdebce na poddaszu.

Nawet ogień zły skłonności nie płonie wiecznie.

Nie potrafię powiedzieć, czy byli małżonkowie połączyli się ostatecznie na nowo w raj, czy żona stała się rzeczywiście podnóżkiem męża.

Kiedy już sami tam traficie - za sto dwadzieścia lat - spytajcie o rezydencję dawnych mieszkańców ulicy Krochmalnej.

Dlaczego gęsi gęgały

W naszym domu mówiło się zawsze o dybukach, duchach zmarłych, wstępujących w ciała żyjących ludzi, o duszach odrodzonych w postaci zwierząt, o domach, zamieszkanym przez chochliki, o piwnicach, nawiedzanych przez demony.

Ojciec mówił o tych sprawach popierwsze dlatego, że go interesowały, a po drugiego dlatego, że w dużym mieście łatwiej się dostać do namanowce.

Chodzą wszędzie, widzą wszystko, czytają bluźniercze książki.

Trzeba więc od czasu do czasu przypominać, że nadal istnieją w świecie tajemne moce.

Pewnego dnia opowiedział nam historię zawartą w jednej ze świętych ksiąg.

Jeśli się nie mylę, autorem tej książki jest rabbi Elijahu Grajdiker albo któryś z innych gródeckich mędrków.

Była to opowieść o dziewczynie opętanej przez cztery demony.

Podobno można było naprawdę zobaczyć, jak pełzają w jej wnętrznościach, rozdymają jej brzuch jak balon, wędrują z jednej części ciała do drugiej, wślizgują się w nogi.

Gródecki rabin wypędzał złe duchy za pomocą dźwięków baraniego rogu, zaklęć oraz kadzidła z magicznych ziół.

Kiedy ktoś podał w wątpliwość tę historię, ojciec rozgorączkował się straszliwie, przekonując niedowiarka:

20

- Czy w obcym wielki rabbi z Gródka był, nie daj Boże, kłamcą?

Czy wszyscy rabini, święci chachamowie są oszustami, a teści natomiast mówią prawdę?

Biada nam!

Jak można być tak ślepym?

Nagle otworzyły się drzwi i weszła kobieta.

Niosła koszyk, a w nim dwie gęsi.

Wyglądała na przerażoną.

Peruka przekrzywiła jej się na jeden bok, na ustach drżał nerwowy uśmiech.

Ojciec nigdy nie patrzył na obce kobiety, zabrania tego bowiem żydowskie prawo, lecz matka oraz my, dzieci, natychmiast postrześliśmy, że coś ogromnie zdenerwowało naszego niespodziewanego gościa.

- O co chodzi?

- spytał ojciec, odwracając się jednocześnie tyłem, żeby nanią nie patrzeć.

- Rabbi, mam bardzo niecodzienny problem.

- Mianowicie, jaki?

Kobiety?

Gdyby kobieta odpowiedziała twierdząco, bezzwłocznie wyproszono by mnie z pokoju.

Ona jednak odparła:

- Nie, chodzi o te gęsi.

- Co jest z nimi i tak?

- Czcigodny rabbi, te gęsi zostały zarżnięte, jak należy.

Następnie odciąłam im głowy, wyjęłam wnętrzności, wątróbki, wszystkie inne organy, one jednak nadal gęgają, jakoś tak żałośnie.

Słyszając te słowa, ojciec zbladł.

Mnie również ogarnęła straszliwa trwoga.

Lecz moja matka pochodziła z rodziny racjonalistów i była sceptyczna z natury.

- Zarżnięte gęsi nie gęgają - powiedziała.

- Zaraz rebecin sama usłyszy - odrzekła kobieta.

Wyłożyła jedną gęś na stół, następnie wyjęła drugą.

Gęsiniemiały głów, były wypatroszone - krótko mówiąc, zwykłe nieżywe gęsi.
Na ustach matki pojawił się uśmiech.

- Ite gęsigęgają?

21.

- Zaraz rebecin usłyszysz - powtórzyła kobieta.
Wzięła jedną gęś i uderzyła nią o drugą.
W tejsamejchwili rozległ się trudny do opisu dźwięk.
Przypominał gęganie gęsi, ale był taki wysoki i niesamowity, tak jękliwi drżący, że mróz przeszedł mi po kościach.
Autentycznie czułem, jak jeżą się włosy moich pejsów.
Najchętniej juciełbym z pokoju, ale dokąd?
Gardło miałem ściśnięte ze strachu.
Krzyknąłem i przytuliłem się do spódnicy matki jak trzyletni brzdąc.
Ojciec zapomniał, że nie wolno mu podnosić wzroku na kobietę.
Podbiegł do stołu.
Był przerażony nie mniej odemnie.
Jego ruda broda wyraźnie drżała, z niebieskich oczu wycierał strach pomieszany z pewną satysfakcją, ponieważ był to dla niego sygnał, że niebo zsyła znaki nie tylko gródeckiemu rabinowi, lecz i jemu.
Ale może ów znak jest zesłany przez złego, przez samego szatana?
- I co teraz powiecie?
- spytała kobieta.
Matka już się nie uśmiechała.
W jej oczach pojawił się jakby smutek, ale i gniew.
- Nie potrafię zrozumieć, co się dzieje - odparła z pewnym niezadowoleniem.
- Chcicie to usłyszeć jeszcze raz?
I kobieta powtórnie uderzyła jedną gęsią o drugą.
I znowu nieżywe gęsi wydały przeraźliwy krzyk - krzyk niemych stworzeń, ofiarskiego noża, które jednak zachowały nadal wolę życia, które wciąż liczą na to, że pomszczą krzywdę, wyrządzoną przez żywych.
Ciarki mnie przeszły.
Miałem wrażenie, że ktoś wymierzył mi potężny cios.
Gdy ojciec się odezwał, głos miał ochrypły, jak gdyby przerywany szlochami.
- No i czy ktoś jeszcze wątpi w istnienie Stwórcy?
- spytał.
22
- Rabbi, co mam zrobić i dokąd się udać?
- Kobieta zaczęła zawodzić żałosnym głosem.
- Ze też musiało mnie to spotkać.
Biada mi!
Co jaż nimi pocznę?
Może powinnam pójść do kadyków czyniących cuda?
A jeśli gęsi nie zostały zarżnięte, jak należy?
Boję się zabrać je do domu.
Chciałam przyrządzić je na szabatowy posiłek, a teraz takie nieszczęście!
Czcigodny rabbi, co ja mam zrobić?
Muszę je wyrzucić?
Ktoś powiedział, że trzeba je owinać w całuny i pochować w grobie.
Jestem ubogą kobietą.
Dwie gęsi!
Kosztowały mnie majątek!
Ojciec nie wiedział, co odpowiedzieć.

Popatrzyła swoją biblioteczkę.

Jeśli szukać gdziekolwiek wyjaśnienia, to tylko tam.

Nagle mierzył gniewnym spojrzeniem matkę.

- I co teraz powiesz?

Twarz matki spochmurniała, zrobiła się jakby mniejsza, rysy jej się wyostrzyły.

Oczy wyrażały dezaprobatę i zakłopotanie.

- Chcę to usłyszeć jeszcze raz - powiedziała na półbłagalnym, na pół rozkazującym tonem.

Kobieta po raz trzeci cisnęła o siebie głęsi i po raz trzeci rozległy się krzyki.

Przyszła mi do głowy myśl, że tak musiał brzmieć głos ofiarnej jałówki.

- Biada, biada, a oni wciąż bluźnią.

Księgi głoszą, że bezbożnicy nie żałują za grzechy nawet usamych wrótpiekła - zaczął znowu przemawiać ojciec.

- Widzą prawdę na własne oczy, a nadal zaprzeczają istnieniu swego Stwórcy.

Są wciąż w bezdenną otchłań piekielną, a twierdzą, że wszystko jest naturalne lub przypadkowe.

Spojrzał na matkę, jak gdyby chciał powiedzieć: "Jesteś do nich podobna".

Przez dłuższy czas panowało milczenie, po czym kobieta spytała:

- Czy ja to sobie tylko wyobraziłam?

23.

Nagle matka parsknęła śmiechem.

Był w tym śmiechu coś takiego, że wszyscy zadrżeliśmy.

Szósty zmysł podpowiadał mi, że matka szykuje się do zakończenia tego przejmującego dramatu, który rozgrywał się przed naszymi oczami.

- Czy usunęłaś tchawicę?

- spytała matka.

- Tchawicę?

Nie.

- To je wyjmij - poleciła matka - a gęsi przestaną gęgać.

- Co ty pleciesz?

- rzekł gniewnie ojciec.

- Co, u licha, mają do tego tchawicę?

Matka podniosła jedną gęś, wsunęła szczupły palec do środka tuszy i szarpnęła z całej siły, wyciągając cienką rurkę, prowadzącą od szyi do płuc.

Potem wzięła drugą gęś i również usunęła tchawicę.

Stałem drżący, przerażony odwagą matki.

Ręce miała zakrwawione, na jej twarzy malował się gniew racjonalisty, któremu ktoś próbował napędzić strachu w biały dzień.

Ojciec pobladł, uspokoił się wyraźnie był trochę rozczarowany.

Zdawał sobie sprawę, co się stało - logika, chłodna logika znowu burzyła wiarę, szydziła z niej, wystawiała na pośmiewisko, napogardę.

- Proszę teraz podnieść gęsi i zrobić jeszcze raz to samo!

- rozkazała matka.

Wszystko się ważyło.

Jeśli gęsi zagęgają, matka straci to, co stanowi jej główną cechę - odwagę racjonalisty, sceptycyzm, który odziedziczyła po ojcu intelektualistcie.

A ja?

Mimo że okropnie się bałem, modliłem się w duchu, aby gęsi zagęgały, zagęgały tak głośno, żeby ludzie na ulicy usłyszeli i przybiegli w te pędy.

Niestety, gęsi jednak milczały, bo jak niby miały gęgać ptaki pozbawione tchawicy?

- Przynieś mi ręcznik!

- poleciła mi matka.

Pobiegłem po ręcznik.

Łzy cisnęły mi się do oczu.

Matka wytarła ręcznikiem chirurg po trudnej operacji.

24

Ot i wszystko!

- oznajmiła zwycięsko.

- A co rabbi na to?

- spytała kobieta.

Ojciec zaczął pokaszływać i mamrotać coś pod nosem, wachlując się mycką.

- Nigdy przedtem nie słyszałem o czymś podobnym powiedział w końcu.

- Ani ja - zawtórowała kobieta.

- Jateż nie słyszałam - przyznała matka - ale zawsze jest jakieś wyjaśnienie.

Martwego się gęga.

- Mogę teraz iść do domu i przyrządzić je?

- niepokoiła się kobieta.

- Proszę iść spokojnie i przyrządzić je na szabat - zdecydowała matka.

- Nie ma obawy, nie będą gęgać w garnku.

- Ale co rabbi na to?
- spytała jeszcze raz kobieta.
- Hmm.
są kosherne - powiedział cicho ojciec.
- Nadają się do jedzenia.
- Tak naprawdę nie był o tym przekonany, ale nie mógł teraz orzec, że gęsi są nieczyste.
Matka wróciła do kuchni.
Ja zostałem z ojcem.
Nagle zaczął do mnie mówić, jak gdybym był dorosły:
- Twoja matka wrodziła się w twojego dziadka, biłgorajskiego rabina.
To wielki uczony, ale chłodny racjonalista.
Ludzie ostrzegali mnie jeszcze przed naszymi zaręczynami.
Po czym wznosił obie ręce do góry, jak gdyby chciał powiedzieć: "Teraz jest już za późno na odwołanie ślubu".

Zerwane zaręczyny

Często służyłem jako posłaniec mojego ojca, który corazto zlecał mi wezwanie stron na dintojrę, czyli sąd rabinacki.

Jedno z tych zleceń jest wciąż żywe w mej pamięci.

Młodymężczyzna ubrany na zachodnią modłę przyszedł do mojego ojca i zażądał, żeby wezwać na rozprawę narzeczoną, która mieszka przy ulicy Krochmalnej pod trzynastką. Ojciec natychmiast polecił mi sprowadzić ją oraz jej ojca.

Zęby dojść tam spod naszego domu, czyli spod numeru dziesiątego, wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy.

Jednakże trzynastka sąsiadowała z placem Krochmalnym, który cieszył się złą sławą.

Włóczyli się tam kieszonkowcy rozmaici żule, paserzy handlowali skradzionymi przedmiotami.

W kamienicach, stojących frontem do placu, mieściły się liczne burdele.

Nawet w zwykłym handlu kombinowano.

Kiedy ktoś chciał kupić cząstkę - rodzaj herbatników w czekoladzie - musiał ciągnąć numerki z kapelusza lub zakreślić drewnianym kołem.

Ale w tych samych kamienicach mieszkał też przyzwoici mężczyźni, pobożne kobiety, niewinne dziewczęta.

Mieściły się tam nawet chasydzkie domy nauki.

W środku lata plac był pełen ludzi.

Na podwórzu pod trzynastką bawiły się dzieci - chłopcy w wojsko lub zło

dziel i policjantów, dziewczynki grały w klasy lub w kamyki.

Odbywały się zawody, czyj bąk będzie się dłużej kręcił, w których nagrodę stanowiły orzechy.

Czyhało tamna mnie wiele pokus, miałem ochotę zatrzymać się i przyłączyć do zabawy.

Jednakże posłaniec, to posłaniec.

Wbiegłem po schodach.

Na parterze dom wyglądał jeszcze całkiem przyzwoicie.

Im wyżej jednak wchodziłem, tym było gorzej - farba obłaziła ściany, poręcz była chybota, schody coraz brudniejsze.

Przez szeroko otwarte drzwi mieszkań płynęły z kuchni obłoczki pary, słychać było stukanie młotków, szum maszyn do szycia, śpiewszwaczki czeladników - nawet dźwięki gramofonów.

Ludzie, do których mnie wysłano, mieszkali na poddaszu.

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem mężczyznę zgęstą ciemną brodą oraz modnie i elegancko ubraną dziewczynę.

Byli to zapewne ojciec i córka.

Mężczyzna siedział przy stole, jedząc obiad, rosół, a może barszcz.

Zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem.

- Czego chcesz?

- Wzywają was do rabina na dintojrę.

- Kto nas wzywa?

- Narzeczonej pańskiej córki.

Mężczyzna mruknął coś pod nosem, a dziewczyna również popatrzyła na mnie złością.

- I co teraz zrobimy?

- spytała ojca.

- Skoro nas wezwano, trzeba iść!

- odparł ponuro.

Skończył posiłek i spieszenie odmówił modlitwę.

Dziewczyna włożyła płaszcz i przyczesła włosy przed lustrem.

Następnie wszyscy troje ruszyliśmy do wyjścia.

Zazwyczaj w podobnych okolicznościach wezwani nadintojrę zaczynali się ze mną spierać, ale tym razem zarówno ojciec, jak i córka nie odzywali się ani słowem.

W takim złowróżbnym milczeniu zaprowadziłem ich do naszego domu.

Ojciec

27.

poprosił mężczyznę, żeby usiadł.

Dziewczyna stała -w gabinecie ojca nie było miejsc siedzących dla kobiet.

Ojciec zaczął zadawać zwykle wtakiej sytuacji pytania.

- Kto jest powodem?

-Ja -odpowiedział młody mężczyzna.

- Io co ci chodzi?

-Chcę zerwać zaręczyny.

- Dlaczego?

-Bo jej nie kocham.

Mój ojciec wyraźnie się zdenerwował.

Ja się zaczerwiłem.

O ile jej ojciec był ciemny, ponury, brodaty, silnejbudowy, otyledziewczyna była jasna, o gładkiej skórze, wiotka.

Pachniałaczekoladą i perfumami.

Jej pantofelkimięły wysokie cienkie obcasy.

Niemieściło mi się w głowie, jak ktoś mógł powiedzieć, że nie kocha takiej księżniczki.

Ale młody człowiek sam był piękniśm.

Co go obchodziła ładna dziewczyna?

Ojciec szarpnął się za brodę.

- I co jeszcze?

-Towszystko, rabi.

- A ty co nato powiesz?

- Ojciec zadał pytanie w taki sposób, że nie bardzo było wiadomo, czy zwraca się do ojca, czy do córki.

- Kocham go - odpowiedziała dziewczyna oschłym, niemal gniewnym tonem.

W większości wypadków ojciec podejmował decyzję szybko.

Zwykle było to rozwiązanie kompromisowe.

Ale jaki kompromis był możliwy w tej sytuacji?

Spojrzał na mnie, jak gdyby chciał spytać: "I co ty na to?"

". Ale ja, podobnie jak on, nie wiedziałem, co o tym myśleć.

Potem powiedział coś, czego jeszcze nigdy nie słyszałem z jego

28

T

ust. W ostatnich latach wśród mianowanych "oficjalnie" przez państwo rabinów przyjął się zwyczaj odwoływania bok którejś ze stron, żeby przedyskutować sprawę subrosa.

Ojciec często deklarował swoją dezaprobatę dla takich praktyk - rabinowi, rozsądzającemu sprawę, nie wolno rozmawiać na osobności z żadną ze stron sporu.

Tym razem jednak usłyszałem, jak mówi:

- Proszę za mną.

Wstał i przywołał skinieniem starszego mężczyznę.

Obaj weszli do przyległej alkowy.

A ja - co ja zrobiłem?

Oczywiście poszedłem za nimi.

Jeśli była jakaś tajemnica, również chciałem ją poznać.

Drzwi do gabinetu zostały niedomknięte.

Próbowałem podsłuchać, oczym rozmawia ojciec z starszym mężczyzną, ale nie spuszczałem wzroku z eleganckiej młodej pary.

I wówczas stałem się świadkiem czegoś absolutnie niesłychanego.

Ładna dziewczyna podeszła do narzeczonego, rozmawiali przez chwilę, spierając się ściszonymi głosami, i nagle usłyszałem głośny policzek, a chwilę później- drugi. Nie pamiętam, kto kogo uderzył pierwszy, ale wiem z całą pewnością, że zrobili to oboje, chociaż wszystko odbyło się spokojnie -co zdecydowanie odbiegało od zwyczajów ulicy Krochmalnej.

Spoliczkowaliśmy nawzajem, PO czym odsunęli się od siebie.

Mój ojciec niczego nie słyszał ani nie widział, miałem natomiast wrażenie, że ojciec dziewczyny czuł, iż coś się dzieje, ale zachowywał się tak, jak gdyby niczego nie zauważył.

Łzy napłynęły mi do oczu.

Po raz pierwszy w życiu wdychałem cierpki zapach miłości, dorosłości oraz tajemnic między mężczyzną a kobietą.

Usłyszałem, jak ojciec mówi:

Co można zrobić, skoro on nie chce jej poślubić?

29.

- Rabbi, my go też nie chcemy - odparł zrzędlwymtonem mężczyzna.

- To łobuz, utracjusz, nicpoń.

Ugania się za innymi dziewczynami.

Nie ma grzechu, którego bynie popełnił.

Dawno już chcieliśmy się go pozbyć, on jednak dawał jej prezenty - a my nie chcemy ich zwrócić.

Wyłącznie dlatego córka obstaje przytym, że gokocha.

W rzeczywistości go nieznosi - oto jak wygląda prawda.

Ale my nie oddamy tych prezentów.

- Co to sąza prezenty?

-Pierścionek, naszyjnik, broszka.

- Może poszlibyście na kompromis?

-Żadnych kompromisów!

Nie zwrócimy niczego!

Niczego!

- Hm, rozumiem.

Wracaj, proszę, do gabinetu i przyślijmi tu tego młodzieńca.

Starszy mężczyzna wrócił do gabinetu i burknął donarzeczonego:

- Terazty!

Młodzieniec wszedł szybko do alkowy.

- Naprawdę nie chcesz jejpoślubić?

- spytał mój ojciec.

- Nie chcę, rabbi.

-Możejednakuda się doprowadzić między wami dozgody?

- Nie, rabbi, to niemożliwe.

-Zgodajest podstawą, na którejopiera się świat.

- Z nią nie może byćzgody.

-Toporządnażydowska dziewczyna.

- Rabbi, jeszcze nie jesteśmy małżeństwem, a ona jużzaczęła suszyć migłową opieniądze.

Muszę utrzymywaćstarą matkę,a ta dziewczynami na to nie pozwoli.

Musiałem wyliczać się każdejzarobionej kopiejki.

Jeśli jest takjużteraz, to co będzie później?

Kiedyw sezonie jest dużyrucho,zarabiam czterdzieści rubli tygodniowo.

Jej ojciec

30

st sknerą.

Mają odłożone pieniądze, ale chcą wydusićstatni grosz z innych.

Ilekróć zapraszałem ją do restauracji,zamawiała najdroższe dania - nie dlatego, że byłałodna,lecz żeby mnie po prostu wykorzystać.

Gdy zdarzyło mi sięodwiedzić ich bez prezentu dla niej, ojciec wpadałw złość.

Powiedziała mi nawet dokładnie, jaki upominek mam jejprzynieść na Purim.

I tak byłoze wszystkim.

Bali się tylko,żebym ich w jakiś sposób nie oszwabił.

Nigdy nie znalazłemtakich ludzi.

I po co to wszystko?

Nie jestempazerny.

I takcały mój majątek należałby do niej.

Ale kiedypodarowałemjej naszyjnik,biegała od jednego jubilerado drugiego, żebygo wycenili.

Rabbi, takie życie to nie dla mnie!

- A więc naprawdę chcesz z tym skończyć?

- Tak, rabbi.

- A prezenty?

- Niech je sobie zatrzyma!

- Rozumiem.

Wobec tego wracamy do nich.

Ojciec przesunął spojrzeniem po obecnych w gabinecie.

Kiedy wychodził do alkowy, nie wiedział nic o tych dwojgu.

Teraz wszystko stało się jasne.

Pouczył zatem strony, że muszą oświadczyć, iż zgadzają się z jego decyzją.

Przyjął honorarium.

Orzeczenie ojca brzmiało następująco: ponieważ obie strony mają sobie wiele do zarzucenia, nie można ich zmuszać do dotrzymania warunków umowy.

Ale narzeczona ma prawo zachować prezenty.

Dziewczyna uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Oczy jej się zaskrzyły.

Wydawało jej się, że widzę w nich odblask złota.

Dopiero w tej chwili zauważyłem zwisające z jej uszu kolczyki, a na palcu pierścionek z małym brylantem.

- Rabbi, chcę, żeby on wystawił jej oficjalny dokument wybaczenia - zażądał ojciec dziewczyny.

31.

O ile dobrze pamiętam, obie strony sporządziły rzeczony dokumenty, jak tego wymaga zwyczaj w przypadku zerwania zaręczyn.

Oboje podpisali dokumenty, co na Krochmalnej stanowiło raczej rzadkość.

Było już po wszystkim, lecz młody mężczyzna siedział nadal.

Najwyraźniej nie chciał wychodzić razem z nimi.

- No, chodź, pośpiesz się!

- ponaglił dziewczynę jej ojciec.

Wówczas dziewczyna powiedziała coś, co nazawsze wryło się w moją pamięć.

- Obym raczej złamała obie nogi, niż spotkała drugiego takiego łajdaka jak ty!

- zawołała.

A ja, chociażbyłem jeszcze małym chłopcem, zrozumiałem, że on nadal gokocho.

Zaręczyny zostały zerwane wyłącznie za przyczyną jej pazernego ojca.

Makabryczne pytanie

W szabatowy wieczór w naszym domu panował zawsze świąteczny nastrój, zwłaszcza zimą.

O zmierzchu ojciec zasiadał ze swoimi wiernymi do posiłku kończącego szabat.

Mieszkanie było nieoświetlone.

Mężczyźni śpiewali rozmaite pieśni biesiadne.

Jedli czerstwą chałę i po kawałku karpia lub śledzia.

Przez całe życie ojciec bardzo starał się być chasydzkim rabinem i przy tej okazji przemawiał do wiernych.

Stałem wówczas za jego krzesłem i słuchałem.

Z wielkim oburzeniem występował przeciwko doczesnym przyjemnościom.

Wychwalał radości, jakie w niebie staną się udziałem pobożnych, którzy zasiądą na złotych tronach, przystrojeni w korony, i zostaną im odkryte tajemnice Tory.

Podczas jego tyrady pojawiały się pierwsze gwiazdy, bardzo często wschodził też księżyc.

Słowa ojca oduszy i o Tronie Chwały na zawsze połączyły się w mej pamięci z blaskiem gwiazd, tarczą księżycą i przedziwnymi kształtami chmur.

Tajemnice Tory stawały się jednością z tajemnicami świata, a ja nigdy nie odczuwałem tego równie intensywnie, jak w sobotę po zachodzie słońca, tuż przed zapaleniem świec.

W drugim pokoju matka odmawiała cichutko modlitwę Boże Abrahama.

Otej porze naszdomy przenikało tchnienie Boga, aniołów, tajemnic i wypełniały go pragnienia oraz tęsknoty, których nie da się opisać.

Wreszcie ukochany szabat dobiegał końca i zaczynał sieniowy tydzień.

Zapalano lampy naftowe oraz zdobną pożegnalną świecę, odmawiano wieczorne modlitwy. Ojciec wypowiadał dziękczynienie nad winem, w którym następnie mężczyźni maczali palce i namaszczały nim oczy, żeby zapewnić sobie w ten sposób dobrą wróżbę na nadchodzący tydzień.

Podczas zimowych miesięcy matka udawała się dokuchni, żeby przyrządzić gorącą mamaligę. Ojciec recytował słowa z Księgi Powtórzonego Prawa: "

jak ci przyrzekł Pan, że da ci ziemię opływającą mlekiem i miodem", oraz przypowieść o ubogim świętym, który sprzedał doniewoli proroka Eliasza za osiemset tysięcy guldenów.

Następnie rozpalano ogień w naszym kaflowym piecu, żeby ogrzać salon.

Mężczyźni siedzieli w swoich szabatowych strojach, popijali herbatę z cytryną i omawiali problemy chasydzkie, jak również wydarzenia na świecie.

Dom wypełniała woń topiącego się wosku, korzennych przypraw, powietrze drgało od zachwyty i cudów.

Ojciec był palaczem i przez cały szabat bez słowa, choć niecierpliwie, czekał na chwilę, kiedy będzie mógł zapalić papierosa albo fajkę.

Właśnie tamtego wieczoru spadł świeży śnieg cała ziemia skrzyła się niezwykłym blaskiem.

Mróz namalował na szybach białe palmy, które przywiodły mi namysł kraj Izraela.

Ten nastrój pełnego nadziei oczekiwania, niosącego obietnicę błogosławieństwa i spełnienia, zakłócił nagłe oczekiwane wydarzenie.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł ubogi Żyd.

Nie wyglądał jak zwykły biedak, lecz jak stary żebrak, o jakich czyta się w książkach.

Jego kaftan był cały w dziurach i łatach, spod podszewki wylazła watolina i płótno, futrzana czapka wyliniała.

Brodę miał

' Pwt 6,3 (przyp.

tłum.

).34

obludzona, dałbym głowę, że zwisały z niej sople.

Wniósł

sobą surowość codziennego życia i chłód świata zewnętrznego.

" Życzę dobrego tygodnia, rabbi.

- Ta również życzę ci dobrego tygodnia i dobrego roku.

Z czym do mnie przyszedłeś?

Otworzyłem szeroko oczy.

Ten obdartus przypomnieli mi opowieść o trzydziestu sześciu świętych, którzy ślubowali życie w ubóstwie i pracowali jako nosiwody, drwale i jałmużnicy.

- Rabbi, chciałbym o coś zapytać.

- Pytaj więc.

- Rabbi, czy mężczyzna może spać ze zmarłą żoną?

Zapadło dziwne milczenie.

Poczułem, jak przenika mnie zimny dreszcz.

Mężczyźni zbledli.

Ojciec zamarł z kamiennym wyrazem twarzy.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - wykrztusił w końcu.

- Rabbi, nie jestem szalony - rzekł obdartus.

- Moja żona zmarła w piątek.

Mieszkam w piwnicy, gdzie są szczury.

Pogrzeb odbędzie się w niedzielę.

Nie mogę zostawić zwłoka podłódze, bo szczury, nie daj Boże, rozszarpałyby je nastrzępy.
Mam tylko jedno łóżko.

Nieboszczka musi leżeć na łóżku, a ja, rabbi, nie mogę spać na podłodze.

Szczury dobrałyby się również do mnie.

Przesiedziałem już jedną noc, ale siły mnie opuszczają, toteż chciałbym wiedzieć, rabbi, czy mogę położyć się w jednym łóżku z nieboszczką?

Gdy mężczyzna wymówił te ostatnie słowa, spojrzałem na ojca i przeżyłem szok.

Jego twarz była kompletnie mokra od łez.

Łałyśmy się oczu strumieniem, spływały po policzkach, po rudej brodzie.

Wśród mężczyzn zapanował poruszenie, rozległy się okrzyki.

Szurali butami, bębniłi palcami po stole.

Ojciec wyjął wielką chustkę donosa, otarł oczy i wydmuchał nos.

35.

- Ludzie, słyszeliście?
- spytałam iącym się głosem.
- Biada, biada!
- Boże, uchowaj nas, Boże, uchowaj nas - powiedział jeden z wiernych.
- Niesłuchane, niesłuchane- zawtórował drugi.
- Dlaczego milczycie?

Zróbmy coś.

Mężczyźni nie trzymali pieniędzy w odświętanych, noszonych podczas szabatu, atlasowych chałatach, ale wszyscy mieszkali w sąsiedztwie, pośpieszyli więc do domów popieniądze.

Ojciec wyjął z kieszeni kilka banknotów z blaszanego pudełka.

Matka, słysząc podekscytowane głosy, przybiegła z kuchni, żeby zobaczyć, co się stało. Zbladła, zaczerwieniła się, znowu zbladła.

Jak zwykle w takich podbramkowych sytuacjach, peruka jej się potargała jak prawdziwe włosy, kilka kosmyków (jedwabnych) opadło jej na czoło i na policzki, szpilki się powysuwały, kok się rozluźnił.

Matka wróciła do kuchni po jedzenie dla nieszczęśnika, przyniosła herbatę, sucharki oraz resztki kugła z suszonymi śliwkami.

Mężczyzna podszedł do beczki z wodą, żeby umyć ręce.

Do naszego domu wrócił młodzieniec z wiadomością, że udało mu się zdobyć składane łóżko, zjawiły się też sąsiadki.

Załamywały dłonie, kręcąc się wśród mężczyzn.

- Musimy tam pójść zobaczyć na własne oczy - powiedział ktoś.

Mojemu ojcu nie wolno było wchodzić do pomieszczenia, w którym znajdują się zwłoki, ponieważ pochodził z kapłańskiej kasty, nie dotyczyło to jednak innych Żydów. Biedak posiłkował się i dochodził do siebie, a tymczasem z wszystkich stron napływały dary. Przyniesiono watawaną kaftan i koszulę, skarpetki i futrzaną czapkę.

Uskładała się tego kompletna garderoba.

Gdy starzec skończył jeść odmówił stosowne błogosławieństwo, cała chmara ludzi

36

wyruszyła z nim do jego domu, jedniśli łóżko, inni żywność.

Nie wolno mi było tam iść, ponieważ ja również wywodziłem się z kapłańskiego rodu.

Poza tym od najmłodszych dziecinstwa bałem się śmierci.

Moją ciekawość wyraźnie jednak okazała się silniejsza od lęku.

Mężczyzna mieszkał na Krochmalnej.

Gdy weszliśmy na podwórze, większość mężczyzn pozostała na zewnątrz.

Część zaczęła schodzić do piwnicy ciemnymi i brudnymi schodami.

Zerknąłem szybko przez piwniczne okienko i zobaczyłem niesamowity widok.

Nie była to zwykła suterena, lecz nora, jama w ziemi.

Ściany były tak czarne jak wnętrze komina.

W ciemności migotały dwa nikłe światła, na łóżku leżała nieboszczka, okryta szalem.

Nie widziałem wyraźnie, ponieważ szyby były oszronione i oblodzone, i tylko pośrodku, gdzie lód stopniał od ciepłych oddechów ciekawskich, widniało czyste miejsce.

Ten człowiek mieszkał w ziemi.

Tam, w mroku, chłodzie i brudzie, wiedli z żoną nędżne życie, tocząc wojnę z niezliczonymi hordami stworzeń, które rzucały się na nich i próbowały wyrzucić matkę okrucieństwem chleba.

A teraz te wściekłe bestie groziły okaleczeniem i zmarłym ciałem.

Miotły mną dwa sprzeczne uczucia.

Strach nakazywał mi odwrócić oczy, lecz ciekawość podpowiadała, żeby spojrzeć jeszcze raz.

Wiedziałem, że zakażde spojrzeniedrogo zapłacę nocnymi koszmarami i udręką,a mimo toco
chwila pochylałem się do przodu, żeby zajrzećdo tegożywego grobu.
Płomyki, migoczące w dole, pogłębiały tylko wrażenie ciemności.
Wydawałomi się, żewidzę wszelkie złe duchy i chochliki, buszującew tym
potwornymmiejsu.
Przybierały najrozmaitsze przerażające kształty.
Czy człowiekmoże przeżyć wtakiej piekielnej otchłani?
Czy, ograniczonydo tak obskurnejnory, zdolazachowaćzdrowe zmysły?
Poczułem się nagle, jak gdyby ktoś ścisnął

mi głowę obręczą, przeniknął mnie lodowaty dreszcz zgrozy.
Czy to możliwe, żeby mieszkaniectej piwnicy sam byłupioirem?

Mężczyźni i kobiety krzżeli się, ktoś przesunąłświece.

Chyba cośpodnosili.

Chciałem odwrócić się i wziąć nogiza pas, ale nie czułem się na siłach wrócić do domu sam.
Bałem się, ponieważ schody prowadzącedo naszego mieszkania bywały czasami nieoświetlone, a kiedy indziejóświetlone jedynie przez zakopconą lampę naftową, bezklosza i kapturka.

Jeden z mężczyzn zgodził się mnie odprowadzić.

Trząsałem się na całym cieie, zęby mi szczękały.

Coś we mnie krzyczało: "Jak Bóg może pozwolić na cośtakiego?"

".

Kiedy już znalazłem się w domu, matka spojrzalanamnie i załamującęce, zawołała:

- Biada mi!

Popatrzcie tylko na todziecko!

Starali sięmnie rozgrzać, chuchając na mnie.

Matka odmawiała zaklęcia.

Raczono mnie gorącą herbatą z konfiturami i wszystkimismakołykami, jakie tylko były na podorędziu.

Ojciec chodził w tej z powrotem po gabinecie.

Przygryzał brodę i pocierał czoło.

Był z natury wierzący, ale ten incydent obudził w nim wątpliwości.

- Dobry Boże w niebiosach.

Biada!

- zawołał.

-Najwyższa pora na nasze zbawienie.

pora.

najwyższa pora!

Nasz szabatowy wieczór został zepsuty, a tydzień,którypo nim nastąpił, przeżyliśmy bardzo skromnie, ponieważojciecodał część pieniędzy przeznaczonych nabieżącewydatki tamtemu biedakowi.

Później słyzałem, jak mówiono, że tobardzo dziwne, by Żyd miał w swoim domutylkojedno łóżko.

Bywa tak u chłopów, ale nie u Żydów, nawet tych najbiedniejszych.

Ale kto wie, może miał kiedyśdrugie łóżko, które się połamało?

Może zużył je na opał?

Nędzę, z jaką człowiek spotyka się czasami w dużych mia38

stach, rzadko widzi sięw małychmiasteczkach.

Przez bardzo długi czas w naszym domu rozmawiano otym ponurym wydarzeniu, a mnie dręczyły koszmarysenne.

Potemczęsto widywałem tego mężczyznę, handlującego czymśi rozmawiającego zludźmi, ale zawsze się go bałem, nazawsze wryła mi się w pamięć jego wizyta wszabatowywieczór i jego makabryczne pytanie.

Praczką

Nasz dom miał niewiele kontaktów z gojami.

Jedynym nowiercą w kamienicy był stróż.

W piątki przychodził po napiwek, swoje "piątkowe dofinansowanie".

Stawał w drzwiach, zdejmował kapelusz, a matka dawała mu sześć groszy.

Poza stróżem przychodziły donas również praczki gojki, żeby zabrać nasze rzeczy do prania.

Moja historia opowiada o jednej z nich.

Była to nieduża kobieta, stara i pomarszczona.

Kiedy zaczęła pracować dla nas, przekroczyła już siedemdziesiątkę.

Żydowskie kobiety w jej wieku były na ogół schorowane, słabe, wyniszczone.

Wszystkie starszki nanaszej ulic miały zgarbione plecy i chodząc, podpierały się laskami.

Ale tapraczka, chociaż drobna i chuda, odziedziczyła siłę po całym pokoleniu chłopskich przodków.

Matka dawała jej tobolekz odliczonymi sztukami bielizny, która zebrała się w ciągu kilku tygodni.

Kobieta zarzucała nieporęczny pakunek wąskie ramiona i niosła go kawałek drogi do domu.

Mieszkała również przy ulicy Krochmalnej, ale na drugim końcu, bliżej Woli.

Droga do domu zajmowała jej półtorej godziny.

Odnosiła pranie w dwa tygodnie później.

Matka nigdy nie była taka zadowolona z żadnej innej praczki.

Każda

40

sztuka bielizny lśniła jak wypolerowane srebro.

Każda była wyprasowana.

Mimo to starszka nie liczyła sobie za usługę więcej od innych praczek.

Była prawdziwym skarbem.

Matka zawsze miała przygotowane dla niej pieniądze, żeby stara kobieta nie musiała odbywać po raz drugi tak dalekiej drogi.

Pranie w tamtych czasach nie było łatwe.

Starszka nie miała u siebie kranu, musiała przynosić wodę z pompy na podwórzu.

Żeby uzyskać taki wspaniały efekt, trzeba było bieliznę namoczyć, potem starannie trzeć na tarze w balii, następnie wypłukać w wodzie z dodatkiem sody, wygotować w dużym kotle, wykrochmalić, wyprasować.

Każda sztuka była poddawana wielokrotnej obróbce.

A suszenie!

Nie można było wieszać prania na dworze, bo padłoby łupem złodziei.

Starszka musiała wynosić wykręconą bieliznę na strych i rozwieszać ją na sznurach.

Zimą płótno stawało się kruche jak szkło i prawie pękało przy dotknięciu.

Zdarzały się też częste nieporozumienia z innymi gospodyniami domowymi i praczkami, które w tym samym czasie chciały skorzystać ze strychu.

Bóg jeden świadkiem, ile musiała wycierpieć za każdym razem, gdy robiła pranie!

Starszka mogłaby zebrać pod kościołem albo zamieszkać w domu dla ubogich starców, ją jednak cechowała pewna duma i umiłowanie pracy, typowe dla gojów.

Nie chciała stać się ciężarem, toteż sama dźwigała swoje brzemie.

Matka mówiła trochę po polsku i praczka rozmawiała z nią o wielu sprawach.

Szczególnie polubiła i twierdziła, że jest podobna do Jezusa.

Powtarzała to za każdym razem, gdy do nas przychodziła, a matka marszczyła brwi i szeptała cicho, ledwie poruszając wargami: "Niech jej słowa zostaną rozproszone na pustyni".

Kobieta miała zamożnego syna.
Nie pamiętam już, czy się zajmował.
Wstydział się swojej matki, praczki, inigdy
41.

jej nie odwiedzał.

Nigdy nie dawał jej nawet grosza.

Staruszkamówiła o tym bez urazy.

Pewnego dnia syn się ożenił.

Zdaje się, że znalazł dobrą partię.

Ślub odbył się w kościele.

Syn nie zaprosił starej matki, ona jednak poszła do kościoła i czekała na schodach, żeby zobaczyć, jak prowadzi pannę młodą do ołtarza.

Nie chciałbym, żeby posądzono mnie o szowinizm, ale jestem przekonany, że żaden żydowski syn nigdy nie zachowałby się w taki sposób.

A gdyby już tak się stało, matka bez wątplenia narobiłaby krzyku, szlochałaby, a następnie wysłałaby szamesa, żeby wezwał go przed oblicze rabina.

Jednym słowem, Żydzi to Żydzi, a gojeto goje.

Cała ta sprawa wyrodnym synem wywarła głębokie wrażenie na mojej matce.

Mówiła o tym przez długie tygodnie i miesiące.

Odbierała to jako afront nie tylko wobec starej kobiety, lecz całej instytucji macierzyństwa.

- Nu, i czy to warto poświęcać się dla dzieci?

- dowodziła.

- Matka wypruwa z siebie żyły, a on nie zna nawet pojęcia przyzwoitości.

I napomykała ponuro, że ona też nie jest pewna własnych dzieci, bo kto wie, co one zrobią któregoś dnia.

Nie przeszkadzało jej to jednak poświęcać nam całego swojego życia.

Gdy w domu trafiał się jakiś przysmak, zostawiała go dla dzieci, wynajdując tysiąc wymówek i powodów, dla których sama nie chciała go spróbować.

Znała czary, sięgające zamierzliwych czasów, i używała zwrotów, które odziedziczyła po całych pokoleniach oddanych matek i babek.

Jeśli któreś z dzieci skarżyło się, że coś je boli, zwykła mówić: "Obym była twoim okupem i obyś przeżył moją kłopotliwość!"

". Albo: "Niech ja będę pokutą najmniejszą z twoich paznokci!"

". Kiedy jedliśmy, mówiła: "Zdrowia i szpiku w kościach!"

". W przeddzień nowiu księżycy dawała nam rodzaj cukierków, które podobno miały zapobiegać robakom.

kom. Jeśli któremuś z nas wpadło coś do oka, matka wylizywała je do czysta.

Aplikowała nam również długie landrynki odkaszlu, a od czasu do czasu prowadziła nas, żebyśmy otrzymali błogosławieństwo, chroniące nas przed złym okiem.

Nie przeszkadzało jej to studiować Powinności serca.

Księżki przymierza oraz innych poważnych dzieł filozoficznych.

Wróćmy jednak do praczeki.

Tamtego roku zima była bardzo ostra.

Na dworze panował luty mróz.

Bez względu na to, jak mocno paliliśmy w piecu, szyby pokrywały się szronem, z okien zwisały sople.

Gazety donosiły, że ludzie mierzają z zimna.

Węgiel podrożał.

Mrozy były tak srogie, że rodzice przestali posyłać dzieci do chederu, pozamykano nawet polskie szkoły.

Właśnie jednego z takich dni w naszym domu zjawiła się praczka, teraz już prawie osiemdziesięcioletnia.

Przez ostatnie kilka tygodni zbierało się sporo prania.

Matka poczęstowała ją herbatą, żeby się rozgrzała, dała jej też kromkę chleba.
Staruszka usiadła na kuchennym krześle, zziębnięta i drżąca, grzejąc dłonie o gorący kubek.
Palcemiała powykęcane od pracy i pewnie też od artretyzmu.
Jej paznokcie były dziwnie białe.
Teręce mówiły o ludzkim uporze, o woli pracy nie tylko, na ile siły pozwalają, lecz ponad siły.
Matka liczyła pokolei sztuki i spisywała je:
 męskie podkoszulki, damskie koszulki, długie kalesony, reformy, halki, poszwy
napierzyny, powłoczki na poduszki, prześcieradła oraz męskie szaty z frędzlami.
Owszem, ta gojka prała również modlitewne szale.
 Tobół był duży, większy niż zwykle.
Gdy staruszka zarzuciła go na ramiona, kompletnie pod nim zniknęła.
W pierwszej chwili zachwiała się, jak gdyby miała się przewrócić.
Jednakże wewnętrzne samozaparcie dawało jej mówić: "Nie, nie wolno ci upaść.
Osioł może pozwolić

sobie na to, by ugiąć się pod swoim brzemieniem, ale nieczłowiek, król wszelkiego stworzenia".

Patrzyliśmy z obawą na starą kobietę, która uginając się pod ciężarem wielkiego tobołu, wychodziła chwiejnym krokiem na straszny ziąb, gdzie śnieg był suchy jak sól, a w powietrzu wirowały białe płatki niczym tańczące namrozie chochliki.

Czy naszej praczce w ogóle uda się dotrzeć na Wolę?

Gdy zniknęła z pola widzenia, matka westchnęła i zaczęła się za nią modlić.

Zazwyczaj kobieta odnosiła pranie po dwóch, najdalej trzech tygodniach, tym razem jednak minęły trzy tygodnie, następnie cztery, pięć, a postaruszce słuch zaginał.

Zostaliśmy bez bielizny.

Nastały jeszcze większe mrozy.

Druty telefoniczne były grube jakliny okrętowe.

Gałęzie drzew wyglądały jak zeskła.

Spadło tyle śniegu, że na ulicach potworzyły się góry i doły, zaspasy tak wielkie, że z niektórych można było zjeżdżać na sankach jak ze zbocza wzgórza.

Życzliwi ludzie rozpalali na ulicach ogniska, żeby bezdomni mogli się ogrzać i upieć kartofle, jeśli oczywiście mieli.

Nieobecność praczki była dla nas katastrofą.

Potrzebowaliśmy czystej bielizny.

Nie znaleźliśmy nawet adresu staruszki.

Zdawało się nie ulegać wątpliwości, że zasłała, umarła.

Matka twierdziła, że miała przeczucie, patrząc na starą kobietę wychodzącą po raz ostatni z naszego domu, iż nigdy już nie zobaczymy naszej praczki.

Znalazła jakieś zniszczone podarte koszule, wyprała je i pocerowała.

Oplakiwaliśmy zarówno bieliznę, jak i starą, umęczoną kobietę, która stała się nam bliska przez te długie lata, kiedy służyła nam tak wiernie.

Minęły przeszło dwa miesiące.

Mróz nieco zelżał, poczym znowu powrócił, nastąpiła nowa fala chłódów.

Pewnego wieczoru, gdy matka siedziała przy lampie naftowej,

44

cerując koszulę, drzwi się otworzyły i wraz z obłoczkami pojawił się w nich ogromny toból.

Uginając się pod jego ciężarem, weszła chwiejnym krokiem staruszka otwarzybladej jak płótno.

Spod chusty wymykały się kosmyki siwych włosów.

Matka wydała stłumiony okrzyk.

Można by pomyśleć, że mamy przed sobą nieboszczkę.

Podbiegłem do praczki i pomogłem jej zdjąć brzemień z pleców.

Była jeszcze chudsza i bardziej przygarbiona.

Twarz miała wymizerowaną, głowa kiwała jej się z bokuna bok, jak gdyby kobieta czemuś przeczyła.

Mamrotała coś niezrozumiale pod nosem zapadniętymi ustami o bladych wargach.

Gdy przysłała nieco do siebie, powiedziała nam, że była chora, bardzo chora.

Nie pamiętam, co jej dolegało, ale było to coś poważnego, ponieważ któryś z sąsiadów wezwał doktora, a ten z kolei posłał po księdza.

Ktoś powiadomił syna, który wyłożył pieniądze na trumnę i na pogrzeb.

Jednakże Wszechmogący chciał jeszcze zabrać do siebie tej umęczonej duszy.

Staruszka poczuła się lepiej, a gdy tylko mogła utrzymać się na nogach, zabrała się znowu do prania.

Nie tylko naszych rzeczy, lecz również kilku innych rodzin.

- Nie mogłam leżeć spokojnie w łóżku z powodu tego prania - wyjaśniła praczka.

- Nie pozwalało mi umrzeć.

- Z Bożą pomocą dożyje pani stu dwudziestu lat - powiedziała matka w formie błogosławieństwa.

- Broń Panie Boże!

Co dobre może przynieść takie długie życie?

Coraz trudniej pracować .

siły mnie opuszczają .

nie chcę być dla nikogo ciężarem!

- wymamrotała staruszka, żegnając się i wznosząc oczy do nieba.

Naszcęście w domu było trochę pieniędzy i matka odliczyła należność.

Miałem dziwne uczucie - monety w zniszczonych od ciągłego prania dłoniach starej kobiety

45.

wydawały się równie zmęczone, czyste i pobożne jak onasama.

Chuchnęła na pieniądze i zawiązała je w chusteczkę do nosa.

Potem wyszła, obiecując, że wróci za kilka tygodni po nową porcję prania.

Ale nigdy więcej już się nie pojawiła.

Pranie, które namodniosła, było jej ostatnim wysiłkiem natej ziemi.

Trzymała ją przy życiu niezłomna wola zwrócenia własności jej prawowitym właścicielom, dokończenia zadania, którego się podjęła.

I w końcu to ciało, które od dawnajuz było tylko popękaną skorupą i nie poddawało się wyłącznie dzięki wielkiej uczciwości i poczuciu obowiązku, dało za wygraną.

Dusza uleciała do tych sfer, gdzie spotykają się wszystkie święte dusze, bez względu na to, jakie role odgrywały na ziemi, bez względu na język, bez względu na wiarę.

Niepotrafię wyobrazić sobie raju bez naszej praczki ani świata, w którym nie byłoby zadośćuczynienia za taki trud.

Poważna dintojra

Spory, o których rozsądzenie proszono mojego ojca, były zwykle dość błahe.

Sumy, będące ich przedmiotem, wahały się od dwudziestu do najwyżej pięćdziesięciu rubli.

Słyszałem, że do niektórych rabinów zwracano się z "dużymi" sprawami, w których chodziło o tysiące rubli, a każda ze stron była reprezentowana przez własnego mediatora.

Zdarzało się to jednak bogatym rabinom, którzy mieszkali w naszej, lecz w północnej części Warszawy.

Ale pewnej zimy wniesiono poważną sprawę przed oblicze mojego ojca.

Podziś dzień nie mam pojęcia, dlaczego ci zamożni ludzie wybrali go na sędziego, ponieważ uchodził za człowieka naiwnego, oderwanego od życia.

Matka siedziała w kuchni i zamartwiała się.

Obawiała się, że ojciec nie zrozumie tych skomplikowanych spraw.

Wczesnym rankiem ojciec zdjął z półki Choszen Mispat i zagłębił się w lekturze - skoro nie był specjalistą w sprawach gospodarczych i handlowych, chciał być przynajmniej au courant w dziedzinie prawa.

Wkrótce zjawili się przeciwnicy w spółce wraz ze swoimi mediatorami, również rabinami.

Jednym z procesujących się był wysoki mężczyzna o czarnej rzadkiej brodzie i gniewnych, czarnych jak węgiel oczach.

""at nasobie długi futrzany płaszcz, futrzany kapelusz

i błyszczące kalosze.

W zębach trzymał cygaro w bursztynowej cygarnicze.

Stwarzał wrazenie ważnej osoby, erudyty, przebiegłego człowieka.

Gdy zdjął kalosze, zauważyłem złote litery na czerwonej wyściółce.

Powiedziano mi, że to monogram.

Przyprowadził ze sobą mediatora - rabinaz mlecznobiałą brodą, młodymi, roześmianymi oczami i zaokrąglonym wydatnym brzuchem, opiętym jedwabną kamizelką, na której dyndał srebrny łańcuch.

Drugą stroną procesu był niedużysiwý człowieczek w lisiurze, pykający grube cygaro. Przyprowadził mediatora szeroką żółtą brodą, krogulczym nosem i okrągłymi ptasimi oczkami.

Gdy zdjął kapelusz, przez chwilę stał zgołagłową, po czym włożył jedwabną myckę w stylu tych, które nosili litwacy.

W naszym domu jedyną najważniejszą sprawą było studiowanie Tory, ale ci mężczyźni wnieśli ze sobą element świeckości.

Gapilem się na nich zadziwiony.

Rabini-mediatorzy opowiadali sobie nawzajem dowcipy i uśmiechali się do siebie sztucznie.

Matka podała herbatę z cytryną ciasteczka, które pozostały z szabatu, a rabin o

pogodnym spojrzeniu powiedział do niej żartobliwie:

- Może rabin potrafi sprawić, żeby nastąpiło lato?

Nie odwrócił oczu, jak to zawsze czynił mój ojciec, lecz

patrzył prosto na nią.

Matka spłonęła rumieńcem jak uczennica straciła na moment kontenans.

W końcu odzyskała panowanie nad

sobą i odpowiedziała:

- Skoro mamy zimę, to widocznie jest potrzebna.

Po chwili rozpoczęła się właściwa rozprawa.

Wgrę wchodziły tysiące rubli.

Próbowałem wszelkimi siłami zrozumieć, o czym jest mowa, ale bardzo szybko straciłem wątek.

Mówiono o sprzedaży, kupnie, zamówieniach na całe wagony towarów, o kredytach, wartości aktywów netto,

48

dochodzie brutto, księgach rachunkowych, księgach głównych, oprocentowaniu, skryptach dłużnych.

Negocjujący rabini byli dobrze zorientowani w terminologii interesów handlowych, mój ojciec natomiast stale prosił o wyjaśnienia.

Jako syn wstydziłem się za niego i byłem zakłopotany.

Od czasu do czasu rozprawę przerywały kobiety z sąsiedztwa, które przychodziły, żeby spytać, czy ich świeżo zarżnięte kury są koszerne.

Długo trwała nie jeden, lecz kilka dni.

W tym czasie przekonałem się, że niewszyscy rabini przypominają mojego ojca.

Ci dwaj wyciągali wieczne pióra i gryzmolili na kartkach papieru jakieś linie, kwadraty, koła. Co kilka godzin posyłało mnie do sklepu, żebym kupił dla nich rozmaite przekąski - jabłka, ciastka, nawet kiełbaski i zimniemięsa.

Mój ojciec nigdy nie tknął mięsa kupionego w wędliniarni, nawet tego ciśnie koszerne.

A letamci rabini jedli wędliny i oceniali je jak znawcy.

Kiedy indziej znowu przerywano spór i jeden z rabinów opowiadał jakąś historyjkę.

Wtedy drugi, nie chcąc być gorszy, również przytaczał anegdotę.

Potem zaczęli rozmawiać o obcych krajach i rozmaitych kurortach.

Dowiedziałem się, że obaj rabini byli w Niemczech, w Wiedniu oraz w innych dalekich krajach.

Mój ojciec, który zasiadał u szczytu stołu, zdawał się maleć w obecności tych światowych rabinów, toczących gładką konwersację.

Po pewnym czasie zacząłem rozumieć poruszane kwestie, ku mojemu zdumieniu, zdałem sobie sprawę, że mediatorów wcale nie obchodzi, kto ma rację, a kto jej nie ma, so jest prawdą, a co fałszem, lecz każdy z nich szukał pokrętej argumentacji, żeby uzasadnić słusność roszczeń swojego klienta i zaprzeczyć wywodom przeciwnika.

Czułem wielką niechęć do tych sprytnych rabinów, ale jednocześnie zazdrościłem ich dzieciom.

Na podstawie.

tego, co mówili, domyśliłem się, że w ich domach są dywany, kanapy i najrozmaitsze piękne przedmioty.

Od czasu do czasu któryś z rabinów mówił nawet oswojej żonie to było najdziwniejsze ze wszystkiego.

Nigdy nie słyszałem, żeby ojciec wspominał o mojej matce w rozmowach z innymi mężczyznami.

Im dłużej trwała dinojra, tym bardziej stawała się zawikłana.

Stół zaścieniał grubą warstwą papierów, obliczeń.

Wezwano księgowego, który przyniósł stertę ksiąg rachunkowych.

Nastrój wysokiego czarnobrodęgo mężczyzny stale się zmieniał.

To mówił spokojnie, powoli i wyraźnie, jak gdyby każde jego słowo było na wagę złota, to znów zaczynał nagle krzyżeć, walił pięścią w stół i wygrażając, że wniesie sprawę do sądu państwowego.

Drobny siwycielowiczek odpowiadał ostro, gniewnie, twierdząc, że nieboi się żadnego sądu.

Jeśli o niego chodzi, proces może toczyć się przed najwyższym trybunałem, a obaj rzecznicy, mimo że dosłownie prowadzili ze sobą wojnę, nadal gawędzili uprzejmie, podawali sobie ogień, przytaczali powiedzenia rabinów, uczonych i słynnych prawników.

Ojciec prawie się nie odzywał, przestał też prosić wyjaśnienia.

Co jakiś czas spoglądał tęsknym wzrokiem na swoją biblioteczkę.

Z powodu nieporozumień w interesach tych dwóch bogaczy musiał tracić czas, który poświęciłby na studiowanie Tory, a pragnął już wrócić do swoich ksiąg komentarzy.

Jeszcze raz w nasze życie wtargnął świat pełen wyrachowania i kłamstw.

Stale wysyłał mnie po zakupy - to po papierosy, to znów po cygara.

Potrzebna była doczegoś polska gazeta - biegł tempo gazetę.

Najczęściej jednak wyprawiano mnie po najrozmaitsze rzeczy do jedzenia.

Nie przypuszczałem, że można aż tyle jeść - różne rodzaje słodczy i przysmaków - na dobitkę w zwykły dzień powszedni.

Rabin

o roześmianych oczach zażyczył sobie sardynki w puszcze.

Najwyraźniej obaj rabini jedli tak dużo, ponieważ za wszystko płaciły strony procesu.

Zresztą mówili o tym otwarcie, chociaż żartem, z przymrużeniem oka.

Ostatniego dnia atmosfera zrobiła się naprawdę gorąca, co chwilę wybuchała wrzawa, co kilka minut jeden lub drugi z procesujących się rabinów wychodził, a jego rabin przytrzymywał go.

Może to było zwykłe przedstawienie?

Zdażyłem już się przekonać, że często mówią jedno, a myślą co innego.

Kiedy byli poirytowani, mówili cicho, gdybyli zadowoleni, udawali wściekłość.

Podczas nieobecności jednego rabina, drugi wyliczał wszystkie jego grzeszki i słabości.

Pewnego razu rabin o roześmianych oczach przyjechał pół godziny przed innymi i zaczął obmawiać przeciwnika, rabina z żółtą brodą i ptasimi oczkami.

- Taki z niego rabin, jak ze mnie król Anglii - powiedział.

Mój ojciec był szokowany.

- Jak to możliwe?

Wiem, że rozstrzyga w kwestiach rytualnych.

- Jego decyzje, ha.

- Ale jeśli tak jest, to może - oby tak się nigdy nie stało - spowodować, że inni Żydzi będą jedli niekoszarywność.

- Nocóż, możliwe, że nie potrafisz znaleźć odniesień w Be'er Heitew.

Był już w Ameryce.

- A co tam robił?
Szył spodnie.
Ojciec otarł pot z czoła.
Mówi pan poważnie?
- Tak.

- Nu, zapewne potrzebował pieniędzy.

Jest powiedziane, że lepiej obdzierać skórę z ubitych zwierząt niż przyjmować jałmużnę. Żadna praca nie hańbi.

- To prawda, ale nie każdy szewc jest rabinem Jochananem.

Ojciec powiedział matce, że byłby szczęśliwy, gdyby tę sprawę przekazano do rozsądzenia innemu rabinowi.

Zbyt długo już był oderwany od studiowania swoich ksiąg.

Niemógł poświęcać więcej energii wszystkim tym zawilosciom oraz "ułamkom" (tego terminu ojciec używał dla określenia wszystkich działań arytmetycznych bardziej skomplikowanych od dodawania, odejmowania i mnożenia).

Przewidywał, że obie strony procesu mogą nie zechcieć przyjąć jego orzeczenia.

Obawiał się też, że sprawa znajdzie się końcu w sądzie cywilnym i że mogą go wezwać w charakterze świadka.

Sama myśl o tym, że będzie musiał stanąć przed sędzią pokoju, złożyć przysięgę na Biblię, siedzieć wśród policjantów, napawała go przerażeniem.

Jęczał nocami we śnie.

Rano wstawał jeszcze wcześniej niż zwykle, żeby odmówić w spokoju modlitwy i przeanalizować przynajmniej jedną stronę Gemary.

Krążył po swoim gabinecie i modlił się drżącym głosem.

- Boże mój, dusza, którą mi dałeś, jest czysta.

Tyś ją stworzył, Tyś ją ukształtował, Tyś ją tchnął we mnie.

Ty ją we mnie zachowujesz i Ty mi ją zabierzesz, aby później mi ją przywrócić.

Nie była to modlitwa, jak zwykle odmawiał, lecz raczej niemal występowanie we własnej sprawie do Stwórcy Wszechświata.

Odniosłem wrażenie, że ojciec ucałował filakterie i frędzle taśesu z większą żarliwością niż zwykle.

Tak, ostatniego dnia rozgrywały się naprawdę gwałtowne sceny.

Tym razem nie tylko mężczyźni będący stronami procesu pokrzykiwali na siebie, lecz nawet negocjatorzy.

Niegdysiejsze dobre stosunki między obydwoma rzecznikami gdzieś się ulotniły, kłócili się teraz i wymyślali sobie nawzajem.

Spierali się, wrzeszczeli, dawali upust powściąganym dotychczas emocjom, aż wyczerpały się do cna ich siły.

W tym momencie ojciec wyjął chusteczkę i polecił, by obaj procesujący się ujęli ją z dwóch stron naznak, że podporządkują się jego orzeczeniu.

Stałem obok, drżąc nacałym ciele.

Byłem pewny, że ojciec nie zrozumiał nic z tych wszystkich zawikłanych argumentów i że wyda wyrok równie niewłaściwy, jak praca podczas szabatu.

Stało się jednak jasne, że w ciągu minionych dni ojciec pojął w końcu znaczenie spornych kwestii.

Wygłosił swoją starą wypróbowaną formułkę kompromisu - równy podział.

Przez długą chwilę po ogłoszeniu przez niego decyzji panował cisza.

Nikt nie miał siły odezwać.

Mężczyzna z rzadką bródką wpatrywał się w ojca z wściekłością.

Drobny człowieczek skrzywił się, jak gdyby przypadkiem połknął coś kwaśnego.

Rabin o żółtej brodzie uśmiechał się cynicznie, odsłaniając równie żółte zęby.

Zauważyłem, że jednym miał złotą koronkę, co mnie przekonało, że naprawdę był w Ameryce.

Gdy wreszcie wszyscy ochłonęli, bezlitośnie skrytykowali orzeczenie mojego ojca, nie szczędząc obraźliwych aluzji.

Ojciec uzasadnił swoje racje, mówiąc po prostu:

- Zapytałem was, czy chcecie kategorycznej decyzji, czy też jesteście skłonni pójść na kompromis.

Nawet kompromis musiał być rozsądny!

Taką podjąłem decyzję.

Nie mam na podorędziu kozaków, żeby ją wyegzekwowali.

Rozjemcy wycofali się, żeby omówić sprawę ze swoimi klientami.

Coś tam mamrotali, spierali się, biadolili.

Pamiętam, że najgłośniejszą protestowała strona, która faktycznie odniosła największą korzyść z orzeczenia ojca.

Po

53.

krótkim czasie doszli chyba do wniosku, że kompromisnie jest wcale takim najgorszym wyjściem i naprawdę trudno byłoby znaleźć lepsze.

Procesujący się, którzy byli partnerami w jakichś interesach, uściśnieli sobie dłonie.

Rabini wysłali mnie jeszcze raz po przekąski, chcieli bowiem posilić się pogwałtownych scysjach.

Z powrotem stali się najlepszymi przyjaciółmi, a jeden obiecał nawet, że zarekomenduje drugiego w sprawie, o której wiedział.

Wreszcie wszyscy wyszli.

W gabinecie pozostał tylko cygarowy dym, stół zarzucony papierami, skórki owoców, resztki najrozmaitszych smakołyków.

Ojciec otrzymał sowite wynagrodzenie - o ile pamiętam, dwadzieścia rubli

- mógłbym jednak przysiąc, że odczuwał przykry niesmak.

Poprosił matkę, żeby jak najszybciej sprzątnęła z stołu.

Otworzył drzwi, chcąc wywietrzyć zapachy bogactwa i przyziemności.

Procesujący się byli wkońcu ludźmi interesu - ale najbardziej cierpiał z powodu zbyt szczwanych rabinów.

Gdy tylko matka sprzątnęła ze stołu, ojciec sięgnął skwapliwie po swoje księgi i pogrążył się znowu w ich lekturze.

W tych świętych księgach nikt nie jadł sardynek, nie czynił aluzji ani nie przypochlebiał się, nie posługiwał się dwuznacznikami, nie opowiadał niewybrednych dowcipów.

Rządziły w nich świętość, prawda, oddanie.

W chasydzkiej bóżnicy, gdzie modlił się mój ojciec, wszyscy słyszeli już niezwyklej dintojrze.

Ludzie interesu rozmawiali o niej z moim ojcem.

Powiedzieli, że staje się sławny w całej Warszawie, zyskuje dobrą opinię, ale ojciec tylko machał ręką.

- Nie, to nic dobrego.

W tym samym czasie ojciec zaczął opowiadać o Lamed-Waw Cadikim - trzydziestu sześciu sprawiedliwych: prostych Żydach, krawcach, szewcach, nosiwodach, od których

54

zależy dalszy los świata.

Mówiło ich ubóstwie, pokorze, pozornej ciemności, w jakich żyli - po to, żeby nikt nierozpoznał ich prawdziwej wielkości.

Mówił o tych utajonych świętych ze szczególną miłością, a w końcu rzekł:

- Jedna skruszona dusza jest więcej warta u Wszechmogącego od trzydziestu jedwabnych chałatów.

Drzewo genealogiczne

Rodzina ojca była znakomitsza od rodziny matki, onjednak rzadko o niej wspominał. Moim dziadkiem ze strony ojca był reb Samuel, zastępca tomaszowskiegorabina,pradziadkiem - reb Izajach Konsker, chasyd i uczony, bezkapłańskiego urzędu, a prapradziadkiem - reb Mosze, znany jako "Chacham z Warszawy" oraz autor Świętego listu.

Ojcemreba Moszego był rebTobiasz, rabin ze Szczekocin,az kolei jego ojcem reb Mosze, rabin z Nowopola.

Tenreb Mosze byłuczniem słynnegoBaala Szema.

Ojcem rebaMoszego był reb Cwi Hirsch, rabin z Zydaczowa.

Korzenie Temerl, mojejbabki zestrony ojca, sięgają jeszcze dalej w przeszłość.

Mój dziadek, rebSamuel, przez wiele lat nie godziłsięzostać rabinem, poświęcił się natomiastzgłębianiu kabały.

Często pościł i tak obficie zlewał się potem podczas codziennej porannej modlitwy,że żona musiała dawać mu zakażdym razemświeżą koszulę - co naówczas było niesłychanym luksusem.

Matkababki Temerl była złotnikiem.

To ona utrzymywałaśwojego męża, podobnie zresztą jakmoja babka.

Wtamtych czasach obowiązkiem kobiety byłorodzenie dzieci, gotowanie, prowadzenie domu i zarabianiena życie - gdy tymczasem mążstudiował Torę.

Nasze

56

babki, zamiast narzekać, chwaliły Pana za to, że dał imuczonych mężów. Kiedyoboje się postarzeli i babka niemogła dłużej ich utrzymywać, dziadek zgodził sięzostaćrabinem.

przez wielelat reb Samuel spędzał czas w samotności,złożył bowiem przysięgę milczenia.

Babka Temerl natomiast obracała się wśród ludzi i była ogólnie lubiana.

Jejmatce, Hindzie Esterze, słynny rabin Szolem Beizer podałkrzesło, gdy złożyła mu wizytę. Najgorętszym pragnieniembabki było, żeby jej dzieci studiowały Torę.

Jej najstarszy syn, Izajach, ożenił się izamieszkał w Rohatynie, w Galicji, był bogatym i oddanym bełskim chasydem.

Jej dwie córki wyszły za mąż na Węgrzech, a jedensynzmarł.

Cała jejmatczyna miłość i uwagaskupiła sięna najmłodszym synu, czyli moim ojcu. Stanowił jej pociechę, ponieważ był oddany nauce i przywiązanydo żydowskiej tradycji, podczas gdy innychmłodych ludzi pociągała świeckość, zaczynalimodnie się ubieraći czytaćhebrajskie gazety i czasopisma,które czasami docierałydo Tomaszowa.

Żadna z tychrzeczy nieimponowała mojemu ojcu, który nadal nosił długie tradycyjne pończochy i półbuty, chustkę obwiązaną wokół szyi i wiszące pejsy.

W dzieciństwie pragnął gorąco zostać świętym.

W wiekupiętnastu lat zaczął pisać komentarz, co spowodowało, żeinni chłopcy stronili od niego, nie podobało im się jegomarzycielstwo, jego wyniosłość i rezerwa, jego brak zainteresowania zabawami w kozę i wilka(lub grąw kartypodczas Chanuki).

Babka chciała, żeby ojciec -który wyhodował rudąbrodejuż w wieku szesnastu lat - ożenił się młodo, jednakzestaroświeccy młodzieńcy niestanowili raczejatrakcji dla przyszłych bogatych teściów.

W dodatku babka utrudniałajeszcze sytuację, upierając się, żebynarzeczonapochodziła

57.

z rodziny rabinów, a nie kupców.

Wreszcie, gdy ojciec się zaręczył, jego przyszła żona zmarła, a on otrzymał powołanie do wojska.

Dla młodego człowieka pokrop mojego ojca służba dla cara byłaby najgorszym babką, jednakże pozwoliła mu na samookaleczenie.

Jedyną ucieczką

była modlitwa do Boga.

W tamtych czasach istniał zwyczaj ciągnięcia losów, a rekruci z najwyższymi numerami byli zwalniani ze służby.

Ojciec wyciągnął wysoki numer, oszczędzając sobie w ten sposób nawet pierwszego wstydu, wiążącego się koniecznością rozebrania się do naga przed lekarzem.

Przez całe

lata dziękował Bogu za łaskę, którą mu okazał.

Dopiero po zwolnieniu (o) z służby wojskowej rodzina zdała sobie sprawę, że jest już starym kawalerem - miał dwadzieścia jeden lat!

W długich pończochach, półbutach, awnecie wokół bioder, Jarmulce pod aksamitnym kapeluszem.

zbujną brodą i długimi pejsami, wyglądał, jak stary chasyd.

Ogarnięty tylko ^opragnieniem - żyć jak Żyd - oddał się całkowicie pobożności i miał niewiele dopowiedzenia innym.

DO pełnego stroju brakowało mu jedynie modlitwennego szala, który noszą żonaci męzczyźni.

Inni młodzieńcy, wślniętych butach i okularach w złotych oprawkach, żartowali sobie, że Pinchas Mendel chce zostać rabinem cudotwórcą, a to była prawda.

Ojciec pragnął oczyścić swoją duszę do takiego stopnia, żeby być zdolnym do dokonywania cudów.

Poza Gemarą i świętymi sięgamiczytywał książki chasydzkie oraz fragmenty kabały.

Chociaż jego zachowanie sprawiało radość matce, młodszy był nim zachwyceni.

Córki z rabmackich rodzin czytały współczesne książki, modnie się ubierały, jeździły do uzdrowisk, chodziły wszędzie bez przyzwoitek, rozmawiały po niemiecku, czasami nawet nosiły nowomodne ka' -- Młodzi rabini powinni znać się choć trochę na sprawach praktycznych, handlu, stosunkach międzynarodowych, a ojciec nie był zięciem, który pasowałby do tego szablonu.

Wówczas zaproponowano mu małżeństwo z córką rabin z Biłgoraja, dobrze znanego w tym regionie, który przedtem był rabinem w Maciejowie, niedaleko Kowla, a jeszcze wcześniej w Porycku, w guberni siedleckiej.

Był to typ człowieka żyjącego przeszłością.

Pewnego razu, gdy do Biłgoraja przyjechała trupa aktorów, włożył chałat, poszedł do stodoły, gdzie odbywało się przedstawienie, i przegnął zarówno aktorów, jak publiczność.

Mimo że Biłgoraj leżał w pobliżu postępowego Zamościa i Szczebrzeszyna, gdzie mieszkał "heretyk" Jakub Reifman, dziadek odseparował miasto od tego wszystkiego z pomocą miejskiej starszyny oraz chasydów.

Garstka wyrafinowanych biłgorajskich światowców uważała go za fanatyka, szerzyciela ciemnoty, mimo to jednak budził szacunek i lęk.

Wysoki, barczysty, muskularny, do późnego wieku zachował wszystkie własne zęby i włosy, słynął również jako matematyk i znawca hebrajskiej gramatyki.

Swoim sposobem komenderowania przypominał starodawnym przywódcówi za jego życia Biłgoraj pozostawał pobożnym miastem.

Planowane oświadczenia trochę niepokoiły ojca, ponieważ biłgorajski rabin, mimo swej pobożności, znany był jako zagorzały tradycjonalista, któremu nawet chasydyzm wydawał się nieczysty z typowymi dla niego ruchami ciała dla wyrażenia radości, śpiewami, wizytami na dworach cadyków i mistycznymi aspiracjami.

Rządził miasteczkiem despotycznie, nawet jego domownicy drżeli przed nim.

"W dodatku jego dwaj synowie słynęli z ciętego dowcipu.

Ojciec obawiał się, że nie będzie pasował do rodziny.

Trudno było jednak nieskorzystać z takiej okazji.

Matka miała wtedy szesnaście lat, była znana z rozsądku 59.

i erudycji.

Zaproponowano jej dwóch kandydatów - mojego ojca oraz syna bogatej lubelskiej rodziny. Dziadek spytał ją, którego woli.

- A który jest bardziej wykształcony?

- spytała.

- Ten z Tomaszowa.

To jej wystarczyło.

Ale podczas podpisywania kontrakturodzina matki poczuła się zawstydzona z powodu prezencji rodziny ojca.

Babka Temerl włożyła atłasową suknię, którą byłąby modną sto lat temu, a jej czepek składał się z płataniny koralików i tasiemek, jakich się nigdzie nie widywało.

Archaiczny był nawet jej sposób wysławiania się, a ojciec wyglądał raczej na teścia niż na pana młodego.

Jego ojciec, reb Samuel, milczał.

Ojciec też się nie odzywał, mimo że inni zaręczeni młodzieńcy próbowali wciągnąć go w rozmowę o sklepach, kamienicach, zegarkach, podróżach i polityce.

Nie znał się natym, znał się wyłącznie na służbie Bożej, nie mówił po polsku ani po rosyjsku, nie potrafił nawet napisać swojego adresu w języku niewiernych.

Poza Torą i modlitwą świat był dla niego pełen złych duchów, demonów i chochlików.

Matka była skrepowana, gdy poznała przyszłego męża, onieśmiała ją ten mężczyzna o gęstej rudej brodzie.

Kiedy jednak usłyszała, jak dyskutuje o kwestiach religijnych z jej ojcem, nabrała do niego szacunku, a nawet wzbudziła jego podziw.

Opowiadała mi, że cieszyła się również, iż narzeczony jest o pięć lat starszy.

Babka Temerl podarowała jej złoty łańcuch, tak ciężki, że z trudem dawało się go nosić.

Liczyła sobie chyba ze dwieście lat.

Matka chwaliła się nim później swoim przyjaciółkom.

Miał zapieczętowane, jakich złotnicy już niewyrabiają.

Hanna, moja babka ze strony matki, była zgorzkniałą, sceptyczną kobietą, która - mimo swej pobożności - potrafiła głęboko zranić.

Babka Temerl natomiast była pełną słodyczy, często cytowała Biblię.

Hanna miała melancholijne usposobienie, Temerl zaś radosne i tam, gdzie Hanna wszystko krytykowała, Temerl nieustannie zachwycała się głębią Bożymi cudami.

Babka Hanna z góry wątpiła, czy ojciec zdoła utrzymać rodzinę, gdy minie osiem lat należącego wikt, babka Temerl zaś twierdziła beztrudnie, że Bóg jak zwykle przyjdzie z pomocą.

Czy nie zesłał Żydom manna na pustyni?

Hanna odpowiadała kostycznie:

- To było dawno temu.

- Bóg się nie zmienia - replikowała Temerl.

- Nie jesteśmy już wari cudów - mówiła na to Hanna.

- Niby dlaczego?

- protestowała Temerl.

- Możemy być równie dobrzy i pobożni jak nasi przodkowie.

Tak mniej więcej wyglądały ich rozmowy.

Potem Temerl wracała radośnie do domu, przekonana, że przyszłość jej syna spoczywa w dobrych rękach.

Reb Samuel nadal nic nie mówił, biłgorajski dziadek wrócił do swoich ksiąg, a Hanna czuła się coraz bardziej samotna.

Była pewna, że jej młodsza córka skończy jako nędzarka.

Po zaślubinach

Mój dziadek, chociaż rządził Biłgorajem, nie utrzymywał bliskich stosunków ze swymi wiernymi.

Interesowały go wyłącznie Talmud i odwieczny kwestie.

Ponieważ nie miał czasu na sprawy przyziemne i rozmowy towarzyskie, wydawał orzeczenia prawne lub przedstawiał religijną interpretację prawa, i na tym koniec.

Nie obchodziły go plotki ani małe miasteczkowe waśnie, mimo że zawsze przeciwnie strony usiłowały zaszkodzić sobie nawzajem w sporach dotyczących szochetów, czyli rytualnych rzeźników, członków starszyny, mąki na mace spożywane podczas święta Pesach, prac dla gminy.

Talmud nakazuje zamykać uszy naplotki, toteż dziadek tak właśnie czynił i w napadzie gniewu wykrzykiwał ostrzeżenia, nawet pod adresem znakomitości w miasteczku, żądając, żeby przestano zwracać się do niego z takimi sprawami.

Wprawdzie mieszkańcy Biłgoraja akceptowali ostrzeżenie, żeby nigdy nie próbowali wciągać dziadka w swoje intrygi, czuli do niego jednak coraz większą wrogość.

Z drugiej strony prości Żydzi - rzemieślnicy, handlarze ulicznicy, sitarze - tak zwana hałastrą, darzyli dziadka szacunkiem i nie pozwoliliby nikomu go skrzywdzić.

Udzielał im rad, nawet gdy przychodzili z prywatnymi problemami.

Przyłączali się do niego podczas trzeciego szabatowego posiłku i śpiewali z nim pieśni.

W mieście były dwa rodzaje chasydów, ci z Turzyska i ci z Nowego Sącza, a ponieważ dziadek odwiedzał w czasach młodości dwór turzyskiego cadyka, należał do tej grupy.

Mimo to był w konflikcie z synami starego rabina, rebem Jakubem Leibelem oraz rebem Mottelem Kuzmerem, którzy przyjeżdżali do Biłgoraja, zabiegając o wiernych.

Zatrzymywali się u dziadka i zawsze wywoływali niesnaski.

Dziadek trzymał napodwórzu szalas na święto Sukot, który można było podnosić opuszczając nalinach.

Gdy przyjeżdżał z wizytą któryś z rabinów, dziadek przynosił się do szalasu, razem ze swoimi księgami, piórami, kałamarzem, papierem oraz samowarem, i siedział tam, popijając gorącą herbatę i studiując Torę.

Komentarze, które wtedy pisał, nadawał się raczej do spalenia niż do opublikowania.

Obydwaj rabinowie się go, ponieważ zawsze mówił prawdę prosto w oczy, potwierdzając w ten sposób prawdziwość powiedzenia: "Słowa uczonego są niczym rozżarzone węgle."

"

Józef i leżę, synowie dziadka, byli dowcipni, ale brakowało im jowialskiej siły charakteru.

Wolał swoje córki, a jego ulubienicą była najmłodsza, Batszeba, moja matka.

Podobnie jak jej ojciec, była mądra, pobożna, jej ogromną pasją stanowiły książki, sama nauczyła się nawet hebrajskiego.

Niebiesko koka, rudowłosa, o jasnej karnacji, była smukła i delikatna, cierpiała na brak apetytu i ciągle ją coś pobołowało.

Miała wąski nos i spiczasty podbródek i nosiła, jak zapewniali ją szewcy, najmniejsze buciki w całym mieście.

Lubiła się stroić przed wyjściem z domu sto razy czyścić pantofelki do połysku szczotką lub starą pończochą.

Według ówczesnych standardów Biłgoraj był całkiem ^orym miastem.

Leżał w pobliżu austriackiej granicy i stacjonowało w nim wielu żołnierzy.

Kozacy oficerowie

^^

tańczyli z Rosjankami lub grali w karty w kasynie oficerskim. Kozacyżołnierze, w okrągłych czapkach, z kolczykiem w jednym uchu, jeździli konno po ulicach, wymachując nahajkami.

Polacy mieszkali w bocznychuliczkach.

Te trzy narodowości trzymały się osobno, mówiąc własnymi językami iobchodzącwłasneświęta.

Zaślubiny matki i ojca odbyły się po Świącie Tygodni, Szawuot, i były bardzo hałaśliwe.

Matka często opowiadała mi, że panował tam wielki zgiełk.

Wszystkie dziewczynyposzyły sobie suknie na tę okazję i nauczyły się najnowszych tańców. Ale mój ojciec, ponieważ jego matka życzyła sobie, żeby włożył swoje najlepsze ubranie, musiał przywdziać futro, mimo że było lato, czym wzbudził złośliwą radość u miejskich elegantów.

Nie minęło wiele czasu, a ojciec zdał sobie sprawę, że niepotrafi zaaklimatyzować się w rodzinie swego surowego, wyniosłego teścia, z którym rozmowa była prawie niemożliwa.

Szwagrowie szydzili z pobożności ojca, z jego dążenia, żeby być Żydem.

Niejednokrotnie, wracając z jesziwy, nie mógł trafić do domu, a ponieważ nigdy nie podnosił oczu na kobiety, nie poznawał mojej matki i mógłby ją łatwo pomylić z babką lub szwagierką.

Nawet w tamtych czasach takie oderwanie od życia było rzadkością.

Żeby zostać oficjalnie rabinem, trzeba było zdać egzamin z rosyjskiego i odbyć rozmowę z gubernatorem, ojciec jednak niezgodził się na to, choć moi wujowie to zrobili.

Podczas ośmioletniego okresu pobytu u teścia często wpadał do domu, czasami też składał wizyty cadykomczyniącym cuda.

Pragnął zostać uczniem świętego, nie mógł jednak znaleźć takiego, który odpowiadałby jego wymaganiom.

Po upływie tychośmiu lat ojciec zaczął rozglądać się za małym rabinem, gdzie nie musiałby zdać egzaminu z rosyjskiego.

Bracia mojej matki, jak również jej matka,

64

namawiali ją do rozwodu z tym marzycielem, ale matka miała już dzieci - moją siostrę, Hindę Esterę, oraz mojego brata Izraela Joszua.

Dziadek się niewtrącał, z wiekiem stał się jeszcze bardziej skryty i milczący.

Ponieważ chasydzi zawsze toczyli boje o stanowiska - a do ich objęci konieczne były wpływy - nikt nie wierzył, że ojciec zdobędzie rabinat.

A jednak udało mu się, w małej miejscowości Leoncin nad Wisłą, niedaleko od Nowego Dworu i Zakroczymia, zaledwie kilkanaście kilometrów od Warszawy.

Moi rodzice mieszkali tam przedziesięć lat, urodziłem się tam ja oraz mój młodszy brat Mojsze, chociaż oficjalnie zostaliśmy zarejestrowani jako urodzeni w Radzyminie.

Nie muszę opisywać Leoncina, uczynił to bowiem mój starszy brat ksiąźce Świat, którego już nie ma.

Jest jednak kilka spraw związanych z Radzyminem, o których chciałbym wspomnieć.

Ojciec wyjechał z Leoncina i został pomocnikiem radzyńskiego rabina w rezultacie następujących wydarzeń.

Radzymin stał się centrum nowej rabinackiej dynastii, założonej przez reba Jekelę, cadyka cudotwórcę, związanego wcześniej z chasydzkimi dworami w Przysusze i Kocku.

Kobiety, które do niego przychodziły, obdarowywał magicznymi monetami i kawałkami bursztynu, mającymilecznicze właściwości.

Młodzi mężczyźni prosili go o modlitwę intencji uchronienia ich od poboru do wojska.

Wieśćgłosiła, żejego zakłęciaprzywracają do życia umierających.

Chodziły też słuchy, że jego reprimendy pomagają nawetbardziej odbłogosławieństw.

Gdy przychodziła doniegokobieta z płaczem, że jej dziecko jest chore, wykrzykiwał:

Och, idź do diabłarazem ze swoim bękartem.

", a dziecko natychmiast wracało do zdrowia.

Reb Jekele kochał monety, miedziane, srebrne izłote, Zzynałje w glinianych dzbanach.

Ludzie mówili, że nawet

65

Do Warszawy

Rabin, potężny mężczyzna z wydatnym brzuchem i bujną żółtą brodą, klaskał w dłonie i tupał nogami podczas modlitwy.

Podczas szabatu rabin spożywał posiłek w domu nauki, zamykając oczy, gdy recytował Torę. Potem jeden z szamesów zdejmował buty i stając po obrusie w samych tylko pończochach, nalewał wszystkim wino.

Rabin miał licznych wiernych, a jego dwór składał się z bóżnicy, osobnego budynku z rytualną mykwą, dużego domu dla młodej rebecin, córki rabina z Białej Podlaskiej, oraz małego domku dla jego matki.

Młoda stara rebecin nie była osobą w dobrych stosunkach, ponieważ ta pierwsza pozowała na wielką damę, a w dodatku nie miała dzieci.

Matka doradzała często rabinowi, żeby rozwiódł się z kobietą, która choć piękna, inteligentna i elokwentna, nie potrafiła dać następcy radzyńskiej dynastii.

Jednakże zdaniem lekarzy i specjalistów torabin ponosił za to winę.

Chasydzy innych dworów wiedzieli o tym i wyśmiewali się z niego. W Radzyminie młodzi wykształceni mężczyźni opowiadali spróśne dowcipy, a dziewczęta płonily się jak piwonie. Plotkowano, że rabin nie bierze kąpiel wraz z innymi mężczyznami, lecz ma własną rytualną mykwę.

Pamiętam, jak odwiedziłem z matką obie rebecin.

Stara, o zaczerwienionej, pomarszczonej twarzy, niczym przekupka z targu, miała siwe włosy na brodzie, gniewne spojrzenie i zażywała tabaki, co spowodowało mnie dokichania, gdy uszczypnęła mnie w policzek i dała mi kruszącą się herbatnik.

Miała na sobie znoszoną pelerynkę, trzymała w dłoni zniszczoną książkę religijną, Pięcioksiąg dla kobiet.

Młodsza rebecin była jej absolutnym przeciwieństwem.

Gdy weszliśmy na górę po czerwonych schodach, pojawiła się służąca w białym fartusku, która zaprowadziła nas do salonu, gdzie na wyfroterowanym do połysku parkiecie leżały dywany, w oknach wisiały zasłony, a ściany były obite żółtą tkaniną dekoracyjną.

W oszklonych bibliotekach stały książki oprawne w skórzej jedwab, wszędzie widniało pełno najrozmaitszych przedmiotów ze srebra, kości słoniowej oraz macicy perłowej.

Rebecin miała perukę z jedwabiu.

Kobieta była jeszcze młoda i ładna, ciemnooka, o jasnej cerze, ubrana w atlas i koronki.

Jej długie palce zdobiły pierścienie wysadzone drogimi kamieniami.

Przyjęła moją matkę z uprzejmością arystokratki, witając drugą arystokratkę, poczęstowała mnie ciastem i winem w srebrnym pucharu.

Przyjemnie pachniała, a kolorowy wachlarz, który trzymała w dłoni, miał rączkę z kości słoniowej.

Początkową wymianę uprzejmości szybko zastąpiły cicho szeptane zwierzenia i westchnienia.

Rebecin otarła łzę koronkową chusteczką.

Bez przerwy raczyła mnie słodyczami i proponowała zabawki.

Gdy zafascynował mnie koralik na jej pelerynce, wzięła nożyczki, szczerze odcięła Gały sznureczek i dała mi go do zabawy.

Ojciec również odwiedzał ze mną młodą rebecin, a jej utna twarz rozjaśniała się uśmiechem na jego widok.

Witaj, rabinie z Leoncina - mówiła, całując mnie.

Potem rozmawiali na temat Tory i chasydyzmu, a nawet na tematy świeckie.

Rebecin była we wszystkich zagranicznych kurortach, znała wszystkie dwory cadyków, pisała po hebrajsku wytwornym charakterem pisma.

Chociaż oboje rodzice lubili ją, matka była trochę zazdrosna i pewnego razu, gdy ojciec napomknął, że być może Rebecin wkrótce się rozwiedzie, zauważyła z przekąsem:

- Teraz będziesz mógł się z nią ożenić.

Sympatia ojca do młodej Rebecin wpłynęła negatywnie na jego stosunki z rabinem, który zaczął go szykanować.

Posyłał ją po ojca, a gdy ten stawiał się na wezwanie, drugi ją nie wpuszczał.

Kiedyś, w środku nocy, rabin wezwał ojca, żeby go poinformować, że nie podoba mu się sposób, w jaki prowadzi Jesiwę i przepisuje jego rękopisy.

Stara Rebecin, która miała większy wpływ na synanizację, również traktowała wrogo swojego ojca.

Kiedy ojciec podejmował pracę, rabin obiecał mu pensję wystarczającą na utrzymanie, ale nie wspomniał o warunkach.

Od czasu do czasu wydawał mu kilka rubli, ale nie była to stała pensja, a my naprawdę cierpieliśmy biedę.

W Leoncynie moja siostra i starszy brat byli pobożni, lecz zachowanie rabina zmieniło ich postawę.

Brat przedrzeźniał rabina, który modlił się bardzo głośno i wywracał oczy, rozdzielając strawę dla chasydów.

Ojciec ostrzegł matkę, że jeśli nie zaprzestanie lżyć rabina w obecności dzieci, to zważywszy na rabina, zważy później w Boga.

Ale matka sama była córką przeciwnika chasydyzmu i odziedziczyła po swoim rodzicielu pewną złośliwość.

Aczkolwiek ojciec żywił do rabina urazę, czuł się obowiązkiem bronić go w domu.

Mimo naszych domowych strapień i niepewnej sytuacji ojca, mnie wiodło się dobrze.

Młoda Rebecin zawsze obdarowywała mnie prezentami.

Bawiłem się na podwórzu w pobliskim sadzie, pośród drzew wiśni, krzewów agrestu i porzeczek.

Przerywając zabawę, stawałem i wpatrywałem się w horyzont.

Czy to jest kraniec świata?

Co się tam dzieje i co jest za horyzontem?

Czym są dzień i noc?

Dlaczego ptaki fruwać, a robaki pełzają?

Zamęczałem matkę pytaniami.

Ojciec miał dla mnie zawsze tę samą odpowiedź:

- Bo tak je stworzył Bóg.

- A gdzie On jest?

- W niebie.

- Pokaż mi.

- Nie bądź głuptasem.

Nikt nie może zobaczyć Boga.

Stworzył wszystko, ale nie można Go zobaczyć.

Trzeba Mu dziękować, zanim zje się ciastko, nosić dla Niego rytualne frędzle i pejsy.

Pokazałem palcem chmurę i spytałem:

- Czy to On?

Ojciec wpadł we wściekłość.

- Ty durniu, to jest chmura.

Wchłania wodę i pada z niej deszcz.

Znalazłem przyjaciół: Leę, Esterę i Beniamina.

Biegaliśmy, paplaliśmy, kopaliśmy dołki w ziemi, bawiliśmy się potłuczonymi naczyniami.

Beniamin i ja byliśmy ojcami, a dziewczęta matkami.

W stercie śmieci na podwórzu rabina można było zawsze znaleźć rozmaite skorupy, papiery, pudełka i deski.

Przez wiele dni bawiłem się suchą gałęzią palmy, którą tam znalazłem.

Pewnego szabatowego poranka w napadzie złości skaleczyłem twarz Lei aż do krwi.

Matka przezwala mnie za to Ezawem.

Ale po spożyciu szabatowego posiłku poczułem, że muszę zobaczyć się z Leą, chociaż ten pomysł wydawał się raczej niebezpieczny.

Poszedłem na jej podwórko, z którego rozciągał się widok na łąki, pastwisko i bydło, i czekałem tam, aż wreszcie wyskoczył ojciec Lei, Trzeszcząc:

- Ty łobuzie, ty wyrzutku!

I uderzył mnie.

Rozplakałem się żałośnie, jak przystała tchórza, bijącego słabszych.

Wkrótce zapisanomnie do chederu prowadzonego przez reba Fiszla, staruszka, którego uczniem był kiedyś radzyński rabin.

Uczył mnie hebrajskiego alfabetu, a resztę czasu spędzałem, bawiąc się z innymi chłopcami na zastawie drewnianych bali na podwórzu.

Stąd również było widać zielone pola i lasy, jak również drogę, wiodącą w kierunku Wisły.

Pewnego dnia we dworze rabina i w wielu innych domach wybuchł pożar.

Pamiętam wszystko tak dokładnie, jak gdyby zdarzyło się wczoraj.

Matka, która wyszła, żeby opróżnić kubel z pomyjami, zauważyła dwa słupy gęstego dymu.

- Biadami!

- zawołała.

Pakowaliśmy nasz dobytek w przęścieradła i wynosiliśmy go do ogrodu.

Moja siostra, która miała wówczas siedemnaście lat, chwyciła za ręce mnie oraz młodszego brata i spytała śpiwnym, płaczącym tonem:

- Dokąd mam zabrać dzieci?

Było wiele bezpiecznych miejsc, gdzie można się było schronić, miasteczka nie otaczały płomienie, moja siostra jednak ułobowała się w dramatycznych sytuacjach.

Mój brat Jozua dźwigał wodę ze studni i pomagał gasić ogień.

Codo mnie, to byłem szalenie szczęśliwy.

Ludzie biegali w tę i z powrotem, taszcząc tobołki.

Ktoś prowadził konie, ktoś dał wtrąbkę, Żydzi wynosili święte księgi i swoje Tory.

Można było odnieść wrażenie, że to świąteczny dzień.

Słyszałem, jak ludzie mówią o Mesjaszu, o Bogu, o czyszczeniu i raju, a mnie się zdawało, że doświadczam tego wszystkiego naraz.

Słońce świeciło, a płomienie buchały pod niebo.

Ludzie jedli na dworze, goje i Żydzi przemieszani ze sobą.

Podszedł do mnie jakiś mężczyzna w podeszłym wieku i spytał:

72

- Kim ja jestem?

- Boję się pana - odpowiedziałem.

- Dlaczego?

- Bo jest pan żabą.

- Dlaczego żabą?

- No bo tak.

Znalazłem się w obcym domu, gdzie ludzie zadawali mi najrozmaitszych pytań i śmiali się z moich odpowiedzi.

Próbowałem schować się za piecem, potem wczółgałem się pod łóżko.

Byłem jak oszalały z podniecenia.

Ni stąd, ni z owąd, pewnego dnia zaczęło się mówić w domu o wyjeździe do Warszawy.

Doskonale pamiętam tę chwilę.

Wyszedłem na dwór w nowych bucikach, żeby pobawić się z moimi przyjaciółmi, ale Estera, Lea i Benjamin siedzieli pod wbitym w ziemię podartym parasolem i nie chcieli dopuścić mnie do zabawy.

- Niech wejdzie - powiedziała w końcu Lea.

- Manowe buty.

Później siedziałem obok rodziców, siostry i młodszego brata w ciuchci kursującej między Radzyminem a Warszawą.

Mój starszy brat Jozua jechał wagonem, w którym podróżowały nasze meble.

Przez okna pociągu widziałem pozostające w tyle drzewa, budynki i ludzi.

Miałem złudzenie, że koła mijających nas furmanki obracają się w przeciwnym kierunku.

Na łąkach pasły się krowy, konie trącały się pyskami.

Wszystko wydawało mi się ogromnie tajemnicze.

Działy się rzeczy, których nie rozumiałem.

Mój braciszek Mojsze zasnął na kolanach matki.

Był ślicznym dzieckiem o niebieskich oczach i jedwabistych blond włosach.

Po wyjściu z pociągu pojechaliśmy dorożką przez most w Pragi do właściwej Warszawy.

Pod nami rozciągała się

73.

szeroka rzeka, w której odbijało się niebo.

Płynęły po niej statki.

Mostem, który miał kratownice z misternie kutego żelaza, jeździły tramwaje i omnibusy.

Dotarliśmy do wysokich budynków o spadzistych dachach i balkonach z żelaznymi balustradami.

Można by pomyśleć, że w mieście zaleją nieustanne pożary, ponieważ ludzie biegali we wszystkie strony i krzyczeli.

Sprawiło to na mnie wrażenie, jak gdyby trwało tu niekończące się święto.

Zobaczyłem ogromną kolumnę, a na niej postać zmierzem w dłoni.

Był to pomnik króla Zygmunta.

Podnim cztery kamienne syreny piły wodę z wielkich pucharów.

Nie mogłem zadawać więcej pytań, ponieważ byłem wszystkim oszołomiony.

Minąwszy lepsze dzielnice, zajęchaliśmy na Krochmalną.

Zapadł już wieczór, na ulicach było pełno ludzi.

Dorożkarz zatrzymał się przed jednym z domów i powiedział:

- To tutaj.

Przysięga

Ilekcio ojciec prowadził dintojrę, powtarzał niezmiennie samo: że jest przeciwny składaniu przysięg.

Wyrażała swoją niechęć nie tylko wobec przysięg, lecz nawet wobec ślubowań, słów honoru, a nawet uścisków dłoni na poręczenie dotrzymania obietnicy.

Ojciec dowodził, że niemożna w pełni polegać na swojej pamięci, toteż nie wolno przysięgać nawet na to, co uważa się za prawdę.

Jest powiedziane, że kiedy Bóg oznajmił: "Nie będziesz wzywał imienia Pana, Bogatego, docznych rzeczy.

", niebo i ziemia zadrżały.

Często wyobrażałem sobie tę scenę - wierzchołek góry Synaj, spowity dymem i płomieniami, Mojżesz, trzymający w dłoniach kamienne tablice Dekalogu.

Nagle rozlega się budzący grozę głos - głos Boga.

Ziemia zaczyna kołysać się i drżeć, a wraz z nią góry, morza, miasta i oceany.

Niebiosy drżą, a z nimi słońce, księżyc, gwiazdy.

Jednakże kobieta o męskich rysach twarzy, w wielkiej czarnej peruce matrony i tureckim szalu zarzuconym na ramiona, za wszelką cenę pragnęła złożyć przysięgę.

Nie pamiętam już, czego dotyczyła dintojra, pamiętam jedynie,

Księga Iy.

YJscia 20,7 (przyp.

tłum.

)..

ze brała w niej udział ta właśnie kobieta i kilku mężczyzn.
Tooni ocoś ją oskarżali.
Może szło o spadek, a może o jakieś ukryte pieniądze.
O ile sobie dobrze przypominam, w grę wchodziła bardzo duża suma.
Mężczyźni mówili podniesionymi głosami, oskarżycielsko wytykali kobietę palcami.
Nazywali ją oszustką, złodziejką, obrzucali obraźliwymi epitetami.
Ale ona też nie pozostawała im dłużna.
Miała odpowiedź na każdy zarzut.
Za każdą obelgę odpłacała obelgą lub przekleństwem.
Nad górną wargą ciemniał meszek - kobiecy wąsik.
Na brodziemiała narośl, z której wyrastały krótkie twarde włoski.
Mówiła ostrym, energicznym tonem, jak mężczyzna.
Jednakże najwyraźniej, mimo swej agresywności, nie potrafiła przełknąć oskarżeń.
Po każdym wykrzykiwała:
- Rabbi, proszę zapalić czarne świece i otworzyć arkę!
Chcę przysiąc na Torę, na Czystość!
Ojciec był wstrząśnięty.
- Nie śpiesz się z przysięgami!
- Rabbi, wolno przecież przysięgać, żemówi się prawdę.
Gotowa jestem przysiąc przed czarnymi świecami i marami
oczyszczenia!
Kobieta pochodziła zapewne z prowincji, ponieważ mieszkanki Warszawy nie znały
takich przysięg i wyrażeń.
Zacisnęła dłoń w pięść i uderzyła nią w biurko ojca, aż zadzwoniły szklanki z herbatą.
Co kilka minut podbiegała do drzwi, jak gdyby zamierzała uciec i zostawić
innych zgromadzonych w pokoju.
Natychmiast jednak wracała, zapewniając odnowa o swojej niewinności i wysuwając nowe
argumenty przeciwko swoim oskarżycielom.
Nagle wydmuchała gwałtownie nos, wydając przy tym dźwięk przypominający do
złudzenia dęci w szofar.
Stałem zakrzęsłem ojca, drżąc z przerażenia.
Bałem się, że ta herod-baba kompletnie straci rozum - połamię stół, krzesła, pulpit ojca,
podrze książki i bezlitośnie pobije mężczyzn.
Matka, wąła osoba, co chwila otwierała drzwi i zaglądała do środka.
Z tamtej kobiety emanowała jakaś niepokojąca siła.
Atmosfera stawała się coraz gorętsza.
Jeden z mężczyzn, z czerwonym nosem i krótką siwą bródką, zebrał się z nową odwagą i
jeszcze raz oskarżył kobietę, wyzywając ją od kłamcy, defraudanta, nie szczędząc jej też
innych epitetów.
Nagle kobieta zerwała się z krzesła.
Pomyślałem, że rzuci się na tego drobnego siwego mężczyznę i zabije go namiejscu, ona jednak
zrobiła coś zupełnie nieoczekiwanego.
Otworzyła gwałtownie drzwi świętej skrzyni, chwyciła zwój Tory i zawołała rozdzierającym
serce głosem:
- Przysięgam na ten święty zwój, że mówię prawdę!
Po czym wymieniła po kolei wszystko, na co przysięgała.
Ojciec skoczył na równe nogi, jak gdyby chciał jej wyrwać rękę z dłoni, było jednak za późno.
Jej przeciwnicy stali bez ruchu, skamieniały.
Kobieta ochrypla, jej głos przerywały szlochy.

Ucałowała futerał zwoju i zaczęła zawodzić przejmującym, płaczliwym głosem, który kojarzył się z pogrzebem lub rzucaniem klątwy.

Przez długi czas w gabinecie panowało przytłaczające milczenie.

Ojciec stał, blady jak ściana, i potrząsał głową, jak gdyby czemuś przeczył.

Mężczyźni spoglądali na siebie mieszani i zbici z tropu.

Bez wątpienia nie było już czym mówić, spór się zakończył.

Kobieta wyszła pierwsza, potem mężczyźni.

Ojciec stał przez chwilę w kącie pokoju, ocierając łzy.

Przez wszystkie te lata unikał nawet przyjmowania ślubowania, a tu kobieta przysięgła na Torę w naszym domu, przed naszym zwojem.

Ojciec obawiał się surowej kary.

Matka krążyła po kuchni, ogromnie burzona.

Ojciec podszedł do świętej skrzyni, otworzył powoli drzwiczki, przesunął rodół, poprawił wałki.

Wyglądało to tak, jak gdyby chciał prosić zwój o przebaczenie za to, co się stało.

Zwykle po dintojrze ojciec omawiał z rodziną spornesprawy, tym razem jednak nikt się nie odezwał.

Dorośli postanowili chyba nie wspominać ani słowem o tym incydencie.

Przez następne dni nad naszym domem zawisło złowieszcze milczenie.

Ojciec spędzał więcej czasu namodlitwach w chasydzkim domu nauki.

Przestał ucinać sobie mną pogawędki.

Pewnego razu powiedział tylko, że ma wyłącznie jedną prośbę do Wszechmogącego - żeby nie musiał zarabiać dłużej na życie jako rabin.

Często słyszałem, jak wzdycha w dobrze znany mi sposób i błaga szeptem: "Ach, biada nam, dobry Ojciec.

". A czasami dodawał: "Jak długo jeszcze?

Jak długo?

".

"Wiedziałem, co ma na myśli - jak długo jeszcze będzie trwało to ciężkie wygnanie?
Jak długo jeszcze Szatan będzie miał władzę.

Powoli zaczęliśmy zapominać o tym incydencie.

Ojciec znów stał się przystępny, zaczął przytaczać rozmaite historie i opowiadać o chasydzkich tradycjach.

Tamta dintojramiałamiejsce w lecie.

Potem przyszły Trzy Tygodnie Żałoby, upamiętniające zniszczenie Świątyni, potem dziewięć dni Tisza be-Aw, najsmutniejszy dzień roku.

A gdy nadszedł Tu be-Aw, ojciec przystąpił znów do wieczornego studiowania ksiąg.

Podczas miesiąca elul w chasydzkiej synagodze naszym podwórzu rozbrzmiewał codziennie szofar, którym miał odstraszyć Szatana, oskarżyciela.

Wszystko odbywało się dokładnie tak, jak każdego innego roku.

Ojciec wstawał wcześniej.

O siódmej był już po porannych ablucjach i szykował się do przestudiowania zwykłej partii Talmudu.

Zachowywał się cicho, żeby nie obudzić matki i dzieci.

Ale pewnego ranka, o świcie, usłyszeliśmy gwałtowne pukanie do drzwi wejściowych.

Ojciec się zaniepokoił.

Matka usiadła na łóżku, ja wyskoczyłem z mojego.

Nikt nigdy nie dobijał się do naszych drzwi tak wcześnie rano.

7Q

r

Ludzie nieprzychodzą pytać o kwestie rytualne albo rozstrzygać spory, dopóki się całkiem nie rozwidni.

Takie natarczywe, gniewne pukanie mogło oznaczać tylko jedno

- wizytę policji.

Podczas szabatu zbierała się w naszym domu niewielka grupka wiernych w celu odprawienia modłów, a nie mieliśmy na to zezwolenia.

Ojciec żył w wiecznym strachu, że mogą go, nie daj Boże, zamknąć w więzieniu.

Zgodnie z rosyjskim prawem nie wolno mu było nawet udzielać ślubów ani rozwodów.

Wprawdzie posyłał regularnie przez pewnego "pośrednika" niewielkie sumki naczelnikowi cyrkułu i kapitanowi, ale kto wie, jaką decyzję może nagle podjąć rosyjska policja?

Ojciec nie miał odwagi otworzyć drzwi.

Nie znalazł ani słowa w języku rosyjskim ani polskim.

Matka narzuciła szlafrok i podeszła do drzwi.

Wciągnąłem spodnie, włożyłem buty i ruszyłem za nią.

Czułem dreszcz emocji na myśl o tym, że zobaczę naszymu policjanta w mundurze.
Matka spytała po polsku, zanim jeszcze otworzyła drzwi:

- Kto tam?

-Otwórzcie!

- odpowiedział ktoś w jidysz.

Pobiegłem do ojca z radosną nowiną, że nieznajomy jest

Żydem, a nie policjantem.

Wzniósł szybko oczy do nieba,

dziękując Panu Wszechświata.

Wróciłem pędem do kuchni, gdzie, ku mojemu zdumieniu, rozpoznałem kobietę, która przysięgała na zwój Tory.

W chwilę później matka zaprowadziła ją do gabinetu.

Ojciec wynurzył się z sypialni.

Hmm, oco chodzi?

- spytał irytacją.

Rabbi, jestem tą kobietą, która złożyła przysięgę.

'zaczęła wyjaśniać.

Hmm, nu?

Nu?

Rabbi, to, co muszę wyznać, jest poufne.

- Wyjdźcie z pokoju - polecił nam ojciec.

Matka wyszła, zabierając mnie ze sobą.

Miałem straszną ochotę podsłuchiwać, ale kobieta zmierzyła mnie ponurym spojrzeniem, jak gdyby chciała dać mi do zrozumienia, że zna się na takich sztuczkach.

Twarz jej zmizerniała, poszarzała, rysy się wyostrzyły.

Z gabinetu dobiegało mamrotanie, westchnienia, potem następowała chwila ciszy i znowu rozlegały się ściszone głosy.

Coś się tam działo tego chłodnego elulowego poranka, nie udawało mi się jednak rozróżnić słów.

Matka wróciła do łóżka, ja się również z powrotem rozebrałem.

Mimo że byłem zmęczony i powieki miciały, nie mogłem zasnąć.

Czekałem z niecierpliwością napowrót ojca, lecz minęła godzina, a oni wciąż szeptali w gabinecie.

W końcu zaczął mnie morzyć sen, gdy nagle drzwi się otworzyły i wszedł ojciec.

Twarz miał bladą jak płótno.

- Co się stało?

- spytała matka.

- Ach, biada, biada!

- zawołał ojciec.

- Biada nam - to

już koniec świata, koniec wszystkich końców!

- Oco chodzi?

- Lepiej nie pytaj.

Najwyższy czas na przyjście Mesjasza!

Wszystko jest w takim stanie.

"gdyż wody weszły w moją
duszę.

".

- No, mówżewreszcie, co zaszło!

- Niestety, ta kobieta popełniła krzywoprzysięstwo.

Niepotrafiła znaleźć spokoju.

Wyznała mi wszystko z własnej nieprzymuszonej woli.

Pomyśl tylko - krzywoprzysięgła
na zwój Tory!

Matka siedziała w milczeniu na łóżku.

Ojciec zaczął się kiwać, ale było w tym coś zupełnie innego niż zwykle.

Kołysała się w tył i w przód niczym drzewomiotane wichrem.

Pejsy trzęsły mu się przy każdym ruchu.

Wschodzący słońce rzucało na jego twarz czerwony blask, ruda broda
płonęła jak ogień.

- Co jej powiedziałaś, tato?

Ojciec spojrzał gniewnie w stronę mojego łóżka.

- Cóż to, nie śpisz?

Spij!

- Ojcie, słyszałem wszystko!

- Co słyszałeś?

Złe skłonności są silne, bardzo silne!

Zaparę groszy ludzie gotowi są sprzedać duszę!

Złożyła przysięgę, przysięgę na Torę.

Ale okazała skruchę.

Mimowszystko jest prawdziwą Żydówką.

Skrucha pomaga w każdej potrzebie!

- Ojciec wykrzyknął nagle: - Nawet Nebuzradan, gdy okazał skrucę, otrzymał przebaczenie.

Nie matakiego grzechu, którego niemożna by wymazać pokutą!

- Czy będzie musiała pościć?

-Po pierwsze, musi zwrócić pieniądze, ponieważ zostało powiedziane: "Zwróci to, co zabrał, gwałcąc prawo.

". Zbliżasie Jom Kipur.

Jeśli człowiek odczuwa skrucę całym sercem, Wszechmogący - niech będzie błogosławione Jego imię- rozgrzeszy.

Jest miłosiernym i wspaniałomyślnym Bogiem!

Słyszałem później, że kobietę dręczyły nocne koszmary.

Nie mogła sypiać ponocach.

Ukazywali jej się w snach zmarli rodzice, odziani w całuny.

Ojciec wyznaczył jej pokutę - miała pościć w poniedziałki i czwartki, dawać pieniądze na cele dobroczynne, powstrzymywać się przez pewien czas od jedzenia mięsa, z wyjątkiem szabatu i świąt.

Poza tym musiała zwrócić pieniądze, pamiętam bowiem, że widziałem jeszcze raz w naszym domu mężczyzn, którzy nieśli przeciwko niej oskarżenie.

W wiele lat później ojciec ciągle jeszcze opowiadał o tym wydarzeniu.

Jeśli kiedykolwiek podczas dintojry ktokolwiek choćby napomknął o przysiędze, przytaczał historię tej kobiety.

Ja zaś zawsze miałem wrażenie, że zwój Tory również wszystko pamiętał i ilekroć ojciec po raz kolejny wspominał o tym incydencie, tam, po drugiej stronie aksamitnej zasłony, okrywającej jarzę, zwój przysłuchiwał się temu.

Purimowy prezent

Nasze mieszkanie nigdy nie było do końca urządzone.
Gabinet ojca świecił pustkami -znajdowały się w nimwyłącznie książki.
W sypialni stały tylko dwa łóżka i nicpoza tym.
Matka nie trzymała żywności w spiżarni.
Kupowała dokładnietyle produktów, ile potrzebowała najeden dzień, i ani odrobiny więcej,
ponieważ na zapasybrakowało pieniędzy.
W domachsąsiadów widywałemdywany,obrazy na ścianach, miedziane misy, lampy i
figurynki.
Ale u nas, w domu rabina, takie luksusybyłyźle widziane.
Obrazy i posążki w ogóle nie wchodziływ rachubę, moi rodzice uważali je za
bałwochwalstwo.
Pamiętam, że pewnegorazu zamieniłem się zkolegąw chederze na Pięcioksiąg, ponieważ jego
miał na kartetytułowej podobizny Mojżesza z tablicami w dłoniach,Aarona w szacie
kapłańskiej i napierśniku oraz dwóchaniołów.
Matka zmarszczyła brwina widok tej książki,po czym pokazała ją ojcu, onzaś oświadczył, że
niewolno mieć takich obrazkóww świętejsiędze.
Zacytowałprzykazanie: "Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnegoobrazu.
".

Księga Wyjścia 20,4 (przyp.
tłum.
).

82

Do tej twierdzy żydowskiego purytanizmu, gdzie ciało było uważane jedynie za
dodatek do duszy, święto Purimwprowadzało posmak zbytku.

Wszyscy sąsiedzi przysyłaliszalech-mones- podarunkipurimowe.
Od wczesnego popołudnia przychodzili posłańcy, przynosząc wino,miód
pitny,pomarańcze,ciasto i herbatniki.
Jakiś hojny ofiarodawcaprzysłał puszkę sardynek,inny - wędzonego łososia, trzeci - rybę
faszerowaną, przyprawioną nasłodko-kwaśno.
Przynoszonojabłka, starannieowinięte wbibułkę, daktyle, figi - wszystko, czego tylkodusza
zapragnie.

Na stole piętrzyły się smakołyki.

Potemzjawiali się mimowie w maskach,w hełmach na głowach,z tekturowymi tarczami i
mieczami, oklejonymi złotymi srebrnym papierem.

Dla mnie był to wspaniałydzień, alerodzicom nie podobały się te ekstrawagancje.

Kiedyś pewien zamożny mężczyznaprzysłał namkilka butelekangielskiego ale.

Ojciecprzyjrzał się butelce z kolorową etykietkąwestchnął.

Na etykietce znajdował się wizerunekmężczyzny o rumianej twarzy, jasnych wąsach, w
kapeluszu z piórem.

Jego zamroczone alkoholem oczy pełne były pogańskiej radości.

- Ileż oni tracąenergii i wysiłku umysłowego na marność tego świata -
powiedziało im ojciec.

Później tego samego dnia ojciec częstował chasydów winem.

Nie jadaliśmy warszawskich ciast, ponieważ nie mieliśmy pewności, czy warszawscy Żydzi są
dostatecznie skrupulatni, jeśli idzie o zakazy dietetyczne.

Skąd mogliśmy wiedzieć, czy nie piekli ciasta z dodatkiemkurzego tłuszczu, a wtedy nie wolno
byłoby nam spożywać gorazemz innymi produktami, zawierającymi mleko.

Mimówteż szybko odprawiono, ponieważ noszenie masek i śpiewy trąciły teatrem, a teatr jest czymś trefnym- nieczystym.
W naszym domu sam "świat" był trefny.

83.

Musiało upłynąć wiele lat, zanim zacząłem rozumieć, jak bardzo rozsądne było to nastawienie.

Ale ulica Krochmalna nie chciała zwracać uwagi na takierzeczy.

Dla Krochmalnej święto Purim było wspaniałym karnawalem.

Na ulicy roilo się od przebierańców i posłańców z prezentami.

Pachniało cynamonem, szafranem i czekoladą, świeżo upieczonym ciastem, najrozmaitszymi przyprawami i słodkościami, których nazw nie znałem.

W sklepach ze słodyczami sprzedawano herbatniki, wyobrażające króla Ahaswerusa, niegodziwego Hamana, szambelana Harbonę, królową Wasztioraz Wajeżatę, dziesiątego syna Hamana.

Przyjemnie było odgryźć kawałek nogi Hamanowi albo przełknąć głowę królowej Estery.

Panowała radosna wrzawa przekór wszystkim Hamanom wszechczasów.

Narzeczeni oraz chłopcy i dziewczęta "chodzący ze sobą" obowiązkowo posyłali sobie purimowe upominki.

Stanowiło część zwyczajowej wymiany zaręczynowych prezentów.

Z powodu jednego takiego upominku powstał spór, który omal nie doprowadził do dintojry w naszym domu.

Młody mężczyzna posłał swojej narzeczonej srebrną szkatułkę, gdy jednak dziewczyna otworzyła ją - w obecności siostry i przyjaciółek, które niecierpliwie czekały, kiedy przyniosą podarunek - okazało się, że w środku znajduje się zdechła mysz!

Dziewczyna wydała nieludzki krzyk, po czym zemdląła.

Pozostałe panny piszczały przeraźliwie.

Gdy wreszcie ocucono narzeczoną za pomocą kompresów z zimnej wody i octu, a jej przyjaciółki zebrały myśli, zaczęły wspólnie planować zemstę.

Przyszła oblubienica na powód burzającego postępkuswego chłopaka.

Kilka dni wcześniej pokłócili się.

Po długich rozmowach i namysłach młode kobiety postanowiły odplacić złośliwemu młodzieńcowi pięknym za nadobne.

Tyle że zamiast zdechłej myszy posłały mu delikatesowy tort - nadziany odpadkami.

Piekarz został dopuszczony do spisku.

Dziewczęta z Krochmalnej potraktowały ten konflikt jak wojnę płci, a cała ulica miała powód do śmiechu podczas święta Purim.

Najdziwniejsze jednak, że młodzieniec, chociaż sam dopuścił się tak ohydnych czynów, nie spodziewał się równie odrażającego odwetu i przeżył nie mniejsze zaskoczenie niż przedtem jego narzeczoną.

Ludzie natychmiast podkoloryzowali całe wydarzenie.

Dziewczęta z Krochmalnej zawsze uchodziły za śmieszki.

Często słychać było wybuchy niepohamowanego śmiechu, niemal jak gdyby dochodziły z zakładu dla obłąkanych.

Tym razem chichoty i głośny śmiech rozbrzmiewały na całej ulicy.

Podczas purimowej uczty młodzieńca również otaczali przyjaciele.

To oni podbechtali go do splątania tego figla.

Tak, tamten Purim był naprawdę wesoły.

Alena i jej rodzina w tym dniu wytrzeźwili i skłócone rodziny stawiły się u nas na dintojrę.

Gabinet ojca był dosłownie zapchany ludźmi.

Narzeczoną przyprowadziła swoją rodzinę i przyjaciółki, a przyszłemu panu młodemu towarzyszyli jego krewni i kumple.

Wszyscy przekrzykiwali się, wchodząc po schodach, i nadal krzyčili w ten sposób przez pół godziny, a może dłużej, tak że ojciec nie mógł się połapać, kto jest powodem, kto pozwanym z jakiego powodu jest całe to zamieszanie.

Kiedy tak wszyscy krzyčili, wrzeszczeli, obrzucali się obelgami i przekleństwami, ojciec wertował spokojnie jedną ze swoich ksiąg.

Wiedział, że prędzej czy później się uspokoją.

Przecież Żydzi nie są bandytami.

Na razie, nie chcąc tracić czasu, postanowił dowiedzieć się, co miał na myśli rabbi Samuel Eliezer Edels, zwany

Maharsza, w swoim komentarzu do Talmudu: "Imożna również powiedzieć.

".

Byłem obecny w pokoju i wkrótce dowiedziałem się wszystkiego o całej sprawie. Przysłuchiwałem się uważnie

każdej obeldze, każdemu przekleństwu.

Kłótnia była zacięta, dogadywano sobie wzajemnie, ale co jakiś czas ktoś Wtrącał łagodne słowo lub poddawał myśl, że nie ma sensu zrywać zaręczyn z powodu takiego głupstwa.

Inni natomiast odgrzebywali dawne grzechy.

To wściekali się nasiebie wzajemnie, to znów za chwilę zmieniali ton i byli dla siebie uprzejmi i przyjaźni.

Już we wczesnym dzieciństwie i później zauważyłem, że jeśli idzie o większość ludzi, tylko jeden mały krok dzieli wulgarność od "wytworności", szturchańce od pocałunków, plucie sąsiadowi w twarz od

zasypywania go uprzejmościami.

Gdy w końcu przestali krzyczeć i wszyscy doszczętnie

zachrypli, ktoś wreszcie opowiedział ojcu całą historię.

Ojciec był wstrząśnięty.

- Wstyd, wstyd!

Jak można robić takie rzeczy?

To pogwałcenie prawa: "Nie będziecie brukać waszych dusz.

". Inaczej zaczął cytować biblijne wersety i przykazania.

Po pierwsze, czyn był bezbożny; po drugie, obrzydliwy; po trzecie, takie czyny prowadzą do gniewu, plotek, pomówień, niezgody i Bóg wie czego jeszcze.

Są również niebezpieczne, ponieważ ofiara, nękana mdłościami, może się poważnie rozchorować.

A już skalenie pokarmów, które Bóg stworzył, by zaspokoić głód człowieka, i nad którymi należało odmawiać modlitwy dziękczynne, jest samow sobie świętokradztwem.

Ojciec napomknął o mędrca, który mawiał, że zasługuje na długie życie, choćby tylko dlatego, że nie zostawił nigdy okruszyny chleba na ziemi.

Przypomniał im, że po to, by oni mogli upiec ciasto, ktoś musiał zaorać ziemię i zasiać ziarno, a potem musiał spaść z niebadeszcz irosa.

To niemało, że z ziarna gnijącego w ziemi wyrasta źdźbło pszenicy.

Wszyscy mędracy świata, zebrani razem, nie potrafili by stworzyć takiego źdźbła.

A tutaj ludzie, zamiast wysławiać Wszemogącego i dziękować

Muza jego szczodroliwość, wzięli ten dar i posłużyli się nim do drażnienia się sąsiadami - sprofanowali to, co On stworzył.

Tam gdzie przed chwilą panował ogólny rwetes, teraz zapadła cisza.

Kobiety ocierały oczy fartuszkami.

Mężczyźni skłonili głowy.

Dziewczęta wstydliwie spuściły oczy.

Po reprimendzie ojca nie było już więcej mowy o dintojrze.

Wszystkich najwyraźniej ogarnął wstyd i podniosłe uczucia.

Przez ustam ojca przemówiła Tora i zgromadzeni w pokoju rozumieli, że każde słowo jest słuszne.

Częstokroć bywałem świadkiem, jak ojciec za pomocą prostych słów gromił małostkowość, próżną ambicję, niemądre urazy i zarozumiałstwo.

Po upomnieniu, którego udzielił im rabin, narzeczeni pogodzili się.

Matki, które jeszcze kilka minut temu obrzucały się obelgami, teraz się obejmowały.

Mówiono o ustaleniu daty ślubu.

Ojciec nie otrzymał zapłaty, ponieważ nie odbyła się prawdziwa dintojra.

Jego dobrotliwe strofowanie pozbawiło go środków dożycia.

Mimoto jednak tygodnie dzielące Purim od Pesach były dla nas okresem względnego dobrobytu.

Wraz z purimowymi smakołykami sąsiedzi przesłali nam po pół rubla, a nawet po rublu.
A wkrótce miała się zacząć sprzedaż macy.

Gdy gabinet opustoszał, ojciec zawołał mnie do siebie i przestrzegł, żebym brał pod
rozważenie to, co może przydarzyć się ludziom, którzy nie studiują Tory, lecz są pochłonięci
wyłącznie marnościami tego świata.

W następną szabat, po zjedzeniu czulentu, wyszedłem na balkon.

Powietrze było łagodne.

Śnieg już dawno stopniał.

Chodniki były suche.

Rynsztokiem płynęły strużki wody, w ich pofalowanej powierzchni odbijał się błękit nieba
i złote promienie słońca.

Młode pary z ulicy Krochmalnej wyruszyły na szabatowy spacer.

W pewnej chwili.

zauważyłem tamtych dwoje, którzy posłali sobie paskudne purimowe prezenty.

Szli pod rękę, uśmiechnięci, rozmawiając z ożywieniem.

Chłopak i dziewczyna posprzeczały się - no i co z tego?

Stałem na balkonie w atlasowym chałaciei aksamitnym kapeluszu, rozglądając się dookoła.

Jakiż ogromny jest ten świat, iluż to ludzi na nim mieszka, ile dziwnych rzeczy się dzieje!

I jak wysoko wznosi się naddachami kopułanieba, jak głęboko sięga ziemia pod płytami chodnika!

I dlaczego mężczyźni i kobiety się kochają?

I gdzie jest Bóg, który mnieustannie mówi się w naszym domu?

Byłem zdumiony, zachwycony, urzeczonej.

Czułem, że muszę rozwiązać zagadkę sam, pojąć ją własnym rozumem.

Samobójstwo

W naszym domu rozmawiano na najrozmaitsze tematy.

Starsze dzieci czytały codzienne gazety, łącznie z powieściami w odcinkach.

Słyszałem, jak opowiadają o zakwefionych kobietach, przerażających tajemnicach i zgubnych namiętnościach.

Nawet ojciec mówił czasami o nieodpowiedzialnych mężczyznach, którzy zakochują się w niemoralnych kobietach, a potem, jeśli nie mogą zaspokoić żądzy, chwytają za rewolwer i strzelają sobie w łeb.

Najbardziej jednak zafascynowała mnie historia mężczyzny, który usłyszał o nierządniczy w dalekim kraju, biorącej za usługę czterysta guldenów.

Udał się do niej, a ona przygotowała dla niego złote łóżko.

Potem usiadł nagi obok niej, ona też była naga.

Nagle frędzle jego tałesu uniosły się i wychłostały go po twarzy.

W końcu zarówno mężczyzna, jak i kobieta wyrazili skruchę.

On ją poślubił, a łóżko grzechu przeobraziło się w poświęcone łóżko małżeńskie.

Ta opowieść, którą mężczyźni wygłaszali natychmiast po Psalmach, ogromnie mnie intrygowała.

Dlaczego mężczyzna miałby pragnąć nierządniczy?

I dlaczego mają siedzieć obok siebie nagi?

Czemu się z nią potem ożenił?

Zdawałem sobie sprawę, że nie ma sensu o to pytać.

Rodziciele dla mnie zawsze taką samą odpowiedź - to nie są

OQ.

sprawy dla dzieci.

Zrozumiesz wszystko, gdy dorośniesz.

Ale lata mijały, a jawcięż byłem tylko małym chłopcem.

Czas płynął tak wolno.

Tymczasem na Krochmalnej wydarzyła się tragedia.

Zwykle w szabatowy poranek na ulicy panował spokój.

Sklepy były pozamykane na żelazne sztaby i kłódki.

Niedorostki, szwendające się normalnie poplacu, nie miały nic do roboty.

Nie można było palić ani grać na pieniądze, niemożna też było nickupić - ani lemoniady, ani chałwy, ani cukierków z lukrecją, ani herbatników w czekoladzie czy jabłek w cieście.

Ulubione miejsca spotkań złodziei również były zamknięte.

W tamtych czasach nikt jeszcze nie ośmieliłby się jawnie sprofanować szabatu.

Wśród złodziei i paserów trafiali się nawet tacy, którzy uczęszczali do synagogi.

W szabat, przedczuleniem, na Krochmalnej było
naprawdę spokojnie.

Ale tamtego dnia na ulicy powstało jakieś zamieszanie.

Zebrał się spory tłum.

Wyszedłem na balkon.

Może wybuchł pożar?

Jeśli tak, to gdzie są strażacy?

Gdzie policja?

Gdzie wozy strażackie, ciągnięte przez stukające kopytami konie, gdzie węże gaśnicze, drabiny i cała ta hałaśliwa maszyneria?

I dlaczego nie widać mosiężnych hełmów?

Nie, to niepożar ani bójka na pięści.

Tłum składał się nie tylko z młokosów, lecz również ze starszych mężczyzn i kobiet.

Zawołałem jednego z chłopaków do siebie i spytałem, co się stało.

Odpowiedział mi, że otrul się pewien młodzieniec,
czeladnik u szewca.

- Dlaczego się otrul?

- Bo był zakochany!

Mała grupka wiernych, zebranych w naszym domu, nie mówiła o niczym innym przed modlitwą, po niej, a nawet w jej trakcie, tylko o młodym szewcu.

Zakochał się dziewczynie i ostrzegł swoich rodziców, że jeśli nie będą mogli jej poślubić, zrobi coś strasznego.

Jeżeli nie stanie z nią pod ślubnym baldachimem, będą musieli wykopać dla niego grób.

Ale rodzice trwali w uporze, zresztą rodzice dziewczyny również.

Życie dwojga młodych było pełne gorczy.

W piątek wieczorem wybrał się ukochana ostatni spacer do Ogrodu Saskiego.

Rano, kiedy matka weszła do sypialni, żeby go obudzić, już nie żył.

Obok łóżka stał flakonik z trucizną.

Na stole znaleźli list, który napisał w piątek w nocy.

Na Krochmalnej zawrzało.

Kobiety płakały, załamywały ręce, ocierały oczy fartuchami.

Mężczyźni rozmawiali, szeptali.

Chłopcy kręcili się wszędzie, próbując podsłuchać rozmowy.

Tak jak w każdy szabat poszedłem do piekarza po naszczułem, zostawiony tam na noc w piecu.

Piekarnia wyglądała jak po pogromie.

Dziewczęta rozmawiały, płakały, przeklinały fanatyków, którzy stanęli na drodze młodemu kochankom.

Jedna z kobiet stała pośrodku sklepu z wielkim garem czuleni i lamentowała:

- Biada nam, taki wdzięczny młodzieniec!

Pięknym księżu!

Kiedy wychodził z domu, to jakby słońce rozświetlało całą ulicę!

Tak, miłość jest potężną siłą.

Była nią nie tylko w dawnych czasach i w dalekich krajach, gdzie nierządnicę szykowały złote łóżka, lecz również tutaj, na ulicy Krochmalnej.

Ileż to się działo na naszej ulicy, było oczywiste, że prędzej czy później zainteresowana strona zjawia się u nas w domu.

Siedzieliśmy jeszcze przy stole, matka kładła nam czuleniek na talerze.

Ojciec śpiewał szabatowe pieśni.

Nagle drzwi się otworzyły i weszła matka samobójcy.

A właściwie tyle weszła, ile wpadła do pokoju.

Twarz miała zaczerwienioną, oczy zapuchnięte, na głowie chustę - ilustracja codziennego świata, ucieleśnienie cierpienia.

Ojciec przerwał śpiewy.

Matka odstawiała zulent.

Nasz szabatowy odpoczynek został zakłócony.

- Rabbi, świątobliwy rabbi!

Ojciec wypowiedział zwykłe słowa pocieszenia.

Nie wolno płakać w szabat.

Niestety, nieszczęsny młodzieniec popełnił ciężki grzech, ale z pewnością Bóg już mu przebaczył.

Bóg jest miłosierny.

Lecz kobiety nie sposób było pocieszyć, wpijała palce w policzki, jak gdyby chciała rozszarpać się na kawałki.

- Taki oddany syn!

Taka poczciwa dusza!

Rabbi, co ja

pocznę - dokąd mam się zwrócić?

Okryłamnie hańbą.

Moje imię zostało zszargane wobec świata.

Lepiej byłoby, żeby umarł jako małe dziecko i nie dożył tego dnia.

Mój mąż jest chory.

W naszym domu jest dzisiaj Tisza be-Aw

- dzień zniszczenia!

Oczy ojca zwilgotniały, kiwał się na boki.

Matka wybiegła do kuchni, żeby wypłakać się w samotności.

Po dłuższej wilo rozmowy stało się jasne, że kobieta przysłała poprosić swojego ojca, żeby użył swego wpływu po to, by jej syn miał przyzwoity pogrzeb i został pochowany na cmentarzu, a nie poza jego murem, w miejscu przeznaczonym

dla samobójców.

- On nie wiedział, co robi!

To ta dziewczyna doprowadziła go do szaleństwa.

Oby sama dostała pomieszania zmysłów.

Niech biega po ulicach jak szalona.

Niech trzęsą ją lodowate deszcze, niech ją trawi gorączka.

Niech dopadnie ją epilepsja!

Ojcze niebieski, niech i ona zakosztuje smaku mojej niedoli, goryczy mego serca.

Oby szła za trumnami swoich dzieci.

Dziwka, zdzira,

latawica!

Ojciec zasłonił sobie uszy.

- Nie przeklinaj, kobieto!

Dziś jest szabat.

Nawet

w dzień powszedni nie wolno przeklinać!

- Jeśli mogło się zdarzyć coś takiego, to Bóg nie istnieje!

- wykrzyknęła kobieta nieludzkim głosem.

- "Żaden człowiek nie jest osądzany w godzinie boleści.

" - powiedział szeptem ojciec, może do mnie, może do nikogo, po czym natychmiast skomentował: - Kiedy ktoś bluźni w chwili wielkiego nieszczęścia, jego słowa nie będą oceniane zbyt surowo.

Ojciec przyrzekł kobiecie, że postara się dopilnować, by jej syn został pochowany, jak należy, na terenie cmentarza.

Ale jakie miał wpływy we władzach gminy warszawskiej?

Kto się będzie liczył z byle rabinem z Krochmalnej?

Całkiem inna sprawa, jeśli idzie o Pana Wszechświata.

Każdy może błagać go o łaskę, każdy może otworzyć przednim serce.

Ojciec prawie nie tknął zuleniu ani kugła, mięsa anicymesu.

Zamknął oczy i kiwał się bez ustanku, w tył w przód, w tył i w przód.

Tutaj, w domu, wśród świętych ksiąg, zapanował nowy spokój szabatu, lecz ulica rozbrzmiewała krzykami, królowały na niej kradzieże, rozboje, walka, niesprawiedliwość.

Na rokczy dwa przednasz przeprowadzką do Warszawy miała miejsce rewolucja.

Ludzie wciąż jeszcze wspominali "krwawą środę" i zamach bombowy Borucha Szulmana na carskiego policjanta.

Młodzi Żydzi nadal siedzieli w więzieniach albo byli zesłani na roboty w głąb Rosji, Ojciec nigdy nie wychodził na balkon, chyba że podczas bardzo upalnych letnich wieczorów, kiedy nie można było wytrzymać w mieszkaniu.

Balkon był już częścią ulicy, tłumy, świata gojów i jego brutalności.

Krzywił się nawet, gdy ja wychodziłem na balkon.

Zawsze cytował werset: "Cała pełna chwały wchodzić ó r królewska.

". Mawiał, że królewskim dzieciom bardziej

Księga Psalmów 45,14 (przyp.

tłum.

)..

przystoi pozostawać w pałacu - a wszyscy Żydzi są dziećmi wielkiego Króla.

Zazwyczaj po szabatowej uczcie ojciec brał jedną ze swoich ksiąg i czytał ją, leżąc.

Tym razem jednak został ze mną w gabinecie.

Najpierw udzielał mi porad etycznych i wskazówek moralnych, po chwili jednak zaczął omawiać kabałę,

- Nie jest to prosta sprawa, bynajmniej nie prosta - powiedział.

- Świat jest pełen zagadek, wszystko dzieje się zgodnie z jego porządkiem, we wszystkim tkwi tajemnica

tajemnic.

- Ojcie, znasz kabałę?

- Mówisz jak dziecko.

Czy człowiek zdoła wyczerpać wodę z oceanu?

Każde słowo, każda litera Tory zawiera miliony tajemnic.

Nawet cadykowie, szlachetni mędrcy, nie rozumieją jej tysięcznej części.

Nawet Mojżesz, nasz wielki nauczyciel, nie znał jej całej.

Każdy rozumie tyle, na ile zasługuje jego dusza, odpowiednio do poziomu duchowego rozwoju.

Dopóki dusza jest uwięziona w ciele, nie potrafi w pełni pojąć świata na górze.

Ale wszystko ma swoje uzasadnienie, wszystko ma swoje uzasadnienie.

Człowiek został stworzony na podobieństwo Boga.

Jego dusza wywodzi się z Tronu Chwały.

W sekundę po uwolnieniu ze śmiertelnej powłoki dusza nosiwody może zrozumieć więcej niż najwybitniejszy żyjący cadyk.

- Ojcie, czym jest miłość?

- Czym jest miłość?

Trzeba kochać Wszechmogącego.

"Będziesz miłował Pana, Boga twojego, z całego swego serca, z całej duszy swojej, ze wszystkich swych sił.

"" Widzisz, ja cię kocham, ponieważ jesteś moim dzieckiem.

Ale kto cię stworzył?

Stwórca Wszechświata.

Skoro ko Księga Powtórzonego Prawa 6,5 (pnyp. tium.

).

cham ciebie, to, rzecz jasna, muszę kochać Stwórcę, bez niego bowiem nie istnielibyśmy ani ty, ani ja.

Co oznacza, że cała miłość należy do Stwórcy, tylko do Niego.

Człowiek mądry to rozumie i kieruje całą miłością z powrotem do jej źródła.

- Ojcie, czy to jest kabała?

- Jakie to znaczenie?

To jest prawda.

- Ojcie, co spotka młodego szewca natam tym świecie?

Ojciec machnął ręką, słysząc moje pytanie.

- Popęłnił straszliwy błąd, ale Pan Wszechświata jest Bogiem miłosiernym i pełnym współczucia.

Dusza zostanie oczyszczona i powróci do swego źródła.

Albowiem wszyscy jesteśmy Jego dziećmi, a czy ojciec może skrzywdzić swoje dziecko?

Kiedy dziecko się ubrudzi, ojciec czyści jej obmywa.
Dziecko płacze, bo tego nie rozumie, ale ojciec chce przecież jak najlepiej.
Wie, że brud może być przyczyną choroby i robactwa.
Ojciec mówił tak do mnie przez długi czas.
Powiedzieliśmy, że we wszystkim tkwi cząstka boskości.
Nawet błotow rynsztoku zawiera boskie iskielki, bez nich bowiem nie mogłoby istnieć.
W końcu zaczął ziewać i mrugać powiekami.
Dał mi Karzącą różgę i powiedział:
- Przeczytaj tłumaczenie.
To święta księżka.
Poszedł do sypialni.
Gdy się położył, wybiegłem na podwórze.
Chłopcy ganiaли się, dziewczęta szeptały sobie na ucho sekrety, bawiły się orzechami,
śpiewały, tańczyły.
Jakiś obłąkany mężczyzna krzyczał, a ulicznik rzucał w niego kamieniami.
Nagle otworzyło się okno i kobieta chlusnęła wiadrem wody na głowy młodych
łobuziaków, nie pozwalających jej spać.
Z sutereny wyszedł garbaty chłopak i spytał:
- Chcesz zagrać w cymbelgaję?
- Nie, w szabat nie wolno.
qi;

- No, to może w pikuty?

- W szabat jest zabronione.

- Pobożny dureń!

- skomentował.

- Garbaty złodziejaszku, wołałbym cukierka!

- wrzasnął chłopak stojący za nim.

- Hej, ty, pobawisz się zemnąw złodziei i policjantów?

-zawołał do mnie przez podwórko jakiś inny chłopiec.

'Wybraliśmy strony i ja zostałem "złodziejem".

Pobiegłem, żeby ukryć się w piwnicy, lecz nagle ogarnął mnie strach.

Przypomniałem sobie młodzieńca, który się otruli, i słowa ojca o tajemnicach Tory - wszyscy jesteśmy Bożymi dziećmi, w każdym z nas zamieszkuje dusza, którą wywodzi się z Tronu Chwały.

Nawet w błocie tkwią iskiere boskości.

Przystanąłem na schodkach prowadzących do piwnicy i zamknąłem oczy.

Naprawdę czułem, że w moim ciele tkwi święta dusza, cząsteczka boskości.

Ujrzałem w ciemności ognisty kwiat, błyszczący jak złoto, jasny jak słońce.

Otworzył się jak kielich, ukazując intensywne barwy: żółć, zieleń, błękit, purpurę.

Takie kolory kształty widuje się tylko w snach.

Ktoś pociągnął mnie za rękę, Wstrząsnął mną dreszcz, Był to "policjant", który złapał mnie, "złodzieja".

Nagle zabawa znudziła mi się, poszedłem sam w kierunku ulicy Gnojnej.

Do kraju Izraela

Niektórzy ludzie mają chyba los wypisany natwarzy.

Takim człowiekiem był Mosze Blecher spod dziesiątki na Krochmalnej, blacharz.

Choć prosty i ubogi, miał w sobie coś, co mnie intrygowało.

Po pierwsze, wyglądał jak Żyd Ziemi Świętej, jak Jeminita lub mieszkaniec ziemi starego króla Ahaswerusa.

Miał pokrytą zmarszczkami twarz, ogorzałą iśniadą, o żółtawym odcieniu, jak gdyby tropikalne słońce paliło ją od dawien dawna.

Po drugie, z jego oczu wycierała zaduma, jakiej się nie widuje w tych stronach.

Odnosiło się wrażenie, że jego oczy potrafią przeniknąć tajemnice przeszłości, a może i przyszłości.

Mosze Blecher przypominał biblijnego uczonego, a w rozmowach z moim ojcem rozwodził się zawsze na jeden temat - przyjścia Mesjasza.

Znał wszystkie wersety i komentarze, dotyczące Mesjasza.

Szczególony stosunek miał do niejasnych prorocstw Daniela.

Zawsze był nimi pochłonięty i ilekroć był o nich mowa, jego zamyslane oczy przybierały jeszcze bardziej nieobecny wyraz.

Często podglądałem Moszego, gdy pracował na dachu.

Warszawskie dachy są spadziste i niebezpieczne.

Ale Mosze Blecher chodził po nich z pewnością somnambuhka.

Za każdym razem, gdy przypatrywałem się, jak pracuje wysoko

w górze nad kocimi łbami, ogarniał mnie lek.

Stojący natakiej wysokości, Mosze Blecher wydawał się człowiekiem nadzwyczajnej mocy, nawykłym do cudów, niepodlegającym zwykłym prawom.

Ni stąd, ni zowąd przerywał pracę, wznosiłoczy ku niebu, jak gdyby spodziewał się, że zachwilę zobaczy anioła lub serafina, oznajmiającego nadchodzące zbawienie.

Czasami zadawał ojcu bardzo trudne pytania.

Znajdował sprzeczności w Talmudzie.

Chciał wiedzieć, ile upłynie czasu od męczeństwa pierwszego Mesjasza, syna Józefa, doprzyjścia drugiego Mesjasza, syna Dawida.

Mówił o szofarze, baranim rogu, zwiastującym nadejście Mesjasza, o osle, na którego grzbiecie przyjedzie, i o legendzie, głoszącej, że zatrzyma się u bram Rzymu, rozwijając i na nowo zawijając bandaż na swoich ranach.

Mosze Blecher był wielce oburzony z powodu przepowiedni mędrca Hillela, że Mesjasz niewyzwoli Żydów, ponieważ został "zużytkowany" w czasach króla Ezechiasza.

Jak świątobliwy mąż mógł powiedzieć coś takiego?

I co oznacza myśl zawarta w Misznie, że wszystko, co dzieli terazniejszość od ery mesjanizmu, jest zdobyczą królestwa żydowskiego?

I to wszystko?

Ile czasu, na przykład, upłynie od nadejścia Mesjasza do zmartwychwstania umarłych?

I kiedy spuści się z nieba
ognista świątynia?

Kiedy?

Kiedy?

Mosze Blecher mieszkał w suterenie, ale był tam schludnie i czysto.

Zawsze paliła się lampanaftowa.

Łóżka były zasłane.

Nie poniewierały się szmaty, tak jak winnych suterенach.

Podścianą stała szafka wypełniona książkami.

Chodziłem do niego, ponieważ czytał gazety w jidysz i pożyczałem je.

Siedział przy stole, w okularach nanosie, i przeglądał gazety, szukając wyłącznie wiadomości z Palestyny oraz z krajów, gdzie odbędzie się ostateczna walka dobrze złem, gdzie Bóg zrzuci głazy z niebios.

Interesowały

go miejsca, gdzie, jak przypuszczano, jest raj oraz rzeka Sambation, nad którą być może trafiły niektóre z Dziesięciu Zaginionych Plemion.

Mosze Blecher wiedział wszystko o zaginionych plemionach i niejednokrotnie wypsnęło mu się, że gdyby mógł zapewnić byt swojej rodzinie, wyruszyłby na poszukiwanie przepadłych braci.

Aż tu nagle rozeszła się wieść, że Mosze Blecher wyjeżdża do kraju Izraela z całą rodziną.

Nie pamiętam wszystkich członków jego rodziny.

Przypominam sobie tylko, że miał dorosłego syna, może dwóch.

Decyzja Moszego Blechera o wyjeździe do Palestyny nie była kaprysem, lecz rezultatem głęboko zakorzenionego pragnienia.

Wszyscy zastanawiali się, dlaczego zwlekał tak długo.

Szczegóły zatarły się w mojej pamięci, pozostały tylko pojedyncze wydarzenia, ponieważ byłem na ówczas jeszcze dzieckiem.

Ludzie odwiedzali blacharza w jego suterenie.

Dawali mu listy, żeby umieścić je w Ścianie Płaczu, w grobowcu Racheli lub w Grocie Makpela.

Starsi ludzie prosili, żeby przysłał im woreczki ze świętą ziemią.

Mosze Blecher chodził radosny, z jego oczu wycierała tęsknota i oczekiwanie, i jakaś nieziemską błogość.

Można powiedzieć, że miał Ziemię Świętą wypisaną na twarzy, która przypominała w czymś mapę.

Pewnego dnia, wczesnym wieczorem, pod nasz dom podjechał furgon.

Był tak ogromny, że wyglądał jak omnibus.

Do dzisiaj nie potrafię zrozumieć, po co Mosze Blecher wynajął taki furgon.

Może zabierał ze sobą wszystkie meble?

Nagle na Krochmalnej zrobiło się tłoczno.

Chyba wszyscy Żydzi przyszli, żeby go pożegnać.

Całowaligo, płakali, modlili się, żeby przybył Mesjasz i położył kres diasporze.

Podróż Moszego Blechera zdawała się zapowiadać nadejście Odkupiciela, jak gdyby był jego zwiastunem czy wysłannikiem.

Jeśli Mosze Blecher wyjeżdża.

do Palestyny z całą rodziną, musi to być znak, że Kres

Dni jest bliski.

Minęły miesiące.

I w końcu nadeszły smutne wieści.

Mój ojciec otrzymał list, z którego dowiedzieliśmy się, że Mosze Blecher nie mógł znaleźć pracy w Ziemi Świętej.

Cierpiał biedę i głód.

Przez wiele miesięcy oni jego rodzina żywilisę wyłącznie ryżem i wodą.

Wszyscy domownicy bardzo się zmartwili, ponieważ kochaliśmy Moszega Blechera i mieliśmy nadzieję, że osiedli się w Ziemi Świętej i sprowadzitał wszystkich Żydów z Krochmalnej.

Mosze Blecher wydawał się w jakiś sposób spowinowacony ze wszystkimi.

Było to w przeddzień Jom Kipur.

Nabożeństwa odbywały się w naszym domu i podczas poobiednich modłów wystawiano tace, na które rzucano monety na różne celedobroczynne - na opiekę nad chorymi, na wyposażenie ubogich panien młodych, na jesziwy.

Ojciec wystawił tacę, na której umieścił kartkę z napisem: "Nareba Moszega Blechera".

Pod kartką leżał list, który Mosze Blecher przysłał mojemu ojcu.

Mężczyźni i kobiety, którzy przychodzili na nabożeństwa do naszego domu, nie zwykli szastać pieniędzmi.

Za absolutnie wystarczający datek uważano cztery, sześć czy dziesięć groszy.

Jednakże ta szczególna taca miała jakąś magiczną właściwość.

Kładziono na niej czterdziestogroszówki, półrubłówki i rubłówki.

Ktoś położył nawet banknot trzyrubłowy.

Wiadomość, że Mosze Blecher i jego rodzina żyją o ryżu i wodzie, zasmuciła wszystkich.

Jak gdyby był to znak, że zbawienie jest jeszcze bardzo odległe.

Po Jom Kipur ojciec wysłał pieniądze Moszemu Blecherowi.

Za tę sumę Mosze mógł kupić znaczny zapas ryżu i wody.

(W owym czasie w Ziemi Świętej wodę trzeba było kupować).

Okazało się jednak, że nasz blacharz zupełnie tam sobie nie radzi.

A może romantyczny Mosze Blecher

nie potrafił oswoić się z myślą, że wreszcie znalazł się na Ziemi Świętej, może samo marzenie było dla niego bardziej urzekające od rzeczywistości.

Albo nie umiał pogodzić się z faktem, że Turcy rządzą na ziemi Boga.

Możliwe też, że nie podobało mu się, iż niewierzący żydowscy koloniści gołą brody inie żyją zgodnie z naukami Tory.

Rozeszła się wieść, że Mosze Blecher wraca do domu.

I rzeczywiście wrócił.

Był chyba jeszcze bardziej ogorzały, śniady, broda mu posiwiała.

Jego oczypały niezwykłym blaskiem.

Miał wyraz twarzy, jakiego można by się spodziewać człowieka, który umarł,

przeszedł przez czyściec, wstąpił do raju, ale z jakiegoś powodu został zesłany z powrotem na ziemię.

Przyszedł nas odwiedzić.

Ojciec wypytywał go przez wiele godzin.

Mosze odpowiadał na wszystkie zadawane mu pytania.

Podróżował wszędzie.

Nie mogliśmy się jednak dowiedzieć dokładnie, co sprawiło, że wrócił do domu.

Można było odnieść wrażenie, że coś ukrywa.

Znowu widywałem Moszega Blechera na dachach.

Robił teraz częstsze i dłuższe przerwy w pracy.

Zawisał gdzieś pojrzeniem, szukając czegoś na wysokościach.

Jak przedtem przychodził do mojego ojca narozmowy o biblijnych wersetach.

Przywiózł z Palestyny worek biały jak kreda piasku i sporo kamyczków, odłamków zebranych w starych ruinach i z kamiennych płyt świętych grobów.

Kiedy ktoś zmarł, Mosze Blecher dawał do grobu garstkę piasku z Ziemi Świętej.

Żałobnicy proponowali mu zapłatę, on jednak nie chciał handlować świętymi przedmiotami.

Możliwe, że to i owo wyleciało mi z głowy, ale o ile pamiętam, było to właśnie tak.

Dzieci Moszego Blecher zakładają własne rodziny, został tylko z żoną.

Nie musiał tak dużo pracować, częściej przebywał w domu, zatopiony w studiowaniu świętych ksiąg.

Przed wyjazdem do

Palestyny Mosze Blecher był chyba przeciwnikiem syjonistów, którzy próbowali urzeczywistnić jego marzenia.

Mosze pragnął Mesjasza, i tylko Mesjasza.

Jednakże z upływem czasu zaczął mieć życzliwszy stosunek do syjonistycznych ideałów.

W końcu, skoro Mesjasz nie chce nadejść, czy Żydzi muszą czekać w nieskończoność?

Może Bóg chce, by Żydzi wymusili przyjście Mesjasza?

Może najpierw powinni osiedlić się w Ziemi Świętej, a dopiero wtedy Mesjasz przyniesie zbawienie?

Pamiętam, że zaczął spierać się z moim ojcem.

Ojciec uważał syjonistów za niewierzących, niegodziwców, bluźnierców, którzy bezczeszczą Ziemię Świętą.

Ale Mosze Blecher odpowiadał na to:

- Może takie jest przeznaczenie?

Może są awangardą Mesjasza, syna Józefa?

Może okażą skruchę i staną się pobożnymi Żydami?

Kto zna rządzenia niebios?

- Człowiek musi być Żydem, zanim może wyjechać do Ziemi Świętej - utrzymywał ojciec.

- A kim niby oni są?

Gojami?

Znoszą poświęcenia dla Żydów.

Osuszają bagna i chorują na malarię.

To prawdziwi męczennicy.

Jak można pomniejszać ich zasługi?

- "Jeżeli Pan domu nie zbuduje, na próżno się trudzą ci, którzy go wznoszą" .

- Pierwszą świątynię też zbudował ludzie, nie aniołowie.

Król Hiram posłał niewolników i drzewa cedrowe królowi Salomonowi.

Spory stawały się coraz gorętsze.

Ojciec zaczął podejrzewać, że Mosze Blecher został skaptowany przez syjonistów.

Bez wątpienia był nadal pobożnym Żydem, ale miał kompletny mętlik w głowie.

Zgadzał się nawet z poglądem doktora Herzla.

Po jakimś czasie spory ustały.

Mosze Blecher snuł się po okolicy w stanie kontuzji.

Prowadził pole Księga Psalmów 127,1 (przyp. tłum.

).

miki nie tylko z dorosłymi, lecz i z dziećmi.

Chłopcy w domu nauki wypytywali go:

- Czy to prawda, że gwiazdy w Ziemi Świętej są tak duże jak śliwki?

- Tak, dzieci, prawda.

- Czy to prawda, że żona Lota wciąż jeszcze stoi nad Morzem Martwym, a woły zlizują sól z jej ciała?

- Obiło mi się too uszy.

- Czy słyhać, jak Rachela opłakuje swoje dzieci?

- Ja nie słyshałem, ale świątobliwi mężowie mogli słyseć.

- Rebie Mosze, czy w Ziemi Świętej jedzą chleb?

- Jeśli go mają, to jedzą.

Mosze Blecher zaczynał chyba cierpieć na demencję.
Ale jego zachowanie musiało być skutkiem głębokiej nostalgii, albowiem pewnego dnia Mosze powrócił do Ziemi Świętej.

Tym razem nie przyjechał poniego wielki furgon.
Nie było żadnych pożegnań na ulicy, żadnych uścisków, nikt nie dawałmu listów do umieszczenia w Ścianie Płaczu.

Mosze Blecher i jego żona po prostu znikli.

Po pewnym czasie zauważono jego nieobecności zaczęto go szukać.

Dowiedziano się, że nie potrafił dłużej znieść tęsknoty za ziemią swoich przodków, ziemią drzew figowych, daktyli i migdałów, gdzie kozyzjadają strąki szarańczynu, a osadnicy zakładają kibuce, sadzą drzewa eukaliptusowe i na co dzień mówią świętym językiem.

Mijały lata, a o Moszem Blecherze słuchaginał.

Przez długi czas myślałem o nim.

Czy znowu żyje o ryżu i wodzie?

Czy potrafi zarobić na chleb?

Może wyruszył na poszukiwanie Rudych Żydów na drugim brzegu rzeki Sambation?

Po takim człowieku jak Mosze Blecher można było spodziewać się wszystkiego.

Dyspensa

Od czasu do czasu przychodził do mojego ojca ktoś pragnący uzyskać jego podpis na "dyspensie stu rabinów".

Dawno temu rabbi Gerszom wydał zakaz poligamii, są jednak wyjątki od tej reguły.

Co ma począć mężczyzna, jeśli jego żona straciła rozum?

Chorej umysłowo nie można dać rozwodu.

A co powinien zrobić mężczyzna, jeśli żona uciekła do Ameryki i nigdy nie miał od niej żadnej wiadomości?

Takie rzeczy się zdarzały.

W tej sytuacji mąż otrzymywał zaświadczenie od rabinów o takiej sytuacji, a stu innych rabinów musiało podpisać dyspensę, zezwalającą

na ponowne małżeństwo.

Ludzie zamożni nie jeździli sami do rabinów, lecz wynajmowali pośredników.

Byli tacy, którzy zarabiali w ten sposób na życie - podróżowali od miasta do miasta, żeby uzyskać podpisy rabinów dla porzuconych mężów.

Tym razem jednak mąż przyszedł osobiście.

Był dość młodym mężczyzną z jasną brodą, na nosie miał okulary w metalowej oprawce, na głowie mały kapelusz, a pod kołnierzykiem zawiązany krawat.

Nosił krótki, niesięgający nawet do kostek chałat, rozcięty z tyłu.

Sprawił wrażenie człowieka pobożnego, lecz mającego, trzewiki miał wyglansowane do połysku.

Wyjął kartkę papieru, na której

było już około pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu podpisów, złożonych przez innych rabinów, oraz pieczęci rozmaitych kształtów - okrągłe, kwadratowe, trójkątne, w rozmaitych kolorach tuszu - granatowym, czarnym, czerwonym, zielonym.

A jak różne były podpisy!

Jedni rabinów napisali swoje nazwiska drobnymi, zgrabnymi literkami, inni brzydkimi kulfonami, zajmującymi całą linijkę.

Niektórzy wymieniły tylko swoje imiona, inni znowu dodali imiona ojców, a nawet dziadków.

Bazgroły jednego z rabinów były kompletnie nieczytelne, litery nierówne, nieporządne, z zawijasami i ogonkami, z mnóstwem kleksów i płam.

Z kolei inny stawiał litery okrągłe, brzechate, emanowało z nich niewymowne samozadowolenie.

Ojciec przez długi czas baczenie przyglądał się podpisom.

Znał niektórych rabinów osobiście, innych ze słyszenia.

Następnie zaczął czytać sam dokument, kręcąc od czasu do czasu głową.

- To wszystko prawda?

Na litość boską - ona jest niespełna rozumu!

A w dodatku sekutnica.

co za wstyd!

I nie chce zgodzić się na rozwód?

Zatruła ci życie?

Oczywiście, że złożę swój podpis.

I ojciec podpisał dokument.

Młody mężczyzna wyjął z kieszeni kawałek bibuły i starannie osuszył świeży atrament.

- Rabbi, to wprost nie do wyobrażenia, ile wycierpiałem przez tę przeklętą kobietę!

- powiedział.

- Wszystko jest opisane w tym dokumencie.

- Rabbi, to za ledwie jedna tysięczna moich przejść!

- Nu, wyobrażam sobie.
- Czy ktoś słyszał kiedykolwiek o kobiecie, która podczas sederu, uroczystej wieczerzy rozpoczynającej Pesach, tłucze wszystkie talerze i wylewa kluszczanę na pościel?
- Dalibóg, to niewątpliwie szalona kobieta, nieszczęsnestworzenie - odrzekłmój ojciec.

- Jest szalona - potwierdził młodzieniec po chwili zastanowienia.

- Alechyba jeszcze bardziej złośliwa niż szalona.

Zawsze wiedziałem, że istnieją źli ludzie, ale także mijają to po prostu coś niespotykanego!

Zaczęło się odzierać.

Jej ojciec zaprosił mnie, jakto jest w zwyczaju, i mieliśmy okazję przyjrzeć się sobie nawzajem.

To przecież nowe czasy.

Dzisiaj młodzi ludzie chcą się poznać, porozmawiać.

Jej matka bardzo na to nalegała.

Moja rodzina nie była zbyt zadowolona, ojciec jest bowiem uczniem - bliskim uczniem rabina z Aleksandrowa, ustąpiliśmy im jednak.

Naręczona zabrała mnie do swojego pokoju i zaczęła ze mną rozmawiać - ale w jaki sposób!

Nabijała się ze mnie.

Dosłownie nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć.

A jej rodzice czekali w drugim pokoju.

W każdym razie byłem przekonany, że nic z tego nie wyjdzie.

Gdybym powiedział o wszystkim mojemu czcigodnemu ojcu, natychmiast podarłby kontrakt zaręczynowy.

Ja jednak pomyślałem: to naprawdę nie ma znaczenia.

Ona po prostu uległa niektórym nowomodnym wymysłom,

Cóż ja wiedziałem?

Swat wszystko załatwił, zatuszował

- to nic takiego, głupstwo, nie przejmuj się.

Mieli jej obciąć włosy przed ślubem, ale ona się nie zgodziła.

Moją czcigodną matką jest córka rabina - wstydziła się pokazać twarz!

Teściowa wymyślała jakieś usprawiedliwienia, powiedziała, że obetną dziewczynie włosy rano, po ślubie.

Gdy przy weselnym stole jedliśmy złocisty rosół z kury, panna młoda po prostu siedziała i wyśmiewała się ze wszystkiego.

A później.

Spojrzał na mnie.

- Niech on wyjdzie.

- Wyjdź z pokoju - polecił mi ojciec.

Wychodziłem powoli, drobnymi krokami.

W końcu znalazłem się za drzwiami, lecz zostawiłem je lekko uchylone.

Nadstawiałem uszu, stojąc tuż za nimi, lecz młody mężczyzna najwyraźniej podejrzewał, że podsłuchuję, ponieważ mówił szeptem, niewyraźnie.

Usłyszałem, jak mój ojciec nagle wykrzyknął:

- Na litość boską - to okropne!

- Chwileczkę, to jeszcze nie wszystko.

I młodzieniec zaczął znowu szeptać.

Do moich uszu dochodziła tylko stłumiona skarga, nie mogłem jednak rozróżnić słów.

Ojciec zakasłał i wydmuchał nos.

- Nu, nu - przerwał młodzieńcowi - dość już, dość.

- To prawda, każde słowo jest prawdziwe.

- Mimo to lepiej nie kłaść uszu.

- Ale ja jeszcze nic nie powiedziałem, rabbi.

Otworzyłem drzwi.

- Ojczy, czy mogę już wejść?

-Tak, ale nie słuchaj.

To nie jest przeznaczone dla uszudziecka.

Weź książkę i czytaj.

Posłusznie wziąłem książkę i usłyszałem, jak młody mężczyzna mówi:

- Chciałem uciec, ale było mi wstyd.

Kiedy człowiek się żeni, ponosi wydatki - mój czcigodny ojciec popadł w dług z mojego powodu - a teraz wszystko się skończyło.

Cóż mam powiedzieć?

Cierpiałem.

Kto wie - myślałem w duchu- może to tylko chwilowe szaleństwo, które minie.

Lecz wkrótce ona zabrała się do mnie na dobre - jak to się mówi, pokazała swoje prawdziwe oblicze.

Właściwie w ogóle nie spała.

Przez całą noc siedziała na łóżku i bluźniła, ziała ogniem i siarką.

Znieważała własnych rodziców.

Gdybym opowiedział jedną tysięczną część tego wszystkiego, rabbi byłby zdumiony, przeżyłby szok.

Żywiła urażędo całego świata.

Jej zdaniem wszyscy źle ją traktowali.

Wymyślała rzeczy, które nigdy się nie zdarzyły - nie byłoby żdźbła prawdy - i zalewała się gorzkimi łzami.

Łóżko było całe mokre od jej łez.
Przed wszystkim jednak skrzyła się na mnie.
A jakim była powód, żeby się na mnie skarżyć?
Przecież dopiero się pobraliśmy, aja byłem niewinny jak baranek.
Ale w niej tkwił jakiś demon.
Później sama mi wyznała, że była zakochana w innym mężczyźnie.
- Zakochana?
- Tak.

Jej najdroższy był szewcem i wzięto go do wojska.
Słyszałem później, że jej nie chciał.
Tak czy owak, jak ona mogła w ogóle pomyśleć o zwykłym szewcu?
Jej ojciec cieszył się szacunkiem, mimo że jest mizantropem i magwałtowny charakter.
To cecha wszystkich członków jej rodziny.
Kiedy wpadną we wściekłość, gotowi rozszarpać człowieka na strzępy.
Opowiadano, że pewnego razu mój teść rozsierdził się okropnie, ponieważ w szabat wywołano go do odczytania Tory przed wiernymi, on zaś spodziewał się większych zaszczytów.
Chwył zwoj Tory i cisnął nim podłogę, a później musiał pościć przez czterdzieści dni w ramach pokuty.
Nie bardzo wierzę w prawdziwość tej historii, ale z takimi ludźmi wszystko jest możliwe.
Moja teściowa była córki - siostry mojej żony - drewnianą pałką.
Jeśli teściowi niesmakowała ryba podana na kolację w piątek wieczorem, wstawał do stołu w środku posiłku i szedł spać.
Wpakowałem się w prawdziwe tarapaty!
- Przynajmniej teraz się uwolniłeś.
- Uwolniłem się?

To cud, że się nie rozchorowałem.
Najpierw chciała, żebym zgolił brodę, a potem, żebym wyjechał do Ameryki.
Szewc tam wyemigrował, ona pewnie z nim tęskniła.
Perswadowałem jej: "Bądź rozsądna - zawsze trzeba postępować rozsądnie".
Ale czy można oczekiwać rozsądku po wariatce?
Moja czcigodna matka dowiedziała się o tym, co się dzieje, i zaczęła nalegać, żebym się rozwiódł, ale ona tego wcale nie chciała.
"Po co miałaś 108
być rozwodzić się z tobą?
- pytała.
- Po to, żebyś ożeniła się z inną?
Niech zostanie dokładnie tak, jak jest.
Jeśli mnie chodzi, możesz gryźć ziemię".
Tak właśnie mówiła.
To było do przewidzenia - jej bliscy pochodzą gdzieś z Litwy czy diabli wiedzą skąd.
Teściowa faktycznie jest z Wielkopolski, ale rodzina teściów z Międzyrzecza.
Spytałem ją:
"Dlaczego mnie dręczysz?"
". Nazajutrz rano, po nieprzespanej nocy, prosto nie wiedziałem, co się dzieje wokół mnie.
Kiedy chciałem dokonać porannych ablucji, niechcący rozlałem wodę z miednicy.
A dla niej najważniejsze były jej podłogi - musiały lśnić jak lustro.
Niebezpiecznie było po nich chodzić, takie były wyfroterowane.
Cóż to byłoby ogóle za miasteczko?

Wszyscy mieli niezłe charakterki, wszyscy się nawzajem obgadywali, nie zostawiali na sobiesuchej nitki.

Młodzi ludziewszczylnali ze mną klótnie -nie mam pojęcia dlaczego ani po co.

Chcieli, żebym opuścił rabina z Aleksandrowa i wyjechał do rabinaz Porozowa.

Ale ja nie jestem uczniem rabina z Porozowa.

Oni zwyczajnie szukali zaczepki.

Początkowo teść stawał po mojej stronie, wkrótce jednak przyłączył się do nich.

Byłem obcy w mieście, a tu nieoczekiwanie wokół mojej osoby rozgorzał spór.

Chciałem wrócić do domu, oni jednak ostrzegliwoźnicę, żebym nie zabierał.

Za każdym razem gdy doniego przychodziłem, miał inną wymówkę - ato za wielupasażerów, a to smo, a to owo - kompletne bzdury.

Mój teść -niech mi wybaczy mocne słowa - to łobuz, mający konszachty ze wszystkimi zbirami z miasteczka.

Ludzie się go boją, ponieważ przyjaźni się również z celnikami.

Jego żona jest zgorzkniałą kobietą - sama żółć.

Prawie odmówili mi jedzenia.

Chciałem nawet iść piechotą do domu, lecz schowałem ubranie.

Może rabbi mi nie wierzy?

- Dlaczego miałbym nie wierzyć?

Na tym świecie nie brakuje niegodziwych ludzi.

- Niegodziwych?

Oni są wcieleniem samego szatana!

I porozumiewają się między sobą takim dziwnym językiem, że miałem ochotę jednocześnie śmiać się i płakać.

W jednej chwili niemalnie dochodziło do poważnej bójki, grożącej uszczerbkiem na zdrowiu, a w następnej śmiali się jak szaleni, jak gdyby to wszystko było świetnym żartem.

Potem znówu wybuchała kolejna awantura - zupełnie jak w teatrze!

Tymczasem urzędowy rabin wyjechał z miasta i teść chciał, żebym zajął jego miejsce.

Teść jest grubą rybą w gminie i ma dobre stosunki ze wszystkimi urzędnikami, lecz trzeba zdać egzamin.

No to mi powiedzieli: "Ucz się rosyjskiego!

". Nieszczęśliwie spodobał mi się ten pomysł, alesą przecież broszurki, podręczniki

Nejmanowicza.

Nocóż, nie będę się zbytnio wdawał w szczegóły, w każdym razie przekonałem się wkrótce, że to nie dla mnie, tak im więc powiedziałem.

No i rozpętało się istne piekło.

Żona zaczęła mnie bić.

Tak po prostu - biła mnie bez litości.

Rzucała garnkami, talerzami - wszystkim, co wpadło jej w ręce.

Podarła nawet mój szal modlitewny.

Chciałem uciec

- ale ona tak samo jak potrafiła mnie dręczyć, nagle stawała się miłą i czułą.

"Niewygłupiaj się!

Nie znasz się na żartach?

". Icała rodziną nagle robiła się słodka jak miód.

Już dobrze, jestem przecież teraz jednym z nich.

Teść zaproponował nawet, że zatrudni mnie u siebie.

Nie minął jeszcze tydzień, a chmury zebrały się znowu nad moją głową.

Żona bije mnie, obraża, a jej młodsze siostry obrzucają mnie wyzwiskami i atakują jak dzikie bestie.

"Co ja takiego zrobiłem?

" - pytam ją.

Ale równie dobrze można by rzucać grochem o ścianę!

Zęby nie przeciągać opowieści - przyjechał mój czcigodny ojciec i powiedział: "Z tej mąki nie będzie chleba'.

". Wezwaliśmy ich przed oblicze rabina, oni się jednak nie stawili.

Doniesiono mi, że wynajęli na mnie bandytów.

Nie daj Boże, mogliby mnie nawet zabić.

W głowie się nie mieści.

Cierpiałem tak przez cztery lata, a każdy dzień przypominał piekielne męki.

Sam nie rozumiem, jak udało mi się to wszystko przeżyć.

Najsilniejszyby się załamał.

Chyba z pięćdziesiąt razy wyraził zgodę na rozwód - ale gdy już przychodziło co do czego, wycofywałem się.

Sam rabin ma przed nimi stracha.

Niezawahaliby się odjąć człowiekowi chleba od ust.

A gdy się na kogoś zawezmą, jego życie staje się gorzkie jak zół.

Nie są zwykłymi łajdakami, są zbrukowanymi łajdakami.

Ojciec otarł czoło chusteczką.

- Dzięki Bogu udało ci się wymknąć z ich siideł.
- Teraz ludzie próbują nas pogodzić.
- Pogodzić.

po tym wszystkim?

Jaki to ma sens?

- Mimo wszystko ma to jakiś sens.
- Ale przecież jesteś przez cały ten czasw podróży- skąd wiedzą, gdzie cię szukać?
- Pojechałem do domuna święta.
- Mieszkasz wtym samym miasteczku?
- Niedaleko.
- Ale po co masz to robić?

"Nie ma pokoju- mówiBóg mój - dla bezbożnych.

"" Nie można zawrzeć pokojuz łajdakami.

- Jasne, że nie.

Ale ludzie zawsze się wtrącają.

Rodzinamojej żony przysłała negocjatorów.

Teraz ona twierdzi, że we wszystkim zawiniła jej matka.

Ojciec na to nie odpowiedział.

Młodzieniec również zamilkł.

Zdjął okulary i przetarł je brudną chusteczką, poczym spytał, marszcząc czoło:

- Gdyby.

jakimś sposobem.

doszło do porozumienia po tym wszystkim.

czy będziemy musieli odbyć jeszcze raz ceremonię małżeństwa.

Księga Izajasza 57,21 (przyp.

dum.

).

- Co takiego.

Po co?

Dyspensa nie unieważnia przecież twojego małżeństwa.

.11

- Tymczasem chcę jednak zebrać wszystkie niezbędne

^Szieniec znowu zaczął mruczeć coś do siebie podnosem - na wpół śpiewnie, na wpół płacząco.

Sekret

Drzwi do kuchni otworzyły się i weszła kobieta w chustce na głowie (rzadki widok w Warszawie).

Miała ziemistą cerę, szerokie nosy, wydatne wargi i żółtawe oczy.

W całej jej postaci było coś pospolitego, plebejskiego.

Brzuch oraz piersi, wystające do przodu niczym balkon, okrywał wielki fartuch, na nogach miała rozdeptane buty.

Wyglądała na służącą albo ubogą przekupkę z targu.

Takie kobiety zazwyczaj od razu pytały o rabina i matka odsyłała je do sąsiedniego pokoju.

Ale ta stała wciąż przy drzwiach, spoglądając na matkę pytającym, błagalnym wzrokiem.

Matką wolno podeszła do niej.

- Czy chcesz zadać pytanie związane z rytuałem?

- Najdroższa rebecin, sama nie wiem, czego chcę.

Szlachetna duszo, muszę otworzyć przed kimś serce.

Nie mogę dłużej tłamsić wszystkiego w sobie.

Niech wszelkie łomija rebecin - lecz ja się duszę.

Tutaj, o, tutaj.

Kobieta wskazała na gardło, wybuchając jednocześnie płaczem.

Gwałtowne łkania wrywały jej się z piersi, strumienie łez spływały po poczerwieniałej w jednej chwili twarzy.

Siedziałem w kącie na niskim podnóżku, czytając opowiadania dla dzieci.

Natychmiast wyczułem, że usłysze jakąś niezwykłą historię.

Matka najwyraźniej zapomniała

113.

o mojej obecności, a tamta kobieta mnie nie zauważyła.

Zaczętamówić.

- Czcigodna rebecin, zgrzeszyłam.

Jestem zdruzgotana.

I znowu zaczęła szlochać i wycierać nos w fartuch.

Jej oczy zdawały się jednocześnie płakać i śmiać się, jak to zwykle bywa, gdy ktoś naprawdę rozpacza.

Matka zaprosiła ją, żeby usiadła na kufrze, który służył również jako ława.

- Jeśli człowiek szczerze żałuje za grzechy, Bóg przyjmuje jego skruchę.

- Matka przemawiała jak uczonego.

Znała tekst Biblii lepiej od ojca, czytała również takie trudne książki jak Powinności sercaczy Miara sprawiedliwych - niew przekładzie, lecz w hebrajskim oryginale.

Orientowała się doskonale w przepisach prawa i potrafiła cytować setki powiedzeń słynnych rabinów oraz przypowieści homiletycznych.

Jej słowa miały swoją wagę.

- Jak mogę odbyć pokutę, skoro ten poganin jeszcze żyje?

- wykrztusiła kobieta, nadal zalewając się łzami.

- Kto wie, czy nie jest prześladowcą Żydów?

Co mi pomogą wyrzuty sumienia?

Z każdym razem gdy widzę jakiegoś hycła lub pijaka, drzę ze strachu, że to może być on.

Och, rebecin, moje strapienie jest naprawdę wielkie!

Nie sypiam po nocach.

Im jestem starsza, tym bardziej cierpię.

Przewracam się z bokuna bok, nie mogąc zmrużyć oka.

Obym się raczej nigdy nie urodziła.

Matka słuchała w milczeniu, ale po jej minie widziałem, że rozumie, o co chodzi.

Ja nie miałem zielonego pojęcia, co się dzieje, wkrótce jednak się dowiedziałem.

Wiele lat temu kobieta porzuciła nieślubne dziecko.

Uwiódł ją jakiś mężczyzna.

Zostawiła niemowlę w koszyku pod kościołem, a kiedy wróciła w kilka godzin później, już go nie było.

Prawdopodobnie dziecko zabrano do przytułku - albowiem diabli wiedzą, co się z nim stało.

Była ubogą dziewczyną, sierotą.

Lękała się wypytywać ludzi, zmusiła

się, żeby o wszystkim zapomnieć.

Po latach wyszła za mąż i urodziła inne dzieci.

Teraz była już babką.

Pracowała ciężko przez całe życie i niemal udało jej się zapomnieć o swoim nieszczęściu.

Z upływem czasu jednak coraz bardziej dręczyły ją wyrzuty sumienia.

Jest matką goja!

Ktowie?

A jeśli jej syn jest policjantem, stójkowym?

Może jest niegodziwcem, drugim Hamanem?

Może spłodził całą gromadę pogańskich synów i córek?

Biada jej, biada nastare lata!

Jak może być odpuszczony taki grzech?

Jak długo będzie jeszcze musiała żyć na tej ziemi?

Co znajdzie swoją obronę na tamtym świecie?

Niech będzie przeklęty dzień, w którym dała się namówić do popełnienia tego podłego uczynku!

Jej życie było niekończącą się torturą.

Wstydziła się wejść do synagogi.

Jest nieczysta, zbrukana.

Jak ktoś taki jak ona miałby ośmielić się odmawiać świętą modlitwę?

Warta jest tylko tego, żeby na nią splunąć.

Oby Bóg zesłał Anioła Śmierci, który ją uwolni.

I kobieta znowu zaczęła lamentować i szlochać.

Matka była blada jak płótno, wargi miała zaciśnięte.

Z tego, że nie spróbowała natychmiast jej pocieszać, wywnioskowałem, że kobieta musiała popełnić naprawdę ciężki grzech.

- Cóż możesz zrobić?

- odezwała się w końcu matka.

- Tylko modlić się do Wszechmogącego.

- I pochwilidodała: - Nasz ojciec, Abraham, również spłodził nieżydowskie nacje.

- Czy rebecin uważa, że powinnam porozmawiać z rabinem?

- A w czym on ci pomoże?

Daj pieniądze na cele dobroczynne.

Jeśli jesteś dość silna - zachowaj post.

Nie możesz jednak zrobić więcej, niż pozwolą ci na to siły.

- Rebecin, ludzie mówią, że tacy chłopcy zostają strażakami i nie wolno im się żenić, takżeby zawsze byli gotowi pędzić do pożaru na każde wezwanie.

115.

- Tak?

No to przynajmniej nie ma obawy, że zostanie
ojcem niewierzących.

- Rebecin, on powinien mieć terazokoło czterdziestulat.

Ktoś mi powiedział, że jeśli zapalę czterdzieści świeci wypowiem tajemne zaklęcie, to wtedy
on umrze.

Matkąwstrząsnął dreszcz.

- Kto ci to powiedział?

Życie i śmierć są w rękach Boga.

Poza tym nie jestto przecież jego wina.

W czym niby onzgrzeszył?

Jest wTalmudzie określona takich jakon - "dziecko wzięte do niewoli".

Nie można go zanic

-winić.

Mało to żydowskich dzieci ochrzczono na siłę zczasów Chmielnickiego?

Wszchemogący prowadzi rejestr.

Ktokolwiek powiedział ci o świecach, samnie wie, co mówi.

Nie wolnomodlić się o śmierć żadnego człowieka

- chyba że wiadomo zcałą pewnością, iż jest niegodziwcem
iczyni zło.

- Skąd mam to wiedzieć?

Wiem jedynie - niech Bóg się

nade mną zlituje - że mojejżycie jestponure i ciężkie.

Krażę poulicach i przyglądam się gojom.

Jeśli serce dotąd mi niepekło, musi być twardsze od kamienia.

Przechodzę z jednejulicy na drugą, a każdy mijającymnie goj wydaje mi się moim synem.

Chcę podbiecdo niego, wypytać go, ale się boję.

Ludzie pomyślą, że straciłam rozum.

Bóg jeden wie, jak to się stało, że dotąd jeszcze nie zwariowałam.

Rebecin, gdybyktośdotknął językiemmojegoserca, otrułby się!

- Zapewne już odpokutowałaś swój grzech.

-Co mam począć?

Rebecin, udziel mi rady!

- Jak to się stało?

Gdzie jest ojciec dziecka?

Kobieta rozpoczęłaopowieść, której szczegółów dokładniejuż nie pamiętam.

Była służącą u zamożnej rodziny.

Poznała robotnika, który obiecał, że się z nią ożeni.

Uwiódł ją podstępnie, biorąc na lepgładkich słówek.

Kiedy się okazało, że dziewczyna jest w ciąży, zniknął.

Czy mąż

czyzna zawraca sobie głowę takimi rzeczami?

Minęły lata i w końcu poślubiła wdowca.

Kobieta zniżyła głos, mówiła coraz ciszej, niemal szeptem.

Matka kiwała głową.

Po pewnym czasie postanowiła, że poproszą radę ojca, ale ona pójdzie do niego pierwsza i
wyjaśni sprawę.

Kobieta została w kuchni, a matka weszła do gabinetu ojca.

Po chwili usłyszałem jego westchnienie.

Ulica Krochmalna niedaje mu ani na chwilę spokoju, bez przerwy zakłóca go swoim chaosem, niedyscyplinowaniem, wulgarnością.

Wtedy kobieta również weszła do gabinetu.

Ojciec wyjął z biblioteczki stos książek.

Przerzucał kartki, szukał, szarpał brodę.

W swoich świętych księgach częściej czytywał o mordercach, rabusiach, złodziejach, ludziach zdeprawowanych, uwodzicielach - ale tam, w księżkach, stanowili część jego prawa.

Opisani świętym językiem, świętym pismem, nawet oni zachowali klimat Tory.

Ale w zwykłym, powszednim jidysz te sprawy miały zupełnie inny wydźwięk.

Kobieta z Krochmalnej porzuciła mowę.

Chłopczyka ochrzczono, został gojem.

Święte księgi opisują pokutę za taki grzech, ale czy kobieta jest przygotowana na przyjęcie owej pokuty?

Czy nie będzie to ponad jej siły?

Dzisiejsze pokolenie jest tak słabe.

Ojciec obawiał się, że może posunąć się za daleko i spowodować, że kobieta się rozchoruje.

Wówczas popełniłby grzech jeszcze cięższy od jej grzechu.

Stałem w kącie gabinetu i słuchałem, jak ojciec wypytuje kobietę.

Czy ma zdrowe serce?

Czy coś choruje?

Czy cierpi przypadkiem na uporczywy kaszel?

W końcu ojciec wyznaczył jej pokutę: nie wolno jej spożywać mięsa w dni powszednie, ma pościć - o ile zdrowiej na to pozwoli - w poniedziałki i czwartki, recytować psalmy? Ofiarowywać pieniądze na cele dobroczynne.

Kobieta znowu zaczęła szlochać i lamentować, ojciec zaś ją pocieszał.

117.

Należy oczywiście wystrzegać się grzechu, ale przecież zawsze są sposoby naprawienia błędu.

Człowiek musi robić wszystko, co tylko w jego mocy, a co do reszty, to trzeba pokładać ufność w Stwórcy, ponieważ zło nie pochodzi od Niego.

Nawet to, co wydaje się złe, w rezultacie obrócisz na dobre.

W rzeczywistości zło nie istnieje.

Ojciec porównał świat do owocu i jego łupiny.

Łupina jest niejadalna.

Głupiutkie dziecko mogłoby pomyśleć, że łupina jest bezużyteczna, ona jednak została stworzona po to, by chronić owoc.

Bez niej zgniłby albo zjadłby go robaki.

Dlatego też potrzebni są innowiercy.

Jest nawet napisane, że Bóg ofiarował Torę najpierw Ezawowi i Izmaelowi, a dopiero kiedy oni nie chcieli jej przyjąć, dał ją Żydom.

Gdy nastąpi koniec dni, oni także poznają prawdę i sprawiedliwi spośród innowierców również wstąpią do raju.

Słowa ojca sprawiły, że serce kobiety, jak to się mówi, stopniało niczym wosk.

Zacząła szlochać jeszcze bardziej rozdzierająco, jednakże teraz w jej płaczu brzmiała też radość.

Popatrzyła na ojca rozjaśnionymi oczami.

W istocie powiedział jej dokładnie to samo, co już przedtem mówiła jej matka, ale jego słowa wydawały się jakieś cieplejsze, serdeczniejsze.

Kobieta wyszła, błogosławiąc nam wszystkim - ojcu, matce, nawet mnie.

Żałowała tylko, że przez wszystkie te lata tłamsiła swoje zgryzoty w sobie.

Powinna była już dawno przemóc wstyd i przyjść do cadyka, wylać przed nim całą swą gorycz.

Zdjął jej z piersi ogromny ciężar.

Po jej wyjściu ojciec zaczął przemierzać pokój w tę i z powrotem.

Ja wróciłem do kuchni i do moich opowiadań.

Czytałem o królach, okrólewiczach i królowiach, o dzikich rumakach, o jaskiniach i zbójcach.

Opowieść kobiety stała się częścią tej fantastycznej baśni.

W kilka dni później w domu po drugiej stronie ulicy wybuchł pożar.

Wybiegłem na balkon, skąd widziałem

wszystko: przyjazd patrolu, a następnie strażaków na długich wozach strażackich, ciągnionych przez konie, które niemal nie wyrwały się z uprzęży.

W jednej chwili ustawiono drabinę i strażacy w lśniących hełmach i w pasach z hakami błyskawicznie umieścili ją pod oknem, z którego wydobywały się kłęby dymu.

Inni rozwijali węże.

Cała ulica śniła od mosiądzu i najrozmaitszych urządzeń, których zastosowanie do gaszenia ognia trudno było się raczej domyślić.

Chmary dzieciaków zbiegły się ze wszystkich podwojek, choć policjanci próbowali je odgonić, i wkrótce na ulicy zrobiło się czarno od ludzi.

Kilku chłopców wdrapało się na latarnie oraz na mury sąsiednich domów.

Stałem na balkonie i przyglądałem się wszystkiemu.

Nagle przyszło mi do głowy, że pośród strażaków może być syn tamtej kobiety.

Zacząłem go wypatrywać z miejsca go poznałem.

Tak, to był on.

Miał długą twarz i ciemne wąsy.

Stał, nic nie robiąc, po prostu gapił się w niebo.

Z minuty na minutę byłem coraz bardziej pewny, że to naprawdę on.

Wpadł mi do głowy niezwykle pomysł.

Może powinienem zejść na dół i powiedzieć mu prawdę?

Albo rzucić mu list?

Aleon przecieźnie zna jidysz.

Wpatrywałem się w niego, aż poczułem chyba mój wzrok.

Spojrzał do góry, przyglądając mi się z zaskoczeniem, po czym pogroził mi pięścią- było normalny gest gojów wobec żydowskich dzieci.

- Jesteś Żydem!

Żydem!

Potomkiem Abrahama, Izaaka i Jakuba!

- powiedziałem szeptem.

-Znam twoją matkę.

Żałuj za grzechy!

Zniknął wśród innych strażaków.

Uciekł od moich słów, tak jak Jonasz uciekł od Boga.

Byłem dotęgi stopnia pogrążony w moich fantazjach, że nie zauważyłem nawet, kiedy ugaszono pożar.

Przyszła mi do głowy przerażająca myśl.

Może mnie też porzucono jako niemowlę?

Może nie są to moi prawdziwi rodzice, lecz zostałem

umieszczony w matczynej kołysce przez jakąś służącą, a matka tylko myślała, że jestem jej rodzonym dzieckiem.

Skoro dzieciom można podrzucać i zamieniać, skąd wiadomo, które należy do kogo?

Nasuwało mi się wiele pytań, wiele zagadek.

Dorośli ukrywają coś przed nami, dziećmi.

Za tym wszystkim kryje się jakaś tajemnica.

Może matka wie, że nie jestem naprawdę jej dzieckiem, i dlatego karci mnie tak często?

Miałem ściśnięte gardło, łzy napłynęły mi do oczu.

Pobiegłem do kuchni i zapytałem:

- Mamo, czy ja jestem twoim rodzonym synem?

Matka otworzyła szeroko oczy.

- Na litość boską, czyś ty oszalał?

Nic nie odpowiedziałem, a matka zawołała:

- Będziemy musieli posłać cię z powrotem do chederu.

Rośniesz tutaj jak kompletny dzikus!

Testament

Drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna z długą brodą.

Tak długą widziałem dotąd tylko raz w życiu.

Wielka, smolistoczarna broda, lśniąca i obfita, kojarząca się z gąszczem liści na drzewie, sięgała mężczyźnie do kolan, a dalej rozgałęziała się w małe pojedyncze "bródki".

Niski i korpulentny, był ubrany w najwyraźniej drogi płaszcz, buty z kozłej skóry i jedwabny kapelusz.

Na nosie miał okulary w złotej oprawce, z bawełnianą wyściółką na mostku, zapobiegającą odgnieceniom.

Roztaczał aurę samozadowolenia i chasydzkiej pogody ducha.

Ojciec zaprosił nieznanego do gabinetu, wskazał mu krzesło, po czym spytał:

- Co dobrego słyszeć?

- Chciałbym spisać testament - odrzekł nieznanomy.

Ojciec siedział bez ruchu.

Ja, który również przytyłem, poczułem nagły lęk.

Ojciec zaczął się jąkać.

Rzadko ktoś przychodził do niego z taką prośbą, a ci nieliczni, którzy się z tym zwracali, byli już sędziwymi ludźmi.

- Ale przecież wygląda panna mężczyzną w kwiecie wieku - powiedział do swego gościa.

- Po pierwsze, nie jestem już młodzieńcem, a po drugie, nigdy nie wiadomo, co nam przyniesie jutro.

ni.

I nieznajomy zaczął cytować wersety z Biblii i Talmuduna dowód, iż każdy człowiek powinien być zawsze przygotowany na śmierć.

Nie przerywając swej przemowy, zapalił cygaro.

Następnie wyjąłtabakierkę i podał ją ojcu.

Było to oryginalne, misternie rzeźbione puzderko, wykonane z kościsloniowej, rodzaj pamiątki, jakie przywozi sięz uzdrowiska.

Zdjął płaszcz, pozostając w nowiutkim kaftanie ikamizelce.

Gdy wydobyl z kieszonki zegarek zeżłotą dewizką, zauważyłem, że ma trzy wieczka i cyferblat zhebrajskimi literami zamiast cyfr.

Rzucalo sięw oczy, żejest to człowiek majątny, zchasydzkimi tradycjami, szanujący żydowskie obyczaje.

- Czym się pan zajmuje?

- spytał prosto z mostu ojciec, nie bawiąc się wceremonie.

- Mam księgarnię na Świętokrzyskiej.

-Książki?

- Broń Boże, niesą to święte księgi, lecz zwykłe książki

dla gojów, polskie, rosyjskie, niemieckie, francuskie - wewszystkich językach.

Nie przyjmuję do sklepu żadnychateistycznych książekw języku hebrajskim ani w jidysz.

- I zna pan tewszystkie języki?

-Częstorozmawiam z najznakomitszymi profesoramiuniwersyteckimi.

Kiedy potrzebna jest jakaś polskaczyłacińska książka, przychodzą do mnie, a ja im podpowiadam, gdzie jej szukać.

Znajamnie w całej Polsce.

Dostajęlisty od profesorów z Krakowa.

Zdobyłem rozgłos w całymświecie.

Jestem, jak to sięmówi, bibliografem.

- Dopókito jest dla innowierców.

- powiedział ojciec.

Pochwili mężczyzna zaczął dyktować ojcu swoją ostatnią wolę.

Jego testament przerazi kiedyś tego, kto go wysłucha.

Nakazał szczegółowo, jakie modlitwy mająbyćodmówione, gdy wyda ostatnie tchnienie, w jaki sposób mająbyć niesione jego zwłoki, które psalmy mają odśpiewać ci,

którzy będą czuwali przy nim przed pogrzebem, jak mają się obchodzić z jego ciałem w chwili pochówku.

Był świetnie obeznany ztestamentami słynnychrabinów i ilekroćojciec kwestionowałjakiś punkt, twierdząc, że jestnie zgodny z prawem, mężczyzna przytaczał ten czy ów testamenti ojciec nie potrafił zbić jego argumentów.

Wszystko wiedział lepiej.

Ojciec zapełnił duży arkusz papieruswoim pięknym pismem, a mężczyzna przeczytał tekst powolii z widoczną ogromną satysfakcją.

Następnie dopisał: "Tosą słowa zmarłego", i złożył zamaszysty podpis.

Gość zapłacił trzy ruble za sporządzenie testamentu.

Zwierzył się ojcu, że choć wygląda całkiem dobrze, ma chore płuca i lekarze nierokująmu długiego życia.

Dziwnarzech, uwzględniał w swojejostatniej woli tylko kwestie odnoszące się do obrządku religijnego - modlitwy, datki na cele dobroczynne, uczone cytaty, przestrzeganie rocznicy jego śmierci.

Nie podyktował niczego, co dotyczyłoby interesów.

Być może o sprawach majątkowych postanowił już w innym testamencie, sporządzonym przez państwowego notariusza.

Kiedy testament został podpisany, nieznajomy nabrał nagle apetytu.

Posłał mnie pomaślaną bułkę i kwaterkę gotowanego mleka.

Umył ręce i odmówił modlitwę dziękczynną przed jedzeniem, a później po skończonym posiłku.

Zapalił cygaro i spytał mnie, puszczał kółka z dymu:

- Uczysz się?

- Tak.

- A czego?

- Bawa Kamma.

Przeprowadził mnie do tekstu dla początkujących z Talmudu, poczymuszczywał w policzek.

Byłem przestraszony.

Chociaż mężczyzna miał palce miękkie i ciepłe, czułem się, jak gdyby dotknął mnie nieboszczyk.

Dał mi monetę i powiedział:

1?Z.

- Tylko nie napsoc.

Trzy ruble były mile widzianym dodatkiem do skromnych dochodów ojca, ale po wyjściu nieznanego w naszym domu zapanowało dziwne milczenie.

Wyraził bardzo dokładne życzenia co do tego, jak ma być uszytyjegocałun, w jaki sposób oczyszczone ciało.

Wykupił już kwatery na cmentarzu przy Gęsiej.

Opisał w najdrobniejszych szczegółach, jak żałobnicy mają nieść trumnę, jak mają trzymać głowę, dłonie, stopy, jak ułożyć płyty.

Tego było za wiele.

Jednocześnie odniosłem niesamowite wrażenie, że mężczyzna czerpał perwersyjną przyjemność z tego makabrycznego drobiazgowego opisu.

Zjadł z wilczym apetytem maślaną bułkę, którą mu przyniosłem, a gdy okruszek zaplątał się w jego gęstej brodzie, starannie wyjął go i włożył do ust.

Kazał mi również dopilnować, żeby gotowane mleko koniecznie miało kożuszek.

W jakiś czas później znalazłem się przypadkowo na Świętokrzyskiej.

Być może nawet poszedłem tam specjalnie, żeby zobaczyć tamtego mężczyznę.

Stał w swoim sklepie pełnym książek.

Przypólkach tłoczyli się uczniowie szkół średnich i studenci, szukając, szperając.

Właściciel spierał się z kimś po polsku.

Na jego twarzy malowała się radość prowadzenia intratnego interesu, satysfakcja zamożnego człowieka.

Zakontuarem zauważyłem pulchną kobietę w peruce oraz młodą dziewczynę - prawdopodobnie ich córkę.

Przystanąłem przed witryną i zajrzałem do środka.

Na wystawie znajdowały się nie tylko książki, lecz również antyki - porcelanowa figurka z nagim brzuchem, gipsowe popiersie, rozmaite świeczniki (choć nie żydowskie) oraz inne przedmioty z mosiądzu, miedzi i brązu.

Wszystkow tym sklepie wyglądało na pogańskie, obce, ale jego właściciel był Żydem, świetnie obeznanym z Torą, zatopionym w przyszłym życiu.

124

Minęło wiele czasu.

Nieoczekiwanie mężczyzna znowu pojawił się w naszym domu.

W jego smolisto czarnej brodzie srebrzyło się kilka siwych włosów, ale pozatym wyglądał równie krzepko i świeżo jak za pierwszym razem.

Była zimna i miał na sobie drogie futro, a na nogach kalosze z miękką wyściółką.

W rękę trzymał parasol ze srebrną rączką.

Wyjaśnił, że przyszedł, by zmienić swoją ostatnią wolę.

- Jak zdrowie?

- Po co pytać o moje zdrowie?

- rzekł.

- Jestem - niechwasomija wszelkie zło - bardzo chorym człowiekiem.

- Wszehmogący sprawi, że wróci pan całkowicie do zdrowia.

- Oczywiście, Bóg - niech będzie błogosławione Jego imię - potrafi czynić cuda.

Ale jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z naturalną kolejną rzeczy, to już niewiele życia mi pozostało.

Jak długo człowiek może żyć bez płuc?

Ojciec zbladł i przypomniał gościowi o cudzie, który zdarzył się żonie rabina Haniny ben Dussa.

Któregoś piątku, zamiast napełnić lampę oliwą, nalała do niej octu.

Rabi Hanina powiedział: "On, który rozkazał oliwie, żeby się paliła, może również nakazać, żeby zapłonął ocet".

I lampapaliła się jak w każdy inny szabat.

To samo dotyczy płuc-jeśli Stwórca zapragnie, żeby człowiek żył, to człowiek będzie żył.

Mężczyzna bynajmniej nie podziękował za te słowa pocieszenia.

Odkaslnął, splunął w chusteczkę i zacytował w odpowiedzi werszet Gemary: "Nie co dzień zdarzają się cuda".

- Jeden z naszych mędrców stwierdził, że nawet naturalna kolej rzeczy jest cudem.

-Tak, oczywiście, oczywiście, ale bez płuc nie da się oddychać, a kiedy człowiek nie oddycha.

W końcu ciało jest tylko ciałem.

125.

Zmiany w jego ostatniej woli były daleko idące.

W czasie, który upłynął od pierwszej wizyty, mężczyzna przestudiował całe mnóstwo innych testamentów i teraz wprowadzał najrozmaitsze innowacje.

Chciał, żeby kawałki skorup ułożono na jego powiekach w bardzo szczególny sposób.

Gałzka mirtu, którą się wkłada w dłonie zmarłego, również miała być inna.

Zażyczył też sobie, żeby ciało oczyszczono za pomocą żółtka jajka i srebrnej łyżki, którą kupił w jakimś zamorskim mieście.

Takiej łyżki używało kiedyś starodawne bractwo pogrzebowe.

Z miny ojca dawało się łatwo wyczytać, że nie podobam się przesadnie zainteresowanie mężczyzny tymi przygnębiającymi sprawami.

Uniósł brwi, jak gdyby mówił bezgłośnie: "Za dużo.

za dużo.

". Ale kandydat na tamten świat spędził wiele godzin w naszym domu.

Opracował listę szczegółowych instrukcji.

Niekiedy prosił, żeby coś wykreślić i wstawić na tomiejsze coś innego.

Przez cały czas palił, zażywał tabaki, kichał.

I tym razem poczuł głód, i tym razem poszedłem po mleko i bułkę.

Odtamtąd dnia przychodził do nas co roku, aczasem nawet dwa razy w roku.

W jego brodzie powoli przybywało siwych włosów.

Twarz nadal była pełna i rumiana, a czarne oczy, którymi ciągle przewracał, błyszczały radością życia i zadowoleniem znakomicie prosperującego biznesmena.

Nieustannie zmieniał swój testament, za każdym razem dodając nowe punkty.

Mój ojciec nie był skory do żartów, a nawet on pozwalał sobie niekiedy dowcipkować na temat człowieka, twierdzącego z uporem, że stoi już jedną nogą w grobie.

W ciągu tych lat wielu na pozór zdrowych ludzi przeniosło się na tamten świat, a księgarz ze Świętokrzyskiej wciąż przerabiał swoją ostatnią wolę.

Ojciec z trudem powstrzymywał uśmiech, ilekroć mężczyzna stawał w progu naszego mieszkania.

Nawet ja, który kiedyś

126

bałem się głodu samego oraz ciągłych rozmów o chorobach, stopniowo się doniego przyzwyczailem.

Ten człowiek bawił się śmiercią z bez troską dzieci, dokazujących naulicy.

Trzy ruble, które płacił za poprawianie testamentu, stały się regularnym składnikiem naszych dochodów.

Z czasem jego broda całkiem posiwiała.

Połyskująca kiedyś głęboką czernią, teraz skrzyłasię jak śnieg.

Zęby dokończyć tę historię, muszę trochę popędzić czas.

Wybuchła wojna.

Niemcy weszli do Warszawy.

Ale nawet pośród bitew, głodu i powstań księgarz nie zapomniał o swoim testamencie.

Teraz jednak płacił za poprawki w markach, a nie w rublach.

Sam testament osiągnął grubość sporej broszury.

Matka zszyła kartki grubą nicią.

W 1917 roku matka wyjechała z nami, dziećmi, z Warszawy.

Ale na krótko przed naszym wyjazdem ze stolicy, przechodziłem ulicą Świętokrzyską.

Księgarz nadal stał akontuarem, a studenci szukali książek na półkach.

Tym razem w sklepie byli również niemieccy oficerowie.

W końcu, jak sądzę, mężczyzna zmarł, ale musiał być już wówczas bardzo stary i wątpię, czy wypełniono kiedykolwiek jego ostatnią wolę. Wymagałoby to zaangażowania całej gromady członków bractwa pogrzebowego, którzy musieliby spędzić wiele dni na dokładnym studiowaniu i zapamiętywaniu jego instrukcji. Najprawdopodobniej nikt nie przeczytał ani nie potraktował serio jego testamentu. Dopóki jednak mężczyzna żył, ten dokument dostarczałmu wiele przyjemności.

Dzień przyjemności

Kiedy powodziło nam się nieźle, dostawałem codziennie od matki lub ojca dwugroszową monetę.

Dla mnie te dwugrosze- czyli kopiejka - oznaczały wszystkie przyjemności tego świata.

Po drugiej stronie ulicy znajdował się sklep Estery ze słodyczami, gdzie można było kupić czekoladki, galaretki, baloniki, lody, karmelki i wszelkiego rodzaju ciasteczka.

Ponieważ bardzo wcześnie zacząłem ćwiczyć przepisywanie i miałem słabość do rysowania i kolorowaniakredkami, które były dość drogie, kopiejka nie stanowiła wcale tak dużej sumy, jak sądzili rodzice.

Czasami musiałem pożyczać pieniądze od kolegi z chederu, młodego lichwiarza, który żądał procentu - za każde cztery grosze płaciłem jeden grosz tygodniowo.

Wyobraźcie sobie teraz nieopisaną radość, jaką poczułem, gdy pewnego dnia zarobiłem całego rubla - czyli całe

sto kopiejek!

Nie pamiętam dokładnie, w jaki sposób mi się trafił.

Było to chyba tak: ktoś zamówił u szewca giemzowe trzewiki, ale po ich dostarczeniu okazało się, że są za ciasne albo za luźne.

Mężczyzna, który je zamówił, nie chciał ich przyjąć i szewc wezwał go na dintojrę.

Ojciec wysłał mnie do innego szewca, żeby ocenił wartość trzewików, a może

128

1

nawet je kupił, sprzedawał bowiem również gotowe obuwie.

Przypadek zrządził, że był u niego akurat klient, który zechciał nabyć buty i zapłacić za niedobrą cenę.

Nie przypominam sobie szczegółów, ale pamiętam, jak niosłem nowiutki trzewiki, a potem jeden z procesujących się dał mi w nagrodę rubla.

Wiedziałem, że jeśli zostanę w domu, rodzice zmarnują te pieniądze.

Kupią mi za nie coś ubrania, co i tak musiałbym dostać, albo pożyczą je ode mnie i choć nigdy nie wyparliby się długu, więcej już nie zobaczyłbym mojego rubla.

Dlatego też wziąłem go i postanowiłem choć raz sobie pofolgować, zakosztować przyjemności tego świata, nacieszyć się wszystkim, czego pragnąłem całym sercem.

Przeszedłem szybko całą Krochmalną.

Tutaj wszyscy znali mnie zbyt dobrze i nie mogłem pozwolić sobie na rozrzutność.

Na Gnojnej natomiast nie znał mnie nikt.

Skinąłem naprzecieżdającego dorożkarza, który zatrzymał konia.

- Czego chcesz?

- Przejechać się.

- Dokąd?

- Na inne ulice.

- Jakie?

- Na Nalewki.

- To kosztuje czterdzieści groszy.

Masz pieniądze na opłacenie kursu?

Pokazałem mu rubla.

- Ale musisz zapłacić mi z góry.

Podąłem dorożkarzowi monetę.

Próbował ją zgiąć, żeby sprawdzić, czy nie jest fałszywa.

Potem wydał mi resztę- cztery czterdziestogroszówki.

Wsiadłem do dorożki.

Fiakier strzelił z bata, ruszając tak gwałtownie, że omal niespadłem z ławki.

Domy zaczęły sunąć do tyłu.

Siedzeniepode mną podskakiwało nasprężynach.

Przechodnie gapili

129.

się na małego chłopca, który podróżował dorożką sam, bez żadnych tobołków.
Dorożka toczyła się zturkotem wśród tramwajów, furmanek, innych dorożek,
furgonów dostawczych.

Poczułem się nagle tak ważny, jakbym był całkiem dorosły.

Dobry Boże, gdybym mógł jechać w ten sposób przez tysiąc lat, dniem i nocą, bez przerwy,
na koniec świata.

Ale fiaker okazał się nieuczciwy.

Kiedy przebyliśmy za ledwie połowę drogi, zatrzymał się i powiedział:

- Koniec jazdy.

Wysiadaj!

- Ale to jeszcze nie Nalewki!

- zaprotestowałem.

- Chcesz poznać, jak smakuje mój bat?

- spytał.

Och, gdybym miał siłę Samsona, wiedziałbym, jak potraktować takiego bandytę, takiego
gbura!

Złoiłbym muskórę, starłbym go na proch, porąbał na drobne kawałki!

Ale byłem tylko małym słabym chłopcem, a on strzelał mi nad głowę z bata.

Wysiadłem z dorożki, zawstydzony i przygnębiony.

Ale jak długo można się smucić, mając w kieszeni cztery czterdziestogroszówki?

Zauważyłem sklep ze słodyczami i wszedłem do środka.

Nakupiłem różności, próbując wszystkiego po kolei.

Inni klienci patrzyli na mnie z pogardą.

Zapewne podejrzewali, że ukradłem te pieniądze.

- Spójrzcie tylko na tego małego chasyda!

- wykrzyknęła jakaś dziewczyna.

- Hej, ty głupku, chyba zły duch opętał syna twojego ojca!

- zawołał stojący w kolejce chłopak.

Wszedłem, obciążony słodyczami, postanawiając pójść do Ogrodu Krasieńskich.

Niemal zostałem przejechany, gdy przebiegałem na drugą stronę ulicy.

Usiadłem naławce i zjadłem trochę smakołyków.

Dałem czekoladowy batonik przechodzącemu chłopcu.

Zamiast mi podziękować, chwycił go i uciekł.

Udałem się nad staw i nakarmiłem

130

czekoladą łabędzie.

Jakieś kobiety wytykały mnie palcami, śmiały się, robiły uwagi po polsku.

Podeszły do mnie szykownie ubrane dziewczynki z obręczami i piłkami, a jaszarmancko i
szczodrze obdzieliłem je moimi słodyczami.

W tamtej chwili czułem się jak bogaty arystokrata, rozdający hojne dary.

Po chwili słodycze się skończyły, ale zostały mi jeszcze pieniądze.

Postanowiłem ponownie przejechać się dorożką.

Gdy się już w niej usadowiłem i fiaker spytał mnie o adres, tak naprawdę zamierzałem
powiedzieć: "Na Krochmalną", ale ktoś obcy, siedzący we mnie, niewidzialny i
zachłanny, rzekł szybko: "Na Marszałkowską".

- Jaki numer?

Podaliśmy pierwszy, który mi przyszedł do głowy.

Tym razem dorożkarz był uczciwy.

Zawiózł mnie pod wskazany adres i nie zażądał zapłaty z góry.

W drodze zrównała się z nami druga dorożka.

Siedziała w niej dama z ogromnym biustem i w kapeluszu z szerokim rondem, przystrojonym strusimi piórami.

Obaj dorożkarze zaczęli rozmawiać ze sobą jidysz, co bynajmniej nie spodobało się damie. Jeszcze mniej podobał jej się mały pasażer w czarnym aksamitnym kapeluszu i z rudymi pejsami.

Rzucali mi gniewne spojrzenia.

Od czasu do czasu obie dorożki zatrzymywały się, żeby przepuścić tramwaj lub wyładowany furgon.

Policjant, stojący obok torów, popatrzył na mnie, na damę, i przez chwilę miałem wrażenie, że podejdzie i aresztuje mnie, tymczasem on wybuchnął śmiechem.

Strasznie się bałem.

Bałem się Boga, matki, ojca, tego, że w mojej kieszeni nagle zrobiła się dziura i wypadłyby pieniądze.

A jeśli dorożkarz jest rzeźnikiem, który zawiezie mnie do jakiejś ciemnej jaskini?

Albo czarownikiem?

A może wszystko po prostu mi się śni?

Ale nie, dorożkarz nie był rzeźnikiem i nie wywiózł mnie na.

pustynię do dwunastu rozbójników.

Dotarł dokładnie podadres, który mu podałem, pod bramę dużej kamienicy, gdzie zapłaciłem mu należne czterdzieści groszy.

- Do kogo przyjechałeś?

- spytałmnie.

- Do doktora - odparłem bezwahania.

-A co ci dolega?

- Mamkaszel.

-Jesteś sierotą, co?

-Tak.

- Mieszkasz za miastem?

-Aha.

- Gdzie?

Podąłem mu nazwę jakiegoś miasteczka.

- Nosisz rytualne frędzle?

Na to pytanie nieodpowiedziałem.

Co go obchodzi moje rytualne frędzle?

Chciałem, żeby odjechał, on jednak stał tam ciągle ze swoją dorożką, a ja nie mogłem dłużej zwlekać - musiałem wejść do bramy.

Ale za nią czaił się ogromny pies.

Popatrzył na mnie rozumnymi oczami, które zdawały się mówić: możesz oszukać dorożkarza, ale niemiennie.

Wiem, że nie masz tu nic do załatwienia.

I wyszczerzył namnie ostre zębiska.

Nistał, ni zowąd pojawił się stróż.

- Czegotu chcesz?

Zacząłem coś bąkać pod nosem, on jednak krzyknął:

- Wynocha!

Ipogonił mnie miotłą.

Rzuciłem się do ucieczki, odprowadzany wściekłym ujadaniem psa.

Dorożkarz był prawdopodobnie świadkiem mojej konsternacji - ale mały samotny chłopiec nie może być bohaterem w starciu z miotłą, stróżem oraz psem.

Sprawy niepotoczyły się dla mnie dobrze, ale wciąż zostało mi trochę pieniędzy.

A kiedy ma się pieniądze,

łatwo znaleźć przyjemności wszędzie.

Zobaczyłem sklep owocami i wszedłem do środka.

Poprosiliśmy pierwszego z brzegu, gdy przyszło do płacenia, okazało się, że ledwie mi na niego starczy.

Zostało mi raptem parę grosików.

Nie pamiętam już, jaki to był owoc.

Zapewne granat albo coś równie egzotycznego.

Nie udało mi się go obrać, a gdy zacząłem jeść, okazał się obrzydliwy w smaku.

Mimoto zjadłem cały, ale później zaczęłamnie dręczyć okropnie pragnienie.

W gardle mi zaschło, paliło żywym ogniem.

Przenikało mnie jedyne marzenie - pić!

Och, gdybym miał trochę pieniędzy!

Wypiłbym galon wody sodowej!

Ale nicmi już nie zostało, a w dodatku byłam tak daleko od domu.

Zacząłem iść w kierunku Krochmalnej.

Nagle poczułem, że w bucie uwiera mnie jakiś gwóźdź.
Wbijał mi się w stopę przy każdym kroku.
Skąd się tam wziął akurat teraz?
Wszedłem do bramy.
Szczęśliwie nie było tu psa ani stróża.
Zdjąłem but.
Jeden z gwoździków, którym była przybita podeszwa, przedziurawił wyściółkę i sterczał w środku.
Napchałem do buta trochę papieru i ruszyłem w dalszą drogę.
Och, co to za męka iść, gdy ostry przedmiot wbija się w skórę przy każdym stąpieniu.
A o ile gorsze musi być leżenie na łożu najeżonym gwoździami w piekle!
Tegodnia popełniłem wiele grzechów.
Nie odmówiłem modlitwy przed zjedzeniem słodczy, nie dałem biedakowi nawet jednego grosika.
Obżerałem się sam.
Droga do domu zajęła mi około dwóch godzin, przeczały czas dręczyły mnie koszmarne myśli.
Może coś strasznego wydarzyło się w domu?
Może wcale nie okłamałem doróżkarza, że jestem sierotą, może w tej samej chwili, kiedy wypowiadałem te słowa, zostałem osierocony.
Może nie mam ojca, matki, domu.
Może twarz zmieniła mi się tak, jak twarz tego mężczyzny, o którym czytałem w mojej.

książce, i gdy wrócę do domu, rodzice mnie nie poznają. Wszystko jest możliwe!
Zobaczmy, kolega z podwórka i zatrzymał.

- Skąd wracasz?

Twoja matka szuka cię wszędzie!

- Byłem na Pradze- jeździłem tramwajem - odpowiedziałem, kłamiąc w tej chwili dla zasady.

Skoro jadłem bezodmówienia dziękczynnej modlitwy i popełniłem tyle innych grzechów, mogłem teraz zrobić wszystko - nie miało to już żadnego znaczenia.

- Do kogo pojechałeś na Pragę?

-Do ciotki.

- Od kiedy to masz ciotkę na Pradze?

-Właśnie przyjechała do Warszawy.

- Daj spokój, pleciesz koszałki-opałki.

Matka szuka cię od dawna.

Przysięgnij, że byłeś na Pradze.

Złożyłem fałszywą przysięgę.

W końcu dotarłem do domu, zmęczony, spocony - zagubiona dusza.

Dopadłem kranu z wodą i zacząłem pić, pić.

W taki sposób Ezaw musiał pochłaniać miskę soczewicy, za którą sprzedał bratu swoje pierworództwo.

Matka załamała ręce.

- Popatrzcie tylko na to dziecko!

Handlarz

W życiu zdarzają się rzeczy tak fantastyczne, że nie wymyśliłyby ich nawet ktoś o bardzo bujnej wyobraźni.

Pewnego dnia drzwi donaszej kuchni otworzyły się i wszedł mężczyzna, który wyglądał zupełnie inaczej niż wszyscy Żydzi, jakich kiedykolwiek w życiu widziałem. Na jego głowie tkwił kapelusz, jaki noszą rabini, ale alpagowy kaftan sięgał, zgodnie z niemiecką modą, za ledwie do kolan, poza tym stroju dopełniały sztuczne spodnie i wyglansowane buty.

Jego siwa broda była zbyt równa jak naturalna, musiała być zatem przystrzyżona nożyczkami, ale miał też siwe pejsy.

Młoda, rumiana twarz przypominała ani trochę twarzy starca, czarne oczy błyszczały młodzieńczą żywotnością, a jednocześnie wyzierała z nich osobliwa zaduma.

W jego idysz roilo się od germanizmów.

- Czy zastałem czcigodnego rabiego?

- spytał.

Ani matka, ani ja nie przywykliśmy, żeby ktoś nazywałojca "czcigodnym rabbim", ale po chwili wahania matka zorientowała się, o kogo chodzi, i wskazała gościowi drzwi do sąsiedniego pokoju.

Ojciec przywitał mężczyznę serdecznie, tak jak wita każdego, czy to bogacza, czy biedaka, i zaprosił go, żeby usiadł.

Po chwili spytał, z czym do niego przybywa, ale.

gość nie odpowiedział wprost.

Okazało się, że chodzi mu o zwykłą pogawędkę.

Zaczął demonstrować swojemu zgermanizowanemu jidysz znajomość żydowskiej nauki.

Zauważyłem, że jego wiedza zrobiła duże wrażenie na ojcu.

Najwyraźniej znał Misznę na pamięć.

Przytaczał rozmaite uczone księgi i cytował na zawołanie całe długie ustępy.

Rozmowa stawała się coraz bardziej głęboka i poważna.

Mimo że ojciec był erudyta i autorem sporej liczby komentarzy, z trudem dotrzymywał mu kroku.

Mężczyzna znał wszystko na wyrywki.

Pamiętał nawet strony, na których znajdują się poszczególne ustępy.

Sypał jak z rękawa cytatami z Majmonidesa, wyciągał z zanadrza komentarze i prawa.

Skierował rozmowę na to, co powiedział aramejski tłumacz o pewnym biblijnym wersecie, a następnie wyrecytował ustępy z Pięcioksięgi Mojżesza Onkelosa oraz Jonatana ben Uzziela.

Ojciec z zasady unikał chwaleń kogoś prosto w oczy, tym razem jednak nie potrafił się powstrzymać.

- Jak to możliwe, żeby człowiek - niech pana omija wszelkie zło - miał taką niesamowitą pamięć?

Naprawdę nasuwa mi się porównanie do "uformowanego naczynia, z którego nie uroniono nawet kropli"!

- wykrzyknął.

- Pozwól, rabbi, że pokażę niektóre pisemne świadectwa.

..

Nieznajomy wyjął plik listów z pieczęciami wielu rabinów.

Słynni rabini nazywali go "geniuszem", "księciem Tory", "tym, który przynosi górze obraca ją w proch".

Jeden z rabinów zaświadczył, że przeegzaminował tego mężczyznę i że "jego dłonie wypełnione są" babilońskim Talmudem, jerozolimskim Talmudem, Sifrej, Sifra, Tosefta, Mechilta.

Ojciec potarł czoło i cmoknął.

- To prawdziwy zaszczyt gościć pana w moim domu!

- powiedział.

Wysłał mnie do matki, żeby podała gościowi herbatę i przekąski.

Trochę później przyszedł do kuchni, by opowiedzieć nieznajomym.

Matka, która sama była córką znanego rabina, również wpadła w zachwyt.

W naszym domu naukę uważano za największe bogactwo.

Nadstawiałem uszu, żeby nie uronić ani słowa.

Ojciec spytał przybysza, skąd pochodzi.

Okazało się, że urodził się na Węgrzech i zwiedził wiele krajów.

Uczył się nawet u sefardyjskiego chachama w jednej z prowincji tureckiego imperium.

Był w Palestynie i zawędrował aż do Damaszku.

Przemierzył cały świat i znał kilka języków - rosyjski, węgierski, niemiecki i arabski.

Wyjął niespiesznie austriacki paszport i pokazał ojcu mnóstwo wiz, wydanych przez najrozmaitsze konsulaty.

Właśnie wtedy usłyszałem po raz pierwszy słowa "wizy" i "konsulaty".

W zasadzie ojciec nie przywiązywał wagi do takich świeckich spraw, kiedy jednaki w parze z taką wiedzą, uznawał je za połączenie Tory i świeckiej chwały.

Przywołał mnie i kazał podać rękę temu niezwykłemu gościowi.

Widocznie chciał, żeby spotkał mnie zaszczyt i przywilej dotknięcia jego ręki.

Mężczyzna uszczyptał mnie w policzek i spytał:

- Czego się uczysz?

Po czym wyrecytował z pamięć wiersz z Gema, którego się w tym czasie uczyłem, lecz dodał fragmenty z Raszki oraz z innych komentarzy.

Tymczasem matka podała herbatę, ciasteczka i owoce.

Wyraźnie onieśmiał ją ten uczeń o współczesnym wyglądzie.

Ojciec powiedział gościowi, że córka jest córka, i miło mi było usłyszeć, że tamtemu nieobca jest dobra sława mojego dziadka.

Po chwili szepnął coś do ucha ojcu, który z kolei spojrzął na mnie znacząco i polecił:

- Wyjdź teraz z pokoju.

Matka wyszła już wcześniej, toteż ja również powlokłem się niechętnie do kuchni. Aż się paliłem, żeby posłuchać uczonych wywodów mężczyzny w jego zniemczonym jidysz, niestety jednak, tak to zwykle postępują dorośli - gdy tylko rozmowa zesłała na naprawdę interesujące tematy i każde słowo zaczęło przyciągać mnie jak magnes, ni stąd, ni zowąd postanowili "odesłać chłopca".

Wychodząc, zostawiłem drzwi lekko uchylone, ale nieznajomysz podszedł do nich i zamknął jeszcze bardziej.

Najwyraźniej zamierzał powierzyć ojcu jakąś niezwykle ważną tajemnicę.

W kuchni matka zaczęła prawić mi kazanie.

- Jak się zostaje takim uczonym?

- spytała rozdrażnionym tonem.

- Ucząc się, a nie próżnując.

A ty, zamiast się uczyć, czytasz głupie książki o tym, czego nigdy nie było i nigdy nie będzie.

Potem opowiedziała mi historię, którą przeczytałam w gazecie.

Pewien profesor miał żonę, która permanentnie niegotowała na czas obiadu, także codziennie musiał siedzieć czekać na posiłek.

Kiedy przyszło mu nagle do głowy, że może ten czas spożytkować, zaczął więc pisać książkę. W kilka lat później opublikował dzieło, które tworzył wyłącznie podczas oczekiwania na obiad.

Skoro więc uczonych może cechować taka pracowitość nawet w dziedzinie świeckiej wiedzy - za którą nie ma boskiej nagrody - o ile ważniejszy jest taki trud przy studiowaniu Tory! Można zostać uczonym, a jednocześnie zaskarbić sobie zasługi na przyszłe życie.

Słowa matki wywarły na mnie głębokie wrażenie.

Ale zerałam również ciekawość, jaką to tajemnicę może powierzać mojemu ojcu przybywszy z dalekich krajów.

Zza zamkniętych drzwi dobiegały szepty, mamrotanie, westchnienia.

Od czasu do czasu wydawało mi się nawet, że słyszę stłumiony krzyk.

Ten głos należał do mojego ojca

i brzmiał zdecydowanie gniewnie, jak gdyby ojciec był na kogoś wściekły i hamował się, żeby nie dać się do reszty ponieść emocjom.

Ale z jakiego powodu ojciec miałby być zły na tego mężczyznę?

Co tam się dzieje?

Matka też wyglądała na zaciekawioną, ponieważ głosy dochodzące z gabinetu były coraz bardziej podniesione.

Nie ulegała wątpliwości, że toczy się tam spór - a ściślej mówiąc, kłótnia.

Czyżby spierali się tak gorąco o ustęp z Gemary lubo interpretację któregoś prawa?

Wydawało się to mało prawdopodobne.

Matka podeszła do drzwi, próbując cokolwiek usłyszeć, po czym powiedziała mi z rozdrażnieniem:

- Dlaczego twój ojciec krzyczy?

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stał ojciec.

Nigdy nie widziałem, żeby był taki purpurowy z gniewu, taki potargany i roztrzęsiony.

Trzęsła mu się nawet ruda broda, jego prawie czarne pejsy powiewały, naczole perliły się grube krople potu.

W oczach malowało się zmieszanie, konsternacja, przerażenie.

Zawołał do matki:

- Daj mi pieniądze, szybko!

- Ile ci potrzeba?

- Wszystko, co masz.

- Nie mogę przecież oddać ostatnich groszy!

- odparłaze zdenerwowaniem matka.

- Proszę cię, nie każ mi czekać.

Nie chcę, żeby ta niegodziwa kreatura przebywała w moim domu choćby chwilędłużej.

Niech jego imię ipamięć o nim zostaną zawszewymazane.

- Dlaczego jest taki niegodziwy?

- Daj mi pieniądze - jeśli tego nie zrobisz, natychmiastopuszczam tendom.

Obecność tego potwora hańbi.

Łzy napłynęły mi do oczu.

Matka zaczęła drżącymi palcami grzebać w szufladzie kuchennego stołu.

Była blada jak.

ściana.

Przez otwarte drzwi widziałem naszego gościa.

Stalpośrodku gabinetu, szarpiąc brodę przyglądając się naszej lampie oliwnej.

Ojciec wrócił do niego, spierali się jeszcze przez chwilę, po czym drzwi otworzyły się znowu i nieznajomy wyszedł.

Spojrzał na matkę i powiedział ze swoim wyraźnym niemieckim akcentem:

- Do widzenia.

Wsekundę po jego wyjściu do kuchni spadł jak burza

ojciec, grząc:

- Biadanam, biada!

O czymś takim nie słyszano od
stworzenia świata!

Ten człowiek to heretyk, podły odszczepieniec, bezczelny poganin, zatwardziały grzesznik!

Tyle wiedzy - a mimo to jest najnikczemniejszym z parszywych psów!

- Dlaczego tak krzyczysz?

Czego on chciał od ciebie?

- Przyszedł sprzedać mi życie wieczne.

- odpowiedział

ojciec nieswoim głosem.

- Co takiego?

- To, co słyszałaś.

Chciał mi sprzedać za sto rubli swój
udział w przyszłym życiu.

- Jest pewnością obłąkany.

- Nie, nie jest obłąkany.

Jest ateistą!

Skończonym niedowiarkiem!

Eliszą ben Awujem!

I ojciec, nadal tak bardzo zdenerwowany, że ledwie mógł mówić, opowiedział nam, w jaki sposób mężczyzna złożył swoją ofertę.

Stwierdził, że skoro zgromadził tyle wiedzy z Tory i innych świętych ksiąg, zdobył już swój udział w życiu wiecznym i przyszedł sprzedać go mojemu ojcu.

Ojciec argumentował, że niewierzący nie ma żadnego udziału w przyszłym życiu, ale gość zacytował mu ustępy z Talmudu na dowód, że dzięki nabytej wiedzy zasłużył na udział w przyszłym lepszym świecie.

Przekonywał, że skoro potrzebuje pieniędzy, a sam nie wierzy w życie po śmierci, gotów jest ubić interes i odsprzedać swoją część.

Matka popatrzyła na ojca z wyrzutem.

- I dlatego oddałeś mu nasze ostatnie ruble?

- Musiałem się go pozbyć.

Zagroził, że nie opuści naszego domu, jeśli nie dostanie pieniędzy.

- A jak ja teraz przygotuję szabat?

Ojciec nie znalazł na to odpowiedzi.

Podbiegł do zlewki umył starannie ręce, jak gdyby zostały skalane przez dotyk tego nikczemnika.

Stał ze spuszczoną głową, zdezorientowany, jakby otrzymał silny cios pięścią.

Tyle wiedzy

- i taka herezja!

Taki uczonec - i taki grzesznik!

Ezawoddał bratuswojeprawo pierworódtwa za miskę soczewicy, a ten łajdak gotów był odrzucić życie wieczne za kilka rubli.

- Koniec świata!

Koniec świata!

- mamrotał ojciec podnosem.

- Ile dni zostało mu jeszcze na tej ziemi?

Jest już starcem.

- Potem spojrziała na niego gniewnie i dodała:

- Niech to będzie dla ciebie nauką!

Wkrótce doszły do uszu, że nieznajomy odwiedził wszystkich rabinów, uczonych, jak również zamożnych Żydów w Warszawie.

Każdemu proponował ten sam bezbożny interes i wszędzie otrzymał przynajmniej kilka rubli.

Ten sznorer, sprytny naciągacz, podchodził swoje ofiary psychologicznie: najpierw wzbudzał w nich podziw, potem gniew, wstręt i przerażenie, aż w końcu pozwalał zapłacić sobie tylko za to, że się wyniesie.

Podobno nawet tu i ówdzie udało mu się naciągnąć na sto rubli jakiegoś bogatego głupca.

Udział w przyszłym życiu był jego towarem i z tym towarem podróżował po całym świecie.

Reb Chaim Gorszkower

Istniała grupa "stałych bywalców" naszego domu - byli to mężczyźni, którzy przychodzili po prostu, żeby zobaczyć się z rabinem, zrzucić ciężar z serca, zasięgnąć rady lub zwyczajnie porozmawiać.

Niektórzy siadali nawet w kuchni i rozmawiali z matką.

Jednym z nich był reb

Chaim Gorszkower.

Reb Chaim był ubogi i to ubóstwo było wypisaną na jego twarzy.

Miał czerwony nos i długą brodę, będącą mieszaniną rozmaitych kolorów - blond, brąz i siwizny.

Spodkrzaczastych brwi spoglądałyoczy, jakie może mieć tylko biedny Żyd.

Były bursztynowe.

Promieniowała z nich starajak świat dobroci i uległości, odziedziczona po wielu pokoleniach, znoszących wygnanie i cierpienia.

Darzył ogromnym szacunkiem każdego dorosłego, każde dziecko, każde żywestworzenie.

Powiedzenie: "Nie skrzywdziłby nawet muchy", pasowało do niego idealnie.

Niejednokrotnie mucha siadała na jego czerwonym nosie, a on jej nie spędzał.

Czy on, Chaim Gorszkower, ma prawo decydować, gdzie wolno siadać musze, a gdzie nie?

W oczach reba Chaima Gorszkowera mój ojciec był prawą ręką Boga, na matkę zaś patrzył z nabożnym podziwem zachwytem.

Nie umiał pisać, dyktował więc mojej matce

listy do swoich dzieci w Ameryce.

Matka była uczona w piśmie.

Ilekcóż przychodził do nas, starał się jakoś jej usłużyć.

Proponował, że pozamiata, pójdzie coś załatwić, onajednak nie pozwalała, żeby mężczyzna wykonywał za nią takie niewdzięczne prace.

Reb Chaim był biedakiem w pełnym znaczeniu tego słowa.

Jego żona pracowała przyskubaniu kur.

Mieszkali w suterenie.

Garbił się, miał okrągłe plecy, całe ubranie obszarpane, połatanne, przedziury wylażała fizelina, jego głos przypominał pianie koguta.

Z uszu nozdrzy sterczały mu kłaki włosów, broda zasłaniała całą twarz, prawie do oczu.

Ten mężczyzna miał dwie namiętności.

Jedną było recytowanie psalmów lub innych świętych słów.

Nawet gdy siedział, rozmawiając z moją matką, zaczynał coś mamrotać zapadniętymi wargami, a my wiedzieliśmy, że odmawia spiesznie werset lub nawet cały rozdział Księgi Psalmów.

Znał na pamięć niemal wszystkie psalmy.

Znał na pamięć niemal wszystkie psalmy.

Drugą namiętnością było opowiadanie o Gorszkowie.

Wyjechał stamtąd wiele lat temu, ale miasteczko wciąż było inspiracją jego wszelakich pragnień.

Wszystko, co pięknie i dobrze, został w Gorszkowie.

Wszystko, co brzydkie i pogańskie, wiązało się z Warszawą.

Gorszków był dla reba Chaima Ziemią Obiecana - przedsmakiem raj.

Podróż do Gorszkowa zajmowała pełne dwa dni, ponieważ pociąg dojeżdżał tylko do Rejowca, a dalej trzeba było jechać furmanką.

Taka podróż była dla niego nieziszczalna, stanowiła niespełnione marzenie.

Mógł tylko tęsknić za Gorszkowem.

Na samą wzmiankę o miasteczku łzy napływały mu do oczu i kapały na brodę.

Choć trudno w to uwierzyć, rebChaim był właścicielem domu w Gorszkowie, a konkretnie -jednoizbowej,rozpadającej się budy.
Mieszkał w niej jakiś krewny, który nie

143.

płacił czynszu.

Przez tę rudę reb Chaim miał same kłopoty.

Komisjabadająca warunki sanitarne, wysłana przez gubernatora Lublina, stwierdziła, że ściana grozi zawaleniem, i reb Chaim został ukarany grzywną.

Ponieważ nie miał pieniędzy na jej zapłacenie, poszedł do więzienia.

Spędził w nim osiem dni wśród złodziei i opryszków.

Nie mieliśmy pojęcia, co się z nim stało.

Gdy go wypuszczono i przyszedł opowiedzieć nam o swoim nieszczęściu, matka próbowała namówić go, żeby sprzedał tę "nieruchomość" albo nawet oddał ją krewnemu, który w niej mieszka, lecz reb

Chaim zaprotestował.

- Dopóki dom należy do mnie, wciąż jestem gorszkowianinem, wciąż pamiętają tam moje nazwisko.

Niebawem jednak na reba Chaima nałożono grzywnę.

Kominiarz od dawna zaniedbywał czyszczenie komina i wybuchł pożar.

Rudera nie spłonęła, ale reba Chaima ponownie wsadzono za kratki, i tym razem bowiem nie było go stać na zapłacenie grzywny.

Oboje moi rodzice pochodzili z tamtej części kraju, toteżmy, dzieci, wiedzieliśmy, po co przychodzi reb Chaim

i na co czeka.

- Rebie Chaimie - pytałem - co nowego w Gorszkowie?

Staruszkowi wyrzywało się głębokie westchnienie, westchnienie z najskrytszych zakamarków duszy.

Broda i wąsy zaczynały mu się trząść, a z bezzębnych ust wydobywały się rżenia i pomruki, niczym ze starego zegara, który

szykuje się do wybicia godziny.

- W Gorszkowie, he?

Gorszków to był rajski ogród,

a tutaj to istnaga henna.

Co my tu wiemy o szabacie, o świętach?

Czy można być prawdziwym Żydem w Warszawie?

Czyżycie tutaj jest cokolwiek warte?

Wszyscy się śpieszą, wszyscy dokądś pędzą.

W Gorszkowie zaczynaliśmy przygotowywać się do szabatu już w środę.

Moja matka

ka - oby wstawiła się za nami na tamtym świecie - sama pieką szabatową chałę.

Zostawiała odrobinę ciasta w kubelku, które po tygodniu służyło jako zacyn.

Czy ktoś kiedyś słyszał o węglu w Gorszkowie?

Chłop przywoził drzewo z lasu.

Mój ojciec - niech spoczywa w pokoju - sam je piłował i rąbał.

Potem starannie układaliśmy drwa i rozpalaliśmy je z pomocą wiórów.

Piec natychmiast zaczynał grzać.

A czy w Warszawie można się dobrze ogrzać?

Węgiel to przekleństwo.

Jeśli zamknie się szyber, pokój napęlnia się dymem.

Jeśli zostawi się otwarty, to równie dobrze można wyjść na mróz.

W Gorszkowie, gdy się napalił piec, było przyjemnie ciepło.

Matka pieką ciasteczka.

Warszawski chleb jest za świeży i nie ma smaku.

Możesz go jeść i jeść, a ciągle będziesz głodny.

Ale w Górszkowie każda kromka chleba miała rajski smak.

A kiedy posmarowało się go kurzym smalcem i położyło na nim chrupiące paski kurzej skórki

- po prostu rozpływał się w ustach!

A szabatowe chały w Górszkowie!

Jaki smak mają te, które kupuje się w sklepie?

W Górszkowie kminek to był kminek, a mak to mak.

Matka maczała piórko w rozbełtanym żółtku i smarowała nim plecione bułki.

A ciasteczka!

A czulent!

Tutaj czulent jest albo niedogotowany, albo przypalony.

I trzeba go trzymać w piecu u piekarza razem z setkami innych czulentów.

W Górszkowie natomiast matka trzymała czulent we własnym piecu i zalepiała drzwiczki ciastem.

A kugel!

Czy ktokolwiek w Warszawie potrafi przyrządzić prawdziwy kugel?

Kiedy moja matka robiła kugel, nadziewała gęsią szyjkę albo piekła pieróg, zapierało dech w piersiach.

A cymes?

Na naszym podwórzu rosła grusza, która rodziła drobne twarde owoce.

Matka suszyła je, aż stawały się słodkie jak cukier.

Gdy dusiła je z laską cynamonu, ich aromat rozchodził się po całym domu.

Nu, a synagoga?

Czy w Warszawie ktoś naprawdę.

się modli?

Wszyscy tylko w pośpiechu odmawiają modlitwy.

Nie skończą jeszcze Alejnu leszabeach, a już pędzą dowyjścia.

W domu niktnie oszukiwał podczas modlitwy.

Kiedy wpiątkowywieczór nasz kantor intonował: "Witaj, Oblubienico", nawet ściany śpiewały razem z nim.

A gorszkowskie wino!

Tutaj kupuje się winou handlarza i maono smak octu.

Mój ojciec robiłwłasnewino z rodzynek.

Gotował je ponad godzinę, anastępnie wyciskał przez ściereczkę - a kiedy piło się to wino w wieczór rozpoczynającyszabat, podczas modlitwy kidusz, człowiek czuł, jak przenika ono całe ciało.

Matka uśmiechała się.

Co tydzień wysłuchiwała tego

hymnu pochwalnego.

Wiedziała też, że gorszkowskie rodzynekowe wino niebyło wcale takie bajeczne, jak to sobiewyobrażał reb Chaim.

Nigdy jednak nie powiedziała wobecności tego prostego człowieka ani słowa w obronie Warszawy lub przeciw Gorszkowowi.

Słuchała tylko ikiwałągłową.

Ja jednak, ponieważ byłem już trochę bezczelny,

pytałem:

- Czy w Gorszkowie był tramwaj?

-Oby Bóg obdarzył cię dobrym zdrowiem!

Na cóż potrzebnybyłby tramwaj w Gorszkowie?

- Aczy były tam jakieśczteropiętrowe kamienice?

-Kto miałbyochotę drapać się tak wysoko?

W Gorszkowie wchodzi się prostodo salonu, nawet w najbogatszychdomach.

Ale jak gdybyjuż Warszawanie była dość pogańska,

smutny los reba Chaima zrządził, że jego wszystkiedzieciwyemigrowały do Nowego

Jorku.

Pierwszy syn, który wyjechał, ściągnął resztę rodzeństwa, i zanim reb Chaim zorientował się,co się dzieje, został bez dzieci.

Jego synowiepisali, że Warszawa jest w porównaniu z Nowym Jorkiemzwykłą wiochą.

W Nowym Jorku pociągijeżdżą poda

chach.

Budynki są takwysokie, że trzeba dobrze wyciągaćszyję, żeby dojrzeć szczyt.

Jeśli ktoś chce dotrzeć do innejdzielnicy, jedzie podziemną koleją.

Dziecireba Chaima pisałydługie listy pełne okropnychbłędów ortograficznych.

Nikt z wyjątkiemmojej matkinie potrafił ich odczytać.

Pewnego razu nawet ona niemogła poradzić sobie ze słowem,które zajmowało całąlinijkę.

Wszycypróbowaliśmy jeodcyfrować, nadaremniejednak.

Kiedy matka, zniechęconana niepowodzeniem, prawiejuż zrezygnowała, wybuchnęła nagle śmiechem.

Słowotobyło po prostu napisanym łącznie wyrażeniemchol ha-moed Sukot - oznaczającym środkowe dni Święta Szałasów!

Był to jawny przykład, jak wiele błędówmożna zrobićw jednym słowie.

Najstarszym zdzieci reba Chaima była córka, której nieznaliśmy, wyemigrowała bowiem do Ameryki przed przyjazdem moich rodziców do Warszawy.

Ta właścicielka każdego miłośnika ogromnie narzekała na Amerykę.

Jedzenie było bezsmaku.

Maca nie była prawdziwą macą, chała nie była chałą, szabat szabatem, a święta świętami.

Na fotografiach, które przychodziły z Ameryki, wszyscy synowie, córki, zięciowie oraz synowe reba Chaima byli wystrojeni, mężczyźni nosili kapelusze ze sztywnym rondem, a nawet cylindry i fraki.

Reb Chaim ledwie poznawał swoje dzieci.

Jak gdyby nie dość było sodomii w Warszawie, to jeszcze dzieci wywędrowały do świata, gdzie ludzie chodzą na głowach i wszystko jest wywrócone do góry nogami!

Z każdym rokiem listy z Nowego Jorku stawały się coraz mniej zrozumiałe, pełno w nich bowiem było angielskich zwrotów.

Najwyraźniej, przebywając na obczyźnie, zapomnieli, że w Warszawie ludzie nie mówią po angielsku.

Wszystkie dzieci gorąco prosiły, żeby reb Chaim przyjechał z żoną do Nowego Jorku.

Tam dopiero staruszkowie.

będą mogli cieszyć się życiem.

Chciały im nawet przysłać bilety na parowiec.

Ale rebChaim uśmiechał się smutno i wzdrygał ramionami.

Czy nie dość ma kłopotów w Warszawie, żeby szukał ich jeszcze więcej w Nowym Jorku?

Dość jest pogaństwa w Warszawie, nie musi jechać do Nowego Jorku, żeby się z nim zetknąć.

Reb Chaim miał tylko jedno marzenie - spędzić ostatnie chwile życia w Górzach i być pochowanym na tamtejszym cmentarzu.

Jeśli nie było wola boską, żeby przeżyła całe życie w Górzach, niech przynajmniej znajdzie tam miejsce ostatniego spoczynku.

Ale wybuchła pierwsza wojna światowa.

Warszawa była we władaniu Niemców, tymczasem Górze należały do Austrii.

Żeby tam pojechać, potrzebny był paszport, wiza, zezwolenie na przekroczenie granicy.

Kiedy Niemcy weszli do Warszawy zaczął się wielki

głód, słyszałem, jak rebChaim opowiadał z tęsknotą, jakim razem była Warszawa przed wojną - wszystko było tanie, żona przynosiła do domu na szabat półgęsek, gęsią szyjkę, podroby, chałkę, ciasto.

I znowu łzy kapły mu na brodę.

Teraz jednak daleko nam było do żartów.

My również głodowaliśmy.

Byłem już wtedy dorastającym chłopcem.

- Rebie Chaimie - mówiłem do niego - pamięta pan, jak pan narzekał na Warszawę?

Tęsknił pan tylko za Górzami.

Reb Chaim spoglądał w górę.

Jego żółtawe, zażawione

oczy zdawały się mówić bezgłośnie: "Któż śmie teraz nawet pomyśleć o Górzach?"

".

Reb Mojsze Ba-ba-ba

Znany był jako reb Mojsze Ba-ba-ba.

Dlaczego "Ba-ba-ba"?

Ponieważ było to jego ulubione powiedzonko.

- Ba-ba-ba, Wszechmogący dopomoże.

Ba-ba-ba, przyjdzie Mesjasz i świat w końcu zostanie odkupiony.

Ba-ba-ba, dobrze być Żydem.

Czyż może być większą przyjemnością niż być Żydem?

Oddam wszystkie teatry, wszystkie bogactwa, wszystkie przysmaki za jedną

modlitwę, odmówioną we wspólnocie, za jeden rozdział z Księgi Psalmów, za jeden Aszer

Jocer. Gdyby ktoś chciał mi ofiarować całe złoto świata, wszystkie pałace, twierdze, żołnierzy i Kozaków pod warunkiem, że opuszczę jedno źiękczynienie, roześmiałbym mu się w twarz.

To wszystko marność, błahostki niewarte pustej skorupki po jajku.

Ale kiedy odmawiam modlitwę: "Który jednym słowem stworzyłeś to wszystko", czuję, jak nowesiliły wstępują w moje ciało.

Pomyślcie tylko: "Bądź błogosławiony Ty, nasz Panie i Boże, Królu Wszechświata, który jednym słowem stworzyłeś to wszystko".

To wszystko, wszystko!

Niebo, ziemię, mnie, ciebie, nawet - przepraszam za porównanie - psa na ulicy.

Wszystko jest dziełem Jego, Stwórcy, i to On dał nam zdolność wielbienia Go.

Czy nie jest to wystarczająca ziemską przyjemność?

Zamieniłbym

wytworne bale oraz wspaniałe kurorty na słowa jednego świętego - jego westchnienia i gesty. Jesteś jeszcze dzieckiem - a co rozumie dziecko?

- ale daję ci słowo, że drugi wieczór świąteczny na dworze w Kazimierzu był przyjemnością większą, niż może doświadczyć jakikolwiek światowiec, cesarz, generał czy hulaka.

Każdachwila byłaprzedsமாகiem raju.

Ten, kto nigdy nie spędził świąt w Kazimierzu, niema pojęcia, czym jest prawdziwa przyjemność, ba-ba-ba!

Reb Mojsze musiał być bardzo stary, bywał bowiem częstym gościem na kazimierzowskim dworze cadyka Chaskiela.

Wyglądał na prawie sto lat.

Jego siwa broda pożółkła, pejsy się mocno przerzedziły, a czoło miał pomarszczone jak pergamin.

Nosił staromodny chałat, aksamitny kapeluszz wysokim denkiem, trzewiki, spodnie do kolan i białe skarpetki.

Rytualne frędzle małego tałesu sięgały mu dopół łydki.

Utrzymywali go synowie.

Reb Mojsze miał tylko jedno zajęcie - być pobożnym Żydem.

Zawsze albo się modlił, albo studiował księgi, albo ślęczał nad Zoharem, albo odprawiał nabożeństwo o północy.

Nigdy nie miał wolnej chwili, znajdował jednak czas na odwiedziny u mojego ojca i rozmowy o chasydzkich tradycjach.

Reb Mojsze, który bywał na dworach niemal wszystkich cadyków w Polsce, był ekspertem, jeśli idzie o chasydzkie dynastie.

Dopóki mieszkaliśmy przy Krochmalnej 10, reb Mojsze przychodził do nas bez najmniejszych kłopotów.

Tam brama była szeroka.

Kiedy jednak w kilka lat później przeprowadziliśmy się pod dwunastkę, zaczęły się trudności.

Brama była wąska, a dokładnie pośrodku siedziała Mirele, córka piekarza.

Po jej obu stronach stały kosze pełne chleba, szabatowych chał i bułek.

Mirele miała siedemnaście lat, ale piersi dojrzałej kobiety.

Tarasowała nimi połowę przejścia.

Miała też zwyczaj trzymania pieniędzy wpoń

czosze.

Ilekróć płacono jej banknotem, unosiła spódnice, odsłaniając nogę krągłą jak garnek na czulent.

Pończochę podtrzymywała różowa podwiązka.

Mirele nie grzeszyła fałszywą skromnością.

Otaczała ją zawsze grupka kobiet dziewcząt, które macały bułki, żeby sprawdzić, czy są świeże i czy mają chrupiącą skórkę.

Kręcili się tam również młodzi mężczyźni, przekomarzający się z Mirele oraz służącymi, które przychodziły kupić pieczywo.

Przejście przez bramę pełną pokus, stwarzanych przez gromadę kobiet oraz samego szatana-kusiciela, było dla reba Mojszego czymś wręcz nie do pomyślenia.

Zbliżała się, po czym zaczynał walić laską - był to sygnał dla kobiet, że mają zejść mu z drogi.

Pewnego razu Mirele krzyknęła na niego ze złością:

- Ty stary pobożny durniu, czego tak się boisz?

Skąd ci przychodziło głowy, że mogłabym cię zechcieć?

Ale reb Mojsze nadal walił laską, dopóki Mirele i reszta kobiet nie zeszły mu z drogi.

Wtedy chwycił za ramię najbliższego chłopaka i przeszedł przez bramę, wspierając się na nim.

Albowiem zgodnie z prawem dwaj mężczyźni mogą przejść razem przez grupę kobiet, jeden strzeże bowiem wtedy drugiego.

 Nie tylko brama, lecz całe podwórze było najeżone przeszkodami.

Służące śpiewały, a rebi Mojsze zasłaniał sobie uszy, ponieważ "kobięcy głos prowadzi do rozpusty".

Przez otwarte okna słychać było muzykę z gramofonów, czasami na podwórzu występowali sztukmistrzej linoskoczkowie.

Na wpół naga dziewczyna w krótkich spodenkach i w bolerku naszywanym koralikami chodziła na rękach.

Każdy jej krok był naprawdę niebezpieczny.

Służące siedziały na schodach, trąc chrzan i siekając cebulę.

Można by pomyśleć, że wszystkie kobiety świata przysięgły się przeciwko rebi Mojszemu

Ba-ba-ba,

próbując sprowadzić go na manowce z wąskiej drogi uczciwości i wtrącić go do piekła.

Ale rebMojsze miał swojabron - laskę.

Zamykając oczy, stukał nią w kamienne płyty.

- Nu.

Nu..

Nu..

Nawet przejście przez naszą kuchnię nastęczało trudności.

Mojamatka była naprawdę pobożną kobietą, rebecin.

Ale kobieta jest zawsze kobietą.

RebMojsze nie pytał jej nawet, czy ojciec jest w domu.

Nie chciał słyszeć jej głosu, szedł prosto do gabinetu.

Dopiero tam otwierał oczy wołał:

- Ba-ba-ba!

Chwała Wszchemogącemu!

- Witaj, rebie Mojsze.

Siadaj.

I zaczęli rozmawiać o "dobrych Żydach" -to znaczyo chasydzkich cadykach.

Reb Mojsze opowiadał o jednym takim rabinie, który modlił się, żeby mieć jak

najmniejszą grupkę wiernych, a także o innym, który czynił tyle cudów, że wierni w podzięce padali jak dżdzy pod stołami i ławami na jego dworze.

O trzecim mówiono, że odwiedzali go nawet zmarli i dlatego nie gasił nigdy światła w swoim pokoju.

Najbardziej fascynowała mnie historia o rabinie, który przez sześć nocy w tygodniu spał kompletnie ubrany.

Dlaczego?

Ponieważ Mesjasz może nadejść w każdej chwili i rabinie chciał tracić czasu na odziewanie się.

W ten sposób zawsze był gotowy, żeby natychmiast pobiec i powitać go.

Dlaczego zatem nie robił tego w szabatowe noce?

Mesjasz nie przyjdzie w szabat, ponieważ jest to tak ważny świąteczny dzień, że w porównaniu z nim nawet odkupienie jest czymś pospolitym.

Reb Mojsze opowiadał wszystkie te historie nadzwyczaj krótko i zwięźle.

Jednocześnie mamrotał coś pod nosem do siebie, gestykulował, szarpał się za brodę i wykrzykiwałco jakiś czas: "Ba-ba-ba!

".Mój ojciec za każdym razem był zaskoczony jego opowieściami o świętych.

152

Gdy matka wchodziła, żeby podać herbatę, reb Mojsze odwracał głowę i zamykał oczy.

Pomyśl, że moja matka mogłaby wzbudzić w kimkolwiek grzeszne skłonności, wydawał mi się ze wszech miar nieprawdopodobny.

Dla mnie była starszą kobietą, dobrze potrzydziestce.

- Rebie Mojsze, jak wyglądał reb Chaskiel?

- pytał ojciec.

Reb Mojsze żartobliwie udawał zirytowanego tym pytaniem.

- Jak wyglądał?

Jak anioł!

Kto mógłby spojrzeć mu prosto w twarz?

Oślepliby natychmiast.

W piątkowe wieczory wkładał biały chałat, niczym starodawni święci.

Sam odmawiał dzięki czynienie nad szabatowymi świecami.

Takimiał zwyczaj.

- Nie rebecin?

-Rebecin również.

- Pierwszy raz słyszę o czymś takim!

- wykrzykiwałoście.

- Co tam wy, młodzi, wiecie!

- mówiłreb Mojsze zrozdrażnieniem.

-Dzieci z was.

zwykle smarkate dzieci.

Zmarnowaliście wszystko.

Co z was za pokolenie?

Kompletnie niedojrzałe.

Czy są dzisiaj prawdziwi chasydzi?

Wsiadacie w pociąg i jedziecie do cadyka.

Co to zasztuka?

Za moich czasów szło się do niego piechotą.

Jeśli chciało się dotrzeć do Kazimierza na Rosz ha-Szana, wychodziło się z domu zaraz po pierwszym szabacie po Tisza be-Aw.

Szło się od karczmy do karczmy, a w każdejwznosiło siętoast.

Sama drogabyła jużwielkim przeżyciem.

Szliśmyprzez pola i śpiewaliśmy kazimierzowskie pieśni.

Czasamispędzaliśmy noc w lesie.

W jednej karczmie mieli zwyczajtrzymania baryłki wódki w głównej sali.

Była do niej włożona słomka i każdy, ktowchodził, pociągał łyk.

Obokstał talerz z cielęcinażimno ikto chciał, zjadał kęs.

153.

r

Chasydzi ze wszystkich miast i miasteczek spotykali się rozmawiali przez kilka dni. W tamtych czasach, gdy starsichasydzi zabierali głos, młodzi nie śmieli im przerwać.

Teraz każdy smarkacz ma coś do powiedzenia.

Zdarzało się, że gdy któryś z młodzieńców zachowywał się bezczelnie, kładziono go na drewnianej ławie i spuszczano mulanie, a następnie musiał postawić całemu towarzystwu coś do picia.

Gdy zbliżaliśmy się do Kazimierza, już z odległości kilku wiorst wyczuwaliśmy w powietrzu świętość miasta.

Puszczaliśmy się wtany i tańczyliśmy tak przez całą drogę do miasta.

- Czy łatwo było spotkać cadyka osobiście?

- Łatwo?

Dlaczego miałyby być łatwo?

Czasami rabbizaszczycił nas swoją obecnością natychmiast, a czasami przebywał w odosobnieniu w swoim pokoju i trzeba było czekać kilka dni.

Były dla nas przygotowane łóżka w pensjonatach, ale my woleliśmy spać na twardych ławach w domu nauki, na wypadek gdyby rabbi wyszedł ze swego pokoju.

A kiedy wreszcie się pojawiał, dom nauki nappełniał się światłem, był dosłownie cały rozświetlony.

Gdy reb Mojsze snuł swoją opowieść, nagle otworzyły się drzwi i weszła dziewczynka w czerwonej sukience i czerwonych kapciach na bosych stopach.

- Przyszłam zapytać rabina.

- Nu, pytaj!

- powiedział ojciec.

- Gotowałyśmy rosół, a na kuchnię wykpiła trochę mleka i chlapnęło do niego.

- Ile tego było?

Ile mięsa gotowałyście?

- Dziesięć funtów mięsa i dwie kury.

- Wszystko w jednym garnku?

- Tak.

- A ile mleka wykpiła do rosółu?

- Jakieś pół litra.

154

- Pół litra mleka wlała się do rosółu?

To ile mleka gotowałyście?

- Sześć litrów.

Ojca zawsze zdumiewała wielkość garnków używanych w Warszawie.

U nas nie gotowało się nigdy więcej niż funt mięsa naraz, a kiedy ktoś chciał napić się mleka, to brał sobie ćwierć lub najwyżej pół litra.

Najwyraźniej warszawscy Żydzi lubili zjeść.

Nie używali zwykłych garnków, lecz żelaznych saganów.

Ojciec zaczął znowu wypytывать dziewczynkę o szczegóły.

Nie mieściło mu się w głowie, że mogły wykpić naraz pół litra mleka.

Według prawa, żeby rosół był kosztowny, musiał zawierać sześćdziesiąt razy więcej mięsa niż mleka.

Ojciec pytał ją i pytał.

Nie łatwo było orzec, że jedzenie, kupione za ciężko zarobione pieniądze, jest nieczyste.

Po długim namyśle i wahaniu oznajmił w końcu:

- Rosół jest trefny.

Nie wolno go jeść ani nawet sprzedać nie-Zydowi.

Trzeba go wylać doryn sztoka.

- Ale my już zjedliśmy i rosół, i mięso - odpowiedział dziewczynka, wybuchając śmiechem.

Ojciec wzdrygnął się.

- Kiedy?

I dlaczego przychodzisz po radę dopiero teraz?

- Przyszłam spytać o garnek.

- Ale dlaczego zjedliście bez pytania?

Przecież to był zakazany pokarm!

- krzyknął na nią ojciec.

- No cóż, wszyscy byliśmy głodni, matka wyszła akurat z domu.

starsza siostra nas nakarmiła.

Gdy dziewczynka mówiła, reb Mojsze syczał jak wąż.

Gdyby nie była to mała dziewczynka, lecz mężczyzna, uderzyłby go w twarz.

- Najpierw jedzą nieczysty pokarm, dranie jedne, a potem przychodzą zapytać rabina.

Biada nam, świat chyli się ku upadkowi.

- Reb Mojsze zrzędził, kasłał, krzywił się.

- Buntują się przeciwko swemu Stwórcy.

Pożerają

wszelkiego rodzaju świństwa i nieczystości.

Nic dziwnego, że nadejście Mesjasza się opóźnia.

Niedziwota, że tonimy w nieprawości jak Egipcjanie.

Dziewczynka wyszła.

Reb Mojsze dezaprobatą kręcił głową.

- Nu-nu-nu, ba-ba-ba!

Ojciec próbował wrócić do rozmowy o Kazimierzu, lecz reb Mojsze nie chciał dłużej mówić o chasydzkich tradycjach.

Przywykł już dawno domyślić, że brama i podwórzesą siedliskiem pustoty, ale nie mógł pogodzić się z tym, że bezprawie wdziera się nawet tutaj, do gabinetu samego rabina.

A więc nie ma już przed tym żadnego schronienia!

Reb Mojsze tupnął nogą.

- Na szczęście jestem już stary - oznajmił.

- Ale żal mi was, młodych.

Bardzo mi was żal.

Może nastąpić - Boże, zmiłuj się - drugi potop.

- Któż to wie?

Może to początek końca?

- nito spytał, nito odpowiedział ojciec.

- Nawet niegodziwość musi mieć granice.

Nagle reb Mojsze spojrzał namnie.

- Chodź, przeprowadzisz mnie przez bramę!

Zszedłem z nim na podwórze i razem zbliżyliśmy się do bramy.

Mirele miała właśnie wydać resztki klientowi i gmerała wśród banknotów wpończosze.

Potem już nigdy w życiu nie widziałem takiej grubej nogi.

Im wyżej, tym była grubsza.

Nieprawdopodobnie tłusta.

Reb Mojsze zaczął stukać laską i chwycił mnie za ramię.

Mirele pokazała mu język.

- A ten znowu waliswoją łagą, mason jeden!

Stary kozioł.

jak gdybym miała ochotę z nim zgrzeszyć!

- Nu, nu, nu, ty bezwstydnico!

Mirele odsunęła się i reb Mojsze przeszedł obok niej.

Wspierał się ciężko na moim ramieniu, a mnie przychodziły

156

na myśl zwierzęta ofiarne w Świątyni, na których kapłankładł ręce.

Gdy reb Mojsze znalazł się za bramą, wyjął chustkę do nosa i tabakierkę, żeby uspokoić nerwy.

- A ty.

uczysz się, co?

- Tak, uczę się.

- Wyrośnieszna Żyda?

- Oczywiście.

- Bądź prawdziwym Żydem.

Może za twego życia nadejdzie Mesjasz.

Trejt

Był letni wieczór.

Ojciec wrócił z wieczornego nabożeństwa.

Siedział przystole i jadł swoją tradycyjną letnią kolację - ryż na mleku.

Okna były pootwierane, przez balkon wpadał lekki powiew wiatru, przynosząc ze sobą nikły zapach dymu.

Piekarze rozgrzewali już piece, szykując się do jutrzejszego wypieku.

Nagle ktoś zapukał do kuchennych drzwi.

Matka, która również przebywała w gabinecie (latem nasze życie domowe było nieco swobodniejsze niż zimą), kazała mi otworzyć.

Wszedł wysoki siwobrody mężczyzna o szalonym wzroku.

Miał na sobie ciężki palto futrzany kapelusz.

Przestraszyłem się.

- Czego pan sobie życzy?

- A, to ty jesteś Icchak, prawda?

Skórą darta z twojej

babki Temerl.

Dostałeś imię po swoim pradziadku, rabinieleż Herszu.

Aha!

Zupełnieta samatwarz!

Był wspaniałym Żydem, świętym.

O, jak szybko mijają lata!

I bez dalszych ceregieli wszedł do gabinetu, poczym przywitał się z ojcem.

- Pinchasie Mendlu, nie poznajesz mnie?

Jestem Trejtł.

Ojciec klasnął w dłonie.

- Trejtł!

Nie wierzę własnym oczom.

Szalom alejchem.

158

- Tak, to ja, Trejtł.

Postarzałem się, co?

Nie wiedziałem nawet, że mieszkasz teraz w Warszawie.

Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś zwracał się do ojca po imieniu albo rozmawiał z nim tak bezpośrednio.

Ale ten nieznajomy, w ciężkich butach, długim palcie i zimowym kapeluszu w środku lata, traktował mojego ojca jak młodego chłopaka.

Matka zniknęła w kuchni.

- Przyjechałeś prosto z Tomaszowa?

- Ton ojca również był przyjazny i swobodny.

- Nie, nie byłem w Tomaszowie od lat.

- To gdzie się podziewałeś przez cały ten czas?

- Spytaj raczej, gdzie nie byłem!

Zwiedziłem całą Polskę wzdłuż i wszerz.

Dotarłem nawet daleko na północ, aż na Litwę.

Jestem bez przerwy w podróży.

- A właściwie dlaczego podróżujesz?

- Jak to, dlaczego?

Muszę wydać za mąż córki.

Miałem siedmioro dzieci, ale dwoje zmarło.

Mojsze ożenił się z panną z Izbiczy.

Chawa - która nosi imię po naszej babce - wyszła za mąż za młodzieńca z rodziny Jonewerów.

Trzy pozostałe - Sara Mindl, Bajle Brosze oraz Itele - ciągle jeszcze są w domu.

Jak mam wydać jedobrze za mąż, skoro niemają posagu?

Przekłęci donosiciele zrobili ze mnie żebraka.

Oni - niech ich nazwisko oraz pamięć onich zostanie nazawsze wymazana - oskarżyli mnie o malwersacje.

Sara Mindl, biedactwo, dobiega już czterdziestki.

Stara panna.

Ale zbieram posag dla każdej z nich.

Nie odejdę z tego świata, dopóki nie zaprowadzę wszystkich moich córek pod ślubny baldachim.

Ojciec zamyślił się.

Nad czymś się zastanawiał, na jego.

czole pojawiła się głęboka pionowa zmarszczka.

Odgadłem, że oblicza w myśli wiek Sary i że według jego szacunków kobiety dawno już przekroczyła czterdziestkę.

Zaczął szarpać brodę.

- Idź się umyj.

Zjesz z nami kolację.

159.

- Już jadłem.

Od lat jadam tylko raz dziennie, o czwartej.

- Rozumiem.

A gdzie się zatrzymałeś?

- Przenocuję was.

-Nu, cała przyjemność po naszej stronie.

Może napijesz się herbaty?

Zjesz trochę ryżuna mleku?

To tylko

przekąska.

- Nie pijam herbaty.

Nie jadam mlecznych potraw.

Po

czwartej nie biorę już ani kęsado ust.

Ale jakto się stało, że przeniosłeś się do Warszawy?

Ja natomiast, jak widzisz, zostałem wędrownym żebrakiem.

Myślisz, że miałem jakiś wybór?

Najpierw donieśli na mnie do władz, potem wynajęli złodziei, żeby obrabowali mój sklep.

Zabrali mi wszystko, zostały puste półki.

Chciałem podjąć pracę jakorytualny rzeźnik, ale inni szojcheci rozpuścili plotkę, że ręce mi się trzęsą.

Otoczają mnie sami wrogowie - chętnie utopiliby mnie w łyżce wody.

A to dlatego, że mam trochę wiedzy, a oni wszyscy są ignorantami.

Wkrótce zorientowałem się, że sprawy źle stoją, toteż schowałem dumę dokieszeni i wyruszyłem w drogę.

Dla przyszłej panny młodej posag jest rzeczą bardzo ważną.

Swaci próbowali zaaranżować małżeństwo moich córek z prymitywnymi chamami, ale ja nie chciałem o tym słyszeć.

Z pewnością pamiętasz werszet Talmudu: "Jesteście zobowiązani raczej sprzedać dom niż wydać córkę za mąż za nieuka".

- Ale wrócisz do domu przynajmniej na święta?

-Nie.

Na święta będę w Równem albo w Ludźmierzu, a może jeszcze gdzie indziej.

Jak mógłbym pojechać do domu bez pieniędzy?

Niewrócę, dopóki niezdobę posagu dla każdej z nich.

Matka przyniosła poczęstunek - herbatę i ciasteczka, ale osobliwy gość nie tknął niczego.

- Zjeździłem kawał świata.

Dotarłem do jednej z najdalej wysuniętych na wschód prowincji Rosji.

Kiedy tylko na 160

darzą się sposobność, ruszam w drogę.

Nie miałem pojęcia, że mieszkasz w Warszawie, ale spotkałem pewnego ziomka, który mi o tym powiedział.

Jakżeż on się nazywa?

Kompletnie zapomniałem.

Mam trochę słabą pamięć.

Co ty możesz wiedzieć o mojej nieszczęsnej doli?

Jeśli trafia się prosiak, to się nim zabieram.

Jeśli nie, idę piechotą.

Jak się miewa twoja matka?

- Oby żyła w dobrym zdrowiu przez wiele lat.

-Religijnakobieta, ale daleko jejdo twojej babki, HindyEstery.

Ona nosiła mały tałes, tak jak mężczyzna.

Ileokroprzyjeżdżała doBełza, rabin - reb Szalom - sam podawałjej krzesło.

Była mądra i pobożna - rzadkich przymiotówkobieta.

Kupowała iodsprzedawała biżuterię, miała kontakty z dworami szlacheckimi.

A twój ojciec, niech spoczywa w pokoju, przez siedem lat nie wziął do ust mięsai nikt poza twoją matką nie wiedział o jego ślubowaniu.

Był kabalistą, świętym człowiekiem.

Teraz na Litwie sprawy wyglądają zupełnie inaczej.

Mają wielkiego uczonego,który nazywa się reb Joisel.

Tutaj nikt nieużywałby takiegoimienia.

Na dworze rabiego w Lubawiczach nie myją rąkprzed odmówieniem modlitwy dziękczynnej po spożyciuposiłku.

Taki majązwyczaj.

A w Turzysku widziałem dybuka.

Pewna spokojna zwykle dziewczynazaczynałanaglewyć jak pies i mówić męskim głosem.

Potemśpiewała jakkantor, a jej głos brzmiał donośnie niczym ryk lwa.

Znałana pamięć wszystkiemodlitwy.

Cadyk zTurzyska dał jejamulet, nic to jednak nie pomogło.

Nawetdzisiejsi święcinie dorównujądawnym.

Ale ludzie wszędzie mi pomagają.

Świat jest wielki i w każdym jego zakątku są,dzięki Bogu,pobożniŻydzi.

Warszawa to istny ludzki ocean, wszyscy tutaj żyją w wiecznym pośpiechu.

Nikt niema czasu.

Pocoten pośpiech?

Ale chciałbym cię prosić przysługę.

- Jaka?

- Czy mógłbym zostawić u ciebie trochę pieniędzy?

Zawsze noszę je przy sobie, ale mam z nimi kłopot podczaszabatu.

Zwykle powierzam je rabinowi w miasteczku, doktórego akurat przybyłem, i zabieram je po zakończeniu szabatu.

Zdarzyło się kiedyś, że zostałem obrabowany.

Zatrzymałem się w miejskim przytułku, gdzie nocowałem również złodziej.

Miałem pieniądze schowane w buty.

Tamten zabrał wczesnym rankiem swój tobołek i zniknął.

Nadaremnie by go szukać, bo jak miałbym go rozpoznać?

Zwyczajny Żydz brodą i pejsami.

Nawet złodzieje z Piasków noszą brody.

Zostawię więc pieniądze u ciebie, a odbiorę je po szabacie.

Ojciec zmarszczył brwi.

- Prawdę mówiąc, mam pewne obawy - wyznał.

- Toprzeć Warszawa, pełno tu złodziei.

- Czego się boisz?

Nie bierzesz opłaty za pilnowanie pieniędzy, nie odpowiadasz zatem za kradzież lubstratę.

- Toprawda, nie chciałbym jednak - broń Boże - wystawiać kogoś napokusę.

- Nie martw się, nie martw się.

Wszystko dzieje się zgodnie z planami Opatrzności.

Oszukiwano mnie i okradano wielokrotnie od chwili narodzin.

Gdyby nie zrobiono zemniędzarza, moja Sara Mindl byłaby już teraz babką.

Ale widocznie taka jest wola nieba.

Możesz je gdzieś schować?

- Ale gdzie?

Mogę je tylko włożyć do szuflady.

- Nu.

Siwo włosy przybysz wyciągnął szybko zwitek banknotów z górnej kieszeni.

Ojciec spojrział na pieniądze i powiedział:

- Przynajmniej wpierw policz.

- Nie muszę liczyć, ufam ci i bez tego.

- Nie, proszę, przelicz.

Trejt zaczął liczyć.

Liczył szybko i wydawało mi się, że kilka razy policzył dwa banknoty za jeden.

Od czasu do

162

czasu ślinił palce.

Nie jestem pewien, jak to była dokładna suma, ale chyba kilkadziesiąt rubli.

- Schowaj je do szuflady - powiedział do ojca.

- Ale przecież dziś jeszcze nie piątek.

Przyjdź do mnie w piątek po południu.

- Nie, chcę jść jutro do publicznej łaźni.

W piątek jest nieczynna.

- Ale.

naprawdę boję się trzymać je tutaj.

- Nie przejmuj się.

Żydzi są hojni - kiedy słyszą, że potrzebne są pieniądze na posag dla panny młodej, nie szczędzą grosza.

W pewnym miasteczku spotkałem szewca, który bez wątpienia jest jednym z trzydziestu sześciu utajonych świętych.
Zajmuje się szewstwem wraz ze swymi ośmioma synami.
Dał mi sporą sumę z własnych pieniędzy, a potem jeszcze obszedł całe miasteczko, zbierając na mój cel od innych.
Jest najlepszym szewcem w całej prowincji.
Kupują u niego buty wszyscy goje.
Nosi jarmułkę nawet w warsztacie, zna trochę Talmud.
W Ludźmierzu natomiast mieszka rzeźnik, który oddaje na cele dobroczynne wszystko, co ma.
Amoże we Władowie?
Pamięć mnie trochę zawodzi.
Znam też jednego bogacza, który jest taki skąpy, że jego żona musi piec chleb trzytygodni wcześniej - ponieważ świeży chleb jest za szybko zjadany.
Nigdy nie daję grosika na biednych.
W czasie podróży spotykasz różnych ludzi.
Ale zawsze znajdzie się ktoś, kto chętnie pomoże.
Gdy zbieram posag dla wszystkich trzech córek, wydam je za męża i przestanę wędrować.
Ile mi potrzeba dla mnie samego?
Wystarczy mi chleb i barszcz.
Mógłbym zostać prywatnym nauczycielem albo zatrudnić się jako szojet.
Gość opowiadał tak do późnej nocy.
W końcu zestawiliśmy razem ławy w gabinecie i przygotowaliśmy posłanie.
Położyliśmy spać dopiero koło drugiej nad ranem.
O piątej wstał i wyszedł.

Gdy matka dowiedziała się, że wzięliśmy na przechowanie cudze pieniądze, nawet na chwilę nie zostawiała mieszkania bez opieki.

Znalazła gdzieś klucze do szuflady i zamknęła ją.

Przecież na Krochmalnej roiło się od złodziei.

Zmyła ojcu głowę za to, że wziął na siebie taką odpowiedzialność.

Co byśmy zrobili, gdyby -nie daj Boże - coś się stało z powierzonymi pieniędzmi?

Zwłaszcza że były przeznaczone na posag dla ubogiej panny młodej.

Minął tydzień.

Spodziewaliśmy się, że w sobotę wieczorem Trejtlwróci i uwolni nas od tego ciężaru, on jednak się nie zjawił.

Nie przyszedł w sobotę wieczorem ani w niedzielę, ani w poniedziałek, ani w wtorek.

Zniknął tak nieoczekiwanie, jak się pojawił.

Kto wie, co mogło mu się przytrafić?

Może wróci któregoś dnia i zażąda więcej pieniędzy?

Wyjęliśmy pieniądze z szuflady i wtknęliśmy je do siennika, wypełnionego słomą.

Ale nawet ta skrytka nie wydawała się matce dość bezpieczna, toteż obmyśliła nową - schowamy pieniądze wśród naczyń, używanych podczas Pesach, które trzymała na szafie z szerokim gryzmem, ozdobionej rzeźbioną głową lwa.

Mijały tygodnie, a po Trejtle słuchaginała.

Skończyło się lato.

Mniej więcej w środku zimy odwiedził nas jeszcze jeden znajomy z Tomaszowa.

Ojciec spytał go, czy niewie przypadkiem, gdzie podziwia się Trejtl.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Trejtl ma nie pokolei w głowie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie jest zdrowy na umyśle?

- Właśnie.

- Ale przecież on był tutaj u nas latem.

Wstąpił po drodze podczas wędrówki, w którą wyruszył, żeby zbierać posag dla swoich córek.

- Jaki posag?

Wszystkie jego córki są już zamężne.

- Co takiego?

- To szczególny rodzaj choroby psychicznej.

Naprawdę był tutaj?

- Tak.

Zostawił na przechowanie pewną sumę i przepadł jak kamień w wodę.

- Jest niezrównoważony.

Nie pamiętam, ile czasu upłynęło, ale pewnego dnia znowu ktoś zapukał do drzwi i wszedł Trejtl.

Jeszcze bardziej posiwiła i przybyło mu zmarszczek.

Jego ciężkie buty pozostawiły na podłodze błotniste kałuże.

- Zostawiłem u ciebie na przechowanie pieniądze - powiedział do ojca.

- Ale dlaczego zniknąłeś?

Jak można tak po prostu pójść sobie i nie pokazać się przez tyle czasu?

- Musiałem odwiedzić wiele miejsc.

- Wiesz przynajmniej, ile było tych pieniędzy?

- Pamięć mi szwankuje, ale mam do ciebie pełne zaufanie.

-Przez cały ten czas, kiedy cię nie było, nie mogliśmy wychodzić z domu z powodu twoich pieniędzy.

Baliśmy się, żeby ich, uchowaj Boże, nie zrabowano.

- Byłem już obrabowany wiele razy.

Doszłoniemal dotego, że została mi ostatnia skórka chleba -ale Żydzi są miłosierni.

Obym tylko dożył chwili, gdy wydam moją córkę za męża.

Sara Mindl ma już czterdzieści lat, a Bajle Brosze też przekroczyła trzydziestkę.

Jak długo jeszcze mogą czekać?

- Ale nie byłeś dawno Tomaszowie.

Możedo tej poro wychodziły już za mąż?

- Bez posagu?

Bzdura.

- To się zdarza.

-Ba.

- Powinieneś przynajmniej się dowiedzieć.

-Nie!

165.

Przysunęliśmy stół do szafy i postawiliśmy na nim krzesło.

Następnie wyjęliśmy z kosza pełnego naczyń na Pesachpieniądze Trejtła, starannie owinięte w papier.

Trejtł bezliczenia wsunął zwitek dokieszeni.

- Czy Hinda Estera jeszczeżyje?

- spytał.

-Musi byćjuż bardzo stara.

Ojciecpokręcił głową.

Ten człowiek najwyraźniej byłniezrównoważony,ale tylko pod jednym względem.

I znowu opowiedział wieleciekawych anegdot, przerywając tylko co jakiś czas i wtrącając swój zwykły refren:

- Obym tylko zdołał dożyć wesela moich córek.

Zostaje skarbnikiem

Niezatwierdzony, pokątny rabin był na utrzymaniu mieszkańców swojej dzielnicy.

Potrzebując jego rady wkwestiach prawa religijnego i wiedząc, że musi z czegoś żyć,dawali cotydzieńna ten cel różne sumy skarbnikowi.

Wprawdzie taki skarbnik wydawał pokwitowania, ale łatwomógł przywłaszczyć sobiewięcej niż należne mu dwadzieścia procent prowizji.

Nasz pierwszy skarbnik był uczciwym człowiekiem,później jednak ożenił się został rytualnym rzezakiem.

Każdy następny był większym złodziejem od poprzednika, aż wreszcie trafił się ostatni, który zagarniał większośćpieniędzy dla siebie.

Co tydzień przynosił corazmniej i mniej pieniędzy, uzalając się: "Nie mogę ich zmusićdo płacenia!

" albo: "Jest kryzys,u wszystkich kruchoz pieniędzmi!

". Podejrzewać innego Żyda było poniżejgodności mojego ojca.

Skończyło się na tym,że w domu nie było kromki chleba,a sklepikarze przestali dawać nam na kreskę.

Nie dostawałem już codziennedwóch groszy na cukierki lubczekoladę.

Niewystarczałonaam na opłacenie komornegoigospodarz zagroził, że zaskarży nasdo sądu i zlicytujenasze meble.

Kiedy ojciec odmawiał dziękczynną modlitwę

1,7.

po posiłku: "I obyśmy mogli krzepić się darami krwi i ciała", wznosił oczy do nieba, wzdychając głęboko, bardziej głęboko niż zazwyczaj.

Czy można studiować Torę i być Żydem, jeśli zabraknie szabatowego posiłku?

Pewnego dnia, kiedy ojciec opowiadał mi o swoich kłopotach, zaproponowałem:

- Pozwól mi zbierać pieniądze.

Ojciec popatrzył na mnie ze zdumieniem.

- Ale jesteś przecież jeszcze dzieckiem.

Musisz się

uczyć.

- Będę się uczył.

- A co na to powie matka?

- Po co jej mówić?

- No dobrze, spróbujemy - zgodził się ojciec po chwili namysłu.

Wziąłem kwitariusz i udałem się pod odpowiednie adresy, gdzie wbrew wykrętom mojego nierzetelnego poprzednika, datki były hojne.

Ponieważ odprawiliśmy skarbnika, wiele osób zalegało z płatnościami i po godzinie moje kieszenie były pełne miedziaków i srebrnych monet, a pod dwóch godzinach musiałem już ładować pieniądze za pazuchę i do kieszeni w spodniach.

Nie czułem już takiego wstydu jak na początku.

Wszyscy byli tacy mili, mężczyźni szczykali mnie w policzki, kobiety błogosławiły i częstowały ciasteczkami, owocami i cukierkami.

Mówiły mi, że mój ojciec jest pobożnym człowiekiem, świętym.

Wchodząc po schodach, pukałem do drzwi.

Odkrywałem teraz ulicę Krochmalną, którą - jak mi się wydawało - dobrze znałem, od podszewki.

Odwiedzałem krawców, szewców, kuźnierzy, szczotkarzy oraz innych rzemieślników.

W jednym z domów dziewczęta nizały korale, stopy barwnych paciorków połyskiwały na stołach, krzesłach, łóżkach.

Czułem się jak w czarodziejskim pałacu.

Ale gdy otworzyłem drzwi do kolejnego mieszkania, wyrwał mi się okrzyk.

Napodłódze piętrzyły się martwe zwierzęta.

Ten lokator skupowałające od myśliwych sprzedawał je do restauracji.

W następnym mieszkaniu dziewczęta nawijały nici z wrzecion na szpule, śpiewając żydowskie pieśni, a kawałki nitki plątały się w ich potarganych włosach.

W jednym z mieszkań grano w karty, w innym bardzo stary siwobrody mężczyzna heblował deskę, wszędzie było pełno strużyn i wiórów, a staruszka w czepku modliła się, pochylona nad książką.

U intrologatora natomiast dostrzegłem z przerażeniem, że robotnicy deptają po Pięcioksięgu i innych świętych księgach.

W kolejnym mieszkaniu napotkałem kobietę - wybryk natury, z głową zwężającą się ku czubkowi.

Miała wielkie cielece oczy i potężne ciało, chrząkała jak niemowa i wydawała przeraźliwe odgłosy.

Ku mojemu wielkiemu zdumieniu okazało się, że ma męża.

Gdzie indziej zobaczyłem sparalizowaną mężczyznę ziemistej cerze, leżącego na czymś w rodzaju półki.

Kobieta karmiła go, a jedzenie ściekało po jego rzadkiej bródce.

Miał chyba zeza.

Zamknąłem drzwi równie szybko, jak je otworzyłem.

Wdrapałem się napoddaże po niewiarygodnie brudnych schodach, mijając bosonogiedzieciaki, o owrzodzonej z powodu szkorbutu skórze, które bawiły się tam skorupami i błotem.

Jeden z chłopców był ogolony na zero, miał bladą twarz, spuchnięte uszy i długie rozczochrane pejsy.

Jakaś dziewczynka splunęła na niego, a on w odpowiedzi wykrzyknął przekleństwo.

- Gdzie mieszka Jenta Flederbaum?

- spytałem, wyjmując kwitek.

- W "szczance".

Tak nazywano w Warszawie ciemny korytarz.

Byłem z natury bojaźliwy, ale właśnie tamtego dnia poczułem

169.

niespodziewanie przyплыw odwagi, jakbym został nagle odmieniony.
Idąc niepewnieciemnym korytarzem, wpadając nakosze i skrzynie, usłyszałem raptem szelest, jak gdyby pokorytarzu biegały myszy.
Zapaliłem zapalną i zobaczyłem, że na drzwiach nie ma numerów ani nawet klamek.
Kiedypchnąłem jedną z nich, zamarłem.
Na podłodze leżały zwłoki, owinięte w prześcieradło, przy głowienieboszczyka stały dwie świece, obok na niskim stołeczku siedziała kobieta- płakała, załamywała ręce, krzyczała.
Lustro na przeciwległejścianie było zasłonięte.
Ciarkimnie przeszły ze strachu, zatrzasnąłem drzwi i wycofałem się do korytarza, przed oczami latały mi ognisteplamy, w uszach dudniło.
Puściłem się pędem z powrotem, ale potknąłem się o jakiś kosz czy skrzynię.
Miałem wrażenie, że ktoś chwycił mnie za poły i ciągnie z powrotem.
Kościste palce wpijały się w moje ciało, słyszałem straszliwy krzyk.
Złany zimnym potem, w końcu wybiegłem, rozdzierając chałat.
Tak się skończyła moja kariera skarbnika.
Zwymiotowałem, dostałem ataku dreszczy.
Monety ciężymi, gdy wracałem do domu.
Zdawało mi się, że w ciągu tego jednego dnia przybyło mi wiele lat.
Nie chciało mi się jeść, mimo że od rana nie miałem nic w ustach.
Brzuch mi wzduło.
Wszedłem do domu nagi, pustego o tej porze, albowiem było dopiero południe, i usiadłem, żeby odpocząć, zupełnie jak starzec.
Bolały mi nogi, w głowie mi huczało.
Patrzyłem na święte księgi i wydawały mi się dziwnie obce, jak gdybym zapomniał wszystko, czego się nauczyłem.
Nagle zdałem sobie sprawę, że zrobiłem coś złego, i poczułem do siebie wzdę.
Wówczas podjąłem postanowienie, któremu do dziś jestem wierny- nigdy nie zrobię dla pieniędzy niczego wbrew mojej naturze i będę unikał przyjmowania prezentów i korzystania z przysług.
Chciałem jak najszybciej uwolnić się od tego godnego pożałowania zajęcia.
Gdy wróciłem do domu, matki nie było, a ojciec siedział w gabinecie.
Popatrzył na mnie z niepokojem, po czym spytał:
- Gdzie byłeś przez cały dzień?
- Potem dodał impulsywnie: - Przykro mi z powodu tego wszystkiego.
Musisz się uczyć.
Opróżniłem kieszenie.
Okazało się, że zebrałem wciąż jednego dnia więcej pieniędzy, niż dostaliśmy od skarbnika za cały miesiąc.
Ojciec zgarnął pieniądze do szuflady, nie licząc ich.
Poczułem ulgę.
- Nie mogę tego dłużej robić - powiedziałem.
- Uchowaj Boże!
Ale nowy skarbnik też nas okradał.
W końcu ojciec wywiesił ogłoszenie, żeby więcej nie dawano pieniędzy skarbnikowi.
Próbował poradzić sobie, utrzymując dom z opłat za procesy, śluby i rozwody, ale nasza sytuacja stawała się coraz gorsza, i chociaż przyjmował uczniów, nie pozostawali z nim zbyt długo.
Matka udała się w podróż do Biłgoraja, żeby uzyskać pomoc u dziadka i zabawiła tam przez kilka tygodni.

W domu zapanował chaos.

Żywiliśmy się suchym prowiantem i nikt mnie nie pilnował, nagle jednak ogarnął mnie wielki zapal do nauki.

W jakiś niewytłumaczalny sposób zacząłem zupełnie sam "czytać" stronicę Gemaryi nawet rozumieć komentarz.

Zabrałem się do Pomocnej dłoni Majmonidesa oraz do innych książek, których przedtem niepojmowałem.

Pewnego dnia znalazłem w bibliotece ojca książkę o kabale autorstwa reba Barucha ben Abrahamaz Kosowa.

Nie wychwytywałem znaczenia wielu rzeczy, ale to i owo do mnie dotarło.

Otwierała się chyba jakaś część mojego mózgu, która do tej pory była szczelnie zamknięta.

Doświadczałem teraz głębokiej radości uczenia się.

Moja siostra

Chociaż w tamtych czasach nie znaliśmy Freuda, można powiedzieć, że w naszym domu rozgrywał się freudowski dramat.

Moja siostra powątpiewała w miłość matki, kompletnie bez cienia podstaw, ale rzeczywiście bardzo różniły się charakterami.

Mój brat, Izrael Jozua, wdał się w rodzinę matki, lecz Hinda Estera odziedziczyła chasydzką węgę, miłość do ludzi i ekscentryczną naturę po rodzinie ojca.

Gdyby żył w innej epoce, mogłaby zostać świętą lub tańczyczą z chasydami jak Hodel, jak córka Baala Szem Towa.

Nasz prababka, po której siostra otrzymała imię, nosiła mały tałes i odwiedzała rabina w Bełzie niczym mężczyźni.

Moja siostra przypominała wszystkie świątobliwe rebecin, które pościły i odbywały pielgrzymki do Palestyny, żeby pomodlić się przy starożytnych grobach.

Jej życie wypełniały święta, pieśni, nadzieja i euforia.

Była chasydem w spódnicy, ale cierpiała na histerię i miała lekkie ataki epilepsji.

Czasami sprawiała wrażenie, jak gdyby wcielił się w nią dybuk.

Ojciec lekceważył ją, ponieważ była dziewczyną, a matka nie potrafiła jej zrozumieć.

W wolnych chwilach matka czytała moralizatorską książkę, rzadko wyglądając przez okno, a jeśli już, to wzrok miała nieobecny i niechętny.

Motłoch i hałas działały na nią przygnębiająco, interesowały ją wyłącznie przemyslenia.

Moja siostra natomiast przez cały dzień paplała, śpiewała i śmiała się, a także wygłaszała opinie, które powinna była zachować dla siebie.

Jeśli kogoś lubiła, chwaliła go bez umiaru, tychaś, których nie lubiła, obrzucała obelżywymi wyzwiskami.

Miała skłonności do przesady, skakała z radości, płakała, gdy była nieszczęśliwa, zdarzało się, że traciła przytomność.

Była zazdrosna o naszego brata, Izraela Jozuę, i zmyślała najrozmaitsze oskarżenia, a potem, żalując tego, co zrobiła, koniecznie chciała go pocałować.

Szłochała jak szalona, a po chwili humor jej się poprawiał i puszczała się w tany.

Nas, młodsze rodzeństwo, zawsze całowała i pieściła.

Wszystko miało dla niej wielką wagę.

Fryzjerz naprzeciwka zakochał się w niej i przysłał jej miłosny liścik.

Moja siostra, wyobraziwszy sobie natychmiast, że wszyscy o tym wiedzą i zaczną plotkować, bała się wyjść na ulicę.

Minęło wiele czasu, zanim udało się nam przekonać ją, że inne dziewczęta też dostają takie listy i nikt ich za to nie wini.

Pewnego szabat, słysząc jej żalony płacz w kuchni, pobiegłem tam i zobaczyłem, że w piecu pali się ogień.

Wrzuciła do niego suche papiery, którymi nakrywaliśmy zwykle szabatowy posiłek, a one zajęły się od iskry.

Dopiero gdy wyjaśniliśmy jej, co się stało, wybiła sobie z głowy pomysł, że zakradł się tam diabeł.

Nie należała do dziewcząt, które łatwo jest wydać za mąż, była jednak ładna i zaproponowano jej małżeństwo.

Warszawianinowi, rębowi Gedaliachowi, udało się zebrać pieniądze na jesziwę w Palestynie.

Jego synowie wyjechali do Belgii, unikając w ten sposób poboru do wojska.

Został im szlifierzami diamentów.

Nadal jednak miał nad nimitak wielką władzę, zearanżował ich małżeństwa nawet na odległość.

Gdy reb Gedaliach dowiedział się, że mój ojciec

173.

ma córkę na wydaniu, przystał swata, zanim sam złożył wizytę.

Wysoki, silnej budowy, z wachlarzową brodą i cygarem w ustach, pokazał nam fotografię syna, przystojnego młodzieńca z wypięgniętą brodą, ale w modnym ubraniu.

Reb Gedaliach zapewnił nas, że syn, który mieszka w Antwerpii, modli się codziennie, jada wyłącznie kosherne potrawy i studiuje Talmud.

Dowodem jego pobożności miał być fakt, że pozwolił ojcu wybrać dla siebie narzeczoną.

Reb Gedaliach zjawił się u nas niczym Eliezer, niewolnik Abrahama, który przyszedł po Rebeke, żeby zabrać ją do Izaaka.

Ojciec nachmurzył się, zmartwiony perspektywą wysłania jedynej córki za granicę, matka natomiast ucieszyła się.

Coraz trudniej było mieszkać pod jednym dachem z tanieobliczną dziewczyną.

Moja siostra, która hołdowała już niektórym nowoczesnym poglądom i czytała gazety oraz książki w jidysz, marzyła o romantycznym małżeństwie z miłości, a nie skojarzonym przez rodziców.

Czasami wkładała kapelusz i szła z przyjaciółkami na spacer do Ogrodu Saskiego.

O całej sprawie przesądził fakt, że ojciec nie miał pieniędzy na posag, a reb Gedaliach wcalego nie żądał.

Pamiętam wieczór, kiedy, w naszym jasnooświetlonym mieszkaniu, podpisano wstępną umowę, którą później wysłano ekspresem do przyszłego pana młodego do Antwerpii, żeby ją podpisał.

W gabinecie ojca rozstawiono stół poczęstunkiem, jak podczas święta Purim.

Pykając cygarem w bursztynowej fajce, reb Gedaliach dyskutował z ojcem na temat Tory.

Potem podarował mojej siostrze złoty łańcuch, który wyjął zeszkatułki.

Jego żoną była korpulentną kobietą o wydatnym biuście, a córki miały nad podziw długie włosy.

Dziewczęta musiały czekać na swoją kolej, aż ożeni się ich brat.

Tyle mówiło się przyszłemu panu młodemu, że niemal czułem jego obecność.

Siostra, w optymistycznym nastroju, rumieniła się, wybuchając śmiechem i dziękowała wszystkim za prezenty, komplementy, obietnice i serdeczne życzenia.

Usłyszałem, jak ojciec spytał, gdzie odbędzie się ślub, na co reb Gedaliach odparł:

- W Berlinie.

Widząc zdziwienie ojca, reb Gedaliach powiedział:

- Nie martw się.

Żydzi są wszędzie.

Byłem kilka razy w Berlinie i jest tam wszystko, czego sobie zażyczysz - synagogi, domy nauki, mykwy.

Berlińczycy odwiedzają cadyka z Góry Kalwarii, ofiarowując bardzo hojne datki.

- Bogu niech będą dzięki.

- Antwerpia - mówił dalej reb Gedaliach - to również bardzo żydowskie miasto.

Byłem też w Paryżu i wjechałem windą na ogromną wieżę.

Rozmawiałem z paryskim cadykiem, geniuszem.

Mam list od niego.

Mówi po francusku.

Zarówno ojciec, jak ja byliśmy zdumieni, że rabin zna francuski i mieszka w Paryżu.

Ale ojciec tylko szarpał w milczeniu brodę, a matka, siedząca przy drugim stole wraz z innymi kobietami, również się nie odzywała.

Niemiała cierpliwości do rozmów towarzyskich o biżuterii, strojach, pantoflach, jedzeniu i okazjonalnych zakupach.

W przeciwieństwie do tych modnych kobiet, ubrana była w suknię, uszytą jeszcze na jej własny ślub.

Po wysłaniu wstępnych kontraktów zaczęły przychodzić listy w jidysz od przyszłego pana młodego.

W odpowiedziach wysyłanych przez moją siostrę ujawniły się pierwsze przebłyski literackie w naszej rodzinie.

Pisała długie, inteligentne, nawet dowcipne listy, czego mój ojciec nie był świadomy, matka natomiast nie mogła wyjść z podziwu, że jej córka ma takie lekkie pióro.

Skąd się to wzięło?

Przecież Hinda Estera tak niedawno przyjechała z Leonciną Radzymina.

Matka sama była wspaniałą gawędziarką,

ale nie celowała szczególnie w pisaniu.

Jej listy były krótkie

i wszystkie na tę samą modłę.

W naszym domu zaczęły dziać się dziwne i niespodziewane rzeczy.

Mój brat, Izrael Jozua, który wciąż jeszcze uczył się dodomowi nauki, zaczął przejawiać nagłą ochotę do malowania.

Kupował ukradkiem papier, ołówki, węgiel, farby i zaczynał malować pejzaże, drzewa, kwiaty, krowy, wieśniaków oraz chaty kryte słomianą strzechą, z dymiącymi kominami.

Ukrywał też przed ojcem podręcznik rosyjskiej gramatyki oraz książki w jidysz, które nazywał "literaturą".

Opowiadał nam, że w Palestynie są kolonie, gdzie młodzi Żydzi biorą ziemię i pasą owce jak za czasów króla Dawida, a w Rosji działają rewolucjoniści, którzy zamierzają obalić cara i znieść pieniądze.

Mówił, że w Ameryce można spotkać milionerów bogatszych od Rothschilda, którzy muszą mieć ochronę przed przestępcami, zwanymi "Czarna Ręka".

Jego słowa wryły mi się w pamięć.

Gdy zamykałem oczy, w mojej wyobraźni pojawiały się kolory i kształty, jakich nigdy nie oglądałem, przybierające wciąż nowe wzory i formy.

Czasem widziałem ogniste oko, jaśniejsze od słońca, z nieziemską źrenicą.

Do dzisiejszego dnia, jeśli tylko spróbuję, potrafię zobaczyć topromienne oko.

Moja pamięć o tamtych dniach pełna jest wizji czarodziejskich kwiatów i klejnotów.

Ale wtedy owe wizje były tak liczne, że niekiedy nie mogłem się od nich opędzić.

Z racji zaręczyn mojej siostry cały nasz dom ogarnęło bardzo ziemskie podniecenie.

Szykowano ślubną wyprawę, przysłała się ożenić zatrudniła szwaczki z lepszych ulic, ojciec zaciągnął pożyczkę w towarzystwie kredytowym.

Mieszkanie pełne było jedwabi, aksamitów, pluszu, plisowanych sukien, krawieckich centymetrów i bielizny pościelowej.

Siostra, choć zwykle nie odstępowała jej do domu

mor, czasem miała napady rozstrojenstwa i mówiła do matki:

- Wyprawiasz mnie z domu, bo mnie nienawidzisz!

- Biada mi, doprowadzasz mnie do szału!

- Ale to prawda.

- Wobec tego odwołam ślub!

- Nie.

Wolę iść na wygnanie.

Zniknę ci z oczu.

Niebędziesz wiedziała, co stało się z moimi doczesnymi szczątkami.

Zanim matka zdołała odpowiedzieć, siostra wybuchła śmiechem i padała zemdlna, zawsze jednak w taki sposób, żeby nie zrobić sobie krzywdy.

Mdlała, mrugała powiekami i uśmiechała się.

Ale mimo że chyba udawała, wszystko było strasznie realne.

Na mnie również miały wpływ nowoczesne poglądy.

Zacząłem nawet pisać, na swój własny sposób.

Wyciągałem kartki papieru z szuflady ojca i pokrywałem je gryzmołami i dziwnymi rysunkami.

Byłem tak podekscytowany i dziecinny, że z niecierpliwością wyczekiwałem końca szabatu, żeby móc wrócić do mojego zajęcia.

Matka, przyglądając mi się, mówiła:

- Co ty wyczyniasz?
Normalne dzieci tak się nie zachowują.

Cud

Mimo że przeprowadziliśmy się do Warszawy, ojciec pozostawał nadal w dobrych stosunkach z rabinem z Radzymina, odwiedzał go od czasu do czasu i modlił się w radzyminskim domu nauki na Krochmalnej 12.

Współuczestnikiem tych modłów był reb Józef Mattes, czy reb Józef Gešiarz, jak go nazywano, jego żona bowiem sprzedawała gęsi w hali Janasza.

Kogoś takiego jak reb Józef można było spotkać tylko wśród polskich Żydów.

Był stale zajęty Torą, chasydyzmem, filantropią oraz spełnianiem dobrych uczynków.

Wciąż się modlił, czytał, recytował Zohar lub pomagał uboższym ludziom.

Był mężczyzną silnej budowy, o rumianej twarzy i oczach, promieniujących pobożnością, łagodnością i zachwytem, jakie spotyka się tylko u ludzi, którzy są dumni z tego, że służą Bogu.

Przekupki, handlujące gęsiami w hali Janasza, nie cieszyły się dobrą sławą, ponieważ naprzód dziennym były u nich obrzydliwe przekleństwa, którymi obrzucały kupujące u nich klientki.

Dlatego matka nie chciała mieć z nim do czynienia.

Potrafiły zerwać perukę zgłowy gospodyni domowej, która ośmieliła się targować z nimi.

Zanim jeszcze klientka spytała o cenę, przekupka zaczynała wygłaszać monolog w rodzaju:

178

- Wydaje ci się, że to gęś?

Na Boga, to prawdziwieciele!

Spójrz tylko, jaka tłusta - nasi wrogowie powinni zzielenieć z zazdrości.

Jeśli gęś nie zapewni ci jedzenia na cały tydzień, to niech dostanę skrętu kiszek, niech mnie nagłyszlag trafi!

Żeby tak nie dożyła wydania za mąż mojej najmłodszej córki - mój Boże, musiałyby stanąć pod czarnym baldachimem!

Myślisz, że zarabiam na tobie?

Niech mnie zaraza, jeśli mam z tego choćby grosik!

Niech skonam, niech położą skorupyna moich oczach, jeśli nie sprzedaję ze stratą.

Ktoś dawał mi rubla więcej, obyś ty tak obie zdrowe były, ale dziś jest czwartek i chcę pozbyć się tej gęsi przed szabatem.

Nie przechowuję mięsa w lodowni - niech nasi wrogowie tarzają się w błocie z wrzodami i pęcherzami na głowie, niech ich krew zamieni się w truciznę.

Niektóre z przekupek były mistrzyniami w takim języku, wymyślały słowa i porównania, dostosowując przekleństwa do pory roku.

Na Hoszana Raba życzyły czarnej ospy, na Rosz ha-Szana i Jom Kipur - wyroku śmierci.

Żona reba Mattesa była jedną z przekupek, która nie miała sobie równych nawet w hali Janasza, jeśli idzie o inwencję w tej dziedzinie.

Pyskata sekutnica świetnie zarabiała, a mąż, którego nigdy nie postąpiła przystraganie żony, połowę jej zarobków oddawała cele dobroczynne.

Córka pomagała matce handlować na bazarze, a zięć, subtelny młodzieniec, po prostupostąpił się wyłącznie temu, żeby być Żydem, i wyjeżdżał często na całe miesiące do Radzymina.

W tej rodzinie wszyscy mężczyźni studiowali Talmud, a kobiety ich utrzymywały.

Ale nad rodziną zawisło fatum - wszystkie dzieci córki rodziły się martwe, mimo corocznych obietnic radzyminskiego rabina, że młoda kobieta urodzi żywego chłopczyka.

Zdaniem lekarzy potrzebna była operacja, ponieważ.

za każdym razem, rodząc martwe dziecko, narażała własne życie.

Ileż to reb Józef prosił radzyńskiego rabina o radę, ten odpowiadał:

- Nienawidzę noża!

W końcu pewnego roku warszawski położnik powiedział, że nie odbierze porodu, i doradził młodej kobiecie, żeby wyjechała za granicę, do Wiednia.

Oznaczało to, że czekają cesarskie cięcie, co było wielkim szokiem dla radzyńskiego dworu. Jednakże wkrótce po jej wyjeździe nadeszła depesza z wiadomością, że urodziła żywe dziecko. A ponieważ nadeszła rzeczywiście szybko, wszyscy przyjęli zapewne, że nie było czasu na operację.

Wypadło to akurat w święto Pesach i reb Józef wydał przyjęcie, w którym również uczestniczyłem.

Były tańce, śpiewy, wino, miód pitny oraz mnóstwo smakołyków, które podawała służąca i jej pomocnice.

Najbardziej jednak wrył mi się w pamięć Józef Mattes, który wdrapał się na stół i trzymając w dłoniach ogromną macę, zawołał:

- Żydzi, otopierwszy rozdział!

Chasydzi połamali macę na kawałki.

- Oto drugi rozdział!

Chasydzi pokruszyli ją jeszcze drobniej.

- Oto trzeci rozdział!

Po niespełnasekundzie z macy nie zostało nic.

W trakcie uroczystego przyjęcia wszedł listonosz, goj, w urzędowej czapce i w mundurze z mosiężnymi guzikami.

Przyniósł list ekspresowy z Wiednia.

Reb Józef zszedł z stołu, dał mężczyźnie kilka kopiejek napiwku, po czym wgramolił się z powrotem na stół, żeby przeczytać na głos, co jak przypuszczał, miało być opisem cudu, uczynionego przez radzyńskiego cadyka.

Im dłużej jednak czytał, tym bardziej mina mu się wydłużała, połykał słowa, jękał, robił przerwy.

Słowa więzły mu w gardle, broda się trzęsła.

-w

Z listu wynikało, że gdy jego córkę przyjęto do szpitala w Wiedniu, została natychmiast poddana operacji, albowiem zarówno jej, jak i dziecku groziło niebezpieczeństwo.

Jedynie dzięki cesarskiemu cięciu, urodziła żywe dziecko.

Rzadko zdarzało mi się być świadkiem tak dramatycznej sytuacji.

Uroczystość została przerwana, chasydzi stali pobladli, z brodami w nieładzie, wytrzeszczając oczy.

Cały dwór radzyński zachwiał się w posadach.

Wszyscy chasydzi we wszystkich warszawskich domach nauki wiedzieli już o domniemanym cudzie.

Nagle reb Józef wykrzyknął:

- Żydzi, czy nie rozumiecie?

To jeszcze większy cud!

I zaczął tańczyć, przytupując z takim zapalem, że stół załamał się z trzaskiem pod jego ciężarem.

Zebrał nim chasydzi jak gdyby tylko czekali na ten znak.

Puścili się radosne tany, przyśpiewując gromko.

Byli zdecydowani nie dać się schwytać w sidła szatanowi, rozsądkowi ani faktom.

Pomimo tej okropnej porażki i tego, że bez wątpienia zostanie wykorzystana przez ich wrogów, radzyńscy chasydzy, obracając klęskę w zwycięstwo, pokazali, że nadal ufają swojemu świętemu.

W wiele lat później zaobserwowałem, że rozmaitym ugrupowaniom politycznym ta sztuczka jest doskonale znana, o czym świadczy sposób, w jaki przekręcają fakty i działają wbrew logice, ale wówczas, w dniu uroczystości u Mattesa, byłem kompletnie dezorientowany. Pragnąłem, żeby tańce i wrzawa już się zakończyły, żebym mógł poprosić ojca o wyjaśnienie. Ale podniecenie sięgnęło zenitu, podsycane winem i pitnym miodem, naleśnikami i macą. Pijani chasydzy, złani potem, wirowali w tańcu, krzycząc ochryple. Reb Józef, który nie mógł już wydobyć z siebie głosu, podrygiwał, poruszał ustami i wznosił ręce do góry.

Wszyscy zdawali się wołać:

- Pozostaniemy wierni Radzyminowi!

181.

Nowina rozeszła się szybko po Warszawie i chasydiz Aleksandrowa, Puław i Sokołowa zyskali temat do drwin.

Wyszędzali i szkalowali radzywińskich chasydów, którzy wcale nie próbowali się bronić. Po co spierać się z wrogami?

W radzywińskim domunauki nikt nie śmiał zadawać pytań.

Mimo to radzywiński cadyk pozostał wierny swoim przekonaniom - a może raczej uparty - i po latach zmarł, nie zgodziwszy się na operację.

Nie pamiętam, czy mój brat Izrael Jozua był obecny na tym przyjęciu, lecz bez wątpienia wiedział, co się tam wydarzyło, i nieumocniło to bynajmniej jego wiary w chasydyzm.

Ojciec jak zwykle wziął rabina w obronę.

- Czasami się zdarza, że święty nie potrafi czynić cudów.

Ale matka powiedziała:

- Jak głupiec może być świętym?

-Nu, mów tak dalej!

Gorsz dzieci!

- zdenerwował się ojciec.

- Chcę, żeby moje dzieci wierzyły w Boga, nie w idiotę

-odparła matka.

- Zacziesz od radzywińskiego rabina, potem przyjdzie kolej na wszystkich rabinów, aż wreszcie skończysz

-uchowaj Boże!

- na samym Baalu Szemie!

-wykrzyknął ojciec.

I miał rację.

Mimo że mój brat nadal ubierał się jak chasyd, spędzał coraz więcej czasu na malowaniu i czytaniu świeckich książek, prowadził bardzo długie dyskusje z matką, opowiadał jej o Koperniku, Darwinie i Newtonie, o których czytała już w hebrajskich książkach.

Matka miała upodobanie do filozofii i wysuwała kontrargumenty wobec jego poglądów, do jakich nadal uciekają się religijni filozofowie.

Chociaż byłem wtedy małym chłopcem i nie miałem odwagi wypowiadać się na ten temat, nurtowało mnie mnóstwo pytań.

Wychodziłem na balkon, żeby się nad nimi

182

zastanowić.

Odkubywałem z muru kawałeczki zaprawy wapiennej i kruszyłem ją w palcach, dopóki nie został niejproszek.

Nadal jednak było to wapno, a co stałoby się, gdyby zemleć je jeszcze drobniej?

Do jakiego stopnia dałoby się rozdrobnić?

Czy istnieją jakieś granice?

Wszystko, myślałem, da się zmniejszać, może nawet dzielić nieskończoność.

Jeżeli tak, to każda ociupina wapna ma niezliczoną liczbę cząsteczek.

Ale jak to możliwe?

Zanim jeszcze nauczyłem się czytać i pisać, prześladowała mnie myśl o paradoksach czasu, przestrzeni i nieskończoności, a w dodatku byłem przekonany, że tylko ja zdołam rozwikłać tę zagadkę i nikt mi w tym nie pomoże.

Pewnego dnia, gdy przyniosłem matce śledzia, zabrałem na balkon gazetę, w którą był zawinięty, i próbowałem zorientować się, o czym w niej piszą.

Byłem ciekaw, czy kiedykolwiek zrozumie ten nieżydowski język oraz poruszane tematy.

Dla ojca odpowiedzią na wszystkie pytania był Bóg.

Aleśkać wie, że Bóg istnieje, skoro nikt Go niewidział?

Ale jeśli Onnie istnieje, to kto stworzył świat, jakosć mogło stworzyć się samo?

A co się dzieje, gdy ktoś umrze?

Czy rzeczywiście jest niebo i piekło?

A może umarły człowiek nie jest niczym więcej niż zdechłym owadem?

Pamiętam, że tego rodzaju pytania ani na chwilę nie dawały mi spokoju.

Mleczarz reb Aszer

Zdarzają się na tym świecie ludzie, którzy po prostu rodzą się dobrzy.

Taki właśnie był reb Aszer, mleczarz.

Bógobdarzy go mnóstwem przymiotów.

Był wysoki, barczysty, silny, miał czarną brodę, duże czarne oczy i głos, przypominający ryk lwa.

W Rosz ha-Szana i w Jom Kipur reb Aszer pełnił funkcję kantora podczas głównej modlitwy dla wiernych, którzy spotykali się w naszym domu, i to właśnie jego głos przyciągał wielu z tych wiernych.

Nie pobierał za to honorarium, chociaż mógł zażądać okazałej sumy w którejś z większych synagog.

Tak właśnie pomagał mojemu ojcu zdobyć środki do życia na święta.

Jak gdyby tego było mało, reb Aszer zawsze robił coś dla nas w taki czy inny sposób.

Nikt nie przysyłał mojemu ojcu tak hojnego prezentu z okazji święta Purim jak mleczarz.

Kiedy ojciec był w poważnych tarapatkach i brakowało mu pieniędzy na zapłacenie komornego, wysyłał mnie do reba Aszera po pożyczkę, a on nigdy nie odmówił, nigdy się nawet nie skrzywił. Sięgał po prostu do kieszeni spodni i wyjmował garść banknotów oraz srebrnych monet.

Pomagał resztą nie tylko mojemu ojcu.

Spełniał dobre uczynki nalewo i prawo.

Prosty Żyd, który z wielkim trudem zdołał przebrnąć przez rozdział Miszny, stosował w życiu naj

wyższe normy etyczne.

To, co inni głosili, on urzeczywistniał.

Nie był milionerem, nie był nawet bogaty, miał jednak "zadowalający dochód", jak ująłby to mój ojciec.

Sam często kupowałem w jego sklepie świeże mleko, masło, ser, zsiadłe mleko i śmietanę. Jego żona i najstarsza córka czekały na klientów przez cały dzień, od wczesnego ranka do późnego wieczora.

Żona, korpulentna kobieta w blond peruce, miała pucołowate policzki i piegi na karku.

Była córką zarządcy w gospodarstwie rolnym.

Jej ogromne piersi dawały się wezbrane mlekiem.

Wyobrażałem sobie, że gdyby ktoś skaleczył ją w ramię, trysnęłoby z niego mleko, a nie krew.

Jeden z ich synów, Judł, był taki gruby, że ludzie przychodzili oglądać go niczym jakiś wybryk natury.

Ważył prawie sto sześćdziesiątkilo.

Drugi syn, drobny i trochę dandysowaty, został krawcem i wyjechał do Paryża.

Najmłodszy syn uczył się jeszcze w chederze, i mała córeczka uczęszczała do świeckiej szkoły.

O ile w naszym domu zawsze było sporo problemów, wątpliwości i niepokojów, o tyle w domu Aszera panowały spokój, pogoda, zdrowie.

Aszer jeździł codziennie nastacją kolejową po mleko.

Wstawał skoro świt, udawał się do synagogi, a następnie jechał na dworzec.

Pracował co najmniej osiemnaście godzin na dobę, a jednak w szabat, zamiast odpoczywać, siedł i wysłuchać kaznodziei albo odwiedzał ojca, żeby przestudiować ustęp

Pięcioksięgu z komentarzem Rasziego.

Kochał judaizm na równi ze swoją pracą.

Nigdy chyba nie słyszałem, żeby ten człowiek czegoś komuś odmówił.

Cale jego życie było jednym

wielkim "tak".

Aszer miał konia i wóz, no i właśnie ów koń i wóz był powodem mojej
nieokielzanej zazdrości.
Jakiszcześliwymusi być chłopiec, którego ojciec jest właścicielem wozu,
185.

konia oraz stajni!

Reb Aszercodziennie jeździł do odległych dzielnic miasta, nawet na Pragę!

Często widywałem, jak przejeżdżał obok naszego domu.

Zawsze pamiętał, by spojrzeć w górę i pozdrowić członka naszej rodziny, którego zobaczył w oknie lub na balkonie.

Spotykał mnie często, gdy biegałem poulicy z bandą chłopaków lub bawiłem się z tymi, którzy nie należeli do "mojej rasy", a nigdy nie zagroził, że poskarży się memu ojcu, ani nie próbował prawić mi kazań.

Nie ciągnął, jak to mają zwyczaj inni dorośli, małych chłopców za uszy, nie szczypał ich w nos, nie wciskał im czapek na czoło.

Aszer żywił chybawo rodzony szacunek do każdego człowieka, niezależnie od tego, czy był on duży, czy mały.

Pewnego razu, gdy zobaczyłem, że jedzie swoim wozem, skinąłem mu głową i zawołałem:

- Reb Aszer, proszę mnie wziąć ze sobą!

Aszer zatrzymał się natychmiast i powiedział, bym wskakiwał.

Pojechaliśmy na stację kolejową.

Podróż trwała kilkadziesiąt godzin, a ja nie posiadałem się z radości.

Jechaliśmy między tramwajami, dorożkami, furgonami.

Żołnierze maszerowali, policjanci stali na posterunkach, mijaly nas rozjeżdżone wozy strażackie, karetki pogotowia, nawet automobile, które od niedawna zaczęły się pojawiać na ulicach Warszawy.

Nic mi nie groziło.

Byłem pod opieką przyjaciela, który trzymał w ręku bat, a koła furmanki turkotały pobruku. Wyobrażałem sobie, że cała Warszawa mi zazdrości.

I rzeczywiście ludzie gapili się ze zdumieniem na małego chasyda z rudymi pejsami, w aksamitnym kapeluszu, który jechał wozem mleczarza, rozglądając się po mieście.

Napierwszy rzut oka było widać, że ten wóz nie należy do mnie, że jestem dziwnym rodzajem turysty.

Od tamtego dnia zawarliśmy z rebem Aszerem cichy pakt.

Kiedy tylko mógł, zabierał mnie jako swego pasażera.

186

Przerazały mnie chwile, kiedy odchodził, żeby odebrać pociąg konwicz mlekiem albo uregulować rachunek, a ja zostawałem sam na wozie.

Koń odwracał łeb i przyglądał mi się z zdziwieniem.

Aszer oddawał mi miejsce, żebym je potrzymał, a koń zdawał się mówić: "Patrzcie tylko, kto jest teraz moim woźnicą.

". Obawa, że koń mógłby nagle stanąć dęba i ponieść, potęgowała jeszcze wrażenie niebezpieczeństwa.

Przecież koń nie jest dziecinną zabawką, lecz wielkim zwierzęciem, niemym, narowistym, obdarzonym niezwykłą siłą.

Od czasu do czasu przechodził jakiś gość śmiejąc się, mówił do mnie coś po polsku.

Nierozumiałem jego języka i ów człowiek budził we mnie ten sam rodzaj strachu co koń - był również duży, silny i nieprzenikniony.

On też mógł nagle rzucić się na mnie, uderzyć mnie albo pociągnąć za pejsy - rozrywka Polaków, którzy uważali to za świetny żart.

Kiedy już myślałem, że zbliży się koniec - za chwilę goj mnie uderzy albo koń poniesie i rozwali furmankę o ścianę lub latarnię - wracał reb Aszer i znowu wszystko wracało do normy. Aszer niósł ciężkie konwicz mleka z łatwością Samsona.

Był silniejszy od konia, silniejszy od goja, alez jego oczu wyzierała łagodność, mówił w tym samym języku co ja i był przyjacielem mojego ojca.

Miałem tylko jedno pragnienie - jechać z tym człowiekiem dniami i nocami, przez pola i lasy, do Afryki, do Ameryki, na koniec świata, i patrzeć, przyglądać się wszystkiemu, co dzieje się wokół mnie.

Jakże inny wydawał się ten sam Aszer w Rosz ha-Szanai Jom Kipur!

Stolarze montowali ławy w gabinecie ojca i tam modliły się kobiety.

Z sypialni wynoszono łóżka i ustawiano tam świętą skrzynię, aron ha-kodesz, dzięki czemu powstawała niewielka bóżnica.

Aszer wkładał biały kitel, a któregoś tle jego czarna broda sprawiała wrażenie jeszcze

187.

czarniejszej, a na głowę jarmułkę, haftowaną złotymi i srebrnymi nićmi. Na początku nabożeństw reb Aszer wstępował na podwyższenie z pulpitem dla kantora i grzmiał głosem, przypominającym ryk lwa: "Spójrzcie na mnie, o wy, którzy nie czynicie dobra.

".

Nasz sypialnia była zbyt mała na ów basowy, tubalny głos, który wydobywała się z potężnej piersi.

Było go słyszeć niemal na całej ulicy.

Aszer recytował śpiewnie, z każdą melodię, każdy gest.

Naszych dwudziestu wiernych stanowiło jego chór.

Głęboki męski głos Aszera wywoływał poruszenie w babińcu.

Wprawdzie wszystkie kobiety goznały, nie dalej jak wczoraj kupowały u niego albo u jego żony rondel świeżego mleka, o sełkę masłaczy garniecziadłego mleka i targowały się o dolewkę, teraz jednak Aszer był rzecznikiem wiernych, który zanosił modły ludu Izraela prosto do Wszechmogącego, przed Tron Chwały, pomiędzy anioły, trzepoczące skrzydłami, i księgi, które same się czytają i w których są zapisane dobre uczynki oraz grzechy każdego śmiertelnika.

Kiedy dochodził do modlitwy, 'Wyrazim moc.

i zaczynał recytować przeznaczenie ludzi - kto będzie żył, a kto umrze, kto zginie od ognia, a kto od wody - kobiety wybuchały szlochaniem.

Ale gdy wołał triumfalnie: "Jednakże skrucha, modlitwai miłosierdzie mogą odwrócić zębny wyrok!

" - ciężki kamień spadał wszystkim z serca.

Wkrótce reb Aszer zaczynał śpiewać o małości człowieka i wielkości Boga, a wówczas radość i otucha wstępowały we wszystkich.

Dlaczego ludzie - którzy nie są niczym innym jak przemijającymi cieniami, więdnącymi kwiatami - podejrzewają o złe intencje Boga, sprawiedliwego, czczonego, miłosiernego?

Każde słowo, które wypowiadał Aszer, każda nuta, którą wyspiewywał, przywracały odwagę, sprawiały, że w wiernych odżywała nadzieja.

My naprawdę jesteśmy niczym,

ale On jest wszystkim.

Za naszego życia jesteśmy pyłem, a po śmierci czymś jeszcze marniejszym od pyłu, On jednak jest wieczny i Jego dniom niema końca.

W Nim, i tylko w Nim, nasza nadzieja.

Pewnego roku, pod koniec Jom Kipur, ten sam reb Aszer, nasz przyjaciel i obroczyńca, uratował nam życie.

A było to tak.

Po całodziennym poście zjedliśmy posiłek.

Później grupa Żydów zebrała się w naszym domu, żeby tańczyć i radować się.

Ojciec ustawił właśnie pierwszą belkę szafasu na zbliżające się święto Sukot.

Późnym wieczorem w końcu wszyscy zasnęliśmy.

Ponieważ w sypialni były ustawione ławy i w całym domu panował bałagan, spaliśmy, gdzie popadło.

Ale zapomnieliśmy o jednym - nie pogasiliśmy świec, które wciąż jeszcze tu i ówdzie się paliły.

Tego właśnie wieczoru Aszer musiał pojechać na stację po mleko.

Przejeżdżał koło naszego domu i spostrzegł, że w naszym mieszkaniu jest niezwykle jasno.

Nie był to blask świec ani nawet lampy, lecz raczej dużego płomienia.

Aszer zdał sobie sprawę, że wybuchł u nas pożar.

Zadzwońdo bramy, alestróż nie śpieszył się, by ją otworzyć.

Onrównież był pogrążony we śnie.

Wówczas Aszerzacządzwońdo bramy i dobijać sięz taką energią, że gojwreszcie się obudził i otworzył mu.

Aszer wbiegł po schodachi zapukał donaszego mieszkania, nikt jednak mu nie otwierał.

Wtedynasz siłacz napał potężnym ramieniem nadrzwi i wyważyłje.

Gdy wpadłdo środka, okazało się, żecała rodzina śpi, a wszystko dookołasię pali - ławki, pulpity, codzienne i świąteczne modlitewniki.

Zaczął krzyčećswoim tubalnym głosem kantora, aż wreszcie nas pobudził,a potemzerwał z nas kołdry i zacząłgasić pożar.

Pamiętam tę chwilę, jak gdyby to byłowczoraj.

Otworzyłemoczy i zobaczyłem dookoła mnóstwo płomieni, dużych i małych, wirujących i tańczących jak chochliki.

Zajął

189.

się już koc mojego brata Mojszego.

Ale jabyłem jeschczemałym dzieckiem i nie czułem strachu, przeciwnie - podobały mi się roztańczone płomienie.

Po pewnym czasie ogień ugaszono.

Zdarzyło się tu coś, conaprawdę można określić mianem cudu.

Niewiele brakowało, a wszyscy zginęlibyśmy w pożarze, ponieważ drewno, z którego zbito ławy, było suche, a w dodatku nasączone łojem, kapiącym ze świec.

Aszer był jedynym człowiekiem, który nie spał o tej porze, który potrafił taknieustępliwie dobijać się do bramy i który zaryzykował dla nas własne życie.

Tak, przeznaczenie chciało, żeby ten wierny przyjaciel uratował nas od piekielnego ognia.

Nie czuliśmy się nawet na siłach podziękować mu.

Wszystkim nam odebrałomowę.

Sam Aszer bardzo się śpieszył i czym prędzej wyszedł.

Chodziliśmy wśród osmalonych ław, stołów, modlitewników, taśesów, ico kilkaminut odkrywaliśmy ciągle iskry i niewygasły żar.

Wszycymogliśmy spalić się na popiół.

Przyjaźń między moim ojcem a rebem Aszerem jeschczebardziej się zacieśniła i podczas wojny, kiedy prawie głodowaliśmy, Aszer znowu pomagał nam, jak tylko mógł.

Gdy wyjechaliśmy z Warszawy (podczas pierwszej wojny światowej), od czasu doczasu nadal otrzymywaliśmy od niego wiadomości.

Jeden z jego synów zmarł, a córka zakochała się w młodzieńcu niskiego pochodzenia i Aszer bardzo się tym trapił.

Nie wiem, czy dożył okupacji Warszawy przez nazistów.

Zapewne zmarł wcześniej.

Ale takich Żydów jak on wywożono do Treblinki.

Niech to wspomnienie będzie pomnikiem dla niego oraz dla podobnych mu ludzi, którzy żyli w pobożności i zginęli jak męczennicy.

Proces

Jedynym pisarzem, tworzącym w jidysz, którego znaleźliśmy w dzieciństwie, był słynny Simcha Pietruszka, który przetłumaczył Misznę na jidysz.

W czasach gdy ojciec kierował jeshiwą w Radzyminie, Pietruszka był jego uczniem.

Często słyszałem, jak ojciec chwalił niebywały talent Pietruszki.

Była taka historia, którą powtarzał setki razy.

O ile pamiętam.

Pietruszka poszedł o zakład, że zdoła nauczyć się na pamięć w ciągu jednej letniej nocy dwóch traktatów z Talmudu, zwanych Zewachim i Menachot.

Owe traktaty, które znane są jako trudne do zrozumienia, dotyczą świątyni, jej obrządków i naczyni, używanych przy składaniu ofiary.

Wielu uczonych talmudystów nie zadaje sobie trudu, by je zgłębiać.

Oba teksty są tak długie, że na ich wyrecytowanie wystarczyłoby kilku dni.

Ale Simcha Pietruszka mamrotał i przebiegał wzrokiem strony od zachodu do wschodu słońca.

Rankiem ojciec, przepytując ucznia, odkrył ku swemu zdumieniu, że Pietruszka zna nie tylko sam tekst, lecz każdy przypis i głoskę.

Sceptyk mógłby utrzymywać, że Pietruszka znał już wcześniej tekst na pamięć, ale gdyby nawet, już to samobyłoby niezwykłym wyczynem jak na chłopca w jego wieku.

Pietruszka miał pamięć niemal absolutną.

Znałem jeszcze jedno cudowne dziecko, syna rabina, który mieszkał przy ulicy Grzybowskiej pod numerem jedenastym.

Jeśli dobrze pamiętam, ów rabin nazywał się Mejerl.

Jego syn, choć był wychowywany w pobożności, później szedł na złą drogę, podobnie jak Pietruszka.

Syn Mejeria zaczął pisać własną encyklopedię, a notatki trzymał w torbach na strychu.

Ludzie, którzy czytali fragmenty tej nigdy niedokończonych encyklopedii, mówili, że zawierała ustępy, które mógł napisać tylko geniusz.

Syn reba Mejerla dosłownie znał Talmud na pamięć.

Kiedy byłem małym chłopcem, pewien warszawski wytwórca zegarków, reb Meir Joel, ogłosił, że podaruje zegarek każdemu chłopcu, który potrafi wyrecytować z pamięci pięćdziesiąt stron Talmudu.

Te zegarki miały na cyferblacie hebrajskie litery oraz napis: "Zaświetne wyniki w nauce".

Zęby zdobyć taką nagrodę (która prawdopodobnie nie była warta więcej niż trzy, może cztery ruble), chłopiec musiał przynieść zaświadczenia na piśmie od trzech rabinów, że faktycznie są wymagane pięćdziesiąt stron.

Propozycja Meira Joela wywołała sensację w chasydzkich domach nauki i setki, a może tysiące chłopców zaczęły wkuwać Talmud na pamięć.

Nasz dom był obleżony przez tych ambitnych uczniów.

Rabini, opłacani przez gminę, rzadko mieli czas na takie zajęcia.

Ojciec zapraszał chłopców do swego gabinetu i dokładnie ich przepytывał.

Jeśli któryś od czasu do czasu baczyl się na jakimś fragmencie, ojciec podpowiadał właściwe słowo.

Później wypisywał każdemu entuzjastyczne świadectwo i przykładal swoją pieczęć.

Zawsze udawało mi się być obecnym przy przepytывaniu tych erudyty.

Ja sam uczyłem się Miszny.

Za każdy rozdział, który udało mi się zapamiętać, dostawałem od ojca kopiejkę.

Do dzisiaj wciąż pamiętam kilkadziesiąt rozdziałów, których się wtedy nauczyłem.

Mój ojciec, autor religijnych książek, był na swój sposób "literatem".

Ponieważ ciekawiło mnie, o czym pisze, ojciec relacjonował mi swoje opinie.

Miał swoje ulubione komentarze, jak i te, które uważał za niezrozumiałe.

Zakładając, że gdy dorosnę, również będę pisał religijne książki, dał mi następującą radę:

"Stosuj proste rozumowanie i unikaj kazuistyki.

Żaden z wielkich uczonych nie znęcał się nad tekstem.

Wprawdzie ryli głęboko, nigdy jednak nie robili wideł z igły".

Codziennie rano przed porą modlitwy ojciec siadał przy oknie, wychodzącym na plac, palił fajkę i wypijał mnóstwo szklanek herbaty, czytając i pisząc.

Na jego oczach złodziejewyciągał ludzom z kieszeni pieniądze, kradli tobołki i oszukiwali w grze.

Ale ojciec, który nigdy nie zwracał uwagi na to, co się dzieje na zewnątrz, nie zdawał sobie nawet sprawy z ich istnienia.

W dzielnicy roilo się odsyjonistów, socjalistów, nacjonalistów i zwolenników asymilacji.

Istniała już wówczas wiecka literatura w języku hebrajskim i w jidysz, lecz dla ojca cała ta nieżydowska nie miała najmniejszego znaczenia.

Pewnego szabatowego wieczoru usłyszeliśmy krzyki kobiety.

Po chwili Krochmalna zapełniła się mrowiem ludzi.

Ze wszystkich bram wybiegali chłopcy i dziewczęta.

Ojciec wyszedł na balkon i spytał naszego sąsiada, reba Chaima, co się stało.

- To nie wasze martwienie, rabbi.

Zgwałcono jakąś dziewczynę.

W rzeczywistości Chaim nie użył słowa "zgwałcono", lecz jego rzymskiego odpowiednika.

Ojciec, zażenowany, wrócił do pokoju i kazał pozamykać okna.

Zaledwie kilka metrów od niego popełniano odrażające czyny.

Tylko cienka ściana oddzielała jego gabinet od złych mocy.

Innymrazem w naszym domu pojawił się rewolwer.

A było to tak.

Nagledrzwii do mieszkania otworzyły się gwałtownie i weszło kilku osobników, wyglądających narozrabiaaków.

Mieli na sobie jasne marynarki, szerokiespodnie i lśniące trzewiki.

Wraz z nimi wdarł się odóralkoholu i jeszcze coś innego, coś rozwiązłego iniekoszernego.

Przekrzykiwali się z podnieceniem ochrypłymi głosami.

Towarzyszył im zgarbiony, pomarszczony, drobnymężczyzna zsiwiejącą brodą, w krótkim chałacie, który nie był ani ubiorem żydowskim, ani gojowskim.

Trudno było określić, czy ów człowiek przedwcześnie się postarzał, czy jest poważnie chory.

Miał krzaczące brzośki pod oczami, które wyglądały, jak gdyby były z fioletowego omchu.

Mimo że ojciec był wyraźnie przestraszony, zaprosił wszystkich, żeby usiedli.

- Czym mogę służyć?

- spytał.

--Chcemy, żeby rabbi rozstrzygnął pewną sprawę.

- No, dobrze - kto kogo skarży?

- My wnosimy oskarżenie przeciwko niemu, rabbi.

- Najbardziej impertynencki z mężczyzn wskazał na staruszkę.

- Skoro to wy jesteście poszkodowani, mówcie pierwi.

- Rabbi - wykrzyknął oprych - od lat mamy doczynienia z tym draniem!

Zarobił już na nas niezłą fortunę.

To wstrętny krwiopijca.

Ograbił nas, rabbi, oskubał nas na wietysięcy.

Wierzyliśmy mu, rabi.

Ufaliśmy jak własnemu ojcu.

Rabbi, ten człowiek to nie Żyd, on nie ma żydowskiego serca.

Byliśmy durniami, rabbi, a on wystrychnął nas na dudka.

Obym nie dożył dnia, kiedy moja córka stanie podślubnym baldachimem, jeśli kłamię!

- Proszę się uspokoić.

Jakie stosunki was łączyły?

- spytał ojciec.

- A co to za różnica?

Robiliśmy razem interesy.

- W procesie konieczna jest znajomość takich rzeczy.

194

- Kupowaliśmy od niego najrozmaitsze towary: konie, owies, czasami nawet powozy.

Dostarczał nam wszystko, czego potrzebowaliśmy.

Ufaliśmy mu jak bratu i uważaliśmy go za jednego z nas.

Rabbi może powiedzieć, że dotyczyło to spraw poufnych, ale on nas oszwabił.

Próbowałam wmówić, że dostarcza nam wszystko tylko niewiele powyżej kosztów, a okradał nas.

Żądamy, by zwrócił to, co przepłaciliśmy.

Dwadzieścia tysięcy rubli.

- Macie jakiś rejestr tych transakcji?

- Nie prowadzimy rejestru.

Zawarcie transakcji potwierdzamy uściskiem dłoni.

Nie jesteśmy buchalterami.

Słowo jest dla nas równie święte jak Tora.

Nie targowaliśmy się, wszystko załatwialiśmy przy kuflu piwa.

Zadźgali byśmy nożem każdego, kto ośmieliłby się powiedzieć złe słowo na tego człowieka.

Ale teraz, rabbi, okazało się, że to lichwiarz.

Niech nam zwróci pieniądze albo.

- Mężczyzna przerwał i huknął wielką pięścią w stół.

Starzec otworzył bezzębne usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale nie padły z nich żadne słowa, zaczął tylko skrzypieć jak stary zegar, zanim wybije godzinę.

Rzadka bródka trzęsła mu się i falowała, całe ciało dygotało spazmatycznie.

Raptem odzyskał głos i przemówił z wielką stanowczością:

- Czy rabbi wie, co to za banda i dlaczego nie prowadzi rejestru?

Tak często trafiają za kratki, że nie nauczyli się nawet pisać.

Gdybym nie pomagał chłonom, nieszczęsne kobiety umarłyby z głodu.

Oni nie prowadzą ksiąg rachunkowych, aleja tak.

Zapisuję wszystko - każdego rubla, każdy grosik.

Proszę bardzo, rabbi, przyniosłem moją księgę.

I zasuszoną ręką wyciągnął z kieszeni księgę, chyba równowiekową i pomarszczoną jak on sam.

Kartki miały wystrzępione brzegi.

Pismo, którym były odnotowane.

wszystkie transakcje, wyblakło, niemal się zatarto.

Zapisywały tak gęste, że jeden wiersz prawie zachodził na drugi.

- Niech rabbi tylko spojrzy i sam się przekona.

Ojciec wziął księgę i przekartkował ją, po czym oddał starcowi.

- Nie znam się na buchakerii.

- To niech zapłacą księgowemu, żeby je sprawdził.

Wszystko jest tutaj zapisane.

- Nie potrzebujemy księgowego.

Oddaj nam nasze pieniądze.

- Możecie dostać ode mnie najwyżej cyrak na tyłku

- odparł starzec, unosząc brwi i spoglądając na mężczyzn zapadniętymi oczami.

Jeden z rozrabiaków wyciągnął rewolwer.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem wtedy to śmiertelne narzędzie.

Ojciec zbladł, a ja wstrzymałem oddech.

Starzec zachichotał.

- No dalej, strzelajcie, zakute łby!

Myślicie, że nastraszyacie mnie waszą pukawką?

- Ludzie, w tym pomieszczeniu prawo jest rzeczą świętą

- powiedział nagle ojciec ochrypłym głosem.

- Jeśli chcecie użyć przemocy, musicie stąd wyjść.

- Proszę się nie obawiać, nie zrobimy rabbiemu krzywdy.

- Tutaj przychodzi się ze sprawami dorozsądzenia, a nie rewolwerami.

Nic dobrego nie może z tego wyniknąć.

- Schowaj broń.

Krzyczeli, przeklinali, oskarżali się nawzajem przez całą godzinę.

Bandyci na przemian togrozili, to błagali, walili się w piersi i przysięgali się na wszystkie świętości.

Wspominał dobre czasy, kiedy to gościli w rozmaitych restauracjach i karczmach.

Staruch nie pozostawał dłużny, wyzywał swoich oskarżycieli od prostaków, kundli, kryminalistów, szumowin.

Objeżdżał ich bezlitośnie.

Ojciec przyglądał się temu, oszołomiony.

Od czasu do czasu rzucał

całmi nieco zdziwione spojrzenie.

Niekiedy nawet lekko się śmiejąc pojawiał się w gąszczu jego brody.

Stary, z pozorami umierający mężczyzna, nie dawał się takim prymitywnym rozrabiakom.

W rezultacie spór pozostał nierozstrzygnięty.

Przytaczali argumenty i kłócili się, aż wreszcie wstali i poszli sobie.

Dziwna rzecz, ale odwaga i upór starego człowieka zawładnęły wyobraźnią mojego ojca.

Jeszcze przez dłuższy czas opowiadał o tym incydencie.

Nawet wśród hałasu trysła fizycznie wszystko.

Od rewolweru więcej działała moc słowa.

Przywodziło to na myśl historię Dawida i Goliata.

O jednej rzeczy ojciec nie miał pojęcia - ten niepozorny mężczyzna był ważną szychą w świecie przestępczym i miał własnych uzbrojonych bandytów.

Gdy ojciec zrelacjonował to wydarzenie radziwińskim chasydzkim domownikom, dowiedział się, że starzec jest tam dobrze znany.

Zajmował się paserstwem, kupował kradziony towar, a dla złodziei był swoistym "rabinem".

Dziki krowy

Przez te wszystkie lata, kiedy mieszkaliśmy w Warszawie, nigdy nie wyjeżdżałem z miasta.

Innych łopcy opowiadał o swoich wakacjach.

Ludzie jeździli do Palenicy, Miedzeszyna, Michalina, Świdra, Otwocka - ale dla mnie pozostawały to tylko nazwy.

Na Krochmalnej nie było żadnych drzew.

Przed numerem 24, gdzie uczęszczałem do chederu, rosło drzewo, było to jednak daleko od naszego domu.

Niektórzy z sąsiadów hodowali kwiaty w doniczkach, lecz moi rodzice uważali to za pogański zwyczaj.

Mnie jednak cechowała wrodzona miłość do natury.

Zdarzało się, że latem znajdowałem listek przy ogonku jabłka.

Taki listek wyzwalał we mnie radość i tęsknotę.

Wąchałem go i nosiłem ze sobą, dopóki nie zwiądł.

Matka przynosiła do domu pęczki marchwi, pietruszkę, rzodkiewki, ogórki - każdy owoc i warzywo przypominały mi dni, które spędziłem w Radzyminie i Leoncinie, gdzie otaczały mnie pola i sady.

Kiedyś znalazłem w sienniku pełny kłos.

Ten kłos obudził wiele wspomnień.

Między innymi przywiódł mi na pamięć sen faraona, w którym siedem pustych kłosów pochłonęło siedem pełnych.

Na balustradzie naszego balkonu siadały najrozmaitsze rodzaje much: duże, małe, czarne, zielonożółte.

Od czasu do czasu zabłąkał się nawet jakiś motyl.

Nie próbowałem

198

go schwytać, lecz wstrzymywałem oddech i przyglądałem mu się z zachwytem. Małe, trzepoczące skrzydełkami stworzonko było dla mnie pozdrowieniem ze świata wolności.

Ale Matka Natura nie dawała za wygraną nawet na Krochmalnej.

W zimie padał śnieg, w lecie deszcz.

Hen, wysoko, po niebie płynęły chmury - ciemne, jasne, niekiedy srebrzyste, w kształcie ryb, węży, owiec, mioteł.

Bywało, że nanaś balkon spadał grad, a kiedyś po deszczu naddachami pojawiła się wielobarwna tęcza.

Ojciec kazał mi odmówić modlitwę dziękczynną Ktopamięta Przymierze.

Wieczorem świecił księżyc, niebo było usiane gwiazdami.

Matka i starszy brat mówili, że każda z nich jest większa od naszej Ziemi.

Ale jak gwiazda może być większa od Ziemi?

Wszystko to stanowiło wielką tajemnicę.

Mój przyjaciel Boruch Dowid opowiadał zawsze o polach ugorach, rozciągających się poza Warszawą, oraz o pasących się na nich dzikich krowach.

Zacząłem nudzić, że bymnie tam zabrał.

Długo zwlekał i wykręcał się pod różnymi pozorami.

Wreszcie jednak zagroziłem mu, że jeśli nie dotrzyma obietnicy, to koniec z naszą przyjaźnią.

Któregoś piątku, latem, wstałem bardzo wcześnie, tak wcześnie, że niebo wciąż jeszcze jarzyło się od blasku wschodzącego słońca.

Matce podałem jakiś wymyślony pretekst, włożyłem do papierowej torebki kilka kromek chleba z masłem, wyjąłem ze schowka kopiejkę, którą udało mi się zaoszczędzić ze skromnego kieszonkowego, i poszedłem na spotkanie z Boruchem Dowidem. Nigdy dotąd nie wstałem tak rano i wszystko wydawało mi się bardziej rześkie i świeże, w jakiś dziwny sposób przypominało krajobraz z bajki. Gdzieś tam kamienie były wilgotne i mój przyjaciel wyjaśnił mi, że to rosa. A więc rosa jest nawet na Krochmalnej. Byłem przekonany, że rosa spada tylko w krainie Izraela albo w biblijnym fragmencie:

Uważajcie, niebioso, gdzie jest napisane: "niech słowome pada jak rosa".

Nie tylko ulica, lecz iludzie sprawiali wrażenie bardziejrześkich.

Odkryłem, że skoro świt na naszą ulicęprzyjeżdżają rozmaite chłopskie furmanki.

Mieszkańcy pobliskichwiosek przywozili warzywa, kury, gęsi,kaczki i świeże jajka(nie takie wapniaki, jakie można było kupić w sklepie u Zeldy).

Na placu Mirowskim, za halami targowymi, sprzedawano hurtowo owoce,przywożone w ogromnych ilościachdo stolicy z podwarszawskich sadów: jabłka, gruszki, czereśnie, wiśnie, agrest i porzeczki.

Handlowano tu równieżsobliwymi owocami i warzywami,których większość żydowskich dzieci nigdy nie próbowała iuważała za zakazane: pomidorami, kalafiorami i zieloną papryką. W halachtargowych można było dostać nawetgranaty i banany, alekupowały je tylko wielkiedamy.

Ich koszyki na zakupy niosłypanny służące.

Boruch Dowidi ja szliśmy szybko.

Dla uprzyjemnieniaczasuopowiadał mi wiele przedziwnych historii.

Dowiedziałem się, na przykład, że jego ojciec wybrał się piechotąz Warszawy do Skierniewic i spotkał po drodze dzikusa.

Ciekawiło mnie ogromnie, jak wyglądał ten dzikus, i Boruch opisał mi go szczegółowo: był czarny jak pasta dobutów, miał długie włosy, które sięgały aż do ziemi, i rógpośrodku czoła. To straszdyłojadało codzień na śniadanie żywe dziecko.

Wpadłem w panikę i spytałem go:

- Może taki dzikus napadnie na nas?

-Nie, oni są daleko od Warszawy.

Byłemjuż dużym chłopcem i nie powinienem być takiłatwowierny, alezawszewierzyłem we wszystko, co mimówił Boruch Dowid.

Księga Powtórzonego Prawa32,1-2 (przyp.

thim.

).200

Minęliśmy Nalewki iMuranów, a stamtąd droga prowadziła już naotwartą przestrzeń. Przed moimi oczyma rozciągały się bezkresne łąki, porośnięte trawą i najrozmaitszymi kwiatami, oraz wzgórza, októrych istnieniu nie miałemdotąd pojęcia.

Ich szczyt wyglądał jak zwykły szczyt góry,ale u podnóża znajdowały się mury z czerwonej cegłyz małymi, głęboko umieszczonymi, okratowanymi okienkami.

- Coto jest?

- spytałem.

- Cytadela.

Ogarnął mnie strach.

Słyszałem oCytadeli.

Tutaj więziono tych, którzy próbowaliobalić cara.

Nie zauważyłem na razie żadnych dzikich krów, ale to, cooglądałem, było wspaniałe i niespotykane.

Tutejsze niebo niebyłowaśkim pasemkiemjak naKrochmalnej, lecz przypominało przestwór oceanu i opadało ku ziemi niczym nieziemska kurtyna.

Nad głowami przelatywały chmary ptaków,dużych i małych, ze świergotem, krakaniem, pogwizdywaniem.

Nadjednym ze wzgórz krążyły dwabociany.

Nadtrawą unosiły się, trzepocząc skrzydełkami, różnokolorowemotyle - białe, żółte, brązowe, nakrapiane iw rozmaite innedesenie.

Powietrze pachniało ziemią, trawą, dymem z parowozów i jeszcze czymś, co mnie odurzało i przyprawiało o zawrót głowy.

Panował tu osobliwy spokój, a jednocześnie wszystko szemrało, szeleściło, ćwierkało.

Płatki kwiatów spadały nie wiadomo skąd na klapy mojego chałatu.

Spojrzałem w górę na niebo, zobaczyłem słońce, obłoki i nagle zrozumiałem lepiej znaczenie słów z Księgi Rodzaju.

A wiećto jest świat, stworzony przez Boga - ziemia, niebiosy, woda i góry, oddzielone firmamentem od wód na dole.

Wdrapaliśmy się z Boruchem Dowidem na wzgórze i dostrzegliśmy biegnącą w dół Wisłę.

Do połowy koryta śniła

201.

jak srebro, dalej była trawiastozielona.

Przepływałpo niejbiały statek.

Rzeka nie była spokojna - płynęła, zdążającdokąds z impetem, który przywodził na myśl cuda i przypominał o nadejściu Mesjasza.

- To jest Wisła- wyjaśnił Boruch Dowid.

- Płynięażdo Gdańska.

- A potem?

-Potem wpada do morza.

- A gdzie jest Lewiatan?

-Daleko, na krańcu Ziemi.

A więc jednak książki nie kłamią.

Światjest pełen cudów.

Wystarczy tylko minąć Muranów i jeszcze jedną ulicę,i nagle znajdujemy się w samym środku cudów.

Kraniec Ziemi?

Czy nie jest to właśnie ten kraniec Ziemi.

Gwizdały gdzieślokomotywy, ale pociągów nie było widać.

Wiał łagodny wietrzyk, przynosząc coraz toinne zapachy - dawno już zapomniane albo całkiem nowe, o jakichmi się nawet nie śniło.

Nie wiadomo skąd nadleciałaśpszczoła miodna, usiadła nakwiatku,zebrała z niegopyłek,zabrzączała iprzefrunęła inny.

- Będzie wytwarzała miód - powiedział Boruch.

-Może uządlić?

- Tak.

I ma specjalną truciznę.

Jasne, Boruch Dowid wie wszystko.

Gdybym był sam,nietrafiłbym z powrotem do domu.

Zapomniałem już,jaki jest kierunek na Warszawę.

On za to czuje się tutajrównie pewnie, jak na własnym podwórku.

Nistąd, ni zowąd zaczyna biec.

Udaje, że mi ucieka.

Pada na ziemię,kryjąc się w wysokiej trawie.

Nie ma Borucha!

Zostałemna świecie sam jak palec - zagubiony królewicz, zupełniejak wbańce.

- Boruch Dowid!

- zacząłem krzyczeć.

-Boruch Dowid!

202

Wołam, lecz mój głos odbijasię echem, podobnie jakw synagodze, tyle że tutaj wraca z bardzo daleka, zmieniony i przerażający.

- Boruch Dowid!

Boruch Dowid!

Wiem, że robi mi tylko kawał, chce mnie nastraszyć.

Mimo to jednak ogarniamnie lęk.

Wołam go głosem, przerywanym szlochami.

- Bo-ruchDo-wid!

Pojawia się znowu, jego czarne cygańskie oczy śmiejąsię figlarnie, zaczyna biegać w kółko jak rozbrykany żrebak.

Poły jego chałatufruwają, frędzle małego tałesu trzepoczą na wietrze.

On również przypomina w tej chwili dzikie zwierzątko na łonie natury.

- Chodź, biegnijmy nad Wisłę.

Ścieżka prowadzi wdół i nie sposób normalnie iść - biegniemy więc, nogi same nas niosą.

Muszę hamować, żeby nie pędziły coraz szybciej i żeby nie wpadł prostodowody.

Ale woda jest dalej, niż mi się zdawało.

Biegnę, biegnę, a rzeka staje się coraz szersza, jak ocean.

Docieramy do długiego wału kamyków i mokrego piasku, poślizgowanego i karbowanego goniczym wielkimi babkami z piasku, które stawiają bawiące się na brzegu dzieci.

Boruch Dowid zdejmuje buty, podwijając gawki spodni i brodzi po kostki w wodzie.

- Uch, ale zimna!

Namawia mnie, żeby też zdjął buty, ale ja czuję się niepewnie.

Chodzenie bosą nie należy do mojej natury.

Tylko bosaka.

- Czasami.

-Co zrobisz, jak cię któraś ugryzie?

- Złapię ja za ogon.

Wporównaniu ze mną Boruch Dowid jest wiejskim dzieckiem.

Siadam na kamieniu, a wszystko we mnie płynie i bulgocze niczym wody Wisły.

Mój umysł kołysze się jak na falach mamzłudzenie, że nie tylko Wisła, lecz wszystko wokół mnie - wzgórza, niebo, ja sam - kołysze się odpływa w dal, w stronę Gdańska.

Boruch Dowid wskazuje na drugi brzeg i mówi:

- Po tamtej stronie jest praskilas.

To znaczy, że niedaleko jest prawdziwy las, pełen dzikich zwierząt i rozbójników.

Nagle zdarza się coś niezwykłego.

Od lewej strony, gdzie niebo łączy się z wodą, coś płynie po rzece, nie jest to jednak statek.

Początkowo wydaje się nieduże, spowitemgłą.

W miarę jak się przybliża, staje się większej i bardziej widocznej.

Jest to grupa tratw, zbitych z bali.

Mężczyźni pierają się na długich żerdziach i odpychają się z całej siły od dna rzeki.

Na jednej z tratw znajduje się mała budka - domek na wodzie!

Nawet Boruch Dowid gapi się z ustami otwartymi ze zdumienia.

Mija sporo czasu, zanim tratwy odpływają bliskim brzegom.

Mężczyźni coś do nas wołają.

Spostrzegam kogoś, kto wygląda na Żyda.

Ma brodę i wydaje mi się, że widzę na jego głowie mykę.

Z lektury przypowieści kaznodziei z Dubnowa wiem, że żydowscy kupcy odbywają podróże do Gdańska.

Słyszałem nawet o tym, że drewno jest spławiane rzeką.

Ale teraz widzę to na własne oczy - słowa kaznodziei z Dubnowa stają się rzeczywistością!

Przez pewien czas tratwy są bardzo blisko brzegu.

Na skraju jednej z nich stoi pies i głośno ujada.

Biada nam, gdyby zdołał przeskoczyć przez dzielący nas pas wody!

Rozszarpałby

nas na strzępy.

Pochwili tratwy mijają miejsce, w którym stoimy.

Czas biegnie nieubłaganie, słońce znalazło się już w zenicie i rozpoczęło swoją wędrówkę ku zachodowi.

Dopiero gdy tratwy znikły pod mostem, ruszamy w drogę powrotną, lecz wybieramy inną trasę niż ta, którą przyszliśmy.

Pamiętam odzikich krowach i zamierzam właśnie zapytać o nie Borucha Dowida, gdy nagle moim oczom jawi się nowa scena.

Na trawie, na rozpostartej płachcie, leżą chłopak i dziewczyna.

Dziewczyna jest nieprzyzwoicie obnażona.

Spostrzegam duże stopy i białe nogi, które napełniają mnie dziwnym młkiem.

Przez chwilę stoję jak wryty, a potem puszczam się pędem przed siebie, biegnę, sam nie wiem dokąd.

Chce mi się krzyknąć, ale gardło mam ściśnięte.

Boruch Dowid goni mnie i coś woła.

Po pewnym czasie wreszcie przystaję.

Zdyszany Boruch zrównuje się ze mną, jego czarne oczy lśnią, skrzę się jakąś pogańską satysfakcją.

- Durniu, dlaczego tak uciekałeś?

Jestem zażenowany, głupio mi wobec niego i wobec siebie.
Widziałem coś, czego nie przystoi oglądać chasydzkiemu chłopcu.
Czuję się nieczysty, skalany.

Coś we mnie płacze.

Jak można robić coś podobnego - ito tutaj, gdzie wszystko jest takie piękne, promienne i pachnące, zupełnie jak w rajskim ogrodzie!

Ale nie ma już czasu, żeby dłużej zwlekać z powrotem na Krochmalną.
Tarczasłońca zabarwia się na czerwono.

W domu matka z pewnością zaczyna się niepokoić - jest taka nerwowa.

Wkrótce nadejdzie pora, by zanieść szabatowy czulent do piekarza, kto ma to zrobić?

Przyśpieszamy obaj kroku, każdy pogrążony w własnych myślach, a nad naszymi głowami swawolą ptaki, w oknach Cytadeli.

odbijają się złocistoczerwone promienie zachodzącego słońca.

Myślę o tych, którzy leżą tam zakuci w kajdany, ponieważ próbowali obalić cara. Wydajęmi się, że widzę ichoczy.

Nagle wszystko przepelnia się smutkiem i tajemniczością wigilii szabat.

Rozwód

W naszym domu udzielono kilku dziwnych rozwodów, ale ten, który zamierzam opisać, był najdziwniejszy zewszystkich.

Pewnego dnia otworzyły się drzwi frontowe i w progu stanął właściciel pasmanterii, która mieściła się poblizu.

Zbliżał się do czterdziestki, a jego czarna brodamiała tak intensywny kolor, że wydawała się prawie granatowa.

Jego oczy niebyły ani rozbiegane, ani sprytne, lecz zdawały się patrzeć gdzieś w dal.

Spotykałem później Włochów i Hiszpanów takich ciemnych oczach.

Był ubrany jak chasyd, ale wyjątkowo schludnie.

Wszystko, co miał na sobie, wprost lśniło - alpagowy chałat, sukienny kapelusz, miękki kołnierzyk i czarny jedwabny krawat.

Nazywał się Mordechaj Meir.

- Dzień dobry, rabbi.

- Dzień dobry, rebie Mordechaju.

Witam.

Proszę usiąść.

Czym mogę służyć?

Mordechaj Meir wydał sobie dźwięk, przypominający chrząknięcie.

- Chcę się rozwieść.

- Tak?

- Rabbi, nie czynię tego z błahych przyczyn.

- O co więc chodzi?

207.

- Jestem bardzo chory, rabbi - odrzekł spokojnie rebMordechaj.
- Lekarze stracili nadzieję na mój powrót do zdrowia.

Nie mamy dzieci.

Kiedy odejdę z tego świata, moja żona nie będzie mogła zawrzeć małżeństwa lewirackiego, ponieważ mój jedyny brat mieszka w Ameryce.

Lepiej więc już teraz przeprowadzić rozwód.

- Co wam dolega?

Mężczyzna szepnął coś na ucho ojcu, który zbladł.

- Lekarze czasami się mylą - rzekł po chwili.

- Wszystko jest w rękach Opatrzności.

- Nie jestem kohenem.

Jeśli przeżyję, wolno mi ponownie się ożenić.

- Rozumiem.

Ale po co ten pośpiech?

- A na co czekać?

- A dlaczego nie?

Trzeba zasięgnąć rady innego lekarza, specjalisty.

W Wiedniu są znakomici lekarze.

- Wiem.

Już u nich byłem.

Ojciec zauważył mnie nagle.

- Wyjdź stąd!

- krzyknął.

Przeszedłem do drugiego pokoju, zdenerwowany i przestraszony tym, co usłyszałem przypadkowo od mężczyzny, który sprzedawał nam nici, guziki i temu podobne towary. Wiedziałem, na czym polega problem: wdowa po Żydzie, który zmarł, nie pozostawiając dzieci, miała być zwolniona od lewirackiego małżeństwa.

Mordechaj Meir chciał dać rozwód żonie i spędzić ostatnie miesiące życia w samotności, by oszczędzić jej trudnej sytuacji przymusowego ślubu ze szwagrem.

Ale jak mężczyzna może spokojnie mówić o takich sprawach?

Łzy kręciły mi się w oczach, bałem się tego człowieka, który wydał mi się teraz chodzącym nieboszczykiem.

Lewirat - ciążący na mężczyźnie obowiązek poślubienia wdowiastej bratowej, która nie ma dzieci.

208

Mordechaj Meir wkrótce opuścił nasz dom.

Ojciec wziął matkę na stronę i powiedział jej, co się zdarzyło.

Słyszając ich szepty i westchnienia, wymknąłem się na ulicę i przeszedłem obok sklepu

Mordechaja Meira.

Byłem ciekaw, co robi jego żona.

Czy płacze?

Nie, nic podobnego.

Stała za ladą, odmierzając drewnianą miarą jutę na worki.

Uśmiechała się przy tym i rozmawiała z klientką.

Ciemna, podobnie jak jej mąż, pulchna, o pełnych policzkach i wydatnym biuście, zachowała zwykłą uprzejmość i takt sklepikarki oraz matrony.

Na jej twarzy niewidać było nawet śladu zaniepokojenia.

Niespiesznie policzyła pieniądze, które przed chwilą jej wpłacono,

1 włożyła je do szufladki kasy.

"To niemożliwe- pomyślałem.

- Przecież to jej mąż.

Musi wiedzieć, że on wkrótce umrze".

Dziwna rzecz - ja, obcy, cierpiałem, tymczasem żona sprawiała wrażenie obojętnej.

Później wielokrotnie w życiu doświadczyłem podobnego uczucia.

Spędzali mi sen z powiek ludzie, których prawie nie znałem, chociaż ich najbliższa rodzina zachowywała spokój.

Po raz pierwszy dowiedziałem się, że niektórzy ludzie są tak niewrażliwi, iż nie porusza ich niczyje nieszczęście.

Odbywają mozolną wędrówkę ku śmierci, koncentrując myśl głównie na jedzeniu i przyziemnych sprawach.

Nawet gdy śmierć zajrzy im w oczy, nie potrafią się od nich uwolnić.

Wróćmy jednak do Mordechaja Meira.

Od tamtej chwili interesowałem się coraz bardziej nim i jego żoną.

Gdy tylko nadarzała się sposobność, przechodziłem obok ich sklepu.

Mordechaj, podobnie jak żona, nadal gawędził z klientami, jak zwykle wykladał i sprzedawał towary, obliczał codzienny utarg i prowadził rachunki.

Ale zajmując się tym wszystkim, spoglądał czasem gdzieś w dal, jego wzrok zdawał się przenikać mury domów, błądzić nad dachami i chmurami.

Z upływem tygodni stawał się coraz mizerniejszy, jego cera bardziej ziemista, jak gdyby od dawna pościł.

Od bladej.

twarzy jeszcze bardziej kontrastowo odcinała się czarnabroda.

Potem pewnego dnia w naszym mieszkaniu został udzielony ów rozwód.

Skryba spisał warunki gęsim piórem.

Dwóch świadków złożyło podpisy.

Mordechaj Meir siedział naprzeciwko skryby, jego żona na ławie.

Pojedyncza łza spłynęła z wolna po jej policzku.

Jej mina świadczyła o uległości prostej kobiety, mającej do czynienia ze sprawami, których nie potrafi pojąć.

Umiała sprzedawać nici, guziki, agrafki, radziła sobie ze służącą, sprzątała dom, lecz miała wielki kłopot ze stawieniem czoła zbliżającej się śmierci męża.

Wiedziałem, że błądzi gdzieś myślami, w pewnej chwili odniosłem wrażenie, że liczy frędzle szala.

Nagle odwróciła się i przekreśliła obrączkę napalcu.

Ojciec siedział, przewracając strony świętej księgi.

Pochylił głowę i zasłonił oczy dłonią.

Ani przez chwilę nie wątpił, że wszystko, co się dzieje, jest zrzędzeniem Opatrzności, dlatego jednak Opatrzność nie pozwoliła Mordechajowi Meirovi dożyć późnego wieku? Był przecież uczciwym człowiekiem.

Kto jednak ośmielił się kwestionować wolę Wszchemogącego?

W końcu żona Mordechaja Meira wyciągnęła dłoń i ojciec włożył w nie orzeczenie rozwodowe.

Dopiero wtedy zaczęła lamentować.

Ojciec powiedział to, co zwykle mówi się w takich okolicznościach: rozwiedziona kobieta nie może ponownie wyjść za mąż przez okres dziewięćdziesięciu dni.

To wywołało nowy potok łez.

Niewiem, jakie dalsze porozumienie zawarli Mordechaj Meir i jego żona.

Zgodnie z prawem nie wolno im było spać pod jednym dachem.

Zapomniałem o nich albo raczej musiałem się, żeby nie pamiętać.

Pewnego dnia zobaczyłem kondukt pogrzebowy.

To odprowadzano na miejsce wiecznego spoczynku Mordechaja Meira.

Wdowa szła z uniesionymi rękami, płacząc i zawodząc.

Za nią podążało kilku mężczyzn.

Rozmawiali o czymś.

Ich zachowanie zdawało się mówić: "Mordechaj Meir to Mordechaj Meir, a my to my.

On jest nieboszczykiem, ale my żyjemy.

On będzie za chwilę pochowany, a my musimy opłacić komorne i naukę naszych dzieci.

Niemamy z nim już nic wspólnego".

Może w sześć lub dziewięć miesięcy później wstąpiłem do sklepu Mordechaja Meira, żeby kupić nici, i zastałem tam obcego mężczyznę.

Jakże różnił się od Mordechaja.

Mordechaj Meir był szczupły i delikatny, natomiast ten mężczyzna był przysadzisty, miał wielką głowę, płaski nos i gęstą, rozłożystą brodę.

Z długichuszu oraz z szerokich nozdrzy sterczały mu kłaki, na wszystkich palcach rosły mu kępki włosów.

Mówił chrapliwym głosem.

Rozpięty chałat był cały w plamach.

A zatem to drugi mąż.

Wziął wszystko - żonę Mordechaja, jego dom, jego sklep.

Otworzył kasę i wyjął niedbale garść monet, przerzucał księgi rachunkowe i papiery, zwracał się do kobiety, jak gdyby byli małżeństwem od lat.
Jak gdyby nigdy nie istniał żaden Mordechaj Meir.

Po pewnym czasie dawna żona Mordechaja urodziła dziecko, które było tak samokrzepkie i niechlujne jak jego ojciec.

Bawiła się z maleństwem, cmokała i gruchała do niego: "A kuku, akuku".

To jeszcze nie koniec historii.

Podczas pierwszej wojny światowej Warszawę spustoszyła epidemia tyfusu.

Na Krochmalnej zmarło więcej osób niż w jakiegokolwiek innej dzielnicy miasta.

Wśród nich również wdowa po Mordechaju Meirze.

Sąsiadka uważała się do mojej matki:

- Taka młoda kobieta, matka małych dzieci, piękna jak róża.

Biadana.

Matka, w przekrzywionej peruce, pokiwała głową nad tymnowym zdarzeniem w wiecznej tragedii, do której nie da się przywyknąć.

Dla niej był to tylko jeszcze jeden dowód nato, że życie to sen i nierozsądnie jest grzeszyć przeciwko Stwórcy.

Może lepiej byłoby się w ogóle nie urodzić.

Ale co ma począć człowiek, skoro już przyszedł naten świat?

Minęło kilka miesięcy, a w sklepie Mordechaja Meirapojawiła się obca kobieta.

Wolf węglarz

Mimo że matka i ojciec bardzo różnili się charakterami, obojczuli wstręt do prostactwa, chełpliwości, przebiegłości i obłudy.

W naszej rodzinie panował przeświadczenie, że lepiej doznać porażki niż być

nikczemnikiem, że dla osiągnięcia celów wolno stosować wyłącznie honorowe metody.

Byliśmy spadkobiercami bohaterskiego kodeksu, który do tej pory nie został opisany w żydowskiej literaturze, a którego istotą jest zdolność znoszenia cierpień w imię czystości duchowej.

Ale wokół nas roiło się od hałasty, która nie wyznawała naszych ideałów.

Najbardziej dotykało to moją matkę, która musiała mieć do czynienia z tymi ludźmi i radzić sobie z codziennym życiem na ulicy Krochmalnej.

Nie mieliśmy służącej i matka sama robiła zakupy.

Z każdym razem wracała z targu upokorzona.

Rzeźnik obsłużył ją naszym końcu, zrobił z niej pośmiewisko, opowiadając jakiś ordynarny dowcip.

Handlarz ryb, wiedząc, że nie stać jej na droższy zakup, wyrwał jej z ręki rybę.

Smukła postać matki, jej pełne rezerwy i melancholijne zachowanie, irytowały rozmamłane kobiety z Krochmalnej, które uważały ją za snobkę.

213.

Ilekróć matka wracała z zakupów, wyjmowała jedną książkę w rodzaju Powinności serca czy Źródła mądrości, które uczą, jak być pokornym i wybaczać zniewagi innym. Często winiła siebie.

- Może zadzieram nosa?

Dlaczego nie potrafię zgodzić się z takimi ludźmi, nie umiem być taka jak oni?

Mimo starań nic jej z tego nie wychodziło.

Czuła się obrażona zarówno ich obelgami, jak komplementami.

Nieumiała lamentować bez umiaru na pogrzebach ani zachowywać się odpowiednio na weselach.

Jej charakter oraz tradycja, w jakiej ją wychowywano, skazywały ją na izolację, od której nie było ucieczki.

Nawet we własnym domu nie była bezpieczna od hołoty.

Wśród ludzi, zbierających się w naszym domu na szabatowe nabożeństwo, bez przerwy wybuchały kłótnie.

Dla uspokojenia próżności wymyślano najrozmaitsze honorowe tytuły.

Nie wystarczył jeden tytuł, musiało być ich kilku - dla pierwszego, drugiego i trzeciego z nich.

Mimo że owe tytuły nie miały znaczenia, rywalizujące grupki walczyły o nie z żarliwością.

W trakcie modlitwy dochodziło do ostrej wymiany zdań.

Potem wszyscy się godzili i spokojnie gromadzili przy takim czy innym obrządku.

Podczas Tisza be-Aw w naszym domu czytano Lamentacje Jeremiasza.

Dla mojej matki zburzenie Świątyni było nadal rzeczywistością.

Siedemnastego tamuz, kiedy przypada rocznica początku oblężenia Jerozolimy przez Nabuchodonozora, matka pościła przez cały dzień, mimo że była anemiczna i wątła.

Trzy tygodnie ostatnie dziewięć dni były dla niej okresem smutku z powodu zburzenia Świątyni i wygnania Żydów.

Pewnego wieczoru (było to dziewiątego aw) matka zdjęła pantofle i usiadła na niskiej ławie, niecierpliwie wyczekując chwili, gdy zostaną odczytane Lamentacje.

Ale zgromadzeni mężczyźni, którzy mieli

214

całkiem odmienną pojęcie o znaczeniu tej rocznicy, zjawili się z kieszeniami pełnymi kulek ostu i jęli się wzajemnie obrzucać, celując sobie w brody.

Gdy zabrakło im rzepów, zaczęli odhipywać tynk z muru.

Przy blasku jedynej świecy, mrugając do siebie, śmiejąc się i lekceważąc wspomnienia ojca, zachowywali się, jak gdyby nadal byli rekrutami, apokoj, w którym się znajdowali, koszarami.

Nagle drzwi otworzyły się z impetem i weszła moja matka, w samych pończochach i w chustce na głowie.

- Ludzie, czy wy nie macie wstydu!

- wykrzyknęła głosem drżącym z oburzenia.

- Czy nie wiecie, jakie znaczenie ma Tisza be-Aw?

To dzień żałoby.

Tego dnia padły mury Jerozolimy.

W tym dniu zaczęła się nasza udręka.

Na całym świecie Żydzi płaczą, ale wy nie macie nic lepszego do roboty, tylko wydłubywać tynk z muru?

Jesteście małymi dziećmi?

Nie wiecie, że my, Żydzi, jesteśmy na wygnaniu?

Zapadła cisza.

Pamiętam, że siedziałem, trzęsąc się ze strachu.

Matka, zwykle spokojna i panowana, wtargnęła do pokoju pełnego mężczyzn i wystąpiła przeciwko nim z poważnymi oskarżeniami.

Była blada jak ściana.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał.

W końcu milczenie przerwał batlan Josel.

- Rebecin, co w tym złego, że się trochę zabawią?

W końcu dobrze zarabiają.

- Czy dobre zarobki powodują obojętność na zburzenie Świątyni?

Wśród wiernych znajdował się mężczyzna, znany jako Wolf węglarz.

Krzepki i śniady jak Cygan, cerę miał jeszcze ciemniejszą z powodu swego zajęcia.

Był człowiekiem ordynarnym, gburem, niemal półdzikusem.

Od czasu do czasu kupowałem u niego węgiel.

Ważył go, wrzucał do mojego kosza i burczał:

- Jazda.

już cię tu nie ma.

215

W ten sam sposób odzywał się do dzieci i do dorosłych.

Noga mojej matkinie powstała więcej w jego składzie potakim potraktowaniu.

On sam przypominał bryłę węgla, odrana dowieczoraprzebywając w swoim składzie, gdzie sterty węgla i koksupiętrzyły się prawie pod sufit.

Wświetle dziennymwyglądał jak kominiarz, tylko białka oczu błyskaływ jegotwarzy, ale wieczorem, kiedy jedyne źródło światła stanowiła mała lampka naftowa, był podobny do diabła.

Bezprzerwy spryskiwał węgiel wodą, żeby się zbytnio nie zagrzewał i nie tracił na wadze.

Głos węglarza brzmiałdlamniejak szczekanie psa.

Z jego twarzy emanowała prymitywna posepność, jakiś złowrogi smutek.

Był bezczelnywobec wszystkich.

W przeddzień szabatu szorował sięenergicznymi mydłem, ale woda niewiele tu pomagała.

Białykitel, który zakładał podczas świąt, podkreślał czerń jegotwarzyi rąk.

Węglarz Wolfmieszkał na parterze, wizbie na tyłachskładu.

Lubił się zdrzemnąćpo szabatowymobiedzie.

Alejak można spać, kiedy na podwórku panuje taki hałas?

Chłopcyprzedrzeźniali jakiegoś wariata, rzucali kamieniami albo po prostu hałasowali.

Wolf wybiegał z domuw kalesonach - niesamowicie białych na tlejego czarnej skóry- goniąc wszystkich, którzy zakłócali mu sen.

Jegowypadynieograniczały się do podwórka.

Często widywano na ulicybosego czarnoskórego mężczyznę w kalesonach, ścigającego bandę bladych łobuziaków.

Ta pogoń zawszekończyła się niepowodzeniem, ponieważ chłopcy biegaliszybciej od niego.

Mimo że jego wysiłki były bezowocne, Wolf węglarz za każdym razem wyskakiwał z łóżka i goniłswoich prześladowców.

Bywało, że ciskał w wycofującychsię wyrostków miotłalub kawałkiemwęgla.

- Wolf - ganili go pobożni Żydzi - nie w szabat.

216

r

- Wsadźcie głowy w błoto - odpowiadał.

- Niech wasłam4kołem.

W naszymdomu zachowywała się równie ordynarnie jakw swoimskładzie.

Czasem narzekał, że nie wezwano go do czytania Tory.

Nierazpragnął też być batlanem.

Spluwała podłogęi wycierał nos rękawem.

Dla mojejmatki byłsymbolem hołoty.

Jejświat ograniczał się tylko do małegofragmentu, on natomiast mógł pójść wszędzie, czuł się jaku siebie w domu w koszarach, w fabrykach, w kopalniach, w przytułkach dlaubogich, w więzieniu.

"Tykał" wszystkich, nawet starszych ludzi.

Żona Wolta, chociaż była prostą kobietą, miała arystokratyczną naturę.

Przy porodzie straciła słuch.

Im głośniejWolf wrzeszczał, tym mniej rozumiała, co do niej mówi.

Rzadko widywano ją w składzie, harowała w pokoju natyłach.

Czasami otwierałaserce przed moją matką.

- Rebecin, dłużej już tego nie zniosę.

Kochana pani, jeszczetrochę, azwariuję.

- Czego on od pani chce?

-Skaczejakkotna gorącym blaszanym dachu, klnieiwścieka się.

Nie zostawia na mnie suchej nitki.

- Dlaczego nie przywoła go pani do porządku?

- Gdy tylko otworzy usta, tracę przytomność.

Często mnie też bije.

- Nie ma pani żadnych krewnych?

- Żadnych.

Jestem sama jak palec.

Głuchota kobiet miała chyba podłoże emocjonalne, zaczęła bowiem słyszeć śpiewające głosy.

- Czcigodna rebecin, proszę posłuchać.

Niech pani przysunie ucho do mojego.

Słyszysz pani?

To Koinidrej.

- Nic nie słyszę.

- Ktoś śpiewa, mówię pani, jakiś kantor o wspaniałym głosie.

217.

- Dlaczego nie poradzi się pani lekarza?

- Byłam już trzech doktorów.

Żaden z nich nie mapojęcia, jaka jest różnica między stopą a łokciem.

Pewnego dnia podczas święta Szawuot wierni biesiadowali w naszym domu, mimo że ojciec wyjechał do rabbinów do Radzyna.

Goście, wśród których znajdował się również Wolf, siedzieli, popijając piwo i zagryzając je orzechami.

Wolf umył się ubrał staranniej niż zwykle, ale tak pozostał sobą - czarnym, topornym prostakiem.

- Kto pójdzie z nami o zakład?

- Warknął.

- A o co chcesz się założyć?

- Posłuchaj, wleję do twojej szklanki kilka kropli piwa, a moją napelnę po brzegi.

Zakładam się, że wypiję moje piwo i odstawię szklankę na stół, zanim ty zdążysz wypić swoje.

- Jak zdołasz to zrobić?

- Nie twój interes.

Jeśli chcesz się dowiedzieć, postaw dziesięć rubli.

- Dobra, zakład stoi.

Wolf i jeden z mężczyzn uściskali sobie dłonie.

Następnie Wolf nalał do szklanki przeciwnika kilka kropli piwa, a sobie do pełna.

- No, pij.

Przeciwnik Wolta opróżnił szklankę jednym haustem i odstawił szklankę.

Wolf, zanurzając czarne wąsy w pianie, pozwoli sączył piwo aż do ostatniej kropli.

Potem odsunął obrus i postawił szklankę na gołym blacie stołu.

- Wygrałem zakład - oznajmił.

- Ty nie postawiłeś szklanki na stole, tylko na obrusie.

- O co ci chodzi, jak to nie postawiłem na stole?

Przecież obrus leży na stole, prawda?

Zaczęli się kłócić i przekonywać nawzajem,

- Ale szklanka była na obrusie.

218

- Jak to różnica?

- Bardzo duża.

Po chwili doszło do bójk.

Wolf wymierzył pierwszycios, ale przeciwnik natychmiast mu się przeważował.

Najego brodziezałśniły czerwone krople krwi.

I znowu wtrąciła się matka.

- Ludzie, nie macie wstydu?

Przecież to święto!

Pobladała i przerażona stanęła z nimi twarzą w twarz.

W ich spojrzeniach gniew mieszał się szacunkiem.

Wolf otworzył usta, żeby coś odszczeknąć, lecz powstrzymał się inni.

Zmierzył tylko swoją matkę nienawistnym wzrokiem.

W owym czasie studiowałem już Pięcioksiąg, a moze nawet zacząłem czytać Talmud. Zrozumiałem już, kim jest Wolf - przedstawicielem mieszanego tłumu, wspomnianego w Księdze Wyjścia.

Antagonizm między nim a moją matką miał swój początek za czasów Mojżesza.

A co z Mesjaszem?

Mesjasz nie nadejdzie, dopóki moja matka nie stanie się taka jak węglarz Wolf albo Wolf nie stanie się taki jak moja matka.

Potomkowie

Kilka domów od nas, pod czternastką, mieszkał drobny, niski mężczyzna, rabin, który zostałby bardzo ważną osobistością, gdyby liczyło się wyłącznie pochodzenie.

Jego dziadkiem był reb Mosze, którego ojcem z kolei był wielki cadyk z Kozienic.

Kiedy poznałem naszego sąsiada, reba Berele, przekroczył już osiemdziesiątkę.

Jedną przyczyną, dla której nie został chasydzkim rabinem, był jego brak zdolności do nauki.

Ledwie dołał przebrnąć przez rozdział Miszny.

Jego przeznaczeniem było przejść przez życie jakownik wielkiego cadyka z Kozienic, lecz on sam pozostał tylko rabinem dla kobiet.

Był jednak człowiekiem dobrze wychowanym, odziedziczył dystynkcję swoich wybitnych przodków.

Nieduży mężczyzna, o gęstej siwej brodzie, nosił jedwabny chałat, sobolowy kapelusz, pończochy i trzewiki.

Dokądkolwiek się udawał, zawsze towarzyszył mu szames.

Poruszał się tak wolno, że na przejście od nas do własnego domu potrzebował pół godziny.

Garbił się tak bardzo, że widać było jedynie siwą brodę, kapelusz sobolowego futra i małe zawiniątko jedwabiu.

Kiedy przechodził, przekupki go błogosławiły, a goje patrzyli na niego, nic nie rozumiejąc.

Reb Berele pędził niemal idealnie pogodne życie.

Pewnego razu przyglądałem

się, jak zakłada filakterie.

Jego dłonie poruszały się z wielkim trudem.

Przymocowanie rzemyków do przedramienia zajęło mu prawie godzinę.

Z jego oczu emanował niespotykany spokój.

Ten miniaturowy człowieczek odznaczał się wspaniałym apetytem, nie stronił też od wódki.

Miał zawsze rumianą twarz i radosną minę, jak gdyby każdy dzień był świętem.

Reb Berele zawsze przysyłał ojcu na Purim, jako dowód sympatii, rybę słodko-kwaśnym sosie.

Ilekoć spotykał się na ulicy, robił ojcu wymówki, że nie odwiedza go częściej.

Ojciec bywał u niego tylko wtedy, gdy ktoś umarł w naszej kamienicy.

Jako kohenowi, czyli członkowi kasty kapłańskiej, ojcu nie było wolno, zgodnie z prawem mojego przodka, przebywać w domu, w którym znajduje się ciało zmarłego.

Idąc do reba Berele, ojciec zawsze zabierał mnie ze sobą.

Jedyną rzeczą, którą reb Berele lubił robić, poza modlitwą, było recytowanie Zoharu.

Mam wątpliwości, czy znał język aramejski, w którym jest napisana ta księga, ale co to różnica?

Skoro w Zoharze jest mowa o rozmaitych niebiańskich tajemnicach, takich jak hierarchia aniołów oraz święte imiona Boga, już samowypowiadanie słów uwzniośla duszę.

Tak naprawdę reb Berele nie recytował dokładnie tekstu, lecz mamrotał go wekstatie, która wpływała z czystego, przykładowego życia.

W czasie kiedy go poznałem, rebem Berele opiekował się służącą, ponieważ jego żona już nie żyła.

Kobiety przychodziły do niego prosić o modlitwę za ich chore dzieci, o błogosławieństwo, żeby dopisywało im zdrowie, o wstawiennictwo w niebiosach, kiedy były w ciąży lub zbliżało się rozwiązanie.

Reb Berele wyjmował szczyptę tabaku z kościanej tabakierki i obiecywał każdej wszystko, co najłepsze.

Miał dwóch synów, którzy również byli mało

ważnymi rabinami, ale poza tym w niczym nie przypominali ojca.

On był drobny - oni zażywni, on powolny- oni energiczni.

Synowie, podobni do siebie jakdwie krople wody,wyglądali na bliźniaków, a może zresztą byli bliźniakami.

Dla nich siedzenie w domu i wyczekiwanie, aż przyjdą kobiety z prośbą o poradę, byłoby stratą czasu.

Czuli się obowiązku biegać po mieście w poszukiwaniu bogatychmecenasów, skłonnychpodać pomocną dłoń prawnikomkozienickiego cadyka.

Gdy tak się uwijali,ich drapieżnespojrzenia wędrowały po górnych piętrachkamienic.

Podobnie jak ojciec nosił jedwabne chałatyi kapelusze z sobolowego futra.

Czasami miałem wrażenie, że ich siła napędowa jest takwielka, iż rozpostrą nagle poły chałatówiwzbijają się ponad dachy domów.

Między synami reba Berele aresztą mieszkańcówWarszawy trwała cicha wojna.

Miasto było zdecydowane nie subsydiować tych szczywanich lisów.

"Niech zarabiają na życie pracą, tak jak wszyscyinni -zdawało się mówić.

- Dlaczego nie pójda handlowaćśledziami na targu?

".Synowie reba Berele, którzy mieli nautrzymaniu żonyi dzieci, nie chcieli pogodzić się odmową i pchali się drzwiami kuchennymi, gdy zatraskiwano im przed nosem frontowe.

Nieustannie obmyślalijakieśnowe metody wyłudzenia kilku rubli.

Dla nich była to wyłącznie kwestia czujności i pomysłowości.

I w ten sposóbdobrze urodzeni synowie reba Berelezawsze zdobywalito, o coim chodziło.

Pewnego dnia ojciec ucieszył się ogromnie, ponieważstaryrabin przyszedłdo nas w odwiedziny.

Wyobraźcie sobie, wnuk kozienickiego cadyka w naszym domu!

Przez całą godzinę rozmawiali z ojcem o żydowskich sprawach, o bieżących wydarzeniach, o swoim życiu oraz o wyjątkowych zwyczajach, panujących w Kozienicach w Lubli222

r

nie. W końcu reb Berele wyjaśnił cel swojej wizyty.

Chciał się ożenić.

Wkrótce zjawiła się przyszła panna młoda, wdowa porabinie, kobieta kołosiedemdziesiątki.

Była korpulentna, przynajmniej o dwie głowy wyższa od rebaBerele, miała na sobie futro i czepek z daszkiem.

Mówiła donośnym głosem.

Jidysz jej nie wystarczał, co trochę wtrącała słowa wjęzykuhebrajskim.

Miała opinię pasożyta, trudniła się zbieraniempiędzy na wydanie komentarzy, napisanych przez jej zmarłego męża.

W taki właśnie sposóbpoznała reba Berele.

Odsłowo słowa, aż wreszcie doszło do zaręczyn.

Aczkolwiek ojciec dziwił się, że taki starzec zamierzastanąć pod ślubnym baldachimem, uznał, że podobne sytuacje się zdarzają.

Matka była zaszokowana i twierdziła, że to małżeństwo nie przyniesie nic dobrego żadnej z stron.

Nikt jednak nie powinien mieszać się do tego rodzaju spraw, a ojciec chciał otrzymać pieniądze za udzielenie ślubu.

Brałem udział w ceremonii zaślubin, ponieważ byłemjednym z mężczyzn, którzy trzymali drążki chupy, przechowywanej obok pieca w naszym mieszkaniu.

Przestronnemieszkanie reba Berele było rzęście oświetlone, paliło sięmnóstwo świec i lamp.

Twarz reba Berele również promieniała, gdy stanął panną młodą pod baldachimem.
W przeciwieństwie jednak do pana młodego, oblubienica nie wyglądała na szczęśliwą i bezprzerwy rozglądała się, jak gdyby czymś zakłopotana.
Miała na sobie nową pelerynę i odświętny czepek.
Z jej twarzy można było wyczytać niechęć do jakiegokolwiek cierpienia i silne postanowienie, by wyrwać z życia, co się tylko da.
Reb Berele nie był dla niej odpowiednim partnerem, potrzebowała silniejszego mężczyzny.
Ale kiedy ma się siedemdziesiąt lat, nie można przebierać.
Lepszy reb Berele niż nikt.

Podczas kolacji weselnej świeżo upieczona rebecin zaczęła ciskać gromy na służącą, że źle prowadzi dom.

Byłoczywiste, że te dwie kobiety nie pozostaną długo podjednym dachem.

I faktycznie tak się stało.

W kilka dni później gospoś reba Berele przyszła do nas, żeby poskarżyć się matce.

Właśnie została odprawiona.

Ale to był dopiero początek.

Nowa rebecin miała wyraźnie chorą ambicję.

Dlaczego reba Berele jest takim mało znaczącym rabinem, skoro ma takie znakomite pochodzenie?

Postanowiła naprawić tę sytuację i zaczęła rozprowadzać wśród kobiet opowieści na temat cudów, czynionych przez jej świętobliwego małżonka.

Wychwalała go pod niebiosa, czytając u rzeźnika, czy w sklepie spożywczym lub nabiałowym.

Ale ludzie potrafią oceniać się wzajemnie.

Kobiety skomentowały jej zachowanie: "To krzykaczka".

W tym samym czasie, kiedy to starała się wesprzeć karierę reba Berele, zbierała w dalszym ciągu pieniądze na wydanie książki swego pierwszego męża.

Przecież jedno

drugiemu nie przeszkadza.

W końcu doszło do tarć między nią a jej pasierbami.

Nowa

rebecin podjęła walkę z właściwą sobie energią.

Udręczony całym tym zamieszaniem, reba Berele dostał zapalenia płuc.

Leżał w łóżku spokojny i pogodny jak zawsze, kaszłając uśmiechając się.

Kiedy zbliżała się pora modlitwy, wzdychał cicho i z zwykłą powolnością przywiązywał filakterie do przedramienia.

Kobiety wciąż przychodziły do niego, a on jak dawniej modlił się o dobre zdrowie dla nich oraz dla ich dzieci, o każdą rzecz, o jaką go tylko prosiły.

W dalszym ciągu lubił przekąsić odrobinę ciasta i łyknąć trochę wódki.

Któregoś dnia reba Berele westchnął głęboko i wyzionął ducha.

Chasydzi, którzy za jego życia rzadko o nim myśleli, przyszli tłumnie na jego pogrzeb.

Był przecież wnukiem kozienickiego cadyka.

Nadotwartym grobem szło

chająca rebecin rozpostarła ramiona i wygłosiła własną mowę pogrzebową, choć inni już ją wygłosili.

Synowie zmarłego, którzy obecnie przekroczyli już sześćdziesiątkę, odmówili kadisz i bacznie lustrowali zebranych, wypatrując potencjalnych dobroczyńców.

Synowie przestrzegali okresu żałoby razem z macochą, najwyraźniej jednak uprzykrzyli jej życie do tego stopnia, że spakowała manatki i opuściła dom najszybciej, jak tylko mogła.

W końcu zjawiała się u nas, żeby poskarżyć się na pasierbów.

Wtedy po raz pierwszy przekonałem się, że jedendrań nie może znieść drugiego.

Zapłakana rebecin wydymuchała nos, lamentując nad swoim małżeństwem.

Przeżyła pięćdziesiąt lat z pierwszym błogosławionym mężem, po co jej było drugie małżeństwo?

Myślała, że będzie miała gdzie złożyć głowę, ale los zrzucił inaczej.

Teraz nie zazna spokoju, póki nie ukaże się książka jej pierwszego męża.

Matka, bystra, jeśli idzie o ocenę ludzi, słuchała jej w milczeniu, z miną, która wyraźnie mówiła: "Znam się na takich szatańskich sztuczkach", ale ojciec współczuł wdowie. Rozmawiała z nim nauczony temat, popełniając niesłychane gafy, chełpiła się swoimi przodkami, uskarżała się na zdrowie, żądała, by ojciec zorganizował zbiórkę pieniędzy na jej wyjazd do uzdrowiska, musi bowiem leczyć artretyzm.

Plotąc tak, popijała herbatę i chrupała ciasteczka.

- Ile ma pani lat, rebecin, niech panią ominie zły urok?

- spytała, taksując spojrzeniem swoją matkę.

Matka zdradziła jej swój wiek.

- Ach, gdybym miała żnowute lata!

- Co by pani zrobiła?

- Przenosiłabym góry.

Atlasowy chałat

O naszym ubóstwie najdobitniej świadczyły nasze ubrania.

Żywność była tania, a my niejedliśmy zbyt obficie.

Matka gotowała kartoflanę z zasmażką zrumienioną cebulą.

Jajka jadaliśmy wyłącznie Pesach.

Wprawdzie funt mięsa kosztował w owym czasie dwadzieścia kopiejek, ale dawało się nagotować na nim mnóstwo rosołu.

Mąka, kasza gryczana, ciecierzycza i fasola nie były drogie.

Ale ubrania były.

Matka latami chodziła w tej samej sukni, która wciąż wyglądała jak nowa, tak bardzo o nią dbała.

Jedna parapańtofli starczała jej na trzy lata.

Atlasowy chałat ojca był trochę przetarty, ale podobnie wyglądały chałaty i jarmułki wierzniących w chasydzkiej synagodze, gdzie się modlił.

Gorzej było z nami, dziećmi.

Ja zdzieram buty wciąż w trzech miesiącach.

Matka narzekała, że inne dzieci bardziej uważają, a ja niszczyć wszystko w błyskawicznym tempie.

W pobliskim radzyńskim domu nauki chłopcy nosili w szabat atlasowe lub jedwabne chałaty, aksamitne kapelusze, wyczyszczone do połysku buty oraz szarfy.

Ja chodziłem w chałacie, z którego już wyrosłem.

Odczasu do czasu dostawałem nowe ubranie, ale dopiero wówczas, gdy poprzednie niemal wisiało na moich strzępach.

Ale raz w roku, na krótko przed świętami Pesach, nagle stawali się bogaci.

Było dla nas dobry okres, ponieważ ojciec zawsze sprzedawał gojowi - a ściślej mówiąc, naszemu stróżowi - chamec, czyli rzeczy niedozwolone w żydowskim gospodarstwie podczas Pesach, takie jak praśny chleb, mąkę, stolnicę, wałek.

W tej transakcji był pewien element udawania, ponieważ natychmiast po święcie cały dobytek wracało pierwotnym właścicielom.

Słuchając ludzi, którzy przychodzili sprzedać swój chamec, dowiadywałem się, jak mało mamy w porównaniu z nimi.

Musieli pozbyć się whisky, araku, wiśniówki, przetworów, a my zaledwie kilka garnków ironi.

Czasami ktoś wymieniał w spisie stajnię z końmi, chociaż nie bardzo rozumiem, jak można uważać konia za chamec.

No, ale konie żywią się owsem.

Pewien człowiek miał syna, który jeździł z cyrkiem, wobec czego uważał, że musi podać jako chamec całą menażerię.

Dlaczego to właśnie Pesach było dla nas takie szczęśliwe?

Zacznijmy od tego, że cztery tygodnie wcześniej dostaliśmy z okazji święta Purim mnóstwo pięknych prezentów.

Ale najlepsze z tego wszystkiego było to, że Jonatan, krawiec Leoncina, gdzie mój ojciec był kiedyś rabinem, przeprowadził się do Warszawy.

Jonatan, wysoki, szczupły mężczyzna o dziobatej twarzy, rzadkiej brodzie i błyszczących oczach, ubierał się jak chasyd, a nie jak krawiec.

W szabat nosił atlasowy chałat.

Zażywał tabaki, w święta składał wizytę radzyńskiemu cadykowi i był naprawdę erudyta.

Teraz, kiedy zamieszkał w Warszawie, odwiedzał ojca, żeby dyskutować z nim na uczone tematy.

Gdy mnie zobaczył, zaproponował, że uszyje mi ubranie na kredyt.
Zapłacimy za materiał w dogodnym dla nas czasie.

Co za uśmiech losu!

Biorąc miarę, promieniał dumą, jakgdybym był członkiem jego rodziny.

Prawdę mówiąc, byłobecnym przy moim obrzezaniu.

Zapisując kredą moje wymiary, powiedział do matki:

- Ach, rebecin, jak te lata lecą.

Jonatan najwyraźniej nie miał w tym czasie nic innego do roboty, ponieważ prawie natychmiast po zdjęciu miary kazał mi przyjść do siebie do pierwszej przymiarki.

Jednocześnie sprawdzał moją znajomość hebrajskiego i korzystał chętnie z okazji, żeby wtrącić kilka hebrajskich zwrotów i rozprawiać w uczony sposób.

Chociaż był zwykłym krawcem, cechowała go ogromna miłość do judaizmu, rozkoszowała się każdym hebrajskim słowem.

W czasie gdy się żenił, znał jedynie wymagane modlitwy, później jednak przestudiował Biblię w jidysz, zgłębiał Misznę z nauczycielem i przepytывał uczniów.

W Leoncinie był obiektem drwin z powodu swych wysokich aspiracji, a mimo to udowodnił, że nigdy nie jest za późno na naukę.

Ojciec pomógł Jonatanowi zostać uczniem i teraz krawiec pragnął okazać mu swoją wdzięczność.

W jego mieszkaniu kręciły się córki, robiąc mnóstwo hałasu, unosił się zapach gotowanych potraw.

Dziewczynki, które znały mnie od wczesnego dzieciństwa i nie widziały mnie w własnym chałacie, jakiego noszą dorośli mężczyźni, nie potrafiły powstrzymać się od uwag.

Sprzeczały się ze swoją matką, czy kapota ma właściwą długość.

Moja matka, w przypływie hojności, zamówiła dla mnie również nowe trzewiki u szewca Michała.

Miałem być odstóp dogłówny elegancki, gdy przekroczę próg synagogi podczas święta Pesach.

Mimo że w owych czasach ubiór nie był dla mnie szczególnie ważny, niebawem stałem się posiadaczem nowej garderoby, a kolejne dodatki do niej coraz bardziej mnie fascynowały.

Szwaczka szyła dla mnie nowe koszule, a nowy aksamitny kapelusz leżał już w pudle, w szafie.

Wyobrażałem sobie, jak wchodzę triumfalnie do domu w wigilię Pesach, budząc zdumienie obecnych tam chłopców.

Przedtem czułem się od nich gorszy z powodu mojego ubrania, mimo że byłem znacznie lepiej od nich zorientowany w wielu sprawach - wiedziałem, czym jest syjonizm, czym socjalizm, jaki jest ciężar powietrza, skąd się wziął węgiel.

Zdobyłem te wszystkie wiadomości od mojego brata oraz z almanachu.

Teraz jednak zobaczę, że ja również mogę mieć nowe ubranie na święta.

Większość krawców, obiecujących, że ubranie będzie gotowe na czas, nie dotrzymywała słowa, ale Jonatan był inny.

Tak czy inaczej, miałem złe przeczucia, bo niby dlaczego wszystko miałoby pójść tak gładko, jak sobie wymarzyłem?

Z drugiej jednak strony, co miałoby się nie udać i czemu byłbym taki pełen obaw?

Cóż, mogło się oczywiście zdarzyć, że Jonatan przypaliłby materiał podczas prasowania albo ktoś ukradłby chałat.

Z Karzącej Jrógi, jak również z własnego doświadczenia wiedziałem, że świat jest pełen pułapek.

Rozmiłowałem się zbyt w ziemskich rozkoszach.

Jednakże, mimo tych obaw, wszystko toczyło się gładko.

Zgodnie z obietnicą szewc Michał dostarczył tak wyglansowane buty, że wyglądały jak lakierki.

Atłasowy chałat wisiał już w szafie.

Na krótko przed Pesach ludzie zaczęli przychodzić do naszego domu, żeby sprzedać swój chamec, a ja, stojąc za krzesłem ojca, przyglądałem się tej niezbyt skomplikowanej ceremonii.

Osoba sprzedająca musiała dotknąć koniuszka chusteczki na znak, że zgadza się odsprzedać swoją własność gojowi.

Dokument sprzedaży zaczynał się od słów: "Chamec reba takiego a takiego.

", a dalej, w mieszaninie jidyszy hebrajskiego, wymieniano

229.

wszystkie przedmioty.

Byłem pewien, że potrafiłbym wykonać sam tę pracę, gdyby tylko nadarzyła się sposobność.

Mężczyźni rozmawiali, składali podpisy i wspominali iminione święta Pesach.

Ojciec spytał głuchego mężczyznę, czy ma alkohol do zadeklarowania.

- Tak, mam coś, trochę pszennej mąki.

Inni zaczęli krzyczeć mu do ucha:

- Alkohol!

Wódkę!

- Ach, trzeba było od razu mówić.

Oczywiście, że mam alkohol.

Wdowa, która przysłała sprzedać swój chamec, nie umiała się podpisać.

Ojciec powiedział, żeby dotknęła pióra, ona jednak nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi.

- Dotknij tylko na moment obsadki - powtórzył ojciec.

Nie wiedziała, co to jest obsadka.

Mimo że radziła sobie świetnie na swoim targowym straganie, w gabinecie ojca, pełnym mężczyzn, była skołowana.

Weszła matka i wyjaśniła jej, co należy zrobić.

- Rebecin, nie mam najmniejszego kłopotu ze zrozumieniem pani.

- Odetchnęła z ogromną ulgą kobieta.

I dotknęła obsadki.

Następnie rozwiązała chusteczkę i odliczyła kilka miedziaków.

- Szczęśliwego święta Pesach - powiedziała do ojca.

- Doczekania przyszłego - życzył jej ojciec.

Nagle po jej ogorzałej od słońca i wysuszonej od wiatru twarzy popłynęły strumieniem łzy.

Wszyscy umilkli.

- Skąd wiadomo, kogo Bóg sobie umiłował - rzekł ojciec po jej wyjściu.

- Może ona jest święta.

Matka wróciła do gabinetu, zarumieniona i usmolona, przed chwilą bowiem dołożyła do pieca, żeby usunąć wszelkie ślady chamecu.

W sypialni od sufitu wisiały w prześcieradłach zwyczajne mace.

Dwa kawałki, upieczone sześć

gólnie starannie, które miały być zjedzone przez najpobożniejszych, były odłożone dla ojca i matki.

Matce, córce i babie, przypadł w udziale przywilej, zarezerwowany zwykle dla mężczyzn.

Wszystko odbywało się zgodnie z rytuałem.

W wigilię Pesach ojciec tradycyjnie przeszukał wieczorem dom, żeby nazajutrz spalić chamec.

Wolno go było spożywać do dziewiątej nazajutrz rano - a później aż do zachodu słońca ani chamecu, ani macy.

Dla nas, dzieci, matka przygotowała przepyszny naleśnik z ziemniaczanego puree, jajek i cukru.

O zachodzie słońca zaczynało się święto Pesach.

Jak dotychczas nie wydarzyło się nic złego.

Umyłem się, włożyłem nową koszulę, nowe spodnie, nowe buty, nowy aksamitny kapelusz i atłasowy chałat, który lśnił odświętnie.

Stałem się chłopcem z bogatej rodziny.

Wraz z ojcem schodziłem schodach.

Sąsiedzi, którzy otwierali drzwi, żeby na mnie popatrzeć, soplowali, żeby ustrzec mnie od złego uroku, a dziewczęta, które siedziały na progu, trącały ostrym chrzanem, który wyciskał im łzy z oczu, śmiały się, gdy je mijałem.

Moje rówieśnice, z którymi jeszczenedawno bawiłem się grałem w kamyki, spoglądały na mnie zaprobata.

Teraz, gdy ja stałem się młodzieńcem, a one niemaldorosłymipanienkami, były zbyt nieśmiałe, żeby odezwać się domnie, aleich spojrzenia mówiły same za siebie.

Udaliśmy się z ojcemdo radzymińskiego domu nauki, weszliśmy po schodach, ale gdy próbowaliśmy dostać siędo środka, okazało się, że drzwi są zamknięte a kluczy wisi na nich kartka: "Awaria gazu.

Zamknięte na czasświąt".

Zamknięte?

W przeddzieńPesach?

Radzymiński domnauki?

Nie do wiary!

Niewiedzieliśmy, co począć, staliśmy pod drzwiami, zdeprymowani.

Karząca różga mówiła prawdę.

Nie wolno uzależniać się od dóbr świata materialnego.

-li.

Wynikają z tego same rozczarowania.

Liczy się tylko służba Bogu i studiowanie Tory.

Wszystko inne się rozpada.

W mińskim domu nauki, dokąd pojechaliśmy się modlić, nikt mnie nie znał, nikogo nie obchodziło moje nowe ubranie.

Dostrzegłem kilku znajomych chłopców, ale ponieważ wszyscy byliśmy tam obcy, przycupnęliśmy jak najbliżej wyjścia.

Był to dla mnie dotkliwy cios oraz nauczka, żeby nie dać się uwieść marnościami tego świata.

Chłopiec filozof

Mój brat, Izrael Joszua, z powodu swoich wyzwolonych poglądów, nie potrafił dogadać się z ojcem, który miał na wszystko jedną odpowiedź:

- Bezbożnik!

Wróg judaizmu!

2 matką natomiast prowadził długie rozmowy, częstotnie rozprawiali o mnie w mojej obecności.

- Kim on zostanie?

- Perorował mój brat.

- Czy musię ożenić i otworzyć sklep albo zostać nauczycielem w chederze?

Już i tak jest za dużo sklepów i za wielu nauczycieli.

Jeśli wyjrzyysz przez okno, matko, zobaczysz, jak wyglądają Żydzi - przygarbieni, zgaszeni, żyjący w brudzie.

Spójrz tylko, jak powłóczanogami.

Posłuchaj, jak mówią.

Nic dziwnego, że wszyscy uważają ich za Azjatów.

Jak sądzisz, czy Europa długo jeszcze będzie znosiła obecność tych Azjatów w samym swoim centrum?

- Goje zawsze nienawidzili Żydów - odpowiadała matka.

- Nawet jeśli Żyd włoży cylinder, będzie znienawidzony, ponieważ broni prawdy.

- Jakiej prawdy?

Czy ktokolwiek zna prawdę?

Każde religia ma swoich proroków i swoje święte księgi.

Czy słyszałaś buddyzmie?

Budda był taki sam jak Mojżesz, również czynił cuda.

233.

Matka skrzywiła się, jak gdyby poczuła -w ustach jakiś
obrzydliwy smak.

- Jak śmiesz ich porównywać - bałwochwalcę i patriarchę Mojżesza!

Biada mi!

I to mówi mój rodzony syn.

- Posłuchaj, matko, Budda niebył żadnym bałwochwalcą, lecz wnikliwym
myślicielem.

Zgadzał się naszymi prorokami.

A co do Konfucjusza.

- Dość tego!

Nie mów jednym tchemo tych poganachi onaszycy świętych.

Budda pochodził z Indii.

Pamiętam, że czytałam o tym w Ścieżkach świata.

W Indiach palą wdowcy zabijają starych rodziców, gdy tymczasem inni świętują.

- Nie chodzi ci chyba o te świętokradcze obrzędy?

- Co to za różnica?

Towszystko zwierzęta.

Dla nich krowa jest bóstwem.

Chińczycy natomiast wypędzają swoje "nadprogramowe" córki.

Tylko my.

Żydzi, wierzymy w jednego Boga.

Wszyscy inni czczą drzewa, węże, krokodyle, co popadnie.

Są grzesznikami.

Nawet kiedy mówią: "Nadstaw drugi policzek", mordują się nawzajem i nadal grzeszą.

Chcesz ich porównywać z nami?

- Gdybyśmy mieli własny kraj, również dalibyśmy się wciągać w wojny.

Król Dawid nie był takim znowu litościwym człowiekiem.

- Cii!

Uważaj na to, co mówisz!

Niech Bóg się nad tobą zlituje!

Nie tykaj naszych namaszczonych.

Król Dawid i Salomon byli prorokami.

Talmud głosi, że niesłusznie uważa się Dawida za grzesznika.

- Wiem, co głosi Talmud.

A jak to było z Batszebą?

Ponieważ tak miała na imię moja matka, za każdym razem, gdy słyszałem o Batszebie,
miałem wrażenie, że w jakiś sposób dotyczy to również jej.

Na twarz matki wystąpiły rumieńce.

- Cicho bądź!

Czytasz idiotyczne książki i powtarzasz
wszystko jak papuga!

Król Dawid będzie żył wiecznie, 234

a te szmatławe książki nie są warte papieru, niektórym zostały wydrukowane.

Kim są ich autorzy?

Wałkoniami.

Ich dyskusje intrygowały mnie.

Rozmawiałem już wcześniej z bratem na te tematy.

Nie miałem ochoty zostać sklepikarzem ani nauczycielem Talmudu, ani też mieć "żony flądry i
kupy bachorów", jakto ujął mój brat.

- Lepiej już, żeby został robotnikiem - powiedział kiedyś.

- Z Bożą pomocą zostanie rabinem, a nierobotnikiem.

Wrodziłeś w dziadka - odparła matka.

- Ach, rabinem?

Gdzie?

Wszędzie są rabini.

Po co nam ty?

- A po co ty robotników?

Rabin, nawet jeśli klepiebę, ma się lepiej od szewca.

- Poczekaj tylko, aż robotnicy się zjednoczą.

- Nigdy się nie zjednoczą.

Każdy z nich myśli tylko o tym, żeby ukraść chleb drugiemu.

Dlaczego nie zjednoczą się żołnierze i nie odmówią pójścia na wojnę?

- Och, i to kiedyś nastąpi.

- Kiedy?

Tak wiele jest niepotrzebnego zabijania.

Co niedziela, co czwartek w Turcji następuje kryzys.

Świat jest pełen zła, i tyle.

Nigdy nie znajdziemy tutaj spokoju - dopiero na tamym świecie.

- Jesteś pesymistką, matko.

- O rety, zupa mi się przypala!

Jakże często byłem świadkiem takich dyskusji, kiedy matka, i brat skutecznie odpierali nawzajem swoje argumenty!

Ale gdy przychodziło do przedstawienia dowodów, oboje przytaczali bardzo łatwe do zakwestionowania cytaty.

Ja nie wtrącałem się do ich sporów, ale miałem swoje zdanie.

Toprawda, że innowiercy są bałwochwalcami, ale król Dawid rzeczywiście zgrzeszył.

A kiedy Żydzi mieszkali w swoim własnym kraju, również zabijali.

I jest prawdą, że każda religia ma swoich proroków, ale kto może

235.

stwierdzić z całą pewnością, którzy z nich rozmawiali z Bogiem?
Na te pytania matka nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

- Jakizawód ci się podoba?

- spytał mój brat.

-Możechciałbyś zostać grawerem i żłobić litery w mosiądzu i miedzi?

- Dobrze.

-Albo zegarmistrzem?

- To za trudne.

-Można się tego nauczyć.

A co powiedziałaś na zawód

lekarza?

- Daj mu spokój - złościła się matka.

- Co tam wiesz

lekarze?

Biorą pieniądze za nic.

Żydzi zawsze pozostaną Żydami i zawsze będą potrzebowali rabinów.

- W Niemczech rabini studiują na uniwersytetach!

-oznajmił z dumą mój brat.

- Znam tych reformowanych rabinów- powiedziała matka.

- Potrafią znaleźć wybieg, by zezwolić na jedzenie mięsa razem z mlecznymi potrawami, jak jednak mogą sprawiedliwie golić się, skoro jest to sprzeczne z prawem Mojżeszowym?

Co to za rabin, który nie liczy się z Torą?

-Oni używają do golenia specjalnego proszku, a nie brzytwy.

- Czy wstydzą się brody, ponieważ chcą wyglądać jak goje?

Jeśli ich rabin zachowują się w taki sposób, potrafię sobie wyobrazić, jaka jest reszta.

Nagle z gabinetu wyszedł ojciec.

- Zakończmy te dyskusje raz na zawsze!

- zawołał.

- Powiedzcie mi, kto stworzył świat?

Ludzie widzą wyłącznie ciała i uważają, że to wszystko.

A ciało nie jest niczym więcej jak narzędziem.

Bez duszy ciało to tylko kawał drewna.

Dusze tych, którzy się obżerają i żłopią, są niegodziwe i błądzą po pustyni, nęcane przez demony i straszyc

ła. Zbyt późno poznali prawdę.

Nawet gehenna jest dla nich zamknięta.

Świat pełen jest błakających się dusz!

- wykrzykiwał ojciec.

-Kiedy dusza opuszcza nieczyste ciało, przymusowo wraca z powrotem na ziemię i błądzi po niej jak robak lub gad, udręczona ogromnym cierpieniem.

- A zatem według ciebie, ojcze, Bóg jest złośliwy.

-Ty wrogu Izraela!

Bóg kocha człowieka, ale kiedy człowiek skala sam siebie, musi zostać oczyszczony.

- Jak możesz oczekiwać, że Chińczyk będzie znał Torę?

-Kim jest dla ciebie Chińczyk?

Innowiercy muszą istnieć, tak jak ptaki czy ryby.

Gdy otwieram świętą księgę, czasami znajduję w niej mikroskopijnego owada, mniejszego od czubka szpilki.

On też jest cudem Bożym.

Czy gdyby zebrali się nawet wszyscy profesorowie świata, potrafiliby stworzyć jednego takiego owada?

- No, dobrze, i jaki to wszystko ma sens?

Gdy ojciec zaszył się z powrotem w gabinecie, a matka wyszła po zakupy, spytałem brata:

- Kto stworzył tego owada?

- Natura.

- A kto stworzył naturę?

- A kto stworzył Boga?

- rzucił w odpowiedzi Jozua.

- Coś musiało powstać samo z siebie, a później wszystko rozwinęło się z tej pierwotnej materii. Z energii słonecznej ukształtowała się pierwsza bakteria na brzegu morza.

Okazało się, że warunki są sprzyjające.

Żyjątkawalczyły między sobą i przetrwały najsilniejsze.

Bakterie uformowały się w kolonie i rozpoczął się podział funkcji.

- Ale skąd to wszystko wzięło się najpierw?

- Zawsze tak było.

Nikt tego nie wie.

Ale jednego możesz być pewien - nie ma potrzeby wkładania filakterii rabiego Tama.

To wszystko zostało wymyślone.

Każdy naród ma swoje obrzędy.

Był, na przykład, taki rabin, który

-717.

twierdził, że nie wolno siusiać na śnieg podczas szabat, ponieważ przypomina to orkę.

Chociaż czytałem później wiele dzieł filozoficznych, nie znalazłem nigdy bardziej przekonujących argumentów od tych, które padły w naszej kuchni.

Również w domu usłyszałem o dziwnych faktach z dziedziny badań parapsychologicznych.

Po takich rozmowach wychodziłem na dwór pobawić się w berka, w chowanego czy w policjantów i złodziei, ale moja wyobraźnia pracowała przez cały czas.

A gdybym tak wynalazł wodę, która sprawia, że człowiek staje się mądry i może poznać wszystkie tajemnice, albo gdyby zjawiał się prorok Eliasza i nauczył mnie wszystkich siedmiu mądrości świata?

A gdybym wynalazł teleskop, za pomocą którego można zajrzeć do samego nieba?

Te myśli, które nie przychodziły do głowy innym chłopcom, sprawiały, że odczuwałem dumę i zarazem osamotnienie.

I zawsze pozostawało ostateczne pytanie: co jest słuszne?

Co powinienem czynić?

Dlaczego Bóg w Siódmym Niebie milczy?

Pewnego razu podszedł do mnie jakiś mężczyzna i zapytał:

-Co się stało?

O czym tak intensywnie myślisz?

Obawiasz się, że niebo spadnie na ciebie?

Wujek Mendel

Stawałem się zazdrosny dopiero, gdy inni chłopcy zaczęli mówić o swoich krewnych.

- Dziadek dał mi pieniądze na święto Chanuka.

Babciakupiłami kapelusz.

Wujek zabiera mnie do Palenicy.

Jechałem z ciocią dorożką.

Opowiadali w ten sposób o kuzynach, stryjecznych dziadkach i ciotecznych babciach, ale u mnie w domu była tylko najbliższa rodzina.

Moi krewni mieszkali w Biłgoraju, otrzydni drogi z Warszawy.

Do Biłgoraja trzeba było jechać przez Rejowiec.

W Tomaszowie, który jest położony w tej samej odległości od Warszawy co Biłgoraj, mieszkała Temerl, moja babka ze strony ojca, a reszta rodziny była rozproszona po Galicji i Węgrzech.

Nie byli dla mnie rzeczywistymi osobami, żyli tylko w anegdotach i legendach.

Nikt nie dawał mi owoców w szabat, nie było przyjęć rodzinnych.

Nawet moja siostra, kiedy wyszła za mąż, wyjechała do Antwerpii.

Natomiast nie cierpiałem na brak opowieści rodzinnych.

Na przykład, był wujek Mendel i siostra mojej matki, ciotka Taube, starsza od niej o pięć lat.

Mieszkali w Górzku, nieopodal Izbicy, i byli bardzo ubodzy.

Mimo że ojciec wuja Mendla, Izaak Górzko, był bogaty, to mój mądry, uparty ortodoksyjny wuj wyznawał

7⁹.

zasadę, iż gdyby ludzie ograniczali się do niezbędnych potrzeb, niemal całe zło świata zostałoby wyeliminowane.

Uważał też, że duma jest czymś nagannym.

Nawet uczonego biłgorajskiego rabina powinien dźwigać na plecachworki z kaszągryczaną, wypędzać krowę na pastwisko i wykonywać ciężkie prace.

Mawiał również, że jeśli ktoś nie chce zostać oszustem, powinien chodzić w zgrzebnym, połatanym ubraniu.

Nieduży i szczupły, z postrzępioną żółtą brodą, wujek Mendel zachowywał swoją erudycję dla siebie, uważając wiedzę za coś, co stawia go w uprzywilejowanej pozycji wobec ubogich.

Nobilitując ubóstwo do stanu świętości, ten potomek bogatej rodziny, niemal się spauperyzował.

Ciotka Taube bardzo cierpiała, ponieważ wychodząc z zamąż, cieszyła się wielkim szacunkiem w mieście.

Była przecież córką biłgorajskiego rabiego, która poślubiła syna reba Izaaka Gorszkowera. Ale dziwactwa męża zdegradowały ją.

Na domiar złego dzieci wuja Mendla odziedziczyły po nim skłonność do suchot. Jego najstarszy syn, Notte, był gruźlikiem, rzekomo dlatego, że wypił szklanekę zimnej wody, kiedy był zgrzany.

Ale nie on jeden w rodzinie pluł krwią.

Ciotka Taube wypłakiwała oczy.

Ukryta w małej mieścinie, jaką był Gorszków, stała się na tyle prostą kobietą, że chodziła z prośbą radę do mało znaczących cadyków.

Pewnego dnia drzwi do naszego mieszkania się otworzyły i wszedł ubrany po pańsku wuj Mendel z Nottem.

Matka osłupiała na ich widok.

To należało do życiowego credo wuja Mendla - ubierać się dobrze w święta i na podróż.

Mimo że w Gorszkowie chodził w łachmanach, w Warszawie musiałobyć inaczej.

Wyglądał wyniosło i zamożnie.

Notte, wysoki, dobrze zbudowany, przystojny i zwodniczo rumiany młody mężczyzna, był już zaręczony.

Wuj Mendel przywiózł go, by pójść z nim do lekarza.

Ten obcy wuj przyjrzał mi się bacznie i spytał:

- Uczysz się?

- Tak.

- Hm, Torą się nie najesz - rzekł z sarkazmem.

Miał w sobie uszczypliwość kockiego chasyda.

Chociaż ojciec przywitał szwagra uprzejmie, matka czuła do mego urazę.

Nie była to jednak porana wyrównywanie rachunków.

Notte odgrywał rolę narzeczonego.

Miał zegarek znikłowaną kopertą.

Obierał jabłko scyzorykiem z rączką z masy perłowej.

Miał na sobie nowe, modne ubranie.

- Co nowego w Gorszkowie?

- spytała matka.

- A cóż tam może być nowego?

- odparł wuj.

- Jak się miewa Taube?

-Taube jak to Taube.

- A dzieci?

-Sąw Gorszkowie.

Co poza tym?

Powiedział, że cała Warszawa wydaje się tak potwornie zagoniona, że niemal nie sposób przejść na drugą stronę ulicy.

Dokąd tak wszyscy pędzą i dlaczego robią tyle hałasu?

Co zatumult!

Wujek Mendel wykupił numerkę za dwadzieścia pięć rubli i zaprowadził Nottę do specjalisty, który przepisał mu trzy łyżki koniaku dziennie.

Wiele osób udzielało najrozmaitszych rad.

Niektórzy mówili, że ratunkiem dla młodzieńca jest pobyt w Otwocku, ponieważ nigdzie nie ma tak wspaniałego powietrza jak w Otwocku, mimo że Gorszków również był położony wśród sosnowych lasów.

Pewien godny zaufania człowiek powiedział, że jego krewny, umierający na gruźlicę, zarządził lekarzowi kupić wieprzowinę.

Rabin zezwolił mu na to, ponieważ była to sprawa życia lub śmierci.

Ktoś inny opowiadał

941.

o człowieku, który wypluł swoje płuca, a później odrosłemu nowe.
Doktor zasugerował chyba, żeby Notte zrezygnował z małżeństwa.

Dla mnie wizyta wuja Mendla była wielkim wydarzeniem.

Matka do późnej nocy wypytywała go o znajomych.

Odpowiedzi wuja były cierpkie i krótkie.

- Co u niego?

Dom się spalił.

Klepie biedę.

U tamtego?

Umarł.

- Kiedy?

Co się stało?

- Jakiego ma znaczenie?

Zanim ruszyli z Nottem w drogę powrotną, dał mi trochę pieniędzy, ale jego odwiedziny pozostawiły w nasuczczie przygnębienia.

Wkrótce potem dowiedzieliśmy się,

że Notte umarł.

Siostra Nottego, obecnie zamożna kobieta, mieszka we

Flint, w stanie Michigan.

Jego syn, amerykański oficer, poniósł śmierć w wojnie z Japonią.

Pozatym był jeszcze wuj Eli.

Właściwie był kuzynem,

ponieważ jednak miał syna w moim wieku, nazywaliśmy go wujkiem.

Jego ojciec, Mosze, pierwszy mąż mojej ciotki Sary, był uważany za świętego, w bliskich stosunkach z Bogiem.

Był tak pochłonięty Torą i wzniosłymi myślami, że prawie się nie odzywał.

Ale i on zmarł na suchoty, pozostawiając trójkę dzieci, a ciotka Sara poślubiła handlarza zbożem o imieniu Izrael.

Wysoki, majestatyczny Eli miał blond brodę iniezwyczajną

złocistą szafranową karnacją.

Słońce świeciło chyba jaśniej w Biłgoraju, który leżał bardziej na południe.

Cera Eliego miała ciepły orientalny odcień, jak gdyby Biłgoraj należał do Ziemi Świętej.

Eli był sklepikarzem, ale wyglądał raczej jak rabina, nosił dwa chałaty, jeden na drugim.

Jego żona pochodziła z Równego.

Matka spytała o jego syna, Moszego, starszego odemnie orok czy dwa.

242

- Uczysię już sam i pomaga w sklepie.

- W sklepie?

W tym wieku?

- Dobrze mówię i piszę po polsku.

- Czy miał nauczyciela?

- spytała matka, mierząc mnie pełnym wyrzutem spojrzeniem.

- Tak, ale nauczyłem się sam.

Jest dobry również z arytmetyki.

Matka tym razem nie musiała nawet piorunować mnie wzrokiem.

Mars najęj czole mówił sam za siebie.

- A co nowego w naszej rodzinie?

Miała na myśli dom i urząd mojego dziadka w Biłgoraju.

Eli nie był rozmowny, matka musiała wyciągać z niego każde słowo.

Wuj Józef oraz wuj leżę byli skłóceni.

Ciotka Rochele, córka rabiego Izajacha Raczowera, znanego pisarza, niepotrafiła żyć w zgodzie ze swoją bratową Sarą, żoną wuja Józefa.

Nieporozumienia brały się stąd, że babka faworyzowała swojego najmłodszego syna Iczego, dogadzała mu marcepanami i pieczonymi gołąbkami.

Wuj leżę, jego żona Rochele oraz ich dwóch synów byli nautrzymaniu dziadka, w tym sam leżę już od niemal dwudziestu lat, i Józef był wściekły z zazdrości.

W dodatku Rochele, zamiast okazać babce wdzięczność, zachowywała się wyniośle i robiła na jej temat złośliwe uwagi.

Wszyscy oczerniali się wzajemnie.

Ponieważ ostatnio rząd wydał rozporządzenie, że Biłgoraj ma wybrać rabina, znającego język rosyjski (którego mój dziadek nie znał), wujek leżę podał swoją kandydaturę, ale Józef, zastępca rabina, niezgodził się na to.

Tymczasem zgłosił się również człowiek z zewnątrz, o nazwisku Kaminer, który miał zwolenników w mieście.

Wynikło zamieszanie, albowiem chasydzy z Turzyska popierali wuja Iczego, a chasydzy z Gorlic - Kaminera, który był człowiekiem postępowym.

Kaminer, a może któryś z jego popleczników, wysłał do gubernatora

w Lublinie list, w którym donosił na wuja Iczego.
Dziadek, zamknięty w swoim gabinecie, czytał święte księgi i wypijał dzienną dawkę wódki.
Ze swoimi białymi jak śnieg włosami
przypominał anioła.
Matka pobladła, dostrzegając wieczną prawdę, i pokiwała głową.
- Mam nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.
Wiedziała, że wszyscy, którzy zadzierają z dziadkiem, igrają z ogniem.
Każdego, kto odezwał się do niego arogancko, bez wątpienia czekała kara.
Miał za sobą potęgę niebios.
Niech lepiej mają się na baczności!
- Oby Bóg wybaczył głupcom!
- powiedziała.
Ale ona również miała za złe Iczemu, że wyciągał od babki wszystko, co tylko chciał.
A jeśli idzie o Rochele, toco z tego, że była córką Izajacha Raczowera?
Mógł sobie być pobożnym Żydem i uczonym, a lenie był geniuszem.
Jaki geniusz publikowałby coroku książkę w jidysz dla kobiet?
Był zwykłym dyletantem, z pewnością nie dorównywał dziadkowi.
Matka opowiadała, że gdy leżę mieszkału swojego teścia w Raczewie, podawano mu do zupy
jajkana twardo.
Cóż za mała miasteczkowy zwyczaj!
Co gorsza, matka Rochele domagała się, żeby leżę mył ręce tuż przed wyjściem przez nią bułek
z pieca.
Matka dawała do zrozumienia, że reb Izajach Raczower jest zwykłym prowincjonalnym
rabinem, zamieszkałym w ubogiej osadzie, a jego obyczaje datują się z epoki króla
Sobieskiego.
Siedziałem jak urzeczony, z rozpaloną wyobraźnią.
Tonie były tylko plotki, lecz coś, comój brat określiliby mianem literackiej pożywki.
Czułem, że znam Tomaszów i Raczew, a dzięki opowieściom matki ożywały pokolenia mojej
rodziny.
Koledzy
Cheder był zbyt często opisywany nie całkiem zgodnie z prawdą jako miejsce, gdzie
niewinne dzieci są dręczone przez niechlujnego, zrzędliwego nauczyciela.
Było w nim złe to, co było złe w społeczeństwie.
Uczęszczał do niego jeden chłopak, który chodził wiecznie zaciśniętymi pięściami,
szukając tylko okazji?
żeby kogoś uderzyć.
Otaczała go gromada łobuzów, znęcających się nad słabszymi, oraz pochlebców.
Inny chłopiec, który nie stosował przemocy, zachowywał się jak mały święty,
uśmiechał się do każdego, był uczynny?
a wszystko robił z miną, która sugerowała ogromną miłość.
Ale w ten cichy sposób dążył podstępnie do zdobycia dóbr materialnych,
zasmakowania czegoś wspaniałego za darmo.
Choć był pobożny, okazywał przyjaźń dręczycielowi, udając jednocześnie współczucie dla
jego ofiar.
Kiedy jego zacępny przyjaciel postanowił rozkwasić komuś nos, mały świętoszek podbiegał
chusteczką do ofiary, upominając łagodnie napastnika:
- Nie powinienś być tego robić.
Miałem również kolegę, którego interesował wyłącznie handel, wymieniał guzik na
gwóźdź, kawałek kitu na ołówek, cukierek na bułkę.

Niby zawsze tracił natych transakcjach,
245.

ale w końcu wychodził na nich najlepiej.

Potowa chederu była uniego zadłużona, pożyczał bowiem pieniądze naprocent.

Miał układ z tamtym osiłkiem i jeśli ktoś niedotrzymywał umowy, zrywali mu kapelusze z głowy.

Był też kłamczuch, który przechwalał się, że jego rodzina jest bogata i znana i że warszawska śmietanka bywa u nich w domu.

Obiecując nam daktyle, figi, chleb świętojański i pomarańcze wymyślonych ślubów obrzezań, jak również z planowanych letnich wakacji, domagał się prezentów od nas wszystkich.

Noi była ofiara.

Pewnego dnia ów łobuz pobił go do

krwi, a nazajutrz pokrzywdzony przyniósł mu prezenty uśmiechając się z przebiegłą uległością, wskazał innego

chłopca, któremu należało spuścić łanie.

Z mojego miejsca w chederze widziałem wszystko.

Mimo

że osiłek zdzielił mnie pięścią w nos, nie uśmiechałem się do niego służalczo ani nie obdarowałem go niczym.

Nazwałem go Ezawem i przepowiedziałem mu, że w przyszłym życiu będzie spał na łożu nabijanym gwoździemi.

Znowu mnie pobił, ale ja nie zmiękłem.

Nie zamierzałem mieć nic wspólnego ani z osiłkiem, ani z fałszywie skromnym świętoszkiem, aniz lichwiarzem, ani z kłamczuchem

i nie starałem się im przypodobać.

Nie wyszło mi to na dobre.

Większość kolegów z chederu zaczęła traktować mnie niewrogo, donosząc na mnie donauczyciela. Zapowiedzieli, że jeśli przyłapią mnie na ulicy, przetrącają mi nogę.

Zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa - byłem przecież za mały, żeby stanąć do walki z całym chederem.

Nie potrafiłem jednak udawać przyjaźni,

jak więc miałem zawrzeć pokój?

Codzienna poranna droga do chederu była istną męką,

ale nie mogłem się poskarżyć rodzicom - mieli dość własnych kłopotów.

Zresztą powiedzieliby zapewne:

- Dostajesz cięgi za to, że jesteś inny od wszystkich.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko czekać.

Nawet diabeł w końcu się zmęczy.

Bóg, jeśli stoi na straży prawdy i sprawiedliwości, musi, bez dwóch zdań, stać po mojej stronie.

Nadszedł dzień, kiedy pomyślałem, że dłużej już nie dam rady.

Nawet nauczyciel w tej piekielnej sytuacji przyjął wobec mnie nieprzyjazną postawę, mimo że znałem Pięcioksiąg nawyrywki.

Rebecin nie szczędziła mi złośliwych uwag.

Czułem się zupełnie, jak gdyby mnie wyklęto.

Aż tu nagle wszystko się zmieniło.

Łobuz pomylił się w ocenie siły nowego ucznia, który nie przestraszył się i oddał mu.

Wówczas nauczyciel sam rzucił się na osiłka, który miał już guz na czole.

Zaciągnął go na ławkę, służącą dowymierzaniachłosty, ściągnął mu spodnie i spuścił laniena oczachwszystkich.

Brutał został ukarany jak Haman.

Kiedy próbował odzyskać swoje rządy terroru, przegrał ze zwycięzcą.

Młodego lichwiarza również spotkała kara.

Ojciecjednego z chłopców, który zapłacił zbyt wysoki procent, przyszedł na skargę do chederu.

Rewizja w kieszeniach zdziercyokazała się tak owocna, że jego też wychłostano.

Poznano się w końcu na hipokryzji świętoszka, mimo jego szeptanych na ucho tajemnic i pochlebstw.

Następnie, jak gdyby w odpowiedzi na moje modlitwy, chłopcy zaczęli się znowu do mnie odzywać.

Podlizuchy i handlarze okazali mi dobrą wolę i proponowali okazjne transakcje- niemam pojęcia dlaczego.

Mógłbym nawet utworzyć własną paczkę, ale nie miałem na to ochoty.

Zależało mi na przyjaźni tylko jednego chłopca i jego właśnie wybrałem.

Był wartościowym, porządnym chłopakiem bez ambicji przywódczych.

Uczyliśmy się z tego samego egzemplarza Pięcioksięgu, chodziliśmy objęci i nauczyliśmy się pisać w jidysz.

Inni nam zazdrościli, intrygowali przeciwko

247.

nam, ale nie zdołali podkopać naszej przyjaźni.
Byliśmynicznym Dawidi Jonatan.

Ta przyjaźń przetrwała, nawet gdy opuściłem cheder.
Uczęszczałem do różnych chederów i w każdym zyskałem przyjaciela.
Czasami spotykaliśmy się wieczorami w pobliżu targowisk i spacerowaliśmy po chodniku, rozmawiając, snując plany na przyszłość.
Nazywali się Motteł Horowic, Mendel Besser, Abraham jakiś tam, Boruch Dowid i inni.
Będąc w pewnym sensie ich przywódcą, powtarzałem im to, co mówił matce mój starszy brat.
Darzyliśmy się wzajemnie wielkim zaufaniem, dopóki pewnego dnia nie odniosłem wrażenia, że żywią do mnie jakąś urazę.
Mieli domnie pretensję o moją apodyktyczność, musiałem zostać trochę zdegradowany.
Szykowali rewolucję, widziałem topa ich minach.
Mimo że usiłowałem dowiedzieć się, czym ich uraziłem, zachowywali się jak bracia Józefa i nie zdobyli się na to, żeby wyjaśnić mi wszystko po przyjacielsku.
Nie potrafili nawet spojrzeć mi prosto w oczy.
Czego mi zazdrościli?
Moich marzeń.
Niemał słyszałem, jak mówią, gdy się do nich zbliżałem: "Oto nadchodzi ten, który miewa sny.
Teraz zabijmy go i wrzucmy do którejś z ulic."
Chodźcie, sprzedamy go Izmaelitom.
".

Przykro jest przebywać wśród braci, gdy ogarnia ich zazdrość.
Byli dla mnie mili, wychwalali mnie, a potem nagle o coś się obrazili.
Odwracali się, gdy do nich podchodziłem, szeptali coś między sobą.
Przyjaźń nie jest dla mnie czymś przypadkowym, niełatwo zawieram nowe.
Zastanawiałem się, czym się im naraziłem, w czym ich zawiodłem.
A jeśli rzeczywiście tak było, to dlaczego nie powiedzieli mi, o co chodzi?
Księga Rodzaju 37, 20, 27 (przyp.
ttum.
).

Nie mogłem sobie przypomnieć, że bym w jakikolwiek sposób ich skrzywdził ani że bym powiedział coś przeciwko nim.
A jeśli ktoś mnie oskarżał, to dlaczego moi przyjaciele w to uwierzyli?
Przecież byli mi tacy oddani.
Nie pozostało mi nic innego, jak tylko przeczekać.
Ludzie mojego pokroju muszą przyzwyczajać się do samotności.
A kiedy człowiek jest samotny, siłą rzeczy mawia więcej czasu na naukę.
Stałem się pilnym uczniem.
Spędzałem całe dni w radzywińskim domu nauki, a później, w domu, ślezczałem nad religijnymi dziełami.
Kupowałem książki od handlarzy ulicznych i bez przerwy czytałem.
Było lato, dni długie.
Czytając opowieść o trzech braciach, wyobrażałem sobie, że również potrafię pisać, i zacząłem wypełniać kartki papieru: "Żył sobie kiedyś król, który miał trzech synów. Jeden był mądry, jeden głupi, a jeden wesoły.
". Ale ta opowieść jakoś się nie kleiła.

Na innym markuszu rysowałem dziwne istoty i fantastyczne zwierzęta.
Ale i to mi się uprzykrzyło, wychodziłem więc na balkon i spoglądałem w dół, na ulicę.
Tylko ja byłem sam.

Inni chłopcy biegali, bawili się i rozmawiali.
Myślałem, że zwariuję- w głowie miałem wielki zamęt.
Może powinienem skoczyć balkon?
Albo napluć na czapkę stróża?

Tamtego wieczoru w radzywińskim domu nauki podszedł do mnie chłopiec, który występował w charakterze pośrednika.

Rozmawiał ze mną taktownie, sugerując, że moi przyjaciele pragną dojsć ze mną do porozumienia, ponieważ jednak jestem w mniejszości, domnie należy uczynienie pierwszego kroku.

Krótko mówiąc, zaproponował, że bym to ja poprosił o rozejm.

Byłem wściekły.

- To nie ja zacząłem!

- powiedziałem gniewnie.

- Niby dlaczego miałbym proponować pogodzenie się?

- Pożałujesz tego - ostrzegł.

- Zmiataj stąd!

- burknąłem.

Odszedł rozgniewany.

Jego misja rozjemcy spaliła napanewce.

Wiedział jednak, że jestem niewzruszony.

Uświadomiłem sobie, że skoro moi przyjaciele przysłał mediatora, dręczą ich wyrzuty sumienia.

Ale ja im nigdy nie ustąpię.

Przywykłem do samotności, dni przestały mi się wlec w nieskończoność.

Uczyłem się, pisałem, czytałem.

Brat przyniósł do domu dwutomową książkę pod tytułem Zbrodnia, i kara.

Chociaż tak naprawdę jej nie rozumiałem, zafascynowała mnie.

Zaszyłem się w sypialni i czytałem całymi godzinami.

Student, który zamordował staruchę, cierpiał, głodował i rozmyślał nad tym głęboko.

Postawiono go przed obliczem prokuratora, przesłuchiowano.

Ta historia przypominała opowiadania z moich książek, była jednak inna.

Dziwna i wzniosła, przywodziła mi na myśl kabałę.

Kim są autorzy takich książek i kto ich potrafił pojąć?

Od czasu do czasu oświecało mnie nagle, jakiś fragment stawał się dla mnie zrozumiały i ogarniał mnie zachwyt z powodu piękna nowego doznania.

Przebywałem w innym świecie.

Zapomniałem o moich przyjaciołach.

Podczas wieczornych nabożeństw w radzywińskim domu nauki nie zdawałem sobie sprawy z obecności ludzi, którzy stali obok mnie.

Moje myśli błądziły gdzieś daleko.

Nagle podszedł do mnie mediator.

- Nie interesuj mnie nic z tego, co masz mi do powiedzenia - uprzedziłem go.

- Proszę, oto list - odrzekł.

Była to scena jak z powieści.

Moji przyjaciele napisali, że bardzo im mnie brakuje.

Do dziś pamiętam ich słowa:

"Snujem się jak błędni.

". Mimo iż odniosłem wielki triumf, byłem tak pochłonięty moją książką, że ich chęć,
250

by naprawić nasze stosunki, prawie nie miała dla mnie znaczenia.

Wyszedłem na podwórze, gdzie czekali już wszyscy.

Znowu przyszła mi na myśl historia Józefa i jego braci.

Tamci przyszli do niego kupić zboże, ale po co przyszli do mnie moi przyjaciele?

A jednak przyszli, zawstydzeni i chyba pełni obaw - Szymon, Lewi, Judasz.

Ponieważ nie zostałem władcą Egiptu, nie musieli kłaniać się nisko do ziemi.

Nie miałem do sprzedania nic poza marzeniami.

Rozmawialiśmy do późna, opowiedziałem im o mojej książce.

- To nie są opowiadania dla dzieci, to literatura.

- zaznaczyłem.

Stworzyłem dla nich fantastyczny melanz wydarzeń oraz własnych przemyśleń, zarażając ich moim podnieceniem.

Mijały godziny.

Błagali, żebym im wybaczył, przyznali, że nie mieli racji i że nigdy już się na mnie nie pogniewają.

Dotrzymali słowa.
Rozdzielias jednak czas.
A reszty dokonali niemieccyoprawcy.

Strzał w Sarajewie

Od dłuższego czasu nasza rodzina rozważała ewentualność przeprowadzki z mieszkania przy Krochmalnej 10, gdzie używaliśmy lampy naftowej, ponieważ nie było gazu, i mieliśmy na podwórku wspólny wychodek ze wszystkimi lokatorami.

Ten wychodek stanowił zmołę mojego dzieciństwa.

Było tam zawsze ciemno i brudno.

Wszędzie biegały myszy iszczury, nadgłową i po podłodze.

Wiele dzieci cierpiało z tego powodu na obstrukcję oraz zaburzenia nerwowe.

Drugą zmołą była klatka schodowa, ponieważ niektóre dzieciaki wołały ją od wychodka.

Co gorsza, zdarzało się, że kobiety traktowały ją jak wysypisko śmieci.

Stróż, który miał obowiązek zapalać światło na schodach, robił to rzadko, a nawet jeśli w końcu się decydował, to dopiero powpół do jedenastej wieczorem.

Malutkie, okopcone lampki dawały tak mało światła, że ciemność wydawała się jeszcze gęstsza.

Kiedy szedłem po tych mrocznych schodach, ściagały mnie wszystkie diabły, złe duchy, demony i straszdyła, o których opowiadali moi rodzice, żeby udowodnić starszym dzieciom, że istnieje Bóg oraz przyszłe życie.

Koty przemykały obok mnie.

Za zamkniętych drzwi często dobiegał lament nad umarłym.

Pod bramą czekał nieraz korytarz pogrzebowy.

Z ziajany dopadałem w końcu naszych drzwi.

Zaczęły dręczyć mnie nocne koszmary, tak przerażające, że budziłem się zlanym potem.

Z trudem udawało nam się płacić dwadzieścia cztery ruble komornego za mieszkanie od frontu, z balkonem.

Czy mogliśmy zatem pozwolić sobie na przeprowadzkę na Krochmalną 12, do nowej kamienicy z oświetleniem gazowymi ubikacjami, gdzie komorne wynosiło dwadzieścia siedem rubli?

Mimo to stwierdziliśmy, że zmiana mieszkania przyniesie nam szczęście.

Była wiosna 1914 roku.

Gazety od lat donosiły o zapalnej sytuacji na Bałkanach ostryj rywalizacji między Anglią Niemcami.

Ale w moim domu nie było już gazet.

Przynosił je kiedyś mój brat Izrael Jozua, który po kłótni z ojcem wyprowadził się od nas.

Wszyscy namawiali nas do zmiany mieszkania.

Właściciel dwunastki, Lejzor Przepiórko, był ortodoksyjnym Żydem, milionerem.

Rzekomo skąpy, nigdy jednak niewyeksmitował Żyda.

Administrator domu, reb Izajach, był starym kockim chasydem, przyjacielem ojca.

Ponieważ brama dwunastki wychodziła na plac Mirowski i targowiska, ojciec byłby rabinem dla dwóch ulic: Krochmalnej i Mirowskiej.

Poza tym na ten czas było zaplanowanych wiele spraw sądowych, ślubów i rozwodów, co oznaczało dla nas dodatkowe pieniądze.

Postanowiliśmy się przeprowadzić.

Nowe, świeżo odmalowane mieszkanie znajdowało się naprzeciwko piekarni, a okno wychodziło na mur.

Nad nami było jeszcze pięć lub sześć pięter.

Dwunastka przypominała duże miasto.

Miała trzy ogromne podwórza.

Ciemne wejście zawsze pachniało świeżo pieczonym chlebem, bułkami, bajglami, kminkiem i dymem.

Bochenki drożdżowego chleba piekarza Koppla zawsze były wyłożone na deskach, na zewnątrz, do wyrośnięcia.

Podnumerem dwunastym znajdowały się również dwa chasydzkie domy nauki, radzyński i miński, a także synagoga dla przeciwników chasydyzmu.

Było tam również coś rodzaju obory, gdzie przez okrągłyrok trzymano krowy nalańcuchach, przymocowanych do muru.

W niektórych piwnicach handlarze z placu Mirowskiego przechowywali owoce, w innych konserwowano jajka w wapnie.

2 prowincji przyjeżdżały furmanki.

Kamienica pod dwunastką rozbrzmiewała Torą, modlitwami, odbywał się w niej żywy handel, wrzała wytężona praca.

Nie używano tam naftowych lamp, a w niektórych mieszkaniach były nawet telefony.

Mimo że dziesiątka i dwunastka przylegały do siebie, przeprowadzka okazała się wcale niełatwa.

Musieliśmy załadować wszystkie meble na fure, a niektóre uległy przy tym uszkodzeniu.

Nasza szafa była nieprawdopodobnie ciężka, istna forteca z wyrzeźbionymi głowami lwów nadębowych drzwiach, a zdobny gzyms ważył chyba z tonę.

Nie potrafię sobie wyobrazić, jak udało się ją przewieźć

z Biłgoraja.

Nigdy nie zapomnę, jak po raz pierwszy zapaliłem dwupalnikową lampę gazową.

Byłem olśniony i zarazem nieśmiały dziwnym blaskiem, który wypełnił nasze mieszkanie i zdawał się przenikać moją głowę.

Demoni napotkają duże trudności z ukryciem się tutaj.

Byłem uszczęśliwiony z powodu ubikacji.

Zachwycał mnie również gazowa kuchenka.

Nie trzeba już było szycować podpałki, żeby zaparzyć herbatę, ani targać węgla.

Wystarczyło zapalić zapałkę i przyglądać się, jak rozbłyskuje niebieskawy płomyk.

Nie musiałem też dźwigać baniek z naftą ze sklepu, ponieważ mieliśmy gazomierz, do

254

którego wkładało się czterdziestogroszówkę, żeby włączyć gaz.

Poza tym znalazłem tu wiele osób, było to bowiem podwórze, gdzie zawsze się modliłem.

Tak jak nam przepowiedziano, przez jakiś czas powodziło nam się dobrze.

Ojciec rozsądzał wiele spraw.

Tamtego roku nasza sytuacja poprawiła się na tyle, że ojciec postanowił zapisać mnie jeszcze raz do chederu.

Wprawdzie przekroczyłem już wiek, kiedy się chodzi do chederu, potrafiłem samodzielnie nauczyć się strony Talmudu, jak również niektórych komentarzy, ale przy ulicy Twardej 22 mieścił się specjalny cheder dla starszych chłopców, gdzie nauczyciel prowadził wykłady, zamiast zwykłych lekcji uczniami.

Kilku moich dawnych kolegów również tam uczęszczało.

W owym czasie czytałem zakazane książki i zasmakowałem w herezji, dlatego było raczej zabawne, że zacząłem znów chodzić na zajęcia do chederu.

Wraz z kolegami wyśmiewaliśmy się z nauczyciela, który miał żółtą brodę oraz wylupiaste oczy, mówił ze śmiesznym akcentem, jadł surową cebulę i palił cuchnący tytoń w długiej fajce. Był rozwidziony i odwiedzał go swaci, żeby szeptać mu tajemnicę do uszu, z których sterczały włosy.

Nagle rozeszły się pogłoski o wojnie.

Mówiono, że w Serbii zastrzelono austriackiego następcę tronu.

Ukazywały się dodatki specjalne gazet, zadrukowane tylko po jednej stronie, z ogromnymi nagłówkami.

My, chłopcy, dyskutując na tematy polityczne, uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli zwyciężą Niemcy - czegoż bowiem dobrego można spodziewać się po rządach Rosji?

Okupacja niemiecka zaprowadzi wśród Żydów krótkie chałaty, gimnazjum będzie obowiązkowe.

Czy może być coś lepszego od chodzenia do świeckich szkół w mundurkach i czapkach ze znaczkami?

Zarazem byliśmy jednak przekonani (nieporównanie

255.

bardziej głęboko od niemieckiego sztabu generalnego), że potęga niemiecka nigdy nie dorówna połączonym siłom Rosji, Francji i Anglii.

Któryś z chłopców snuł przypuszczenia, że naturalnie Ameryka pośpieszy z pomocą Anglii, ponieważ oba narody mówią tym samym językiem.

Ojciec zaczął czytać gazety.

Przeważały w nich nowosłowa - mobilizacja, ultimatum, neutralność.

Wrogię rządu słały noty, królowie pisali listy, zwracając się do siebie zdrobniałymi imionami - Mikuś i Wiluś.

Prościli ludzie, robotnicy, tragarze, zbierali się w grupkach na Krochmalnej i dzielili się uwagami na temat panującej sytuacji.

Nastał dziewiąty dzień miesiąca aw, a ponieważ wypadł w niedzielę, post był odroczone.

Był to również początek wojny.

Kobiety gorączkowo wykupywały żywność.

Mimo że były drobnej postury, dźwigały wielkie kosze, wyładowane mąką, kaszą owsianą, fasolą i wszystkim, co tylko udało im się znaleźć w sklepach, które przez pół dnia były zamknięte.

Najpierw sklepikarze przestali przyjmować pognerclone banknoty, potem zamiast papierów żądali srebrnych i złotych monet.

Zaczęli gromadzić zapasy towarów, żeby podnieść ceny.

Panowała atmosfera jak podczas święta Purim.

Kobiety podążały z płaczem za swoimi mężami, brodatymi Żydami, którzy mieli wpięte w kłapy małe białe szpilki na znak, że zostali powołani do służby wojskowej.

Poirytowani i zarazem rozbawieni mężczyźni kroczyli dumnie przodem, a za nimi dreptały dzieciaki z kijami na ramionach, udającymi karabiny, i wykrzykiwały wojskowe komendy.

Ojciec przybiegł z radzyńskiego domu nauki z nowiną, że wojna przypuszczalnie zakończy się za dwa tygodnie.

256

r

- Maja armaty, które za jednym wystrzałem mogą zabić tysiąc Kozaków.

- Biada!

- Wykrzyknęła matka.

- Dokąd zdąża ten świat?

- No cóż, nie trzeba już będzie płacić komornego.

- pocieszał ją ojciec.

- A kto będzie chciał się procesować - przerwała matka.

- Skąd weźmiemy pieniądze na jedzenie?

Popadliśmy w tarapaty.

Przestaliśmy dostawać listy z Antwerpii od mojej siostry, a mój dwudziestoletni brat, Izrael Jozua, musiał stawić się na komisję poborową w Tomaszowie, rodzinnym mieście ojca. Nie mieliśmy pieniędzy, żeby wzorem sąsiadów zrobić zapasy żywności.

Na myśl o tym, jaki będę głodny, ogarnął mnie wręcz wilczy apetyt.

Byłem nienasycony.

Matka wracała z dworu zaczerwieniona, uskarżając się na brak żywności.

Teraz, po raz pierwszy, zacząłem wysłuchiwać niepochebnych plotek o innych Żydach z naszej ulicy.

Żydowski sklepikarze, podobnie jak goje, ukrywali towary, podnosili ceny, próbując zbić majątek na wojnie.

Mosze, właściciel sklepu papierniczego, przechwalał się w synagodze, że jego żona nakupiła żywności za pięćset rubli.

- Dzięki Bogu - mówił - mam zapasy na cały rok.

O ile dłużej może trwać wojna?

- I głódził się z uśmiechem posrebrzystosiwą brodą.

Panował ogromny zamęt.

Młodzi mężczyźni z niebieskimi kartami mogli nadal studiować Talmud, natomiast ci z zielonymi, biali i z troskami, starali się stracić nawadze, żeby uniknąć poboru.

Ci, którzy handlowali mąką i kaszą, mieli szczęście, ale sprawa wyglądała inaczej bezrobotnymi introligatorami, nauczycielami i skrybami.

Niemcy zajęli Kalisz, Będzin i Częstochowę.

Czułem brzemień dojrzałości i oczekiwałem jakiejś tajemniczej

z

1C.7.

katastrofy.

Wydawało mi się, że gdybyśmy pogodzili się brakiem ubikacji i gazu pod dziesiątką, to wszystko mogłoby być nam oszczędzone.

Ojciec powiedział, że jest to wojna między Gogiem a Magogiem.

I codziennie odkrywał nowe zwiastuny bliskiego nadejścia Mesjasza.

r

Rekrut

Mój brat Izrael Joszua miał stawić się na komisji poborowej w Tomaszowie tuż po święcie Sukot.

Nawet w normalnych czasach byłoby to bardzo trudne dla moich rodziców, teraz jednak równało się niemal skazaniu go na ogień piekielny.

Gdyby pozostał chasydem, bogaty teść zdołałby go wykupić.

Co najwyżej mógłby się trochę okaleczyć.

W Polsce pełno było symulantów z poprzekłuwanymi bębami, usuniętymi zębami i poobcinanymi palcami.

Poco służyć carowi?

Ale mój brat, przesiąknięty nowoczesnymi ideami, postanowił zgłosić się do wojska.

Joszua Izrael, który trochę malował i pisał, stał się kształcą, mieszkał przy innej rodzinie i przychodził do nas w odwiedziny, nowoczesnie ubrany.

Ojciec czuł się zawstydzony i poniżony przez niego, a czasami wpadał w taki gniew, że wypraszał mojego brata z domu.

Nie chciał jednak, żeby jego syn zginął na froncie.

Matka modliła się i płakała, ojciec tymczasem próbował nakłonić mojego brata, żeby dokonał samookaleczenia.

- Czynie dość mamy kulek?

- spytał Joszua.

- Cała populacja Żydów to jeden wielki garb.

Przemawiał dobitnie i klarownie, wtrącając żarty mimowolnych rozterek.

Trudno się było jednak połapać, jakie

259.

naprawdę zajmuje stanowisko.

Choć nie znosił pobożności, zdawał sobie sprawę z wad świeckiej egzystencji.

Czyżż nie doczesne sprawy były przyczyną wojny?

Skłaniając się ku socjalizmowi, był jednocześnie zbyt sceptyczny, żeby pokładać wiarę w ludzkość.

Ojciec podsumował jego punkt widzenia słowami: "Ani ten świat, ani przyszły.

".

Zdaniem ojca lepszy byłby kąt do spania u bogatego teścia od samotności na poddaszu, pławienia się w heretyckiej literaturze, malowania nieprzyzwoitych obrazów i uczestniczenia w gojowskiej wojnie.

Jeszcze jest czas, jeszcze można znaleźć zamożną pannę.

Ale mój brat był stały w poglądach.

Jak postanowił, tak też czynił.

Mimo młodego wieku rozumiałem jego problem - porzucił stare, lecz nie znalazł w nowym niczego, comógłby nazwać swoim własnym.

Chociaż odszedł od żydowskiej tradycji, pozostanie nadal Żydem dla gojów w komisji poborowej i dlatego, jak wszyscy Żydzi, będzie podejrzany o szpiegostwo.

Podróż do Tomaszowa w pociągach pełnych żołnierzy, rekrutów, oprychów i antysemitów była naprawdę niebezpieczna.

Wuj carawypędził Żydów z wiosek, od czasu do czasu wieszano rabina albo pobożnego Żyda za rzekomą zdradę tajemnic wojskowych podczas ceremonii błogosławieństwa nowiu księżycy.

Żydzi z prowincji chodzili w Warszawie od jednego domu nauki do drugiego, pożywiając się w jadłodajniach dla ubogich.

Matka orała paznokciami policzki, błagając mojego brata, żeby został.

Ale on nie miał wyjścia, gdyby się nie stawił, poszedłby do więzienia za dezercję.

Podjąwszy decyzję, wyjechał, obiecując zaraz napisać.

Mijały jednak dni i tygodnie, a list nie nadchodził.

Był to ponury okres w moim życiu.

Matka przestała jeść, nie mogła zmrużyć oka, płakała i modliła się całymi dniami.

Ojciec się nie odzywał.

Jaka była wola Boża?

Nie było ślubów,

260

rozwodów, spornych spraw.

Zostaliśmy bez środków do życia.

Po święcie Sukot zrobiło się zimno, ale węgiel stał się luksusem.

Wprowadziliśmy się do mieszkania latami dopiero teraz, gdy nastąpiła dżdżysta jesień, odkryliśmy, że kaflowy piec dymi.

Ojciec jak zwykle studiował święte księgi.

Zapisywał kartki papieru w obronie Rasziego, w którego komentarzu rabbi Tam znalazł sprzeczności.

Pociągając lurowatą herbatę przez kostkę cukru, od czasu do czasu pogrążał się w głębokich rozmyślaniach.

Wysyłał mi po gazety i z trudem odczytywał napisane w żargonie dziennikarskim historie o masakrach, pogromach, okrucieństwach.

Nieustannie wypytywałem go, co to są karabiny maszynowe, granaty, miny.

Zawsze były opisywane jako wynalazki ogromnej wartości.

- Biada nam!

- wykrzykiwał ojciec.

-Dobry Boże, jak długo jeszcze, jak długo?

Tkwimy już w tym po uszy.

Byliśmy przekonani, że mojemu bratu przytrafiło się coś złego, napisaliby przecież, nawet gdyby został powołany.

Może zamordowano go w pociągu albo -uchowaj Boże!

- popełnił samobójstwo.

Bez przerwy padało i było ponuro przez całe dni.

Ktoś ukradł nam dodatkowe okna, zabezpieczające przed wichurą, zanim zdążyliśmy je zamontować, i wskutek tego szyby brzęczały.

Austriacy zajęli Biłgoraj i Tomaszów, po czym zostali znowu wyparci przez Rosjan.

Co się dzieje z dziadkiem, z babką, z całą rodziną?

Wojna nie toczyła się już w odległych krajach, w Serbii, w Mandżurii - przyszło nas, palono synagogi.

Niemieckie działały się w Warszawie, huk rozlegał się przez cały dzień i w nocy.

Dziwna rzecz, chasydzy w radzyńskich domach nauki podnosili oczy znad Talmudu i dyskutowali.

Jedni wyrażali swoje sympatie dla Rosji, inni dla Niemiec, jak gdyby byli gojami.

261.

Byłem ustawicznie głodny, ale matka przestała gotować.

Jej syn zaginął wśród grzeszników, a ona nie spała po nocach, słuchając huku dział, bębnienia deszczu o szyby i wiatru, gwiżdżącego w naszym mieszkaniu.

Wszechmogący, jak tylko On to potrafi, pozostawał głuchy na jej błagalne prośby, na jej przysięgi, że wpłaci pieniądze na cele dobroczynne, jeśli jej syn ocaleje.

Zaczynał mnie złościć ten Wszechpotężny Ojciec, który siedział w Siódmym Niebie na Tronie Chwały, w otoczeniu aniołów, serafinów i cherubinów, i pozwalał na to, by wieszano rabinów. Ile jeszcze będzie musiał wycierpieć Izrael?

Mogłem jedynie dojść do wniosku, że On nie istnieje.

Co zatem istnieje?

Jak zostało stworzone wszystko?

Pewnej nocy, gdy kuliliśmy się wylęknieni w łóżkach, usłyszeliśmy pukanie do drzwi.

Matka podeszła i zapytała:

- Kto tam?

- To ja, Joszua.

Matka wydała stłumiony okrzyk.

Ojciec zapalił lampę gazową.

I otomój brat, którego już pogrzebaliśmy w myślach, wszedł, rzucając ogromny cień na ścianę. Miał na sobie nowoczesne ubranie, nie zgolił jednak blond brody.

Wysoki i imponujący, w meloniku, był jakiś zmieniony, wyglądał na starszego niż wrzeczywistości i pewnego siebie, jak gdyby właśnie wrócił z zagranicznej podróży.

- Zgaście światło - powiedział.

- Zdezercerowałem z wojska.

Grozi mi rozstrzelanie, jeśli mnie złapią.

Usiadł nami w sypialni i opowiedział, co się stało.

Dziadek, biłgorajski rabin, wybrał się w podróż, żeby spróbować wyjednać dla niego zwolnienie, ale się nie udało.

Wtedy z wahaniem doradził mu dezercję.

Jakimś sposobem brat zdobył fałszywy paszport na nazwisko Rentner.

Opis w paszporcie był jednak tak niezgodny z jego wyglądem, że żył w nieustannym strachu przed policją.

Odbył tę podróż

dróż pociągami osobowymi, towarowymi, furmankami i pieszo.

Obawia się zostać w domu, ponieważ mogą zacząć go szukać każdego dnia.

Nie ma do czego się udać, a doraz musi podjąć jakąś decyzję.

Z jego słów przebijała pewna duma.

Był półżywy ze zmęczenia.

Położył się na łóżku, które oddał mu ojciec, i zasnął natychmiast.

Rodzice długo jeszcze szeptali w nocy.

Za każdym razem, gdy zadzwieczą dzwonek przy bramie, ogarniało nas straszliwe przerażenie.

Kiedyś nie musieliśmy w ogóle pamiętać, że istnieją takie rzeczy jak policja, wojsko, ale te czasy minęły bezpowrotnie.

Rano ojciec dał mojemu bratu komplet filakterii.

Joszua przymocował je do przedramienia, mruknął coś pod nosem i szybko odwiązał rzemyki.

Zjadł kromkę chleba i wyszedł, obiecując, że wkrótce da nam znać.

Wszystko to wydawało mi się snem.

Ojciec oparł głowę zasłoniętą aron ha-kodesz i modlił się bezgłośnie.

Matka krążyła nerwowo po pokoju.

Powrót mojego brata był cudem, ale Joszua nadal znajdował się w niebezpieczeństwie.

Czy wstawiennictwo matkiw niebie zapewni mu bezpieczeństwo?

Może nawet w tej chwili został aresztowany?

- Potrzeba nam łaski.

- powiedziała matka.

- Wszechmogący przyjdziez pomocą - rzekł z przekonaniem ojciec.

Matka zdradziła nam, że na kilkachwil przed zjawieniem się mojegobrata usnęła, po

czym obudził ją nagle wersetz Psalmów.

Ale nie było wtym nic niezwykłego.

Co nocbudziła się, słysząc w głowie jakiś werset.

Często nie wiedziała, skądpochoodzi.

Później przypisywała go Ezechielowilub Dwunastu ProrokomMniejszych.

Po deszczach spadł śnieg.

Czytaliśmy w gazetach, żeNiemcy się wycofują, "zostawiając za sobą wielu zabitych
it.t.

i rannych".

Dla nas jednak była to zła wiadomość, ponieważ zajęcie Warszawy przez Niemców oznaczałoby wolność dla mojego brata.

Matka stała znowu przy kuchni, mój młodszy brat Mojsze zaczął z powrotem chodzić do chederu, a ja studiowałem Gemarę w radzywińskim domu nauki.

Brat przysłał wiadomość z jakiegoś miejsca, gdzie się ukrywał.

Zacząłem czytać często gazety, przyzwyczajając się do nieznanego mijidysz, i pochłaniałem wszystko, nawet powieści w odcinkach, zabawne anegdoty i dowcipy.

Gazety, mimo że oburzone na Niemcy, jednocześnie w przebiegły sposób stały po ich stronie. Wiele było sprzeczności i niedorzeczności.

Obok artykułu chwaleńczego chasydów, Baala Szema, kockiego rabinabyła zamieszczona opowieść o zakwefionej hrabinie, jadącej powozem na spotkanie z kochankiem.

W jednym miejscu chwalono Żydów, w innym ich krytykowano, obok siebie można było znaleźć nabożne i heretyckie publikacje.

Wyrywając mi gazetę i przeglądając ją, matka mówiła:

- Zależy im wyłącznie na twoich groszach.

Aczego chciał wuj cara?

Albo kajzer Wilhelm?

Albo stary Franciszek Józef?

I - przepraszam za porównanie - czego żądał Wszechwładca, Stwórca Nieba i Ziemi?

Czy nadal będzie przyglądał się, jak żołnierze giną na polu walki?

"Pan jest dobry dla wszystkich, a jego łaska spływa na jego wszystkie dzieła.

".

Czy jest tak rzeczywiście?

Czy też dwa razy dziennie moje usta wypowiadają kłamstwo?

Muszę znaleźć odpowiedź, i to koniecznie przed moją bar miewa.

Pracownia

Dotarła do nas dziwna wiadomość, że mój brat wprowadził się do pracowni artystycznej, gdzie mieszka, posługując się fałszywym paszportem, i maluje - najwidoczniej bez powodzenia.

Matka wysłała mnie tam pewnego dnia z koszem jedzenia.

Pracownia, która, o ile dobrze pamiętam, mieściła się przy Twardej pod jedyńką, należała do znanego rzeźbiarza Abrahama Ostrzegł, który po latach wyrzeźbił pomnik nagrobny Pereca.

Gdy wdrapałem się na piąte piętro, znalazłem się w fantastycznej sali z ogromnym świetlikiem dachowym i ścianami, na których wisiały pejzaże, portrety i akty.

Pośrodku pracowni stały posągi okryte mokrymi workami.

Nasunęło mi to skojarzenie z cieplarnią, którą kiedyś widziałem, oraz z chrześcijańskim cementarzem.

Mały, niczym uczeń Jesziwy, przygarbiony człowieczek, wyglądający na chasyda, zdejmował właśnie jeden z worków, odsłaniając posąg kobiety.

Była jak żywa, cośw rodzaju żeńskiego golema, który być może niedługo będzie czynił cuda, wykorzystując moc kabały.

Przestraszony i zawstydzony, stałem w progu, z otwartymi ustami.

- Jesteś bratem Joszuy?

- spytał mężczyzna, podchodząc do mnie.

265.

-Tak.

- Od razu cię poznałem.

Tensam układtwarzy.

Znajdziesz brata w sąsiednim pokoju.

Przeszedłem międzyposągami, unikając bojaźliwie kontaktu z nimi, jak gdyby były zwłokami w całunach.

Mężczyzna otworzył drzwi i zobaczyłem brata wśród innych młodych mężczyzn i kobiet.

- Spójrzcie tylko, mamy gościa!

- zawołał Jozua.

Oglądali mnie z ciekawością i wnikliwością artystów.

Słyszałem, jak wymieniali cicho uwagi: "Interesujący.

".Przedstawiono mnie malarzowi, Feliksowi Rubinlichtowi.

Rozmawiając zarówno w jidysz, jak po polsku, zachowywali się inaczej od wszystkich znanych mi młodych ludzi.

Miałem wrażenie, że wszyscy są w jakiś sposób spokrewnieni, nie tylko ze sobą nawzajem, lecz i ze studentem Raskolnikowem, o którym czytałem.

Czułem się skrępowany z powodu chałtui pejsów, ale mój brat nie wydawał się zakłopotany.

Spytał, czego się uczę.

Ostrzega zaczął mnie przepytawać Talmudu.

Nadal potrafił wyrecytować z pamięci całe ustępy.

Święte słowa brzmiały dziwnie w ustach mężczyzny odkrytą głową, w tym otoczeniu.

Dziewczęta uśmiechały się ze znużeniem.

Wreszcie Rubinlicht poprosił, żebym mupozował.

Gdy usiadłem, wyciągnął przedsięwziękę, mierząc proporcje, zmarszczył brwi i zaczął szkicować.

Inni zebraли się wokół niego, rzucając uwagi.

Po pewnym czasie ukazała się moja podobizna, przełożona na linie i cienie, wyglądała jak rysunek jak ktoś, kim być może stanę się pewnego dnia albo kim już byłem w poprzednim wcieleniu.

Spierając się o podobieństwo rysunku do oryginału, artyści sprawili, że poczułem się ważny, tak jak kiedyś w klinice, gdzie kilku lekarzy opukiwało mój brzuch, plecy i żebra.

Nikt nigdy wśród chasydów nie mówił o moich rudych

266

włosach, bladej cerze czy niebieskich oczach, ale tutaj szanowano ciało.

U chłopca liczyło się coś poza zdolnością uczenia się.

Dla mnie jednak świadomość ciała była czymś wstydlivym.

Mimo to zacząłem także dostrzegać u innych szczególne cechy fizyczne.

Jozua spytał, co porabia ojciec.

- Studiuje księgi.

- Studiuje?

Jak długo będzie jeszcze to robił?

Świat rozpada się na kawałki, a oni wciąż zastanawiają się nad jajkiem, które kura zniosła podczas światła.

Drzwi otwierały się i zamykały bez ustanku, wchodziłi nowi mężczyźni i nowe kobiety, a wśród nich młodzieniec w aksamitnej marynarce i dziewczyna z krótko obciętymi włosami, o nieprawdopodobnie czarnych oczach.

Wszyscy się znali, wszyscy dowcipkowali.

Byli chyba znacznie odemnie mądrzejsi, posiadali dużo większą wiedzę.
Z ich oczubiła inteligencja, wyrobienie.
Wszedł chłopiec, który wyglądał na niewiele starszego ode mnie, ale zachowywał się jak ktoś doświadczony, pewny siebie.
O ile się nie mylebył to malarz, Chaim Hanft.
Później, gdy już poznałem tych ludzi, rozmawiałem z nimi jak równy z równym, ale wtedy wydalimi się istotami z wyższego świata.
Odwiedzałem mojego brata kilkakrotnie, lecz za każdym razem przeżywałem zaskoczenie.
Fascynowała mnie myśl, że znajduję się w pokoju ze szklanym dachem.
Przez świetlik dostrzegałem błękitne niebo, słońce, ptaki.
Święto Pesach nadeszło i minęło.
Obrazy rzeźby skrzyły się w promieniach słońca.
Kiedy przychodziłem, Ostrzega musiał zdejmować mokre worki, żeby móc zobaczyć posąg, które stawały się dla mnie coraz bardziej realne, jak gdyby garbus tchnął w nie duszę.
Zadziwił mnie widok nagich piersi młodych, ładnych dziewcząt, ponieważ byłem przekonany, że piersi mają

wyłącznie niechlujne kobiety, które karmią publicznie niemowlęta.
Wychowano mnie w przeświadczeniu, że tylkorozpustnik przygląda się takim rzeczom, lecz zdałem sobie sprawę, że artyści patrzą na to inaczej.

Coraz lepiej poznawałem styl życia inteligencji.

Ci ludzie ani się nie modlili, ani nie studiowali świętych ksiąg,
ani nie odmawiali dziękczynienia.

Jedli potrawy mięsne razem z mlecznymi i łamali inne prawa.

Dziewczęta pozowały nago, nie odczuwając więcej wstydu, niż gdyby rozbierały się we własnej sypialni.

Właściwie było tam jak wrajskim ogrodzie, zanim Adam i Ewa skosztowali owocu z Drzewa Wiadomości.

Mimo że owi młodzieńcy rozmawiali w jidysz, zachowywali się tak swobodnie jak goje.

Była to niesamowita odmiana po gabinecie mojego ojca, ale wydaje mi się, że ten wzorec odcisnął na mnie swoje piętno.

Nawet w moich opowiadaniach dom nauki od erotyzmu dzieli tylko jeden krok.

Przez całe życie interesowały mnie oboje aspekty ludzkiej egzystencji.

Mimo że Niemcy zostali zmuszeni przez Rosjan do odwrotu jesienią 1914 roku, armia niemiecka znowu była w natarciu i znowu słyszeliśmy huk dział.

Ale już przywykliśmy do wojny.

Żołnierze ginęli na polu walki, nam jednak świeciło słońce i dopóki Warszawa była w rękach Rosjan, nie głodowaliśmy, choć żywność była droga i trudna do zdobycia.

Na podwórzu kamienicy, w której mieściła się pracownia, znajdowało się targowisko, gdzie można było kupić wiele rzeczy.

W mieście roiło się o odzbiegów i żołnierzy, także obcych, na przykład z Zakaukazia, w ogromnych papachach, ze sztyletami w piersiach oraz pasami pełnymi naboju.

Byli Kałmucy i inne prymitywne narody, wszyscy w swoich mundurach, jedni wyjeżdżali na front, drudzy z niego wracali.

Koszary pękały w szwach.

Przejeżdżały furmanki wyładowane rannymi, niczym polowe szpiegi

tale, a leżących na nich mężczyzn spowijały bandaż i ponury cień śmierci.

W domach nauki i bibliotekach napotykało się dziwny widok bezdomnych ludzi, posepnych matek z dziećmi, naczyniami kuchennymi, pościelą.

Nic nie było takie, jak powinno być, i może dlatego czułem się w pracowni mojego brata coraz bardziej swojsko.

Rosjanie, którzy zwyciężali zimą, teraz byli w odwrocie, wyparci z Galicji, Karpat i Królewca.

"Dzielni" Kozacy i zakaukaski żołnierze z komunikatów prasowych zamienili się w przerażonych wieśniaków, uciekających przed armią niemiecką i austriacką.

Ale jak to możliwe, że generałowie, którzy byli tacy błyskotliwi zimą, stali się tacy tępi latem?

Pytaniom nie było końca.

Spośród wszystkich dziennikarzy, którzy starali się wyjaśnić te sprawy, najbardziej dociekliwy był niejaki Iczele, który urozmaicał swoje polityczne rozważania cytacjami z Talmudu i Midrasza.

Mój ojciec, za każdym razem, gdy czytał Iczele, stwierdzał:

- Jakie to mądre.

Uznawał tylko dwóch pisarzy, Pereca i Iczele.

Z nich dwóch wolał Iczele, cytującego Talmud, chociaż nie czytał Pereca.

Kiedy jednak usłyszał w radziwińskim domu nauki, że Percec wyśmiewa żydowski tryb życia, przeklął pisarza, mówiąc:

- Niech jego imię zostanie wymazane z pamięci!

Jednakże po wojnie ojciec nigdy więcej nie wziął gazety do ręki.

Musiał słyszeć, że mój brat i ja jesteśmy pisarzami, doszedł więc do wniosku, że zajmujemy się dziennikarstwem.

- Czy nadal macie do czynienia z gazetami?

- spytał, gdy go widzieliśmy po raz ostatni.

Być może w jego oczach dziennikarstwo było czymś lepszym od pisarstwa.

Przecież dopóki daje się coś sprzedać, co za różnica, jak to jest produkt?

Gtód

Okazało się, że okupacja Warszawy przez Niemców nieprzyniosła rezultatów, jeśli idzie o unowocześnienie strojów noszonych przez Żydów czy o posyłanie chłopców do gimnazjum.

Żydzi nadal chodzili w chałatach, a chłopcy uczęszczali do chederu.

Nowość na ulicach stanowili jedynie niemieccy posterunkowi w granatowych pelerynach oraz polscy i żydowscy członkowie straży ochotniczej z gumowymi pałkami.

Coraz bardziej brakowało towarów, półki w sklepach świeciły pustkami, przekupki w hali Janaszai na targu, handlujące owocami i produktami spożywczymi, nie miały prawie nic do sprzedania, głód zaczął być odczuwany powszechnie.

Niemieckie marki mieszały się teraz z rosyjskimi rublami, a autor obszernych artykułów w jidysz w gazecie "Chwila" zaprzestał wychwalania aliantów i zaczął ich szkalować.

Przepowiadał zajęcie Sankt Petersburga przez Niemców.

Podczas Rosz ha-Szana Jom Kipur wierni przychodzili do naszego domu modlić się, ale większości kobiet nie stać było na opłacenie miejsca na ławkach.

Kiedy mleczarz Aszer wstał, żeby recytować modlitwy, zarówno mężczyźni, jak kobiety wybuchnęli lamentem.

Słowa: "Niektórzy zginą tego roku od miecza, inni z głodu, niektórzy od ognia, inni od powodzi", stały się ponuro sugestywne.

Czułem się, że Opatrzność szykuje nam coś strasznego.

Nasz posiłek na Rosz ha-Szana był skromny, mimo że w dzień świąteczny powinno się dobrze zjeść, zwłaszcza na początek nowego roku.

Ojciec raczej rzadko był wzywany do udzielania ślubów, rozwodów, rozsądzania spornych spraw, często natomiast dzono się go w kwestiach prawa religijnego, za co nie otrzymywał honorarium.

Niemcy przynieśli nam jednak odrobinę szczęścia w postaci wolności mojego brata Joszuy.

Nie musiał się już dłużej ukrywać pod przybranym nazwiskiem.

Mógł nas odwiedzać, ale za każdym razem, gdy przychodził, wybuchała kłótnia.

Ojciec nie potrafił pogodzić się z jego gładką, wygoloną twarzą i nowoczesnymi ubraniami.

Mój brat wraz ze swymi świeckimi książkami zasiał ziarno herezji w moim umyśle.

My, Żydzi, znasz wiara w Boga, którego istnienie można dowieść, nie mieliśmy ani własnego kraju, ani ziemi do uprawiania, nie poświęciliśmy też nauczycielom.

Sklepiarze, którym brakowało towaru na sprzedaż, włóczyli się po ulicach.

Na Krochmalnej 10 podczas święta Sukot dzieliliśmy naszą kuczkę z bogatymi sąsiadami, ale pod dwunastką, gdzie sąsiedzi byli bogatsi od nas, kontrast między tym, co jedli oni, a co my, stawał się aż nadto rażący.

Pamiętam zwłaszcza rosół ugotowany przez matkę, w którym nie pływało nawet oko tłuszczu. Zauważywszy to, administrator domu, rebelzajach, wrzucił mi precel.

Z jednej strony poczułem się mocno zmieszany, ale z drugiej byłem mu wdzięczny za życzliwość.

Wojna dowiodła mi, jak niepotrzebni są rabini, a wśród nich również mój ojciec.

Do Warszawy zjechali rabini oraz inni duchowni ze wszystkich małych miasteczek i wsi.

Teraz w swoich jedwabnych chałatach snuli się przynębi

-)71.

po ulicach w poszukiwaniu kawałka chleba.

Tysiące swatów, pośredników i drobnych przedsiębiorców nie miały czym zarabiać na życie. Przymierający głodem mężczyźni drzemali nad Talmudem w domach nauki i bóżnicach.

Zima

była ostra, a brakowało opału.

W bóżnicy niektórzy Żydzi wyjaśniali, że kiedy Ezaw się obżera, Jakub może znaleźć gdzieś kosteczkę dla siebie.

Ale kiedy Ezaw idzie nawojnę i znosi cierpienia, oznaczano koniec dla Jakuba.

Gdyby tak Bóg zechciał zlitować się nad Izraelem i zesłać pomoc.

Ale w owym czasie niebios

najwyraźniej niemyślały o Żydach.

Chciałbym opowiedzieć orebie Józefie Mattesie, który

oddał się całkowicie sprawom religii, gdy tymczasem jego żona sprzedawała gęsi.

Jeszcze przed okupacją niemiecką cena gęsi wzrosła do dwudziestu pięciu rubli.

Kogo na Krochmalnej było stać na taki luksus?

Józef Mattes, jego żona, córki i ich mężowie zostali bez grosza.

Podczas gdy inni handlarze zdołali coś odłożyć, Józef Mattes poświęcił cały swój majątek na cele dobroczynne i na radzymińskiego

rabina.

W domu nauki nieznano stopnia jego ubóstwa, poza tym

wojna nasiliła jeszcze egoizm poszczególnych ludzi.

Ci, którzy mieli pełne spiżarnie, modlili się razem z tymi, którzy nie mieli nic, ale rzadko myśleli o tym, by przyjść im z pomocą.

Zresztą nie było na tyle dużo żywności, by się nią dzielić.

Strach przed przyszłością prześladował wszystkich.

Nikt już się nie łudził, że wojna wkrótce się skończy.

Ponieważ sam dobrze poznałem, czym jest głód, zauważyłem, że policzki Józefa zapadły się, a skóra na bladej twarzy obwisła.

Ale jego zięć, Izrael Jozua, był jeszcze bledszy i bardziej wychudzony.

Młodziwiec, skubiąc ledwie sypiącą się bródkę, ślezczał nad świętymi księgami, wzdychając i rzucając znad nich ukradkowe spojrzenia.

Ten subtelny młody mężczyzna również odczuwał wstyd.

Pragnął służyć Wszechmogącemu, ale dręczył go głód.

Zatopiony w chasydzkich książkach, bez ustanku kręcił pejsy.

Cóż mógł uczynić, będąc na utrzymaniu teścia i głodując?

Nieśmiały i wąty, przedwcześnie przygarbiony, potrafił wyłącznie studiować księgi, modlić się i analizować łagodność Elimelecha oraz Świętość Lewiego.

Pewnego piątkowego wieczoru Józef Mattes, który oddał swój majątek na przyjęcia dla chasydów i utrzymanie radzymińskiego rabina, wałnął pięścią w stół, wołając:

- Ludzie, nie mam chleba, żeby rozpocząć szabat!

Jego słowa stanowiły znak czasu.

Chleb musiał zastąpić szabatowe wino podczas modlitwy dziękczynnej.

Przez chwilę panowała cisza, poczym wybuchła wrzawa i zamęt.

Synowie reba Józefa wycofali się do kątów, okropnie zawstydzeni tym, co powiedział ich ojciec.

Izrael Jozua zbladł jak ściana.

Mimo że tamtego wieczoru zebrano chleb, rybę i chałę, tak naprawdę nic się nie zmieniło.

Biedacy pozostali biedakami, a dobroczyńców było niewielu.

Strasznie się bałem, że to samo może przytrafić się mojemu ojcu.

Tak jak większość rabinów, radzyński rabin przeprowadził się do Warszawy, gdzie był właścicielem nieruchomości.

Miał opinię bogatego człowieka, ale było trochę wątpliwe, ponieważ kamienica przestała przynosić dochód.

Nie wiem, czy pomagał chasydom, czy nie.

Jednakże znaleźliśmy się w tak trudnym położeniu, że ojciec złożył wizytę jego żonie - która częściowo ponosiła odpowiedzialność za to, iż stracił stanowisko kierownika jesziwy.

Ale sytuacja tak zwanej "młodej rebecin" była nie do pozazdroszczenia, albowiem mimo że lekarze zabrak dzieci obarczali winą jej męża, rabin twierdził uparcie, że winna jest żona, i domagał się rozwodu.

Rebecin,

273.

owszem, wyrażała zgodę na rozwód, ale żądała w zamiandwudziestu pięciu tysięcy rubli odszkodowania, których rabin nie chciał zapłacić.

Poskarżyła się memu ojcu, że maż nieustannie dręczy ją i znieważa, ciąga po lekarzachi cudotwórcach, a nie daje dość pieniędzy na życie.

Ponieważ nie mogła pożyczyć ojcu pieniędzy, prosiła gousilnie, żeby przyjął od niej pierścionek z brylantem i zastawił go.

Ojciec protestował, lecz rebecin zmusiła go do przyjęci adaru, zaklinając sięna swoje życie i zdrowie oraz powołując sięjednocześnie na ustęp z Talmudu, gdzie zabrania się noszenia biżuterii, podczas gdy inni głodują.

Kiedy ojciec wrócił do domu z pierścionkiem w puzderku, matka skrzywiła się.

Możebyła zazdrosna.

Ale gdy ojciec zastawił pierścionek, kupiliśmy mąkę, chleb i kaszęowsianą.

Mięso było zadrogie.

Zaczęliśmy używać masła kakaowego, które można było jeść zarówno z potrawami mięsnymi, jak i mlecznymi.

Najbardziej jednak dokuczał nam w owym czasie chłód, a nie stać nas było na ogrzewanie mieszkania.

Rury zamarzyły i nie mogliśmy korzystać z toalety.

Przez wiele tygodni róz malował nam szyby w najrozmaitsze desenie, a sople lodu zwisały z framug okiennych.

Kiedy chciało mi się

pić, odłamywałem sople i ssalem go.

Nocą żąb był nie do zniesienia.

Nakrywaliśmy się, czym

tylko było można, ale nic to nie dawało.

Wiatr hulał pomieszkaniu, szeleszcząc, jak gdyby panoszyły się w nim jakieś zleduchy.

Skulony w łóżku, fantazjowałem o skarbach, o czarnej magii, zaklęciach, które pomogłyby memu ojcu, Józefowi Mattesowi i wszystkim innym, cierpiącym biedę.

Wyobrażałem sobie, że jestem Eliaszem, Mesjaszem i Bóg wie jeszcze kim.

Niczym biblijny Józef, napełniałem magazyny żywnością i otwierałem je, gdy nadeszło siedem lat głodu.

Na jedno moje słowo drżały całe

armie, jak również kryjący się za nimi generałowie i imperatorzy.

Radzymińskiej rebecin podarowałem pełny koszyk brylantów.

Było zbyt zimno, by wychodzić z łóżka.

Matka i my, dzieci, wstawaliśmy bardzo późno, ojciec jednak zmuszał się, by rano normalnie się ubrać.

Woda do ablucji zamarzała.

Zeskrobywał palcami szron z szyb do garnka i stawiał go nakuchni.

Nauczył się już korzystać z palników gazowych, ale do licznika nadal trzeba było wkładać czterdziestogroszówki.

Jedynym luksusem, na jaki sobie pozwalał, była herbata, a ściślej mówiąc, gorąca woda ze szczypta listków herbacianych.

Cukier był dla nas nieosiągalny, a sacharyny nie cierpiał.

Otulony ocieplanym chałatem, pił telekko zabarwioną wodę i studiował święte księgi, robiąc notatki zgrabiałymi z zimna palcami.

W obliczu Jozuego wszystko było po dawnemu, a Ryk lwa zawierał odwieczne pytania; czy czytanie Szma jest oparte na prawie mojżeszowym, czy rabinicznym?

Czy należy powtarzać zgodnie prawem mojżeszowym wszystko, czy tylko pierwszy werset?

A może pierwszą część?

Tylko z tego ojciec czerpał pocieszenie.

Przed wojną kupowałem mu zwykle kilka paczek papierosów dziennie, palił również fajkę.

Teraz jednak papierosy były takie drogie, żępykał wyłącznie fajkę, napelnioną machorką.

Pałaci popijając lurowatą herbatę, studiował Torę.

Tylko to mu pozostało.

Mój brat Izrael Jozua popadł znowu w tarapaty i zamieszkał z nami.

Sypiał na stole w gabinecie ojca, gdzie było zimniej niż na dworze.

Matka nakrywała go wszystkim, co tylko udało jej się znaleźć.

Mimo lutego mrozu, myszy dokonały inwazji na nasz mieszkanie, dobierając się do książek i ubrań, buszując w nocy z samobójczym zapamiętaniem.

Matka zdobyła kotkę, ale ona przyglądała

275.

się obojętnie ich harcom, jej żółte oczy zdawały się mówić:

"Niech sobie biegają.

Kogo to obchodzi?

".

Jej myśli błądziły najwyraźniej gdzieś daleko, przez cały czas drzemała, śniła.

- Kto wie?

- powiedział ojciec.

-Może ona jest czyimś wcieleniem.

Ojciec zajmował się nią z szacunkiem.

A może zamieszkała w niej dusza świętego?

Przecież święty, który zgrzeszy, wraca na pewien czas na ziemię.

Ziemia pełna jest wędrujących dusz, odesłanych tuż powrotem, żeby mogły odkupić swój grzech.

Ojciec przywoływał kotkę podczas posiłku, ona zaś z majestatyczną miną pozwalała się zwabić, jedząc powoli i wybrednie.

Potem spoglądała poważnie, jak gdyby chciała powiedzieć: "Gdybyście wiedzieli, kim jestem, byłibyście szczęśliwi, że was zaszczyliłam swoją obecnością.

".

Jak mogła łowić myszy?

Próżne nadzieje

Po kolejnych zwycięstwach Niemców wydawało się oczywiste, że Warszawa stanie się częścią Niemiec, podobnie jak Biłgoraj został zaanektowany przez Cesarstwo Austro-Węgierskie.

Z Niemiec przyjechało dwóch głównych rabinów, doktor Carlebach oraz doktor Kohn, i rozesłali pogłoski, że chcą nas zrobić niemieckich Żydów.

Mimo że studiowali Talmud, rozmawiali po niemiecku i byli w przyjacielskich stosunkach z generałami.

Ortodoks, Nachum Leib Weingut, wybrał się do nich z intencją zjednoczenia niemieckiego i warszawskiego rabinatu, jednakże starszyzna gminy nie powitała tej inicjatywy z entuzjazmem.

Przecież nadal trwa wojna i jeśli teraz opowiedzą się po stronie Niemców, co będzie, jeśli Rosjanie nagle zatriumfują?

Gdy kolegium rabinów postanowiło zachować neutralność, Weingut wymyślił sobie, że wykorzysta pokątnych rabinów do osiągnięcia swego celu, izwołał zebranie, podczas którego obiecał im oficjalny status i pensje, jeśli tylko pozwolą mu zostać ich rzecznikiem.

Pokątni rabini, którzy przedtem rzadko bywali w naszym domu, zaczęli składać nam wizyty.

Było lato i nasz mieszkanie wyglądało lepiej.

Wcześniej jeden pokątny rabin niewiele miał do powiedzenia drugiemu, teraz jednak

powołali stowarzyszenie i federację, wybrali zarząd i prezesa.

Ojciec uczestniczył w tych zebraniach.

Co pewien czas rozlegało się pukanie do drzwi i w progu stawał mężczyzna w atłasowym chałacie i aksamitnym kapeluszu.

Nasi sąsiedzi przypatrywali się z szacunkiem coraz to nowym rabinom, pytającym o nasze mieszkanie.

Matka podawała herbatę, ojciec zaś ustąpił swego honorowego miejsca siwobrodemu rabinowi Danowi.

Nasze mieszkanie przybrało odświętny wygląd, stało się miejscem zebrań sanhedrynu.

Dyskutowano na temat spraw świeckich oraz Tory.

Uzgodniono, że jeśli taka będzie wola Boża, plany Weinguta zostaną urzeczywistnione, tymczasem jednak trzeba zabrać się za życie.

Rabin o czarnych jak smoła włosach gniewnym spojrzeniem zaprotestował, oświadczając, że nie uznaje ani stowarzyszenia, ani jego przywódców.

A jeśli przymierze zostało zawarte po to, by musimy do odejścia niewygodnych członków?

- Dlaczego, nie daj Boże, miałoby tak być?

- spytał

ojciec.

- W dzisiejszych czasach - rzekł inny rabin - każdy robi to, co sam uważa za słusne.

- Ale świat całkiem jeszcze zwariował - odparł ojciec.

- Atlasowy chałat nie odstraszy złego ducha - powiedział rabin z ulicy Kupieckiej.

- Wobec tego to koniec świata!

- wykrzyknął ojciec.

Podczas tych dyskusji jeden rabin gładził brodę, drugi dotykał jarmułki, trzeci wysokiego czoła, czwarty wijał rytualne frędzle wokół wskazującego palca.

Jak różnie, pomyślałem, wyglądają zachowują się wszyscy pokatni rabini!

Szarfa wpijała się niczym obręcz w wydatny brzuch tego rabina, miał gęstą brodę, pełne, mięsiste usta i wylupiające oczy.

Palił cygaro, a gdy wysłał mnie powodę sodową, wyjął z kieszeni trochę bilonu, żeby kupić

her778

batniki dla mojego brata Mojszego.

Podchodziło do okna, oddychając ze świstem, najwyraźniej cierpiał na astmę.

Inny rabin, siedzący obok biblioteczki, nie zwracał na nic uwagi, tylko marszczył czoło nad księgą, jak gdyby chciał powiedzieć: "Cała ta gadanina nie ma najmniejszego znaczenia.

Ważne są wyłącznie święte słowa.

".

Wiekowy rabin, którego niesłuchał nikt z wyjątkiem mojego ojca, zacytował powiedzenie reba Izajacha Muszkata, czyli, jak go nazywano, Pragera.

Młody rabin z pejsami jak strąki i kępkowatą brodą siedział markotny, aż w końcu wyjął z kieszeni kamizelki starą kopertę, popatrzył na nią, po czym napisał kilka słów.

Sprawił wrażenie, że jest nie tylko nastawiony sceptycznie do całego projektu, lecz również żałuje, że musi przebywać w towarzystwie takich fantastów.

Później dowiedziałem się, że ma piękną żonę i bogatego teścia, który chce wciągnąć go do interesów.

Rabin z Kupieckiej powiedział na ucho mojemu ojcu, że obawia się, iż poza cczą gadaniną nic nie wyniknie z całego przedsięwzięcia.

- Dlaczego?

- Opatrzność zrządziła, że mamy być ubodzy.

- wyjaśnili poczęstował ojca tabaką, uśmiechając się mądrze.

Pewnego dnia Weingut poinformował pokątnych rabinów, że czeka ich w ratuszu spotkanie z wielką osobistością, która ma von przed nazwiskiem.

Pójść do ratusza i rozmawiać z jakimś ważniakiem?

Ojciec był przerażony.

Nie widział też sensu w zakładaniu najlepszego ubrania i czesaniu brody, jak zalecił Weingut.

Po co miałby zadawać się z Niemcami?

Kiedyś nie zgodził się na egzaminowanie przez rosyjskiego gubernatora - poci więc teraz miałby stawiać się przed niemieckim urzędnikiem?

Matka wpadła w złość.

- Czego się boisz?

Nikt ci nie każe tańczyć z kobietami.

- Nieznam niemieckiego.

Boję się.

Nie chcę.

w

- Co masz do stracenia?

Swoją biedę?

Inni pokątni rabini, równie onieśmieleni jak on, stawili się na wezwanie.

Rabin z Kupieckiej poprosił ojca o radę.

- A jeśli zechcą nas nawracać?

- Przecież Nachum Leib Weingut jest chasydzkim Żydem.

- Czy to on zajmuje się naszymi sprawami?

- A cóż Niemiec miałby nam do powiedzenia?

- A może, niech Pan Bóg broni, wysiedlą nasz Warszawy.

..

Rabin z Kupieckiej był pesymistą, w dodatku jeszcze bardziej bojaźliwym od ojca, który w obecności innego mężczyzny czuł się pewniej.

- W czasie wojny może się to okazać równie niebezpieczne jak stawienie się na spotkanie.

- zauważył ojciec.

- Moglibyśmy wymówić się chorobą.

Wkońcu zdecydowali, że pójdą do ratusza.

W przeddzień wizyty ojciec udał się do mykwy i wymoczył brodę.

Matka przygotowała mu czysty kitel i spodnie, a także, na ile to było możliwe, wywabiła plamy z chałatu, pocerowała go i połatała.

Tamtego ranka ojciec modlił się i wzdychał, nie miał nawet ochoty studiować ksiąg.

Ponieważ był to poniedziałek, odmówił wyznania grzechów, błagając:

- Nadstawdła mnie swego ucha, Panie, i wysłuchaj mnie.

otwórz Swe oczy i spójrz na tę ohydę i to miasto, którego imię zostało zbezczeszczone.

Boże, wysłuchaj, przebacz zbaw nas, dopóki nie jest za późno.

Następnie włożył atlasowy chałat i wypucowane buty, po czym wyszedł na spotkanie z innymi rabinami, z którymi miał udać się do ratusza.

Wieczorem opowiadał nam, jak weszli do holu pełnego policjantów i wysokich urzędników.

Wprowadzono ich do sali, gdzie wisiał portret cesarza Wilhelma.

Przywitali ich niemieccy rabini, a szlachetnie urodzony wojskowy lekarz

7sn

w mundurze z epoletami wygłosił dla nich prelekcję o potrzebie utrzymania czystości.

Mimo że mówił po niemiecku, trochę rozumieli, zwłaszcza gdy pokazał im rysunek pchływ powiększeniu i wyjaśnił, że może przenosić zarazki tyfusu.

Poprosił Herren Rabbiners, żeby szerzyli wiedzę o czystości, co jest również zgodne z ich religią, uklonił się i wyszedł.

- I co jeszcze?

- spytała matka.

- Nic.

- Żadnych stanowisk?

Nic na temat pensji?

- Ani słowa.

- Nigdy nie będą o tym mówili - rzekła z przekonaniem.

- Skoro jednak wezwali nas do ratusza, muszą nas uznawać za rabinów urzędowych.

- Ha!

- Cóż, przynajmniej mam to już za sobą.

Prawdę mówiąc, niezmrużyłem oka przez całą noc - wyznał ojciec.

Podczas kolejnego szabatu mówił w synagodze o czystości, a wierni ziewali i kręcili głowami.
Jeśli w suterenu panuje wilgoć, jak utrzymać w niej czystość?
I jakby czystym, skoro nie ma się na zmianę koszuli, ubrania, i człowieka nie stać nawet na kawałek chleba?

Wiedzieli jednak, że ojciec otrzymał polecenie, żeby ich poinstruować.

Matka miała rację.

Nic z tego nie wyszło.

Niemcy zapomnieli o pokątnych rabinach, a Nachum Leib Weingut założył ortodoksyjną gazetę.

Teraz potrzebował dziennikarzy, a nie rabinów.

Mój brat porzucił obecnie malowanie i został pisarzem.

Weingut wezwał go i spytał, czy mógłby napisać krótki artykuł o życiu Żydów z punktu widzenia ortodoksa.

Mój brat napisał artykuł, który został opublikowany.

Była to humorystyczna opowieść o starej pannie.

Pamiętam, że dostał za to osiemnaście marek.

Wkrótce potem pokątni rabini spotkali się, żeby omówić rozmaite zadania. Mieli nadzieję, że pomoże im nowo założona Partia Ortodoksyjna, ale partia nie była w stanie tego uczynić i ojciec nie miał do niej zaufania. Obca nazwa- "ortodoksyjna" -nie przemawiała do niego, był także zaniepokojony ich gazetą, w której bezbożni dziennikarze pisali artykuły nowoczesnym językiem. Być może przyczyni się o nadto tego, że młodzi ludzie nie zmieniają się w heretyków, ale dla niego nowe artykuły i opisy brzmiały zbyt postępowo.

Mój brat natomiast rozpoczął swoją karierę pisarską właśnie w tej gazecie.

Opublikował kilka opowiadań przetłumaczył z niemieckiego książkę Lehmana, opowiadając historię rabiego Joselmana.

Zacząłem czytać tę gazetę, jak również Dostojewskiego, Bergelsohna, powieści detektywistyczne o Sherlocku Holmesie i Maksie Spitzkopfie.

Powieści detektywistyczne wydawały mi się arcydziełami.

Zdanie z jednej z nich do dziś pozostało w mej pamięci, a mianowicie podpis pod rysunkiem, przedstawiającym Maksa Spitzkopfa oraz jego pomocnika Fuchsa, z bronią w ręku, którzy przyłapali właśnie złodzieja.

Spitzkopf woła: "Ręce do góry, ty łajdaku.

Nakryliśmy cię!

".

Przez całe lata te naiwne słowa dźwięczały w moich myślach jak muzyka.

Książka

Jak zwykle w niespokojnych czasach, dni mijały powoli, gdy jednak spoglądałam na nie z perspektywy, wydaje mi się, że wszystko działo się szybko.

Przetrwaliśmy ostrą zimę, żywiąc się na wpół zmarzniętymi kartoflami, niekiedy dodatkowo kapusty przysmażonej na maśle kakaowym.

W soboty nasz posiłek był parwe, to znaczy nie przypisywano do dań mlecznych, ani mięsnych.

Prawie zapomnieliśmy, jaki smak ma mięso lub ryba.

Przez pewien czas mój brat Izrael Jozua był zatrudniony przez Niemców przy naprawie mostu (później opisał to w powieści Krwawe żniwo).

Powrócił z brodą i największym bochnem chleba, jakikiedykolwiek widziałem.

Był wielkości kołai niemal równie płaski, wystarczył nam na kilka tygodni.

Jozua nie mógł przynieść nam nic lepszego.

Ale praca była dla niego zbyt ciężka i niebezpieczna, toteż później przez jakiś czas nie robił, grał tylko w szachy z kolegą i podśpiewywał;

Wraz z moimi braćmi dziewięciolatkami handlowałem winem pod halami.

Zamęt, jaki panował w owych czasach, i nasza rozpaczliwa sytuacja położyły kres kłótniom pomiędzy moim ojcem

283.

a bratem, w dalszym ciągu jednak nie rozmawiali ze sobą.

Brat nosił nowoczesne ubranie, ale nie stać go było nagolenie brody u fryzjera.

Co rano zakładał filakterie, a potem wyglądał przez okno, zamiast się modlić.

Ponieważ szansa na to, że ktoś zgłosi się w sprawie rozstrzygnięcia sporu, była raczej niewielka, ojciec wychodził z domu wcześniej, żeby studiować święte księgi w różnych domach nauki.

Pewnego dnia, gdy ojciec pisał komentarz, przeraziło go

nagłe pojawienie się młodego oficera, który podszedł do niego i spytał po niemiecku:

- Pinchas Mendel?

- Tak - odpowiedział ojciec drżącym głosem.

- Stryju - rzekł młody mężczyzna - jestem synem

Izajacha.

Ojciec zbladł, następnie poczerwieniał z radości, witając go wylewnie.

Był to syn jego nieżyjącego już starszego brata Izajacha z Galicji.

Bogaty wuj Izajach był pobożnym chasydem z Bełża, jego syn natomiast zdobył wykształcenie i ogłędę w świecie.

Służył jako oficer w austriackim wojsku.

Jego jednostka stacjonowała czasowo w Warszawie i postanowił odwiedzić stryja.

Nigdy dotąd nie spotkałem żadnego kuzyna ze strony ojca i zdziwił mnie brak jakiegokolwiek rodzinnego podobieństwa.

Wysoki, trzymający się prosto, bardzo dobrze ubrany, w butach z ostrogami i z szablą u boku, zrobił na mnie wrażenie bardzo przystojnego, wesołego i równie imponującego jak inni młodzi niemieccy oficerowie, których widywałem na warszawskich ulicach.

Ale ten oficer z epoletami i medalami był wnukiem Temerl i reba Samuela - jego przodkowie

byli również naszymi przodkami.

- Na pewno jesteś nadal Żydem?

- spytał ojciec.

- Na pewno.

284

- No cóż, niech cię Wszchemogący ma w swojej opiece.

Obyś wrócił szczęśliwie i mógł żyć jak Żyd, nie zapominając nigdy o swoich przodkach - rzekł ojciec.

Mój kuzyn powiedział ojcu, że nie ma przy sobie pieniędzy, ale napisze do domu i poprosi, żeby nam przysłano.

Ojciec polecił matce, żeby zaparzyła herbaty, a nawet wspomniał coś, bymskoczyło po jakiś poczęstunek, ale młodzi nie miał czasu.

Pocałował ojca w rękę, uklonił się matce, pożegnał się i tyle go widzieliśmy.

Po jego wyjściu cały ten epizod wydał nam się nierzeczywisty, lecz niemięło wiele czasu, a otrzymaliśmy czek.

W związku z tym czekiem na pięćdziesiąt marek mam pewną historię do opowiedzenia. Matki nie byłam w domu, gdy nadszedł przekaz, i ojciec zawołał mnie do siebie.

- Potrafisz dochować tajemnicy?

- spytał.

- Oczywiście.

Wyznał mi w zaufaniu, że od dawna już pragnie wydać swoją książkę na temat traktatu o przysięgach i że choć pięćdziesiąt marek przydałoby się nam w domu, po co trwonić je na jedzenie?

Zamierzapowiedzieć matce, żeotrzymałytko dwadzieścia marek,
apozostałtrzydzieścizapłacić w charakterze zaliczki zksiążkę.

Usprawiedliwiając się, ojciec powiedział, że jest to niewinneklamstwo, popełnione dla
świętegospokoju, ponieważ matka wszczęłaby kłótnię, gdyby znała prawdę.

Dzisiaj wydaje mi się, że ojciec zachował się jak każdy pisarz, który chce zobaczyć swoje
dzieło opublikowane.

Z jego wszystkich rękopisów została wydana drukiem tylko jedna jedyna książka.

W mniemaniu ojca dla Boga nie było nic bardziej chwalebnego nadwydanieksiążki religijnej,
albowiem rozpalaloono w autorze pragnienie zgłębienia Toryi pobudzało innych do tego
samego.

285.

Zgodziłem się dochować tajemnicy i ojciec zabrał mnie do banku Landaua, żeby zrealizować czek, a następnie do drukarni Jakobi na Nalewkach, Nigdy przedtem nie byłem w drukarni, nie widziałem kaszt z czcionkami ani stosów matryc.

Chłopak wybierał czcionkę, a Jakobi siedział przystole, przeglądając zakurzoną gazetę.

Typowy litwak, pobożny i jednocześnie świątły, miał na głowie niewielką jarmułkę, a jego siwiejąca broda była chyba przystrzyżona.

Ojciec pokazał mu rękopis i wyjaśnił, w jakiej sprawie przychodzi.

Jakobi rzucił okiem na jedną stronę i wzruszył ramionami.

- Komu to potrzebne?

- Co się z tobą dzieje?

Świat nie zszedł jeszcze całkiem napsy.

Żydzi nadal studiują i nadal potrzebują religijnych książek.

- Już i tak jest ich za dużo.

Składam książki dla rabinów,

którzy nie przychodzą nawet, żeby odebrać matryce.

- Z Bożą pomocą zapłacę również za matryce - odparł ojciec.

- Tymczasem jednak chcę, żeby rozpoczęto skład.

- Hm, skoro sobie tego życzysz.

Dostaniesz tyle, za

ile zapłacisz.

Ojciec dał trzydzieścimarek Jakobiemu, który obiecał złożyć trzydzieści dwie strony rękopisu i przesłać ojcu szpalty.

Dwadzieścia marek bardzo przydało się w domu, a ja wyczuwałem, że ojciec się wstydziswego postępu, często bowiem powtarzał, że wydanie religijnej książki jest wielkim zaszczytem.

- Bóg nas pobłogosławi za ten dobry uczynek - mówił.

- Przekonasz się.

Ale przekonałem się o czymś zupełnie innym - gdy skończyło się dwadzieścia marek, znowu głodowaliśmy.

Ojciec zrobił korektę szpaltową, którą przesłał w pośpiechu Jakobi, nie miał jednak pieniędzy na zapłacenie drugiej

raty i matryce pozostały w drukarni, wraz z matrycami książek innych autorów, których nie było stać na ich wykupienie.

Mój brat Mojsze zachorował na tyfus podczas epidemii w lecie 1916 roku.

Nie mogliśmy zatrzymać go w domu, gdyż lekarze mieli obowiązek informować policję o każdym przypadku choroby.

Przyjechała karetka i zabrała go do szpitala zakaźnego na ulicę Pokorną.

Wiedzieliśmy, co będzie dalej.

Goje w białych fartuchach rozpyła w mieszkaniu karboli zabiorą wszystkich, których znajdą w domu, do stacji dezynfekcyjnej na Szczęśliwej.

Postanowiliśmy, że ojciec starszy brat ukryją się, gdy tymczasem matka i ja pozwolimy się tam zabrać.

Tak też się stało.

Spryskano całe mieszkanie, w powietrzu unosiły się opary trucizny.

Matka i ja wyszliśmy z policjantem.

Matkaniosła trochę rzeczy, które pozwolono jej spakować.

W dziwnym domu, pełnym strażników obojgąłci, obcięto włosy mnie i jeszcze jednemu chłopcu.

Przyglądając się, jak moje rude pejsy spadają na podłogę, byłem pewien, że nigdy więcej ich już nie zapuszczę.

Od dawnachciałem się ich pozbyć.

- Rozbieraj się!

- poleciała strażniczka.

Myśl o rozebraniu się w obecności kobiety przerażała mnie.

Ociągałem się, lecz strażniczce brakowało cierpliwości.

Zdarła zemnie chałat, koszulę ispodnie i stanąłem przed nią nagi jak w chwili narodzin.

Drugi chłopiec rozebrał się sam i zobaczyłem, że w przeciwieństwie do mnie ma śniadą skórę.

W wannie chichotaliśmy obaj, ponieważ namydłanie strasznie nas łaskotało.

Potem opłukano nas pod prysznicem i przebrano w szlafroki, kapcie oraz białe spodnie, tak jak szpitalnych pacjentów.

Nie poznawałem swojego odbicia w lustrze.

Pozbawiony pejsów i chasydzkiego stroju nie wyglądałem już na Żyda.

Zaprowadzono mnie z powrotem do matki, która również miała na sobie nienależące do niej ubranie, a głowę obwiązaną chustką, po czym skierowano nas oboje na górę, gdzie były dwie sale, połączone otwartymi drzwiami - jedna dla mężczyzn, druga dla matek z dziećmi.

W salach znajdowały się ciasno ustawione łóżka.

Dzieciaki biegały wszędzie, matki pokrzykiwały na nie w jidysz i po polsku.

Przez okno widziałem cementarz przy ulicy Gęsiej.

Chociaż matka postanowiła nie jeść nic oprócz suchego chleba, nie wymagała, żebym ja, dwunastoletni chłopiec, wytrzymał w ten sposób przez osiem dni.

W naszych posiłkach nie było mięsa, ale jadłem niekoszerną kaszę owsianą, choć matka miała nadzieję, że odmówię.

Nie chciała jednak zabraniać mi, ponieważ byłem blady i wymizerowany, męczył mnie suchy kaszel i obawiała się o moje zdrowie.

Sumienie nie pozwoliło jej przyglądać się, jak jej dziecko opada z sił podczas wybuchu epidemii tyfusu oraz innych nieszczęść owych dni.

Pochłaniałem podwójne porcje, matki i moją, delektując się niekoszernym smakiem.

Matka kręciła tylko głową, spodziewając się, że będę choć odrobinę mniej łapczywy, lecz moja demoralizacja zaczęła się znacznie wcześniej.

Nie widziałem żadnej różnicy między tą kaszą a kaszą gotowaną przez matkę, ponieważ i ta, i tamta były podsmażane na maśle kakaowym, a jedyną rzeczą niekoszerną stanowiły naczynia, w których ją przyrządzano.

W ciągu ośmiodniowego pobytu poczyniłem wiele obserwacji.

Mężczyźni szeptali niestosownie ze strażniczkami, kobiety przebierały się przy nas, chłopcy idźwiczętabawili się razem bez troski.

Wyczerpana z powodu odżywiania się wyłącznie suchym chlebem matka ledwie mogła utrzymać się na nogach i cały czas leżała w łóżku.

Martwiła się też o Mojszego, który przebywał w szpitalu, poza tym

288

od bardzo dawna nie miała wiadomości od mojej siostry, która uciekła z Belgii do Londynu w czasie inwazji.

Ale dla mnie było to nowe doświadczenie, wprowadzenie do nieżydowskiego świata.

Pracownicy Ostrzeży pobycie w stacji dezynfekcyjnej cheder, sąd rabinacki ojca oraz dom nauki przestały mnie interesować.

Wiza

Dorosłem już na tyle, żeby zacząć zakładać filakterie.

W Rosji wybuchła rewolucja.

Przeczytałem w gazecie, że car Mikołaj, obecnie w domowym areszcie, zabija czas rąbaniem drzew i że pozwolono Żydom mieszkać w Piotrogradzie i w Moskwie.

Dla ojca te wydarzenia były dodatkową zapowiedzią rychłego nadejścia Mesjasza.

Jak inaczej można wytłumaczyć detronizację tak potężnego monarchy?

Cosie stało z kozakami?

Nasuwała się tylko jedna odpowiedź:

to niebiosy podyktowały obalenie Mikołaja.

Żydzi pieli się górę w świecie, w miarę jak ich wrogowie tracili władzę.

Tamtego latamój brat Izrael Jozua poinformował nas, że można teraz uzyskać wizę do

Biłgoraja od austriackiego

konsulatu w Warszawie.

Odczuwałem silniejsze niż kiedykolwiek pragnienie, by

podróżować, a najbardziejże wszystkim nęciła mnie wyprawa do

Biłgoraja, gdzie mój dziadek był rabinem.

Nieruszałem się z miejsca od czasu naszej przeprowadzki z Radzymina do Warszawy.

Nawet przejazd katorżką lub tramwajem była dla mnie przygodą.

Nadal marzyłem o dalekich podróżach pociągiem do odległych krajów.

Znaleźliśmy się w takiej sytuacji, że nie mogliśmy dłużej zostać w Warszawie.

Od lata 1915 roku byliśmy nieustannie głodni?

qn

ni. Ojciec znowu pisał i kierował jesziwą, podlegającą kompetencji radzyńskiego rabina (który wrócił do Radzymina), ale tapensja nie wystarczała nawet na kupno chleba.

Dla nas zima 1917 roku była nieprzerwanym postem.

Jedliśmy wyłącznie zmarznięte kartofle i biały ser.

Uczucie głodu potęgował jeszcze fakt, że naszym sąsiadem był piekarz.

W owym czasie piekarze zbijali majątek.

Mimo że żywność była racjonowana, wdawali się w różne nielegalne interesy, ponieważ chleb sprzedawano na czarnym rynku po wysokiej cenie.

W piekarni Koppła nigdy nie przestawano liczyć zysków.

Uniego gotowano mięso i kugel, które dla nas pozostały już tylko wspomnieniem.

Mieszkanie Koppła znajdowało się na tej samej klatce schodowej co nasze i dochodzące stamtąd zapachy doprowadzały nas do szaleństwa.

Zanim opiszę naszą podróż do Biłgoraja, muszę opowiedzieć pewną historię o Koppelu.

Wspominałem już o jego córce Mirele, która siadywała w bramie naszego

domu, sprzedając chleb, bułki i szabatowe chały, a pieniądze trzymała w pończosze.

Koppel miał kilku synów, wszyscy byli również piekarzami.

Mirele była jego jedyną córką, najmłodszą z rodzeństwa.

Koppel, niski i korpułentny, przeszedł kilka operacji brzucha.

Jego okrągłą twarz okalała przyszyżona siwa broda.

Gadatliwy i chępliwy, wciąż się na coś zaklinał, ale miał jedną ulubioną przysięgę,

którą powtarzał przy każdej okazji: "Jeśli klamię, niech nie dożyje dnia, kiedy Mirele stanie pod ślubnym baldachimem".

Uwielbiał swoją córkę.

Młodzieńcy z Krochmalnej nieśmieli jej tknąć, z obawy, że Koppel jego synowie zadżgają ich.

Podobnie jak ojciec, Mirele poszła raczej w szerz niż w dół.

Miała ogromne piersi, masywne biodra i grubą kostkę.

W wieku siedemnastu lat była już wyraźnie dojrzałą kobietą.
Całe jej ciało zdawało się wołać: "Jestem gotowa!"
Koppel poinformował swatów, że jako przyszły mąż jego
291.

córki może być brany pod uwagę tylko absolutnie wyjątkowymłodzieniec.

W końcu znaleźli takie wcielenie cnót w osobimłodego buchaltera.

Nie mamzielonegopojęcia, czy naprawdębył buchalterem, czy też nazywano go tak na Krochmalnej, gdzie mówiono to o każdym, kto umiał czytać i pisać.

Narzeczoną Mirele był chyba sierotą, ponieważ zarazpo ogłoszeniu zaręczynwprowadził się do mieszkania Koppla.

Wysoki elegant okędzierzawych włosach i zaokrąglonejfigurze, które to cechy uważano zaatrakcyjne naKrochmalnej, był idealnympartnerem dlaMirele.

Szybkoprzywykło obfitych posiłków, jakie serwowano w nowymdomu.

Kiedy potrzebował pieniędzy, brał, cokolwiek leżałona stole, grzebał wszufladach, szukał pod materacami.

Wychodził z założenia, że Koppel itak przekaże mu co najmniej połowę majątku.

Inni młodzimężczyźni znaszejdzielnicymogli mu tylko pozazdrościć.

Miałwszystko- bułki, chały, mięso, pieniądze -a na dobitkę Mirele.

Czy

może być coś rokoszniejszego?

Nagle, podczas przygotowań do ślubu, Koppel zachorował, został błyskawicznie odwieziony do szpitala i operowany.

Niestety, pomoc przysłała za późno.

Przed śmiercią wyraził swoje ostatnie życzenie, żeby ślub Mirele odbył się natychmiastpo zakończeniuokresu żałoby.

Na Krochmalnej mówiło się, że Koppel wypowiedział swoją ulubionąprzysięgę o jeden raz za dużo.

Ale wróćmy do naszej podróży.

W 1917 roku wWarszawie szerzył się zarówno tyfus, jak i durbrzuszny.

I niebyło w tym nic dziwnego, ponieważ ludzie utrzymywali się przy życiu, jedząc obierki kartofli izgniłe kasztany.

Niemcy zaczęli zmuszać wszystkich do kąpieliiw miejskich łaźniach.

Żołnierze otaczalikordonem podwórko i mieszkańców pędzono do łaźni.

Mężczyznomgolono brody, a kobietom obcinano włosy.

Ludzie bali się wychodzićna ulicę.

Komisje sanitarne przeprowadzały inspekcjew domach, sprawdzając czystość.

Głód, choroby i strach przed Niemcami sprawiły, że życiestało się nie do zniesienia.

Konsulat austriacki mieścił się przy Szczygłej, wąskiejuliczce, wiodącej od Krakowskiego Przedmieścia, a możeod tak zwanego Nowego Świata, w kierunku Wisły.

W tamtych czasach stało sięw kolejkach po chleb, kartofle, naftę i wszystkoinne.

Nigdzie jednak nie ustawiała się takdługa i szeroka kolejka, jakna ulicy Szczygłej.

Dziesiątkitysięcy warszawiaków oraz przyjezdnych czekało na pozwolenie na wyjazd do tej części Polski, która znajdowała sięobecniepod okupacją Austriaków.

Tam, w mniejszychmiasteczkach, było łatwiej o jedzenie.

Chodziły słuchy, że można się tam najeść i zapomnieć o wojnie.

Ale słyszeliśmyteż, że wraz z austriacką armią przysłała cholera i że tysiąceludzi umierają w tamtym regionie.

Matka nie otrzymywała listówz Biłgoraja od początkudziałañ wojennych, ale z jakiegoś powodu doszła doprzekonania, że jej ojciec nie żyje.

Skądto wiedziała?

Miała sen.

Pewnego ranka obudziła się ipowiedziała:

- Ojciecnie żyje.

-Co ty opowiadasz?
Skąd ci to przyszło dogłowy?
- pytaliśmy ją.

Matka odparła, że przyśnił jej się dziadek, ujrzała jego twarz o takim samym blaskiem jak twarzetych, którzy przeszli już na drugą stronę. Chociaż próbowaliśmy zbagatelizować znaczenie tego snu, matka trwała w przekonaniu, że jej ojciec, biłgorajski rabin, nie żyje.

Ojciec z niechęcią odnosił się do perspektywy rezygnacji z funkcji rabina na Krochmalnej, a i mój brat nie chciał porzucić pracy w gazecie. Był też związany z dziewczyną, która miała zostać jego żoną. Postanowiono więc, że na

293.

razie tylko matka i młodsze dzieci - ja i mój brat Mojsze
- pojedziemy do Biłgoraja.

Zęby jednak wyjechać tam, nieodzownabyła wiza, a żebyotrzymać wizę, trzeba było stać w kolejce.

Jakdlugo?

Tygodniami, a może nawetmiesiącami.

Choć wydajesię tonieprawdopodobne, ludzie staliw kolejce dniem i nocąw oczekiwaniu nawizy.

Dużerodziny organizowały tow taki sposób,że ich członkowie wymieniali się co pewienczas. Na ogół kolejki posuwająsię do przodu, ale nie takolejka.

Przyczyna leżała w tym, że konsul austriacki stanowczo sprzeciwiał się wydawaniu wiz i że niemieccy żołnierze, którzy pilnowali porządku, sprzedawali miejscaw kolejce.

Ci, którzy zapłacili, dostawali się do konsula,inni czekali całą wieczność.

Ponieważ strażnicy ciągle sięzmieniali, jedna łapówka nie wystarczała.

Żołnierze nieszczędzili razów kolbami iobelżywych słów, najczęściejstyszało się słowa: Yerfluchte Juden, przekłęci Żydzi.

Nasza rodzina również zajęła swoje miejsce w kolejce.

Staliśmy w niej na zmianę, matka, mój starszy brat i ja,lecznie zbliżaliśmy się ani trochę do drzwi konsulatu.

Kobietyszepły, że wizy są wydawanetylko ladacznicom, i przeklinały te dziwki.

Pamiętam, że czekając tam, studiowałemstary niemiecki podręcznik, w którym były najrozmaitszeopowiadania i wiersze.

W mojej pamięci utkwilo porzekadło,które w nim przeczytałem: Es regnet - Gott segnet (deszczpada - Bóg błogosławi).

Dla mnie niemiecki miałjedną zaletę- łatwego było zrozumieć z racji podobieństwa do jidysz. Straciliśmy już całkiem nadzieję, aż tu pewnego dnia bratwrócił do domu z paszportemmatki, w którymznajdowałysię wizy dla niej, młodszego brata, Mojszego, i dla mnie.

Izrael Jozua uciułał jakimś sposobem trzydzieści mareki przekupiłniemieckiego żołnierza, żeby zdobyć dla nas te

wizy.

294

Nigdy nie zapomnę tamtego dnia, musiało to być gdzieśpodkoniec lipca albo na początku sierpnia.

W naszą rodzinę,choćaż ledwieżywą ze zmęczenia, głodu i rozpaczy,wstąpił nowy duch. Mieszkanie nabrało innego wyglądu.

Z twarzy matki zniknął posepny wyraz.

Słońce świeciłojasno,dzień wypełnił się blaskiemiradością.

Pieczęć nakartce papieru dawała namprzepustkę do świata, któryprzedtem był dlanas zamknięty, a terazzostała otwartagranica, droga do zielonych pól, do jedzenia, do krewnych,których nie znaliśmy.

Dla nas, dzieci,Biłgorajsymbolizował nadejście Mesjasza,coś cudownego.

Tammieszkali nasiwujowie, ciotki, kuzyni.

Biłgoraj byłnaszym ukochanymkrajem Izraela, skąd już tylko jeden krok do Jerozolimy.

Dokazywałem i tańczyłem.

Będę jechał pociągiem.

Matkausmiechała się, choćaż dla niej nie była to beztraska przygoda.

Wzdychała ciężko na myśl, żeojciec zostanie sam.

Wprawdzie nie w Warszawie,lecz u rabiego w Radzyminie,będzie jednak z dala od rodziny.

Poza tym Joszuamus nadal siedzieć w Warszawie.

Jak ona może uciec, kiedy mężowi i synowi nadal grozi niebezpieczeństwo?

Oznajmiła natychmiast, że jej postępowanie jest karygodne.

Rodzina nie powinna się rozdzielać się w takich niespokojnych czasach.

Jednakże mój ojciec i brat dowodzili, że jeśli nie wyjedzie, narazi życie swoich dzieci.

Czy chce być odpowiedzialna za coś takiego?

Byłem za mały i zbyt roztrzepany, żeby zrozumieć matczyne rozterki i samooskarżenia.

Wydawało mi się, że chcę ostudzić moje nadzieje i pozbawić mnie największej przyjemności.

Byłem naniąwściekły.

Tak bardzo pragnąłem tego wyjazdu, że nie potrafiłem myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, by wsiąść do pociągu i wyglądać przez okno.

To pragnienie pozostało we mnie do dziś.

Podróż

Wszystko układało się dobrze.

Pożegnałem się z przyjaciółmi i byłem gotowy do wyjazdu, ale okazało się, że moje buty są w bardzo złym stanie, poszedłem więc do szewca w naszym podwórzu, żeby je podzelał.

Mimo że na dworze świeciło słońce, schodki prowadzące do suterenu były ciemne, korytarz wilgotny i cuchnący stęchlizną.

Wszedłem do izdebki, w której wszędzie były porzucane szmaty i buty.

Popękany sufit, brudne szyby w małym okienku połatane tekturą.

Uważałem, że nasza rodzina mieszka w okropnych warunkach, ale mieliśmy przynajmniej duże mieszkanie, meble i książki.

U szewca stały dwa łóżka z poplamioną pościelą, a na jednym nie leżał umazany własnymi odchodami noworodek, pomarszczony, łysy i bezzębny, niczym miniaturowa wiedźma.

Matka krzątała się przy dymiącym piecu, a młody rudobrody mężczyzna o zapadniętych policzkach i wysokim czole - położył jak niektóre kawałki skóry, walające się bokiem - pracował przy szewskim warsztacie.

Gdy tak czekałem, aż podzeli mi buty, i krztusiłem się z powodu kurzu i obrzydliwych zapachów, przypomniały mi się słowa mojego brata o ludziach, którzy się zaharowują na śmierć, podczas gdy próżniacy świetnie prosperują.

Przytłoczyło mnie poczucie niesprawiedliwości, panującej na świecie - młodzi mężczyźni idą na wojnę, giną lub odnoszą rany, uczeni i pracujący ludzie nie stać na kromkę chleba, koszulę czy łóżeczko dla dziecka.

Zdawałem sobie sprawę, że ten szewc nie będzie mógł w nieskończoność walczyć o przetrwanie.

Prędzej czy później rozchorujesz się na tyfus lub suchoty.

I jak małeństwo żyć w takim dymie, kurzu i smrodzie?

Zdaniem mojego brata nie powinno być żadnych władców - należałoby usunąć nie tylko Mikołaja, lecz i Wilhelma, Karola oraz króla Anglii, jak również wszystkich pozostałych, i wprowadzić rządy republikańskie.

Powinno się położyć kres wojnom przez oddanie władzy ludowi.

Dlaczego dotychczas tego nie zrobiono i dlaczego monarchowie są despotyczni?

Kiedy moje buty zostały nareperowane znalazłem się powrotem na dworze, na słońcu, ogarnęło mnie poczucie winy.

Czemu ja wybieram się we wspaniałą podróż, gdy tymczasem szewc nie wytyka nosa ze swojej piwnicy?

Dodziś dnia pozostał dla mnie symbolem niesprawiedliwości społecznej.

Mimo że byłem jeszcze dzieckiem, sympatyzowałem z rosyjskimi rewolucjonistami.

Nadal jednak żal mi było cara, który musiał rąbać drwa.

Mój brat Jozua odwiózł nas dorożką na Dworzec Gdański, zwany w owym czasie Nadwiślańskim.

Kupiłem dla nas bilety i udaliśmy się na peron, żeby czekać na pociąg.

Miałem dziwne uczucie, opuszczając znajome miejsca i przyjaciół.

Ale niebawem nadjechała ogromna lokomotywa, kaszłąca i wypuszczająca z sykiem parę.

Z jej budzących grzę kół kapł smar, w kotle buzował ogień.

Podróżowałoniewiele osób, nasz wagon był prawie pusty.

Do granicy niemiecko-austriackiej, do Iwangorodu, zwanego później Dęblinem, jechało się zaledwie cztery godziny.

Pociąg ruszył, gwizdząc i zgrzytając.
Stojący na peronie

Josua małał w oczach.

Miałem złudzenie, że domy, ławki i ludzie odpływają
do tyłu.

Byłem podekscytowany, przyglądając się, jak świat umyka - domy, drzewa, furmanki, całe
ulice obracają się i oddalają, jak gdyby nasza kula ziemską była ogromną karuzelą.

Budynki drżały, kominy sterczały z ziemi w czapach dymu.

Nad wszystkim górowały wieże soboru, słynnej rosyjskiej cerkwi, złote krzyże lśniły w słońcu.

Stada gołębi, to czarnych, to złocistych, szybowały nad pędzącym, wirującym miastem.

Jechałem przez świat niczym król albo potężny czarodziej, nieobawiając się dłużej żadnego
żołnierza, policjanta, młodocianego goja czy włóczęgi.

Ziściło się to, o czym marzyłem od lat.

Gdy przejeżdżaliśmy przez most, w dole migały malutkie tramwaje i ludzie,
przypominający szarańczę - zapewne w czasach Mojżesza szpiedzy musieli tak wyglądać
dla obrzymów.

Pod nami płynął po Wiśle statek, po letnim błękitnym niebie również płynęły obłoki w
kształcie okrętów, zwierząt, białych pierzynek.

Co jakiś czas pociąg gwizdał.

Matka wyjęła z przewieszanej przez ramię torby herbatniki i butelkę mleka.

- Odmówcie dziękczynienie.

Chrupiąc herbatniki i popijając jemlekiem, zapomnieliśmy wojnie, głodzie i
chorobach.

Znalazłem się w rajunakołach.

Ach, gdyby ta podróż mogła trwać wiecznie!

Nawet mój przyjaciel Boruch Dowid nie znał dzielnic Warszawy i jej okolic, które teraz
ogłądałem.

Ze zdumieniem zauważyłem tramwaj.

Skoro tramwaje dojeżdżają aż tutaj, mógłbym dotrzeć do tego miejsca sam.

Ale teraz było już za późno.

Minęliśmy cmentarz, ogromne miasto umarłych.

Zemdlałbym ze strachu, pomyślałem, gdybym

298

musiał przejść tędy nocą.

a nawet za dnia.

Ale dla czego miałbym się bać umarłych, siedząc w pędzącym pociągu?

W Warszawie wszyscy głodowali, ale świat, który przemierzaliśmy, był piękny i
zielony.

Matka pokazywała nam pszenicę, jęczmień, grykę, jabłonie, śliwy z jeszcze niedojrzałymi
owocami.

Dla niej był to chleb powszedni, ponieważ wychowała się w małym miasteczku.

Chłopi kosili trawę, kobiety i dziewczyny, przykucnąwszy w brzdach, wrywały chwasty,
których korzenie, jak nam wyjaśniła, były szkodliwe dla zbóż.

Nagle zobaczyłem istotę bez twarzy, z rozpostartymi ramionami, przypominającą zjawę.

- Co to jest?

- spytałem.

- Strach na wróble, który ma odstraszać ptaki.

Mój brat koniecznie chciał wiedzieć, czy ten strach jest żywy.

- Nie, głuptasie.

Wiedziałem, że nie jest żywy, mimo to jednak wyglądał, jak gdyby się śmiał.
Stał pośrodku pola niczym bożek, aptaki krążyły nad nim iskrzczały.

O zmierzchu pojawił się konduktor, przedziurkował bilety, zamienił parę słów z matką i przyglądał się nam z fascynacją, ciągle zadziwionym naszym niecodziennym dlanieciem, niegojowskim wyglądem, choć przecież od wielu pokoleń Żydzi mieszkali tu razem z jego rodakami.

W gasnącym świetle dnia wszystko stawało się piękniejsze, kwiaty były jakieś bardziej kolorowe, zieleń bardziej soczysta, promieniująca blaskiem zachodzącego słońca, aromatyczna.

Przypomniał mi się werset z Pięcioksięgi: "Otwoń mego syna jak woń pola, które pobłogosławił Pan!

" 1.

Wyobrażałem sobie, że te pola, pastwiska i moczary muszą być podobne do kraju Izraela.

Synowie Jakuba paśli

Księga Rodzaju 27,27 (przyp.

tłum.

).

299.

w pobliżu owce.

Stogom Józefa kłaniały się inne stogi zboża.

Wkrótce nadjadą na wielbłądach Izmaelici, prowadząco sły i muły, obładowane migdałami, goździkami, figami i daktylami.

Za drzewami widać było równiny Mamre.

"Pan rzekł do Abrahama: Dlaczego to Sara się śmieje?

(...

) Czy jest coś, co byłoby niemożliwe dla Pana?

Za rok o tej porze wrócę do ciebie i Sara będzie miała syna.

".

Nagle dostrzegłem coś nieznanego i spytałem matkę, co to jest.

- Wiatrak - odpowiedziała.

Zanim zdążyliśmy dobrze się przyjrzeć, zniknął jak zadotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Później ukazał się nowu, jego skrzydła obracały się, uruchamiając żarna, mielące ziarno na mąkę.

Zobaczyliśmy rzekę, lecz matka wyjaśniła nam, że to nie Wisła.

Na trawie pasły się krowy, czerwone, czarne, łaciate.

A także owce.

Świat był jak otwarty Pięcioksiąg.

Wszedł księżyc i jednaście gwiazd, składając ukłon Józefowi, przyszedł władcy Egiptu.

Nastał wieczór i gdy dotarliśmy do Iwangorodu, na stacji paliły się światła.

Znajdowaliśmy się na granicy, obok szosy, i matka powiedziała:

- Jesteśmy w Austrii.

Na dworcu było pełno żołnierzy, nie tak wysokich, wyprostowanych i sztywnych jak Niemcy.

Wielu z nich nosiło brody i przypominało Żydów, na nogach mieli buty owijające.

Panująca tu wrzawa przywiodła mi na pamięć drugi świąteczny wieczór w radzyńskiej jesziwie.

Mężczyźni rozmawiali, palili, gestykulowali.

Poczułem się jak w domu.

- Zagrajmy w szachy - zaproponowałem bratu.

Księga Rodzaju 18,13 (przyp.

ttum.

).300

Nie mieliśmy pojęcia, jak długo będziemy zmuszeni tu pozostać.

Ledwie zdążyliśmy wyjąć szachownicę i zasiąść przy stole do gry, otoczyli nas żołnierze i podoficerowie.

- Skąd jesteście?

- pytali żydowscy żołnierze.

- Z Warszawy.

- A dokąd jedziecie?

- Do Biłgoraja.

Dziadek jest tam rabinem.

Brodaty żołnierz powiedział, że był kiedyś w Biłgoraju i zna tamtejszego rabina.

Inny żołnierz stanął obok mnie i podpowiadał, jaki mam zrobić ruch, drugi zaś pomagał Mojszemu.

W rezultacie żołnierze grali, a my tylko przesuwaliśmy figury.

Matka przyglądała nam się z niepokojem i dumą.

Żołnierze byli galicyjskimi Żydami, którzy prawdopodobnie nosili w szabat futrzane kapelusze i moherowe chałaty.

Ich jidysz był trochę bardziej bezbarwny niż warszawski.

Jeden z żołnierzy pozwolił memu braciškowi potrzymać szablę i przymierzyć czapkę.

Nie pamiętam, jak spędziliśmy tamtą noc, ale nazajutrz wyruszyliśmy do Rejowca, i tym razem w prawie pustym wagonie.

W Rejowcu, gdzie mieścił się rosyjski obóz jeniecki, widziałem nieuzbrojonych Rosjan, potarganych, w wytartych mundurach, kopiących rowy pod okiem austriackich strażników.

Austriacy i Rosjanie tłoczyli się w bufecie dworcowym, prowadzonym przez Żyda z przyszywoną brodą.

Oprócz mojej matki była tam jeszcze tylko jedna kobieta, jego młoda żona, i mężczyźni mierzyli ją łakomym wzrokiem.

Uśmiechnięta i zarumieniona, rzucała im kradkowe spojrzenia, nalewając piwo do kufli.

Jej mąż sprawiał wrażenie gburowatego ponuraka i wszyscy dookoła wiedzieli, czego dręczy - zazdrość.

Rosjanie szwargotali z trudem po niemiecku, przekręcając słowa, tak że brzmiało to jak łamany jidysz.

Niektórzy żydowscy żołnierze, znajdujący się wśród nich, posługiwali się jidysz.

Rosyjscy jeńcy położyli nowe tory kolejowe z Rejowca do Zwierzyńca.

Pracowali przy nich jeszcze, gdy jechaliśmy.

Mikołaj rąbał drwa, a kozacy uczyli się jidysz.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi świadczyły o bliskim nadejściu Mesjasza.

Biłgoraj

Po drodze napotykaliliśmy ślady odwrotu Rosjan - leśne pogorzelska, w których tu i ówdzie na wypośpalone drzewa wypuszczały zielone pędy i liście.

Mimo że podróż pociągiem trwała już trzy dni, nadal przyglądałem się wszystkiemu z zachłannym zachwytem i ciekawością - polom, lasom, ogrodom, sdom, wioskom.

Drzewo o wzniesionych w górę konarach zdawało się błagać niebiosy o jakiś dar.

Inne, nisko pochylone, sprawiało wrażenie, jak gdyby straciło nadzieję na pomoc skądkolwiek, poza samą ziemią.

Jeszcze inne, całkiem czarne, było ofiarą - zostały mu tylko korzenie.

Czy spodziewało się jeszcze czegoś, czy też po prostu umierało?

Nie potrafiłem odgadnąć.

Moje myśli przyspieszały wraz ze stukotem kół, inspirowane przez każde drzewo, każdy krzew, każdą chmurę.

Widziałem przemykające zające i wiewiórki.

Aromat sosnowego igliwia mieszał się z innymi zapachami, nieznanymi i znanymi, choć nie byłbym pewny skąd.

Pragnąłem - na podobieństwo bohaterów z moich książek dla dzieci - móc wyskoczyć z pędzącego pociągu i pogrążyć się w zieleni.

Niedawno położono krótki odcinek torów między Zwierzyńcem a Biłgorajem i choć nie był jeszcze ukończony, korzystano z niego.

Nasz pociąg składał się z niedużej

303.

lokomotywy na malutkich kółkach, przypominającej zabawkę, oraz wagonów platform z ławkami, na których siedzieli biłgorajscy pasażerowie.

Wszyscy w wagonie byli opaleni, ich ubrania spłówały od słońca.

Wielu mężczyzn miało rude brody i chałaty, czułem się z nimi spokrewniony.

- Batszeba.

- zawołał ktoś.

-Batszeba, córka rabiego.

Wiedziałem wprawdzie, że moja matka ma tak na imię, nigdy jednak nie słyszałem, żeby ktoś tak się do niej zwracał.

Ojciec, kiedy czegoś od niej chciał, zagadywał: "Posłuchaj no.

", ponieważ chasydzi nie pochwalają mówienia dokobiet po imieniu.

Ztego, co wiedziałem, Batszeba jest wyłącznie biblijnym imieniem, którego nikt w rzeczywistości nie używa, i chociaż koledzy chederu często wymieniali imiona matek, ja wstydziałem się, ponieważ Batszeba zbyt sugestywnie przywołała mi na myśl grzech króla Dawida.

Tutaj wszyscy mówili matce po imieniu i na "ty", kobiety obejmowały ją i całowały.

Mimo że przyśniła jej się śmierć ojca, nikt dotąd tego nie potwierdził.

Teraz jednak spytała:

- Kiedy to nastąpiło?

Po krótkiej chwili milczenia zaczęli jej opowiadać nie tylko o ojcu, lecz i o matce, jak również o Sarze, żonie wuja Józefa.

Dziadek zmarł w Lublinie, babcia w kilkamiesiący później w Biłgoraju.

Ciotka Sara i jej córka Itele zmarły na cholera, zmarło również dwoje kuzynów, Ezekiel oraz Itta Debora, syn wuja Iczege i córka ciotki Taube.

Te okropne wiadomości zaskoczyły matkę w samym środku zalanego słońcem dnia, pośród sosnowych lasów, w tym zielonym raju.

Matka wybuchnęła płaczem.

Ja też starałem się zmusić do płaczu, wydawało mi się to bowiem stosowne, lecz łzy nie chciały popłynąć.

Oszukiwałem, zwilżając oczy śliną, mimo że nikt na mnie nie patrzył ani nie kogoś obchodziło, czy płaczę, czy nie.

304

Nagle wszyscy zaczęli krzyczeć - wykoleiły się ostatnie wagony.

Dość długo czekali, zanim zostały ustawione za pomocą drągów z powrotem na torze.

Wszyscy zgodnie postanowili, że podczas tego szabatu zostanie odmówiona modlitwa dziękczynna.

Znane były fakty, kiedy inni pasażerowie mieli znacznie mniej szczęścia od nas i ponieśli śmierć na tych prowizorycznych torach kolejowych.

Krajobraz między Zwierzyńcem a Biłgorajem był naprawdę przepiękny.

Jechaliśmy przez lasy i łąki, mijając niekiedy kryte strzechą chaty lub domy o bielonych ścianach i gontowych dachach.

Pociąg zatrzymywał się co pewien czas, żeby jakiś pasażer mógł napić się wody lub skryć się na chwilę w krzakach albo żeby maszynista dostarczył paczkę z pogawędzami z wieśniakami, mieszkającymi przy torach.

Żydzi traktowali maszynistę tak swobodnie, jak gdyby był gojmem, który przyszedł do żydowskiego domu, żeby napalić w piecach, i prosili go co chwila, żeby zrobił dla nich postój.

Pewnego razu, podczas jednego z takich dłuższych postojów, wyszła z chałupy bosa Żydówka w chustce na głowie i podarowała mi matkę odrośniętą jeżynę.

Usłyszała, że przyjeżdża Batszeba, córka rabina, i przyniosła jej w prezencie owoce.

Matka nie miała apetytu, ale Mojszei ja zjedliśmy wszystko.

Mieliśmy czarne usta, języki i palce.

Lata głodowania odcisnęły na nas swoje piętno.

Choć matka zawsze wychwalała Biłgoraj, okazał się nawet piękniejszy od jej opisów.

Sosnowe lasy, które go otaczały, wyglądały z daleka jak błękitna ściega.

Domy były położone wśród ogrodów i sadów, rosły przed nimi potężne kasztanowce, jakich nie widziałem nigdy w Warszawie, nawet w Ogrodzie Saskim.

W miasteczku panowała atmosfera spokoju, jakiej dotąd nie doświadczyłem, unosił się zapach świeżego mleka i świeżego ciasta.

Wojny i epidemie wydawały się bardzo odległe.

305.

FT

Stary dom dziadka, zbudowany z bali, pomalowany nabiąło, z omszałym dachem i ławką pod oknami, znajdował się niedaleko synagogi, mykwy i przytułku dla ubogich, Cała rodzina wyszła, żeby nas powitać.

Pierwszypodbiegł do nas wuj Józef, który odziedziczył stanowisko podziadku.

Wujek Józef zawszebiegał, mimo że był chudy i przygarbiony.

Miał mlecznobiałą brodę, haczykowi nosi błyszczące ptasie oczy.

Był ubrany w rabinacki chałat, kapelusz z szerokim rondem, białe pończochy i trzewiki.

- Batszeba!

- wykrzyknął, nie całując matki.

Zanim dreptała korpulentna ciotka Jentl, jego trzecią żonę.

Druga żona zmarła półtora roku temu podczas epidemii cholery, a pierwsza, kiedy miał szesnaście lat.

Ciotka Jentl była równie pulchna i rozlazła, jak wuj Józef chudy i zwinny.

Wyglądała bardziej na rebecin niż na rabina.

Zanimi wlokła się chmara rudowłosych dzieciaków.

Ja, który sam miałem ogniste włosy, nigdy nie widziałem tylu rudzielców naraz.

Dotychczas kolor mojej czupryny stanowią atrakcję w chederze, w bóżnicy i na podwórku.

Wydawał się egzotyczny, podobnie jak imię mojej matki, zajęcie ojca i talent brata.

Ale tutaj było całe mnóstwo rudzielców, a najbardziej ruda była córka wuja Józefa, Brocha.

Zaprowadzono nas do przestronnej kuchni wuja, gdzie chyba wszystko było nowe.

Piec był wielki jak ten w piekarni, a ciotka Jentl piekła chleb.

Nad piecem znajdował się otwarty komin, a natrójno go stał garnek zgotowaną siostrawą.

Na stole muchy laziły po sporej bryłce cukru.

W powietrzu unosiła się woń zaczynu i kminku.

Ciotka poczęstowała nas plackiem ze śliwkami, który miał dla nas niebiański smak.

Moi kuzyni, Awromele i Samson, zabrali mnie na podwórko, które było właściwie ogrodem, zarosniętym gęsto drzewami, wysokimi pokrzywami, chwastami i różnobarwnymi polnymi kwiatami.

Przy domu była we

 randa, która służyła też za sypialnię.

Usiadłem na sienniku wypchanym słomą.

Miałem wrażenie, że nigdy nie zaznałem takiego luksusu.

W uszach dźwięczał mi świergot ptaków, cykanie świerszczy i innych owadów, kurczęta brodziły w trawie, a gdy podniosłem głowę, widziałem biłgorajską synagogę, a za nią pola, ciągnące się aż do granicy lasu.

Pola miały różne kształty i kolory - kwadratowe i prostokątne, ciemnozielone i żółte.

Pragnąłem pozostać tutaj

 na zawsze.

Rodzina

Przez pewien czas nie mogłem się przyzwyczaić do mojej niespodziewanej pozyskanej rodziny, ciotek, wujów i kuzynów, których przedtem nie widziałem na oczy.

W końcu jednak przywykłem i chciałem ich opisać.

Najważniejszą osobą był wuj Józef, biłgorajski rabin, starszy od mojej matki o dziesięć lat, ale tylko o piętnaście lat młodszy od swego ojca.

Obaj z ojcem jednocześnie posiwili, a oznaki starości były chyba bardziej widoczne u syna niż u ojca.

Wuj Józef przygarbił się już w młodym wieku.

Chudy, słaby i żwawy, znany z zamiłowania do nauki, był świetnym matematykiem, lecz trochę brakowało mu godności.

Mimo że jego druga żona, Sara, pochodziła z prostej rodziny, zakochał się w niej i posłał swata, żeby uzgodnił sprawę.

Obecnie, wkrótce po jej śmierci, ożenił się po raz trzeci.

Aczkolwiek przeżył dzień zdawał się tkwić pogrążony w myślach i miał wysokie czoło, uważane za cechę intelektualistów, jego uwagi były zwykle głupawe, na przykład: "Ile zarabia łaźnieny Mosze?"

" albo: "Ile pszenicy może zjeść gęś w ciągu swego życia?"

".

Dziadek, który kiedyś go kochał, później odnosił się z dezaprobatą do swego starszego syna, który mógłby zostać wielkim uczonym w Talmudzie, ale uparcie nie chciał studiować.

Z drugiej strony, lubił plotki, krzyczał na członków rodziny i ubliżał im.

Jednocześnie odznaczał się pobożnością i ilekroć któreś z jego dzieci zachorowało, godzinami chodził po swoim gabinecie, modląc się śpiewnie szlochając.

Zasadniczo jednak był sceptykiem, orientującym się w pokrętnych strategiach przedsiębiorcy biegłym w rozstrzygnięciu ich spraw spornych.

Wuj Józef, mimo że w opinii Biłgoraja nie dorównywał dziadkowi, miał mniej wrogów, większą znajomość spraw praktycznych i był zdolny do kompromisów.

Jego trzecia żona, Jentl, zresztą jedyna żona, którą poznałem, również była już dwukrotnie zamężna.

Ta prosta staroświecka kobieta doskonale pasowałaby do któregoś poprzedniego stulecia.

Jej wielką tragedią była bezpłodność.

Za młodu jeździła od jednego cadyka do drugiego, wierząc w ich obietnice, że zajdzie w ciążę.

Mimo kpin wuj ją traktował z wielkim szacunkiem i bronił się tylko czasami, wiedząc, że nie dorównuje mu dowcipem.

- 'Życzę mu długiego życia - mawiała o nim - ale on mnie zadrecza.

Jego najstarsza córka, Frieda, z pierwszego małżeństwa, była tu pewnego rodzaju legendą, ponieważ została w Rosji rodziną matki.

Rzadko pisała listy i nikt jej naprawdę nie znał, mówiono jednak, że jest osobą o wybitnym intelekcie, wykształconą.

Matką pozostałych dzieci była Sara i wszystkie bez wyjątku miały rude włosy.

Podczas mojego pobytu w Biłgoraju jeden z jej synów, Szolem, ożenił się i zamieszkał w Tomaszowie.

W domu zostali Awromele, Brocha, Taube, Samson i Estera.

Inni członkowie rodziny twierdzili, że gdyby wuj Józef ożenił się z kimś ze swojej sfery, jego dzieci wyrosłyby na

równie bystre jak on sam, ale Sara była prostą kobietą, a dzieci wrodziły się w nią.

W owym czasie Awromele miał dwadzieścia dwa lata, rudą czuprynę i pejsy, do ojca odnosił się życzliwie, z uległością.

Wuj Józef, który samrzadko studiował księgi, niezmuszał do tego także dzieci, i Awromele wędrował domu do bóżnicy i jesiwy w Turzysku, po czym znowu wracał do domu.

Rąbał drwa dla ojca, nosił wodę ze studni wykonywał inne pomocnicze prace.

Następna z kolei, Brocha, o alabastrowej cerze i ryżawych włosach, była już zaręczona. Miała własną maszynę do szycia, na której szyła ubrania dla mieszkańców Biłgoraja. Zarobione pieniądze oddawała ojcu.

Mimo to odnosił się do niej równie niegrzecznie grubiańsko, jak do reszty dzieci, a nawet do obcych.

Kolejnym dzieckiem był szesnastoletnia Taube.

Wysoka, tęga, ognistej rudej, cierpiała na nerwowe tiki i miażdżycę.

Była poczciwą dziewczyną, która, gdy czuła się dobrze, pracowała ciężko, usługując wszystkim, ni stąd, ni zowąd jednak zaczynała krzyżeć jak opętana i skarżyła się na wszelkie możliwe bóle i dolegliwości.

Stary doktor Gruszczyński diagnozował to jako "nerwy" i przepisywał brom.

Samson - jedyny, który przeżył nazistowski holocaust - był w tym samym wieku co ja i miał ciemne włosy.

Sympatyczny, spokojny chłopiec odczuwał szczególnego pociąg do książek i śmiertelnie bał się ojca.

Podobnie jak Awromele, rąbał drwa, nosił wodę, biegał na posyłki i spełniał rozmaite szalone kaprysy swojego ojca opaskudnym charakterem, gdy jednak ten stawał się kompletnie do zniesienia, Samson zaczynał mamrotać pod nosem.

Najmłodsza, Estera, odegrała pewną rolę w moim późniejszym życiu.

Wtedy miała osiem lat.

Odziedziczyła od ojca

talentem po ojcu, lecz była znacznie łagodniejsza.

Miała rudą cerę i chodziła do austriackiej szkoły w miasteczku.

Chasydzy uważali za grzech posyłanie synów do świeckiej szkoły, nie dotyczyło to jednak córek - i to było ziarenko oświecenia u wuja Józefa.

Kochał swoją najmłodszą córkę, często się z nią bawił i zadawał jej mnóstwo mieszkanych pytań.

Świadoma faworyzowania, potrafiła odpowiednio wykorzystać.

A teraz przejdźmy do rodziny wujalczego.

Młodszy czternaście lat od wuja Józefa, wuj leżę nadal miał ciemne włosy, blond brodę i przenikliwe oczy, spoglądające spod krzaczastych brwi.

Choć pobożny, był, podobnie jak brat, zjadliwy i dość sceptyczny.

Znał rosyjski i będąc oficjalnym rabinem, prenumerował petersburską gazetę.

Obaj bracia byli od lat skłócony, ponieważ to nie pierworodny Józef, lecz leżę był ulubieńcem rodziców, zwłaszcza matki.

leżę oraz jego żona Rochele, córka powszechnie znanego rabiego Izajacha Raczowera, mieli dwóch synów, ale młodszy i zdolniejszy zmarł podczas epidemii, zostawiając rodziców w stanie głębokiej melancholii.

Wuj zaczął żywić urazę Boga i do całego świata.

Po śmierci syna piękna ciotka Rochele stała się jeszcze bardziej ponura i jeszcze bardziej niż przedtem żaliła się na wszystko.

Podobnie jak reszta rodziny, tkwiła duchem w średniowieczu, wierzyła w czarną magię, amulety i wizje, a zmarli byli dla niej równie obecni jak żyjący.

Stale mając się na baczności przed złymi intencjami, uskarżała się na swoich zmarłych teściów, twierząc, że dziadek, który dawał posłuch podłym plotkom zawiistnych ludzi, rzucił na nią klątwę.

Ich drugi syn, Moszele, o łagodnym spojrzeniu, był przystojny, szlachetny, naiwny, nieśmiały i chorowity.

Nawet gdy dzień był upalny, nie pozwalano mu wyjść z domu bez szalika.

311.

- Nie przezięb się, broń Boże.
- powtarzała mu w kółkomatka.
- Nie upadnij, niezgrzej się.

Karmiła go zawsze mlekiem i ciasteczkami.

Inni kuzyni wyśmiewali się z ciotki Rochele, że rozpieszcza syna.

Oprócz rodziny wuja Józefai wuja Iczego były jeszcze dzieci ciotki Sary, które pozakładały już własne rodziny.

Ciotka mieszkała w pobliskim Tarnogrodzie drugim mężem, miałem też innych krewnych w Biłgoraju.

W Warszawie byłem po prostu jednym z chłopaków, chodzących poulicy, tutaj zaś każdy znał mnie i moich przodków.

Mimo że wszyscy starali się uprzyjemnić nam pobyt w Biłgoraju, przeżyliśmy też wiele goryczy.

Powołując się na prawo mojżeszowe, stanowiące, że tylko synowie są uprawnieni do spuścizny, wujowie zabrali wszystko, łącznie z biżuterią babki.

Ciotka Sara i ciotka Taube, które zamieszkały w miasteczkach swoich mężów, nie robiły z tego problemu, ale dotknęło to moją matkę, która dostała wyłącznie kilka starych sukien po babce.

Poza tym moi wujowie obawiali się, że przyjazd matki zwiastuje nadejście konkurencji.

Wuj Józef przejął stanowisko dziadka, a wuj leżę był zastępcą rabina, teraz zaś zaniepokoił się, że przyjedzie ojciec ze swymi wiernymi i rozpocznie własną działalność jako rabin.

Narzekali więc ciągle przed matką na swoją trudną sytuację.

Prawdę mówiąc, nie wiodło im się zbyt dobrze, ponieważ obecni rabinicy chasydzy (poprzednio nowosądeccy i gorliccy) wybrali własnego rabina, dzieląc w ten sposób i zmniejszając liczbę starych zwolenników dziadka.

Nawet ja dostrzegałem, że tutaj, podobnie jak w Warszawie, jest zbyt wielu rabinów i duchownych i że, ogólnie biorąc, Żydomnie powodzi się najlepiej.

Przed wojną miasteczko eksportowało siatki do Rosji, a nawet do Chin, teraz jednak rynek rosyjski został zamknięty i sporo biłgorajczyków

Żydów musiało pracować przy budowie austriackiej kolei żelaznej.

Ale przecież budowa nie będzie ciągnęła się w nieskończoność.

Tymczasem było ciepło, przyjemne lato.

Wieśniaczki sprzedawały tanio jeżyny i grzyby.

W Biłgoraju byli zakwaterowani austriacy, węgierscy, polscy, bośniaccy i czescy żołnierze i to oni stanowili źródło zarobków dla Żydów.

Żydówki szmuglowały tytoń z Galicji.

Mimo wszystko biłgorajscy Żydzi czuli się tak niepewnie jak nigdy dotąd, wisiała nad nimi gromy diaspor.

Ciotka Jentl

- Mojadroga - powiedział ciotka Jentl do mojej matki

-święci cadycy utrzymalimnie przy życiu.

Co stałoby się ze mną, gdybynie oni?

Mój pierwszy mężpragnął miećdzieci, a gdy po upływie dziesięciu lat nadal nie mogłammu ich dać, ludzie doradzili mu, żeby się ze mną rozwiódł.

"Jesteś jak drzewo, które nie rodzi owoców- powiedziała moja teściowa.

- Chcęmiećjakiś pożytek.

Dzieci rodzi sięw bólach, lecz wnuki to czysty zysk".

"Cóż mam począć,matko?

- spytałam.

-Gdybym zbierała wypłakane przezemnie łzy, miałabym ich pełną beczkę".

- Nieustannie płakałam, moje łóżko było mokre od łez.

Powiedziałam mężowi: "Zgodnie z prawem możesz się ze mną rozwieść.

Towszystko moja wina".

"Skąd mogęwiedzieć?

- odrzekł.

- Może to z mojej winy?

Poza tymjesteś mi droższa odsiedmiorgadzieci, jak mówiPięcioksiąg".

Mimowszystkowsybrałam się do Turzyska.

Nie wyobrażasz sobie, jak tamjest, Batszebo.

Rabi miał srebrną chanukową lampę wielkości tej ściany, a jego twarz jaśniałaniczym anielskie oblicze.

Kobietom wolno było przybywać do dworu w Turzysku, choćnie dotyczyłoto dworów gdziekolwiekindziej.

Ale i tam nie było to łatwe.

Musiałam czekać wieledni, zanim go zobaczyłam, a kiedy wreszcie weszłam, nie

314

mogłam wydusić z siebie słowa.

"Rabi- wykrzyknęłamw końcu - jestem taka nieszczęśliwa!

". Ów święty człowieknatychmiast domyslił się, o co chodzi.

"Wracaj do domu- powiedział.

- Twojeprośby zostaną spełnione".

- I urodziłaś dziecko,Jentl?

-Nie, ale dałmi przynajmniej nadzieję.

Nie byłomisądzone mieć dzieci.

Jakżeż musiałam nagrzeszyć!

Świętydobrze miżyczył i podniósł mnie na duchu.

Odwiedziłamwszystkichcadyków.

Po śmierci mojego pierwszego mężanie myślałam o tym, żeby wyjśćponownie za męż, płakałam i płakałam bez końca.

Ale jak długo można żyćsamotnie?

Mójpierwszy mąż byłwspaniałym człowiekiem,niebyło w nim krzty złości.

Wyjeżdżałamna wieledni, nie gotując mu strawy, a onnie poskarżył się nawetśłowem.

Mój drugi mąż, z całym należnym szacunkiem,byłfuriatem.

Nigdy niespotkałam człowieka, który wpadałby w taką złość.

Muszęprzyznać, że ludzie mnieostrzegali.

"Będiesz tegożałowała, Jentl - mówili.

- To złyczłowiek.

"Ale ja myślałam: co ma być, to będzie.
Poślubiłam go.
Był wdowcem, niesposób było zadowolić.
Zawsze znajdował dziurę w całym, nie smakowałam nawet moją kuchnią.
Myślałam, że zwariuję.
Dziadek mówił mi: "Jesteś krzepka, udźwigniesz ten ciężar.
". Drugi mążomal mnie nie zabił, ale znosiłam wszystko z pokorą.
Uważałam, że widocznie zostałam wyznaczona taka pokuta.
On miał córkę z pierwszego małżeństwa, która stanowiła dowód, że to ja jestem bezpłodna.
Ale jedna córka mu wystarczała, nie chciał mieć więcej dzieci.
Bezprzerwy rzędził i wrzeszczał.
Handlował drewnem i całymi tygodniami przebywał w lasach.
Mieszkałam wtedy w Turbinie.
Mieliśmy duży majątek, niemal posiadłość, moja spiżarnia była zawsze pełna.
hodowałam krowę, kury, kaczki, gęsi.
aż za dużo jak dla jednej rodziny.
Odwiedzała nas.

wielu gości, Żydów wysokiego i niskiego pochodzenia, i nigdy nie odchodzili z pustymi rękami.

Wszyscy mnie błogosławili, ale to nie odmieniło mojego losu.

Mąż wpadał wewściekłość popowrocie do domu: "Co tutaj robią ci wszyscy żebracy?

Niech się stąd wynoszą!

". "Todla nas korzystne - odpowiadałam mu.

-Co zabierzesz do grobu opróczdobrychuczynków?

". Iw ten sposób żyliśmyże sobą przeddwadzieścia lat.

Mąż był zdrowy, silny jak dąb, potrafiłrozwalić stół jednymuderzeniem pięści, nagle jednak straciłsię do tego stopnia, że nie mógł utrzymać się na nogach.

Był u lekarzy w Lublinie, ale na nic się to zdało, jego czasnadszedł.

Chorował przezkilka miesięcy, po czym zmarł.

Nie chciałam już więcej wychodzićza mąż.

Dwa razy w zupełności wystarczy.

Potem wybuchła wojna i wszyscy zaczęli mi dawać rady.

To, co mi zostawił, zabrała jego córka i zięć, którzy w dodatku wypędzili mnie z domu.

Zamieszkałam u mojego brata, w małej wiosce Bystrz.

Ale niepodobało mi się życieśródm chłopów, bez szabatów i świąt.

Lubię pójść do synagogii posłuchaćkaznodziei.

Swaci niedawali mi spokoju i przedstawili mi kandydaturę twojegobrata, reba Józefa, biłgorajskiego rabina.

Wiedziałam o nimwszystko.

Ale mimo że ostrzegano mnie, iż jest złośnikiem, myślałam: nie może być gorszyod poprzedniego.

Zaaranżowano spotkanie, żebym mogłamu się przyjrzeć, ale kiedyprzyjechałam, powiedziano mi, że śpi.

Odparłam, żezaczekam.

"Wcale nie śpi - rzekłaTaubele.

- Idź i porozmawiajz nim".

Leżałnałożku.

Pierwszą rzeczą, która mi się rzuciław oczy, była opaska, jakiej używa się dla podtrzymaniai przepukliny.

Wspaniałe przyjęcie dla przyszłej żony, pomyślałam.

Ale czy w naszym wieku można przebierać?

Człowiek powinien byćzadowolony z tego, że żyje.

Taka jesthistoriamojego trzeciegomałżeństwa.

Biada mi!

Oby dopisywało mu zdrowie.

316

Taka była opowieśćmojej ciotki Jentl.

Mógłbym jej słuchać godzinami.

Czasamihistorie jej się plątały i nie mogłam nich wybrnąć.

Moja kuzynka Brocha, szwaczka, celowała natomiastw snuciu tragicznych opowieści, zwłaszcza z czasów epidemii cholery, kiedy tozmarło dwoje naszych krewnych.

- Trudno pojąć, jak to się stało!

- opowiadała naszejmatce Brocha.

-Sześćset osób!

Nie wiadomo było, nakogonastępnego przyjdzie kolej.

Człowiek czuł siędobrze, aż tu w jednej chwili chwytaly go kurcze w nogach.

Jedynym lekarstwem było porządne natarcie kończyn spirytusem, ale nie miał kto tego robić, trzeba mieć bowiem silne ręce, a poza tym trudno było zdobyć alkohol.

Dopiero podczas epidemii można się przekonać, kto jest naprawdę dobry, a kto tylko udaje.

Osoby, które miały opinię niewartych, siedziały nocami, masując chorych, dopóki ich samych nie złożyła choroba.

Ci, co dawali świętych, ukrywali się.

Nie można jednak schować się przed Bogiem.

Chorzy umierali.

Wyzdrowiało nie więcej niż dziesięć osób.

Początkowo odbywały się pogrzeby, ale później nie miał kto kopać grobów, nie było też nikogo, kto odważyłby się obmywać ciała.

Austriacy kazali grzebać zwłoki w wapnie.

Nie było nawet całunów.

Jednego dnia rozmawiało się z człowiekiem, a nazajutrz spoczywał już pod ziemią.

Cioteczko, ile jest warte ludzkie życie?

Więcej niż mucha czy robak?

Kiedy zachorowała bogaczka Henia, nędzarze mówili z satysfakcją: "Świat nie należy wyłącznie do potentatów".

Ale zaraza nie odróżnia bogatych od biednych.

Doktor Gruszczyński nie dawał już rad, ludzie bali się jednak wzywać wojskowych lekarzy, którzy zabierali chorych do szpitala, a tam pacjenci umierali z pragnienia.

Nie było nikogo, kto podałby nieszczęśnikowi choćby kroplę wody lub natarł go wódką.

Jeden.

z pacjentów dowlókl się do kubła z pomyjami, napił się natychmiast zmarł.

Ale co robić, kiedy ogieńtrawiwętrznosci?

Nikogonie obchodziło, czy są to zwłokiŻyda, czy goja, wszystkich grzebano po prostu w ubraniachw wapnie.

Żołnierzyustawiono wzdłużdróg, żeby zapobiec opuszczaniu miastprzez ludzi i szerzeniu się epidemii.

Zawrócili starego żebraka, aleon nie miał siły, ściągnęliwięc z niego ubranie i wykąpali wsadzawce.

Gdyby niefakt, żedotknęła nas tragedia, byłoby to nawet zabawne.

Ciociu, nie da się uniknąćprzeznaczenia.

Wiele osóbstaralo się postępować zgodnie z zaleceniami lekarzy, nie jedlisurowych owoców,pili wyłącznie gotowaną wodę z wódką,lecz ich to nie ocaliło.

Inni pili zwykłą wodę, jedli surowejabłkai gruszki, amimo to nie zachorowali.

Podobno imczłowiek jest silniejszy, tym mniej podatny na choroby,ale to nieprawda.

Silniejsi umieralinawetszybciej.

Kobiety chodziły na cmentarz i mierzyłygroby sznurkami, którepóźniejbyły wykorzystywane jakoknoty do świec w synagodze.

Mówiono, że szczęście przynosiślubienie sieroty na cmentarzu.

Josele Hendele i.

nie, ciociu, nie znałaś jej.

Ludzie byli tacyobłąkani, że tańczyli tam, świętującceremonię ślubną.

Mężczyźni biegali jak szaleni.

Tuż obokślubnego baldachimu kopano groby.

Codziennie rano budziłam się i zadawałam sobie pytanie: "Czy ja jeszcze żyję?"

". Naprawdę wiedziałam.

Myślałam, że to może spotkaćkażdego, tylko nieItele.

I Brocha opisywała, jak zachorowały jej siostra i kuzynka.

Nie pamiętam, czy zmarły w tym samym czasie.

Zdaje się, żejedna z nich umarła na tyfus.

Słuchając jej, matkapytała czasami o kogoś, a Brochaodpowiadała:

- Na tamtym świecie.

-Biada mi!

318

- Rynek zarósł trawą, ciociu.

Matka kręciła głową, głęboki smutek malowała się w jejoczach, które były to szare, to znówjasnoniebieskie.

Twarzmiała bladą, wymizerowaną, spoglądała przed siebie nierozumiejącym wzrokiem.

Nagle z gabinetu wyszedł wuj Józef.

- Dość tego!

- warknął na córkę.

-Szyj!

- Przecieższyję!

-Gdzie jest Samson?

- A naco ojcu potrzebny?

-Chcę zapalićpapierosa.

Był nałogowym palaczem, ale nigdy nie miał przy sobiezapalek.

Awromele i Samson musieli zapalać mupapierosa.

Zachowywał się niczym wielki pan, traktując dzieci jakniewolników.

- Co słysząc wtej waszej Warszawie?

- spytał mnie, po
czym zniknął z powrotem w swoim gabinecie, nie czekając na odpowiedź.

Stara tradycja żydowska

Mimo że większość chłopców w Biłgoraju uczęszczała do dużego domu nauki, ja chodziłem do turzyskiego, który należał do chasydów mojego dziadka. Stojący samotnie na wzgórzu, miał wszystko, co jest potrzebne w domu nauki - wielki gliniany piec, stoły, półki na książki.

Poza tym w ciągu dnia był prawie pusty, ponieważ modlitwy odbywały się tam tylko rano i wieczorem.

Zacząłem studiować Talmud wraz z dwoma innymi uczniami.

Jednym był mój kuzyn Samson, drugim Beniamin Brezel.

Obaj byli w moim wieku, ale ja poczyniłem już większe postępy w nauce.

Więcej rozmawialiśmy, niż się uczyliśmy.

Opisywałem, jak ogromna jest Warszawa, tramwaje, którymi można wszędzie dojechać, sklepy na Marszałkowskiej i na Nowym Świecie, oni zaś rozmawiali ze mną o Biłgoraju. Gdy byłem sam, chodziłem po pokoju, przeglądając książki, szukając czegoś bardziej świeckiego, w rodzaju tego, co czytałem w Warszawie.

Przewodnik dla błądzących, Kozary i kabała zainteresowały mnie na krótką chwilę, ale moja żądza wiedzy była nienasycona i czułem, że tutaj zostałem skazany na zamierzchłe czasy.

Gdy przyjechałem po raz pierwszy do tego miasteczka, niemal każdy Żyd modlił się trzy razy dziennie i rzadko

320

spotykało się kobietę, która nie obciąłaby włosów, nakrywając głowę raczej czepkiem lub chustką niż peruką.

Prości ludzie byli nawet pobożniejsi od uczonych.

Podczas Małego Jom Kipur, w przeddzień nowiu księżyca, wszyscy odmawiali stosowne modlitwy.

Niektórzy pościli w każdy poniedziałek i czwartek, wstawali wczesnym rankiem i recytowali psalmy pokutne, zapomniane już przez inną społeczność.

W Tomaszowie i Szczepieszynie można było spotkać postępowych ludzi, lecz w Biłgoraju tych kilku "postępowych" chodziło nadal w długich chałatach i nigdy nie opuszczało żadnej modlitwy.

Rzadko widywało się gazety w jidysz i choć Perec pochodził z tych stron, nikt nic o nim nie wiedział.

Mój dziadek odizolował Biłgoraj od zgubnych pokus, czemu sprzyjała duża odległość miasta od kolei żelaznej.

Przed nadjeściem Austriaków niektórzy mieszkańcy nigdy nie widzieli pociągu.

Jidysz, który tam słyszałem, jak również zachowania i obyczaje Żydów, które zaobserwowałem, przetrwały od bardzo dawnych czasów.

Pomimo to dwie siostry Żydówki zostały prostytutkami i założyły na Piaskach, obok cementarza, burdel, chętnie odwiedzany przez austriackich, węgierskich, czeskich, bośniackich i hercegowińskich żołnierzy.

Lekarz wojskowy pouczył ich, w jaki sposób mają wystrzegać się zarażenia, a dziewczęta musiały nosić specjalne chustki na głowie.

Od czasu do czasu przechadzały się w pobliżu synagogi.

Ich ojciec był prostym człowiekiem, który ogromnie cierpiał z powodu córek.

Byłem obecny przy tym, jak wuj wydał rozstrzygnięcie rozwodu, którego zażądał mąż starszej siostry.

Mieszkał obecnie w Ameryce i przesłał dokumenty rozwodowe pocztą.

Stwierdziłem, że zły duch ma niewielkie grono wyznawców nawet w Biłgoraju.

321.

Panowała tam ogólna konspiracja.

Minęły lata, zanim dowiedziałem się, że wśród robotników w miasteczku sączłonkowie Bundu, którzy brali udział w strajkach i demonstracjach w 1905 roku.

Albo nie wiedzieli, że socjalizm w Austrii jest legalny, albo udawali, że nie wiedzą.

Dzierżyli swą pochodnię socjalizmu, jak gdyby to była jakaś wiedza tajemna.

Było też w Biłgoraju kilku zwolenników syjonizmu, którzy jeszcze nie zaangażowali się w politykę.

Zegarmistrz Todros, chociaż ubierał się jak tradycyjnych chasyd, był w mieście filarem postępu.

Słyszałem o nim w Warszawie, ponieważ będąc uczniem dziadka i wyjątkowo utalentowanym człowiekiem, przerwał nagle naukę, wyuczył się zegarmistrzostwa, rozwiódł się ze swoją pobożną i poślubił nowoczesną dziewczynę, która nie nosiła peruki.

W szabat, zamiast modlić się w synagodze lub w domu nauki, przyłączał się do krawców w bóżnicy robotników i tam odczytywał zwoje Tory, z gramatyczną precyzją, jako oficjalny kantor.

Wprawny zegarmistrz, grał również na skrzypcach, był w dobrych stosunkach z weselnymi muzykantami i wychowywał dzieci nowoczesnie.

Spotykałem go na ulicy - niski, garbaty, z krótką czarną bródką i inteligentnymi czarnymi oczami, przypominającymi trochę oczy Mendelssohna i Spinozy (choć ci dwaj nie byli do siebie podobni).

To typ żydowskich rysów, które spotyka się w wszystkich częściach świata.

Jest to twarz Spinozy, Mendelssohna, Einsteina, Herzla i zegarmistrza Todrosa.

W wyrazie jego oczu było coś, co mnie poruszyło.

Pragnąłem z nim porozmawiać, ostrzeżonomnie jednak, że jeśli to zrobię, nadzarpnę sobie reputację i podkopię pozycję moich rodziców.

Poza tym byłem zbyt nieśmiały.

Chciałbym zboczyć tutaj z tematu i wspomnieć o czymś, co nadal wydaje mi się niewiarygodne.

Mojsze, syn mojego

322

kuzyna Eliego, który odwiedził nas w Warszawie, chodził w szabat do turzyskiego domu nauki.

Minął rok, a my, wnukowie tego samego dziadka, nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa.

W ten sposób zachowują się raczej dwaj Anglicy niż dwaj żydowscy chłopcy z Polski.

Niemniej jest to fakt.

Któregoś piątku, późnym latem, w miesiącu aw lub elul, ciotka podała mi szklanekę herbaty i kostkę cukru.

Gdy odgryzłem kawałek cukru, odkryłem ze zdumieniem, że nie ma smaku.

Pomyślałem, że stałem się ofiarą psikusa.

Czy to kredek?

Kiedy opowiedziałem o tym Samsonowi, droczył się ze mną: "Tylko warszawski cukier jest słodki.

". Miałem skłonność do chwalenia Warszawy kosztem Biłgoraja.

Wyszedłem do szopy znajdującej się na podwórzu i usiadłem, próbując czytać rosyjski słownik.

Była to jedyna świecka książka, jaką udało mi się znaleźć.

Korzystał z niej wuj, przygotowując się do egzaminu w czasie rosyjskiej okupacji.

Litery skakały mi przed oczami.

Dostałem gorączki.

Wkrótce okazało się, że zachorowałem natyfusem, i spędziłem kilka tygodni w łóżku, ciężko chory.

Leczył mnie czeski lekarz wojskowy, olbrzymo wielkich dłoniach, jakich nie widziałem nigdy nawet u woźniców ani tragarzy.

Cierpiałem na przeróżne halucynacje, ale szczególnie utkwiła mi w pamięci jedna, ponieważ była kompletnie niedorzeczna.

Do mojej szyi przywiązano trzy wieśniaczki, które straszliwie miały.

Spytałem matkę, po co one tam są.

- To tylko igraszki twojej wyobraźni - odparła matka.

- Biedactwo, masz wysoką gorączkę, coś ci się śni.

- Ale one wiszą mi na szyi.

- Któżby je tam powiesił?

Biedny chłopcze.

Później, gdy już wyzdrowiałem, miałem tak słabe nogi, że ledwie mogłem chodzić.

Musiałem uczyć się tego od.

początku, niechym małe dziecko, co było dla mnie czymś nowym i zabawnym. Mniej więcej w tym czasie przyszedł z Warszawy, z którego dowiedzieliśmy się, że mój brat Izrael Jozua również zachorował na tyfus.

Matczenie brakowało powodów do żartów i modlitwy.

W Biłgoraju miałem okazję być świadkiem obchodów świąt zgodnie z obrządkiem, który niezmienił się od wieków.

W wigilię Jom Kipur całe miasteczko płakało.

Nigdy przedtem nie słyszałem takiego lamentu.

Ale żałoba była całkiem uzasadniona.

Epidemia cholery pozostawiła wiele wdów i sierot, a młodzi mężczyźni poginęli na froncie.

Przeraziło mnie to, co zobaczyłem na dziedzińcu dużej synagogi - na niskich ławkach ustawiono półmiski, spodkii talerze na świąteczne ofiary, obok nich zaś tłoczyli się liczni biedacy i kaleki.

Widać było starców, paralityków, ludzi zdeformowanych.

W środku synagogi zgromadzili się wierni w białych kitlach i modlitewnych szalach.

Jakiś młodzieniec, stojący w progu, gorzko opłakiwał śmierć ojca.

- Obyś nie zaznał więcej smutków.

- zyczyli mu inni.

- Ojciec, ojciec, dlaczego nas opuściłeś?

- wołał.

Podłogę synagogi pokrywało siano.

Była to stara synagoga świętą skrzynią wyrzeźbioną przez włoskiego mistrza.

Najednej ze ścian wisiały kawałki macy, afikoman, spożywany pod koniec sederu w święto Pesach.

Metalowa waza, napełniona piaskiem, zawierała napletki obrzezanych niemowląt.

Na pulpicie leżała święta księga, jakich się już nie wydaje, zbiór modlitw pokutnych.

W tym świecie starych tradycji żydowskich odnalazłem duchowy skarb.

Udało mi się zobaczyć naszą przeszłość taką, jaka była naprawdę.

Miałem wrażenie, że czas się cofnął.

Przeżywałem historię Żydów.

Zima w Biłgoraju

Skończyło się lato i nastąpiła słotna jesień, a po niej mroźna zima.

Krały pogłoski o nowej rosyjskiej rewolucji.

Słyszeliśmy, że bogacze zamiatają podłogi i palą w piecach dla biedaków.

Przez długi czas jednak nie miałem ręki do gazety.

Bez względu na to, co działo się w innych częściach świata, Biłgoraj pozostawał niezmieniony, pod warstwą błota, tonący we mgle.

W dzień targowy, w czwartek, domiasta zjeżdżały tłumy chłopów w baranicach i walonkach.

Handlowali zbożem, kartoflami i tarcicą.

Austriacki major Schranz oraz mój wuj Józef zarządzali nowo otwartą jadłodajnią dla ubogich, w której żywiła się chyba połowa miasteczka.

Wuj Józef stanowił dziwny kontrast majora Schranza, który był taki wysoki i trzymał się tak prosto, że gdy wychodził do gabinetu wuja, dotykał niemal czapką do sufitu.

Rumiany na twarzy, z krótko przystrzyżonymi blond włosami, w mundurze, przypominał Prusaka.

Madame Schranz, jego arystokratyczna żona, ubierała się zwykle naczarno, nosiła kapelusz z czarnym piórem i czasami odwiedzała mojego wuja jak członkini komitetu pomocy dla biłgorajskich Żydów.

Chociaż mój wuj nie znał niemieckiego, a oni nie znali jidysz, jakoś się porozumiewali.

Wuj nie potrafił zrozumieć
325.

tego Żyda, mającego wojskową żyłkę, i nazywał go "tępym wołem".
Życzliwy major natomiast traktowałmójegowuja, jak gdyby był wodzem jakiegoś prymitywnego plemienia.

Schranz, wchodząc do gabinetu wuja, natychmiast żądał, żeby otworzyćokno, ponieważ jest okropnie duszno.

- Ależ, herr Schranz- protestował wuj - przecież tozima, na dworze tęgi mróz.

Nigdy nie pozwalał otwierać okna zimą, poza tym byłozaopatrzone watą i utkane gliną.

Wobec tego Schranz wypowiadał szybko kilkasłowi spieszenie wybiegał,byodetchnąć świeżym powietrzem.

Z tego właśnie powodu wujnazywał go "tępym wołem".

Chciałbym opisać jeszcze inne fanaberie wuja.

Pewnego razu obudziły mnie późną nocą jakieś krzyki.

Zdażyłem jużprzywyknąć do nocnych wrzasków wuja,tym razem jednak były głośniejsze niż zwykle.

Zniknęłyjego zapalki i cała rodzina musiała się zerwać ze snu, żebyich szukać.

Nie przychodziło mu namyśl, żeby zostawićpapierosy i zapalki nastole, musieli je podać Awromelei Samson.

W kuchni, gdzie spałem, słyhaćbyło ryk wujaw sypialni i odgłos cichych kroków jego bosonogich synów, którzy na próżno szperali po kątach i na półkach.

Wuj zacząłwydzierać się jeszcze głośniejsze, wyzywając swoichsynów od zawszonych osłów, bałwanów, idiotów.

Jego przeraźliwe krzykiobudziły córki, które też wyskoczyły z łóżek, żeby pomóc w poszukiwaniu.

Na noc zamykanookiennice i w kuchni było ciemno choć oko wykol.

Spadł jakiś garnek, stłukłsię talerz, szufla oparta o pieczeniła się zhukiemnapodłogę.

Ciotka Jentl, starsza jużi otyła, nie miała zbytniejochoty gramolić się z łóżka, alewuj tak się wściekał, że po chwili usłyszałem wciemności również jej niepewne stąpanie.

326

^ł^

- Brocha, Taube, gdziejesteście?

- zawołała.

-Gdzie jajestem?

Jedna zmoich kuzynek zaczęła macaćdłońmi wokółmójego materaca, jak niewidoma. Harmider był coraz większy.

Wuj miałtak wielkąchęć na papierosa, żei on wstałz łóżka.

Słyszałem coraz bliżejjego głośnie wyzwiska.

- Tępe woły!

Osły!

Półgłówki!

- darł się.

Wtym samymmomencie wydał zsiebie nieludzki wrzask.

Wdepnął domiednicypełnejnamoczonego prania.

W całym zamieszaniu ktoś znalazł wreszcie zapalki i zapalił jedną.

W jej świetle zobaczyłem scenę jak z Habimy.

Kuzynki biegały w kółko wnocnych koszulach, z potarganymi włosami, a ciotka Jentl, która zgubiła nocnycepek, stała w jednym kapciu i w majtadałach, bladai przerażona.

Wuj Józef pieklił się, stojąc w kałuży wodypośród mokrej bielizny, biała jakśnieg broda trzęsła musię ze złości, spod długiejkoszulinocnej widać byłojegochude nogi.

- Parszywedranie!

Nędzne psy!

Udając, że śpię, zerkałem ukradkiem.

Dziewczeta zbierały bieliznę, z której kapala woda, i wycierały podłogę, a ciotka szukała nocnego czepka.

Wuj wziął od Awromele papierosa i pozwolił, by syn podał mu ogień, po czym zaciągnął się głęboko.

Jego twarz była niemal tak biała jak broda.

- Gdzie były?

- wrzasnął.

Ciskał gromy jeszcze przez długi czas.

Myślałem, że to zdarzenie będzie dla wuja nauką, ale następnej nocy w ciemności znowu rozległy się krzyki.

Przyczyną innego incydentu była również kapryśność
mojego wuja.

Sypiałem razem z moim bratem Mojszem na materacu, rozłożonym na podłodze w kuchni.

Pewnej nocy obudziłem.

się, czując, że ktoś na mnie leży.

Myśląc, że to Mojsze sturla się na mnie we śnie, powiedziałem:

- Złaz ze mnie, Mojsze!

Kładz się natychmiast na swoim
miejscu!

Dotknąłem głowy, spoczywającej na poduszce obok mojej.

To był Mojsze!

Ogarnęło mnie przerażenie.

Obaj spalikamiennym snem i żaden z nich się nie obudził, gdy ich dotykałem.

Ale ja poznałem Mojsze gołądkiej skórce i jedwabistych pejsach.

Kim wobec tego był ten drugi, który leżał na mnie?

Miał gęste włosy i skórę bardziej szorstką niż mój brat.

Demon, pomyślałem, leży na mnie plackiem, jeden z towarzyszy szatana.

Czytałem o tym w Księdze pobożnych, Mierze sprawiedliwych i podobnych dziełach.

Co mogłem zrobić?

Żyd w takiej sytuacji ma tylko jedno wyjście, a mianowicie zawołać: "Słuchaj, Izraelu!"
Ale ja nie należę do osób, które potrafią krzyczeć.

Odmawiałem cichutko Słuchaj, Izraelu oraz inne modlitwy, oddając się w opiekę Panu, ale demonnie bał się żadnej z nich.

Leżał na mnie i ciężko oddychał.

Pozostała mi jedyna możliwość, czyli narobić hałasu, nie chciałem jednak budzić ludzi
środku nocy, poza tym obawiałem się, że mój młodszy brat może zemdleć ze strachu,
wyrwany raptownie ze snu.

Biłem się z myślami, niemożąc zdecydować się na nic, i w końcu postanowiłem zachowywać
się, jak gdyby nic się nie stało.

Do dziś niemożę zrozumieć, jak udało mi się tak skutecznie zapanować nad sobą.

Leżałem bez ruchu, cichutko jak mysz pod miotłą.

Powtarzałem w myśli wersety w rodzaju: "Niech przyjdzie ukojenie", nadal byłem jednak
skamieniały ze strachu.

Usiłowałem przypomnieć sobie grzechy, za które, jak sądziłem, zostałem ukarany.

Wyobrażałem sobie, że lada chwila demon schwytają mnie i porwą stąd.

Może nawet zmuszą, bym spółkował z żeńskim demonem lub samą Lilit.

328

Ale demon spał.

A mnie w końcu strach tak bardzo wyczerpał, że też usnąłem.

Nie mam pojęcia, jak długo spałem, obudziłem się jednak z przygnębiającym
przeświadczeniem, że jeśli tylko wyciągnę rękę.

Okazało się, że to tylko Samson.

Tamtej nocy wuj Józef zażądał jak zwykle papierosów i zapalek, a Samson był tak
zmęczony, że w drodze powrotnej z sypialni ojca po prostu potknął się o mój materac,
przewrócił się i zasnął.

Zaczęły mi się przydarzać niezwykle dziwne rzeczy.

W mojej głowie kłębiły się rozkoszne i zarazem bolesne myśli.

Nagle odkryłem istnienie płci odmiennej.

Moje kuzynki wzbudziły we mnie karygodną ciekawość.

Przypomniały mi się tajemnice, które podsłuchałem w Warszawie, wracałem myślami do
ustępów w Pięcioksięgu i Talmudzie, o których nauczyciel mówił, że zrozumie je, kiedy
będę starszy.

Czułem, że jestem bliski rozwiązania zagadki.

Miewałem przerażające, ale i przyjemne sny.
Myślałem, że tracę rozum albo opętał mnie dybuk.
Pragnienia i fantazje były wręcz nieokiełznane.
Postanowiłem pościć.
Ale post nieskutkował.

Nowi przyjaciele

Kiedy Niemcy zajęli Litwę i Ukrainę, polscy Żydzi, którzy uciekli do Rosji i osiedlili się tam w czasie wojny, zaczęli powoli wracać.

Niektórym rodzinom pozwolono też przekroczyć granicę ogarniętej rewolucją Rosji, mieliśmy więc świeże wiadomości o bolszewikach.

Szlomo Rubinstein, siwobrody mężczyzna, ubrany napoły tradycyjnie, na poły nowocześnie, wrócił z żoną i atrakcyjnymi, wykształconymi córkami.

Bogaty i postępowy, był w Biłgoraju kimś w rodzaju pokutnego doradcy prawnego i miał własny duży dom na rynku.

Inna powracająca rodzina o nazwisku Warszawiak - trzejsynowiei dwie córki - pozostawała również pod wpływem nowoczesnych idei, mimo że ich ojciec był pobożnym muczonym.

Oboje rodzice nie żyli.

Z rosyjskiej wioski Ryżyn reemigrował też Anzel Szur, zawodowy kaznodzieja, który często głosił nowe poglądy razem ze starymi.

Jego dzieci posługiwały się współczesnym hebrajskim równie dobrze jak rosyjskim, a najstarszy syn Mottel władał nim tak biegle, jak gdyby właśnie wrócił z Palestyny.

Anzel został później oficjalnym propagandzistą Partii Ortodoksyjnej.

330

Te trzy rodziny spowodowały w Biłgoraju poruszenie, zwłaszcza w obu domach nauki. Nigdy nie podejrzewałem, że w miasteczku może być tylu obywateli w świecie ludzi.

Było nawet kilkoro zasymilowanych chłopców i dziewcząt, którzy uczęszczali do szkół w Lublinie oraz w Zamościu i rozmawiali między sobą po polsku.

Poznałem Mottla Szura, gdy przyszedł wraz ze swym ojcem, Anzelem, na nabożeństwo w turzyskim domu nauki.

Starszy ode mnie o dwa lub trzy lata, niski i barczysty, miał typowo rosyjskie rysy, mały nos, jasne oczy, pełne wargi.

Nosił zwykle marynarkę i cyklistówkę.

Mimo że był pogodny i gadatliwy, wzbudzał wśród ludzi niechęć z powodu skłonności do chępczenia się.

Skrytykował wiernych za błędy gramatyczne, które popełniali, za wymowę, za fanatyzm i za próżniactwo, pasożytniczy tryb życia.

Turzyscy chasydzy nazwali go gogiem i próbowali wyrzucić, lecz wstawił się za nim jego ojciec.

Byłem obecny podczas tego zajścia i wziąłem stronę Mottla, co zgorszyło chasydów, którzy nie spodziewali się, że wnuk ich rabiego sprzymierzy się z heretykiem.

To był pierwszy widomy znak mojej demoralizacji.

Kiedy potem omawiałem z Mottlem owo zdarzenie, dowiedziałem się z zachwytem, że ma najrozmaitsze książki, elementarze, podręczniki gramatyki, prozę i poezję.

Pożyczyłem gramatykę i zabrałem się do niej z niewiarygodnym zapałem.

Chociaż znałem trochę hebrajski, nie miałem pojęcia o odmianie czasowników i przez sześć tygodni poświęcałem nauce kilka godzin dziennie, aż w końcu nauczyłem się pisać po hebrajsku.

I wtedy napisałem wiersz.

Bez żadnej wartości poetyckiej, ale moja hebrajszczyzna była niczego sobie.

Tak czy inaczej, mój wiersz zaskoczył Mottla, który oskarżył mnie o plagiat.

Wkrótce jednak, gdy przekonał.

się, że mój utwór jest oryginalny, był ze mnie dumny, ale też trochę mi zazdrościł.

Mottel z powodu swojego charakteru nie potrafił dochować tajemnicy i zaczął rozpowiadać wszystkim dookoła, że jest to wynik lekcji, których mi udzielał. Miał to dowiedzieć tylko tego, że ja jestem celującym uczniem, lecz także tego, że on jest nadzwyczajnym nauczycielem.

Trochę prawdy w tym było.

Rzeczywiście był wspaniałym nauczycielem, zakochanym w hebrajskim, żarliwym syjonistą, porządnym i szlachetnym człowiekiem.

Uwielbiał dawnych "miłośników Syjonu" i języka hebrajskiego.

W wiele lat później został zamordowany przez Niemców.

Jego pochwały wpędziły mnie w kłopoty.

Cały Biłgoraj trząsał się odplotem, że wnuk rabiego dał się uwieść heretyckiej literaturze. Kilku mężczyzn odsądziło mnie od czci wiary, zrugano, matka powiedziała, że ją poniżam i przynoszę ujmę rodzinie.

Zamierzała sprowadzić tutaj ojca jak opoką negorabina, ale jak ma on znaleźć wiernych przy takim synu?

W ramach ekspiacji uczyłem się pilnie rano i po południu w turzyskim domu nauki - sam, z młodszymi uczniami albo z kolegami.

Moi wujowie nie podjęli żadnych kroków, żeby ukarać mnie za moje zachowanie, byłoby to sprzeczne z naturą, poza tym nie mieli nic przeciwko temu, że byszansę mojego ojca na rabinat w Biłgoraju zmały.

Chasydy byli wściekli, ale z drugiej strony nagle bardziej zainteresowali się mną nowocześni obywatele Biłgoraja, których mój dziadek prześladował przez całe lata. Postęp przyszedł na Litwę stulat temu, Biłgoraj pozostał o cały wiek w tyle.

Zima się skończyła, nadeszło lato 1918 roku.

Mój brat Izrael Jozua wyjechał do zajętego przez Niemców Kijowa, żeby pracować nad jakąś publikacją w jidysz.

W Kijowie,

332

Charkowie i Mińsku działali sowiecko-żydowscy pisarze:

Markisz, Schwartzstein, Hoffmann, Kwitko, Czarik, Feferi inni.

Zelig Mełamed założył Ligę Kultury.

Ukraina znajdowała się na granicy pogromów.

Bolszewicy prowadzili bratobójczą wojnę.

Niemcy zaczęli wycofywać się na froncie zachodnim.

Wszystko to jednak nie dotyczyło w istotny sposób Biłgoraja.

Co za różnica, jaki mundur nosi żołnierz?

Zamiast Kozaków po Biłgoraju spacerowali teraz Austriacy, Węgrzy, Bośniacy i Hercegowińczycy.

Orędownicy postępu skłaniali się ku mnie w sposób zakamuflowany.

Z zegarmistrzem Todrosem dyskutowaliśmy Bogu, naturze, przyczynie oraz o innych sprawach.

Napodwórku dziadka było pewne miejsce, z jednej strony osłonięte murem, z drugiej kuczką, a z trzeciej graniczące z kartofliskiem, które należało do raka.

Tam, pod płotem, w cieniu jabłoni, wertowałem liczący osiemdziesiąt lat podręcznik fizyki.

Widziałem z mojej kryjówki synagogę, dom nauki, mykwe i bezkresne pola, ciągnące się aż do lasu.

Na jabłonce śpiewały ptaki, nad synagogą szybowwały bociany.

Liście jabłoni lśniły w promieniach słońca jak małe płomyczki.

Dookoła fruwały motyle i pszczoły.

Niebo było tak błękitne jak zasłona przed aron ha-kodesz podczas świąt Rosz ha-Szana i Jom Kipur.

Grzejąc się złocistym słońcu, czułem się jak starożytny filozof, który odwróciwszy się od marności tego świata, poszukuję mądrości i boskości.

Od czasu do czasu ciotka Jentl wychodziła, żeby opróżnić wiadro z pomyjami.

Podręcznik fizyki czytałem sobie trudno, zdania były długie i zawile, język dziwny, wiedziałem jednak, że niełatwo jest zdobyć wiedzę naukową.

Ta książka stanowiła koronowanie setek odkryć, dokonanych w ciągu wielu lat.

Wiek dziewiętnasty nie był w niej reprezentowany, ale nauczyłem się wiele od Archimedesesa, Newtona i Pascala.

333.

Miałem jednak trudności z matematyką, ponieważ znalazłem ledwie powierzchownie arytmetykę.

Czasami podczas nauki recytowałem śpiewnie, z przyzwyczajenia, fragment Talmudu.

Pewnego ranka, gdy się uczyłem, stanęli przede mną dwaj chłopcy w mundurkach z mosiężnymi guzikami w czapkach z kolorowymi otokami.

Byli jedynymi w miasteczku żydowskimi gimnazjalistami.

Nazywali się Notte Szwerdszarf i Meir Hadas - obaj odegrali ważną rolę w moim późniejszym życiu.

Notte pochodził z dobrej rodziny.

Jego dziadek, Reb Samuel Eli, był bogatym uczonym i wielkim filantropem.

Ciotka, Genedele, korespondowała w języku hebrajskim była moją daleką krewną.

Jednakże czas nadszarpnął rodzinny majątek, za to przyczynił się do jej większej świeckości.

Notte, niebieskooki, jasnowłosy, przypominający wyglądem goja, był bardzo krótkowzroczny i nosił okulary o grubych soczewkach.

Idealista, znany z artystycznych zamiłowań, przypominał raczej jakiegoś polskiego studenta, członka związku patriotycznego, który próbuje udźwignąć na swoich barkach całe brzemie ludzkości.

Organizator dramatycznych i syjonistycznych grup, był wielkim entuzjastą, ale nigdy nie doprowadzał niczego do końca.

Myślę, że choć ciągle jeszcze chodził w mundurku, nie uczęszczał już do gimnazjum.

Był zbyt pochłonięty fantazjami, żeby przejść przez wszystkie osiem klas.

Jedno tylko poznał dobrze - język polski.

Mówił jak rodowity Polak i czytał polskie książki.

Zawsze nosił jakąś książkę pod pachą.

Drugi chłopiec, Meir Hadas, pochodził z nizin społecznych.

Jego babka, o dziwnym imieniu Kine, była w młodości ładną dziewczyną.

Obrzucano ją błotem za bratanie się z rosyjskimi oficerami.

Ale kiedy przyjechałem do Biłgoraja, była już starą kobietą w peruce.

334

Meir Hadas również wyglądał jak goj, ale w inny sposób.

Trzymał się prosto, był lekkomyślny i miał żywy temperament Polaka.

W przeciwieństwie do Nottego, który biegle władał jidysz, język Meira stanowił mieszankę żydowskiego i polskiego.

Notte nie miał dobrego wpływu na Meira, będącego jeszcze gimnazjalistą, wciągał go w szalone plany i fantastyczne przedsięwzięcia.

Dowiedziawszy się od Mottla Szura o mojej znajomości hebrajskiego i poezji, przyszli, żeby porozmawiać ze mną o świecie, a w szczególności o Biłgoraju.

Przyjmowałem ich tak, jak Sokrates przyjmował Platona.

Siadali na trawie pod drzewem i rozprawialiśmy o wszystkim, poczynając od Boga, a kończąc na projekcie utworzenia w mieście zespołu teatralnego.

Wyrażałem swoje poglądy ze stanowczością kogoś, kto dawno już wszystko przemyślał i wyciągnął odpowiednie wnioski.

Zminimalizowałem wszystko do pyłu, oświadczając, że życie niewiele jest warte i człowiek postąpiłby najszlachetniej, odbierając je sobie.

Byłem wówczas bladym piętnastolatkiem z rudymi pejsami, które z powrotem zapuściłem, w długim chłacie i aksamitnym kapeluszu.

Na moich kolanach leżał stary niemiecki podręcznik fizyki.

Obaj z Nottem zdaliśmy sobie sprawę, że jest to początek długiej przyjaźni.

Zwiastuny zmian

W Biłgoraju, który mój dziadek na tak długie lata skutecznie odgradził od świata, zaczęły zachodzić zmiany, i to przenikające z wielu źródeł.

Młodzi ludzie założyli w miasteczku stowarzyszenie syjonistów, wznowili działalność członkowie Bundu.

Część młodzieży wykazywała nastroje probolszewickie.

Młodociani wierni w synagodze podzielili się na dwie frakcje - Związek Mizrahi i tradycjonalistów.

Notte Szwerdszarf utworzył oddział organizacji młodzieżowej o charakterze pionierskim, Ha-Szomer ha-Cair.

Ciągnęły zanim, jako za przywódcą grupy, tabuny dzieciaków, które nazywały siebie "zewim" - wilki.

Nie miałem pojęcia, czy w większych miastach szerzą się podobne tendencje jak w Biłgoraju.

Mijający się na ulicy chłopcy prostowali się i stukając obcasami na austriacką modłę, wołali: "Chazak!

- Bądź silny!

".

W miasteczku, w którym jeszcze rok temu żyła senna żydowska społeczność, odbywały się wieczorami najrozmaitsze dyskusje i spotkania.

Warszawska spółka akcyjna wystawiła Sulamitkę w remizie strażackiej.

Austriacy, którzy założyli szkołę w Biłgoraju, wzniesli na rynku teatr.

Chasydzi żywili urazę do wujów zato, że nie sprzeciwili się temu i nie przepędzili heretyków, jak to uczyniłby ich ojciec.

Synom jednak brakowało jego osobowości i siły.

336

Jona Ackerman, stary kawaleri pokątny doradca prawny, otworzył u siebie w domu bibliotekę z książkami w jidysz.

Jego ojciec był to człowiek postępowy, o ciętym języku, przeciwnik chasydyzmu.

Kiedy do miasta przyjechał gorlicki rabin i powitano go muzyką oraz biciem w dzwony, stary Ackerman stał w progu swego domu, sycząc: "Bałwochwalcy!

".

Logicznie rzecz biorąc, należałoby się spodziewać, że syntakiego człowieka zostanie zagorzałym heretykiem, tymczasem Jona Ackerman był zdecydowanym zwolennikiem kompromisu.

Jego zdaniem prawnikowi nie wolno zrażać do siebie klientów.

Chodził w trzyćwiertowym surducie, chasydzkim kapeluszu, miał spiczastą ryżą bródkę, a szabat spędzał w tym samym gorlickim domu nauki, który obrzucał błotem jego własny ojciec.

Wychowany na rosyjskiej literaturze, nie na Tołstoj i Dostojewskim, lecz na wcześniejszych pisarzach, takich jak Łomonosow i autorzy dzieł moralizatorskich, był człowiekiem z zasadami i kierował się nimi w każdej sytuacji.

Bardzo lubił rozmowy dotyczące moralności.

Mimo że mówił płynnie w jidysz, miał skłonność do dosłownego przekładania swoich myśli z rosyjskiego.

Pedant, jeśli idzie o kaligrafię, zwracał szczególną uwagę na gramatykę i składnię.

Gdy przyjechałem do Biłgoraja, był starym kawalerem, który musiał zrezygnować z kilku ofert bogatego ożenku, żeby wydać za mąż siostrę, po śmierci ojca czuł się bowiem za nie odpowiedzialny.

Jona był anachronizmem, lecz spotykałem czasem takie postaci w rosyjskiej literaturze.

Jego osobowość zdawała się żywcem wzięta z książek.

Odznaczał się zdumiewającą pamięcią, podobno potrafił cytować całe kodeksy, miał mnóstwo słowników i leksykonów.

W końcu postanowił otworzyć bibliotekę i zamówił książki zarówno w jidysz, jak i hebrajskie.

Ponieważ

337.

wszystko, co robił, posiadało jakieś uzasadnienie, podejrzewam, że w tym wypadku chodziło mu o przyciągnięcie panien z miasteczka.

Ogólnie rzecz biorąc, był starym kawalerem o czystym sercu, staroświeckim i nieco ekscentrycznym.

Gdyby ktoś inny, a nie Jona Ackerman, otworzył bibliotekę ze świeckimi książkami, od razu powybijano by mu szyby w oknach.

Ale Jona był szanowanym doradcą prawnym, miał rozległe wpływy u władz i nikt nie chciał nim zdrzeć.

O dziwo, podziwiali go nawet biłgorajscy goje, którzy uważali, że powinno być więcej takich Żydów jak on - spokojnych, uczciwych i uprzejmych.

Akceptowali nawet to, że nosi tradycyjny strój żydowski.

W owym czasie moja znajomość żydowskich pisarzy obejmowała Mendele Mojchera Sforima, Szolemę Alejchema, Pereca, Aszai Bergelsohna, nie przeczytałem ich jednak dokładnie.

Obecnie dzięki książkom i wypisom, które pożyczył mi Mottel Szur, czytałem z zachwytem poezje Bialika, Czernichowskiego, Jakuba Kohena i Szneura, i wciąż pragnąłem czytać więcej i więcej.

W mojej pamięci na zawsze pozostały dwa tomy Zbrodni i kary, książki, która zaintrygowała mnie kiedyś tak bardzo, mimo że ledwie rozumiałem, co czytam.

Teraz Nocte jednego dnia przynosił mi pod jabłonek książkę, a ja nazajutrz ją kończyłem. Często, siedząc na strychu na przewróconej biblioteczce, pośród starych garnków, połamanych beczek i stert kartek powyrywanych ze świętych ksiąg, dosłownie pożerałem najróżniejsze książki - opowiadania, powieści, dramaty, eseje, oryginały w jidysz, jak również przekłady. Czytając, sam oceniałem, co jest dobre, co mierne, gdzie tkwi prawda, a gdzie fałsz. Naówczas Ameryka przysyłała nam worki białej mąki i przekłady europejskich pisarzy. Te książki mnie urzekły.

Czytałem

338

Reisena, Strindberga, Dana Kaplanowicza, Turgieniewa, Tolstoja, Maupassanta i Czechowa.

Pewnego dnia Nocte przyniósł mi Problem dobra i zła Hilela Cejtlina.

Przeczytałem tę książkę jednym tchem.

Cejtlin przedstawił w niej historię oraz podsumowanie filozofii światowej i żydowskiej.

W jakimś czasie później odkryłem książkę Stupnickiego o Spinozie.

W pamięci wciąż tkwiły mi słowa ojca, że imię Spinozy powinno być zapomniane na wieki.

Wiedziałem też, że Spinoza twierdził, iż Bóg to świat, a świat to Bóg.

Pamiętałem, jak ojciec powiedział, że Spinoza niczego nie wnosi.

Znałem interpretację słynnego Baala Szema, który również utożsamiał świat z Bogiem.

Wprawdzie Baal Szem żył po Spinozie, ale mój ojciec argumentował, że Spinoza czerpał ze starożytnych źródeł, czemu nie zaprzecza żaden z jego uczniów.

Książka o Spinozie wywołała zamęt w moim umyśle.

Jego koncepcja, że Bóg jest substancją, składającą się z nieskończonej liczby atrybutów, że boskość sama musi być wierna swoim prawom, że nie istnieje wolna wola ani moralność absolutna, fascynowała mnie i zdumiewała.

Czytając tę książkę, czułem się odurzony, natchniony, jak nigdy dotąd.

Miałem wrażenie, że nareszcie odnalazłem prawdę, których poszukiwałem od dzieciństwa.

Wszystko było Bogiem - Warszawa, Biłgoraj, pajak na strychu, woda w studni, chmury na niebie i książka na moich kolanach.

Wszystkobyło boskie, wszystko było myślą i ekstensją.
Kamień miał swoje kamienne myśli.
Materia gwiazdy i jej myśli to dwa aspekty tej samej rzeczy.
Poza atrybutami fizycznymi i umysłowymi istnieje niezliczone mnóstwo innych
cech, za pomocą których można określić boskość.
Bóg jest wieczny, transcendentny wobec czasu.
Czas, czyli trwanie, rządzi wyłącznie modułkami w boskim kotle, które
339.

nieustannie tworzą się i pękają.

Ja również jestem takim bąbelkiem, co tłumaczy mój brak zdecydowania, niepokój, moją namiętną naturę, moje wątpliwości i obawy.

Ale i owemodi zostały stworzone z Bożego ciała, Bożej myśli, i jedynie On może je wyjaśnić.

Pisząc dzisiaj te słowa, odnoszę się do nich krytycznie, znając wszelkiewady i luki w filozofii Spinozy.

Wtedy jednak znajdowałem się pod jej urokiem, co trwało przez wieki lat.

Byłem pełen uniesienia, wszystkowiedało mi się dobre.

Nie było różnicy między niebem a ziemią, między najodleglejszą gwiazdą a moimi rudymi włosami.

Moje spletanemyśli są boskie.

Mucha, przysiadająca na stronicy mojej książki, musiała się tam znaleźć, tak jak fala oceanu czy planeta musiała znaleźć się w określonym czasie w moim świecie, gdzie są.

Najgłupsza fantazja, jaka zrodziła się w mojej głowie, została wymyślona dla mnie przez Boga.

Niebo i ziemia stały się tożsame.

Prawa natury są prawami boskimi.

Prawdziwe nauki Boga to matematyka, fizyka i chemia.

Mój zapal do nauki wzrósł jeszcze bardziej.

Ale koledzy, Notte Szwerdszarf i Meir Hadas, ku mojemu zdziwieniu odnieśli się obojętnie do moich odkryć.

Byli równie zdumieni moim zaabsorbowaniem, jak ja ich brakiem zainteresowania.

Pewnego dnia przyszedł do mnie Notte i spytał, czy chciałbym uczyć hebrajskiego.

- Kogo?

- Początkujących.

Chłopców i dziewczęta.

- A co z Mottlem Szurem?

- spytałem.

- Nie chcą go.

Do dziś dnia nie.

wiem, dlaczego nie chcą Mottla Szura.

Być może stało się tak dlatego, że pokłócił się z założycielami szkoły wieczorowej, którzy obecnie chcieli

340

mnie zatrudnić.

Mottel miał pewną słabość, a mianowicie zwykł mówić ludziom, co o nich myśli, po czym za bardzo się przechwalał - no i może zażądał zbyt wysokiego honorarium?

Nie miałem odwagi przyjąć tej posady, wiedząc, że postawi to w trudnym położeniu moją matkę i wywoła konsternację w miasteczku.

W końcu jednak coś mnie skłoniło do przyjęcia propozycji.

W prywatnym mieszkaniu, gdzie odbyła się pierwsza lekcja, okazało się, że moimi uczniami nie są, jak przypuszczałem, dzieci, lecz młodzieńcy i panny - te ostatnie w większości.

Dziewczęta w moim wieku, a nawet starsze, przyszły w swoich najlepszych sukienkach.

Stałem przed nimi w długim chałacie, aksamitnym kapeluszu, ze zwisającymi pejsami.

Jakim cudem, będąc z natury nieśmiały, odważyłem się przyjąć tę pracę, dodając pozostaje dla mnie zagadką, z czasem jednak przekonałem się, że osoby nieśmiałe bywają czasami nadzwyczaj dzielne.

Powiedziałem im wszystko, co wiem o hebrajszczyźnie.

Lekcja wywołała skandal w mieście- pomyśleć, że wnuk rabina uczy świecką młodzież hebrajskiego!

Po lekcji otoczyły mnie dziewczęta, zadając pytania, uśmiechając się.

Nagle olśniła mnie smagła dziewczyna o pociągłej twarzy i czarnych jak węgle oczach i uśmiechu, którego nie da się wprost opisać.

Zmieszałem się, a kiedy mnie o coś zapytała, nie rozumiałem, co mówi.

Głównie miałem pełną najrozmaitszej prozy i poezji.

Byłem przygotowany na niepokoje, zwane przez pisarzy "miłością".

Spis treści

	Od autora .
	Ofiara .
	Dlaczego gęsi gęgały .
	. ,Zerwane zaręczyny .
	.. ,Makabryczne pytanie .
	„Praczką .
	Poważna dintojra.
	Drzewo genealogicznePo zaślubinach .
	Do Warszawy .
	Przysięga .
	Purimowy prezent .
	Samobójstwo .
	Do kraju Izraela.
	Dyspensa.
	Sekret .
	Testament .
	Dzień przyjemności .
	„Handlarz .
	Reb Chaim GorszkowerReb Mojsze Ba-ba-ba .
	Trejtł .
	'...'
	711
	202633404756626875828997104113121128135142149158
	Zostaję skarbnikiem .
167	
	Moja siostra .
172	
	Cud .
178	
	Mleczarz rebAszer .
184	
	Proces .
191	
	Dziki krowy .
198	
	Rozwód .
207	
	Wolf węglarz .
213	
	Potomkowie .
220	
	Atlasowy chałat .
226	
	Chłopiec filozof.
233	
	Wujek Mendel .
...	
239	

	Koledzy .
245	Strzał w Sarajewie .
252	Rekrut.
259	Pracownia .
265	Głód .
270	Próżne nadzieje .
277	Książka .
283	Wiza .
290	Podróż .
296	Biłgoraj .
303	Rodzina .
...	
...	
...	
308	Ciotka Jentl .
314	Stara tradycja żydowska .
320	Zima w Biłgoraju .
325	Nowi przyjaciele.
330	Zwiastuny zmian .
336.	

Książkę wydrukowano na papierze Amber Graphic 70 g/m²

pAmber

www.arcticpaper.com.

cont

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

ul. Marszałkowska 8, 00-590 Warszawa tel.

(0-22) 8277721.

6296524 e-mail: infomuza.com.pl.

com.pl

Dział zamówień: (0-22) 6286360, 6293201 Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl.

muza.

com.pl

Warszawa 2004 Wydanie I

Skład i łamanie: MAGRAF s.

c., Bydgoszcz Przygotowanie do druku: ARSPOL, Bydgoszcz Druk i oprawa: RZG SA.